



Z KSIĘGOZBIORU

**Dawida Rogowskiego**

N<sup>o</sup> *69*.....





NIEZARADNI

**NIEZARADNI.**

MEZARADNI

Egz. archiwalny IBL

# NIEZARADNI.

POWIEŚĆ

T. T. JEŻA.

INSTYTUT  
BADAN IZ HISTORII I  
BIBLIOTEK

ul. Nowy Świat 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



*Rogowski*

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1884.



Дозволено Цензурою.

*Варшава, Июня 19 дня 1884 года.*

---

Друк J. Ungra, Warszawa. Nowolipki Nr. 2406.



## I.

### Na Wygnance.

---

Niedawne to czasy—a jakże już dawne! Gdzie dziś kolój żelazna przechodzi, przebiegała śród pól droga, na której wicher harce z kurzawą wyprowadził, lub też, gdy jesień nastąpiła, toczyło się *perekotypole*, straszło konie, a ludzi zmuszało uciekać się do doświadczonego przeciwko złemu duchowi oręza, do znaku krzyża świętego, popięranego splunięciem i wymówieniem wyrazów moc zaklęcia posiadających:

— Tfu, zgiń, zczeznij, siło nieczyste!

Nie wiemy, czy czary owe pamiętają jeszcze ludzie tameczni.

Jacy ludzie?—zapytacie.

A jużci Podolanie, ci sami Podolanie, o których śpiewa się:

*Niezara dni.*

1

„Oj, po poli, po polańci,  
Ijszły nasi Podolanci  
Pokłónytysia szynkarci.”

Wiedzieć należy, iż Podolanie pokłony tego rodzaju z gustem składają. Szynkarka posiada w ich oczach urok, któremu opierają się z trudnością i dla którego nie potrzeba bynajmniej, ażeby szynkarka była osobliwością pod względem szyku, wdzięków i uprzejmości. Byle szynkarka— to dosyć. Właściwie nie o nią chodzi, ale o pocieszycielstwo w utrapieniach, przedstawiające się pod postacią płynu obrzydliwego, posiadającego tę własność, iż po wchłonięciu takowego przez człowieka w ilości znaczniejszej, świat i wszystko co na nim jest, szynkarki i nie szynkarki, przyoblekają pozory piękności uroczej. Nie na tém koniec. Pod wpływem płynu tego, szynkarze nawet w szynkarki się przeistaczają, człek odmładza się, ubogi zmienia się w bogacza, mizerak w siłacza, bojaźliwiec w zucha, wszystko dla niego kwitnie, wszystko się doń uśmiecha i wdzięczy. Czuje się w pełni całej królem, panem stworzenia wszelakiego, i używa władzy swojej wedle temperamentu indywidualnego: ten do piersi garnie, obejmuje, całuje wszystkich i wszystko; ów sroży się, zamachuje, bije nawet— och!—w drogę mu nie wchodź, jeżeli ci spokój miły.

Przy drodze tedy, w czasach kiedy kolój żelazna nie przechodziła jeszcze tamtędy, wznosiła się karczemka Wygnanka. Nosiła romantyczną Wygnanki nazwę dlatego, że w rzeczy samój na wygnankę wyglądała, nędznie, ubogo, obdarto. Strzecha na nięj najeżyła się, jak się jeży sierść na wilku w wilczym dole pojmanym; na ścianach przeglądało drzewo, jak świecą kośćiami boki konia schudzonego; szkło na okienkach zmatowała kurzawa i zewnątrz i wewnątrz; śmiecie dokoła stanowiły garnirowanie, zastępujące to, co wieśniacy nazywają „obejsciem.”

Smutny był Wygnanki tój pozór, ubogi, bardzo ubogi i tём bardziej ubóstwem rażący, iż odbijał od tła przyrody, dyszącój bogactwem. Bogactwo ogromne w oczy się rzucało dokoła. Zbożowe lany rozlegały się szeroko od południa, dalej sianiały lasy, a bliżej, od północy, widziéć się dawały kwieciami haftowane łąki, które okrywały pochyłość schodzącą lekko wdół, ku dolinie, tworzącój trzęsawiska. Za trzęsawiskami znów łąki, znów lany, znów lasy. A wszystko to tak rosło bujnie i tak się nastawiało, jakby zpod porostu tego ziemia wołała wgłos: „Patrzcie jeno, jaka ja płodna!”

I na tём-to bogactwem dyszącém natury tle stérczała Wygnanka.

Do środka zajrzeć chcecie? I owszem. Zaznaczy to kontrast tém wyraźniej, albowiem we środku brak tego właśnie, czego do zbytku jest nazewnątrz: powietrza i światła. Duszno tam, i ciemno i brudno. Wszedłszy, doznaje się ściśnienia jakiegoś. Sień pełni funkcją chlewu i kurnika; pełno tu wilgoci i gnoju. Część mieszkalną stanowi izba jedyna, będąca zarazem sypialną, jadalną i szynkową. Mieszka w niej rodzina złożona z osób siedmiorga: mąż i żona i dzieci pięcioro— Żydzi, naturalnie. Jedno pierzynami nigdy nie-trzepanemi i nieodmienianemi zapełnione łóżko dla nich wszystkich służy. Łóżko zajmuje miejsca sporo; naprzeciwko nieopodał pieca szynkwas, otoczony sztachetami drewnianemi; pod oknami stół podłużny i dwie ławy, półki, trochę naczy-nia czerepianego, flaszki, kieliszki, kwaterki, beczka z wódką: oto meble i sprzęty, nieczyszczone, niemyte, rozstawione w izbie szczupłej, niezamiatanej i nieuprzątanej, chyba raz na tydzień, w piątek, przed szabasem, i to tak tylko, ażeby śmieci widać nie było.

Praca świeciła tu nieobecnością zupełną. Zatrudnienie rodziny całej polegało na wymierzaniu gorzałki przybyszom, zachodzącym do karczemki. Zdarzało się to rzadko. Bywały dni, w których nie zajrzał ani żywy duch; bywały znów dni, w których się izba przepelniała w sposób niemo-

żliwy prawie. To ostatnie powtarzało się regularnie co dwa tygodnie, kiedy jarmark w Istyniu lub Krutych w ruch wprawiał ludność wsi Howorunki i przepędzał ją tam i napowrót. Pora żniwiana i kosowicza należała także do momentów spotęgowanego szynkarskiej rodziny zajęcia. W porze jarmarcznej Żyd i Żydówka ledwie starczyć mogli, tём bardziej, że spadało na nich zajęcie podwójne: jedno gorzałkę odmierzało i zapłatę za kwaterki i kwarty pobierało, drugie u młodych przechodnich i gospodarzy przejezdnych „targowało” zapasy żywności, służyć mające do odżywiania rodziny przez całe dwa tygodnie. O! praca wówczas była—praca kipiąca, gorączkowa, wyrażająca się przeważnie zapomocą przyspieszonego obracania języka w gębie i kończąca się późnym wieczorem. Po przejściu burzy tej peryodycznej, nastawała dla karczemki cisza senliwa, a w ciszy tej do snu przyspięwywał jej hymn przyrody, brzmiały na polach dokoła, hymn, który, stosownie do pory roku i pogody, raz jęczał, huczał, wył, znów brzmiał rozkosznie, cicho, łagodnie.

Moment, w którym karczemkę przedmiotem opisu tego czynimy, był momentem ciszy. Dzień miał się ku południowi; słońce majowe przygrzewało i rzucało z wysoka pozłotę na wdzięczącą się wdziękami wszystkiemi ziemię, na obdartą

karczemkę nawet. Rodzina szynkarska na słońce się nie pokazywała. Zażywała wczasu. Nie znaczy to, że spała, w fizyczném wyrazu tego znaczeniu; w znaczeniu jednak moralném stan, w jakim się znajdowała, inaczej chyba określić się nie da. Stan ten był stanem obozwardnienia, obejmującego zarówno dziecko w lipowej kołysce, jak dzieci starsze i dwoje ludzi dorosłych. Po między dziećmi starszemi znajdował się chłopak lat dwunastu, znajdowała się dziewczynka lat dziesięciu. W wieku tym dzieci ruszają się zwykle. Te zaś, pogrążone w zadumie jakiejś, zachowywały się tak, jakby urobione były z galarety. Raz się trzęsły, znów chwiały i pozostawały na miejscu, jedno na stołeczku niskim, drugie na podłodze, trzecie i czwarte na łóżku, wśród betów. Matka rodziny zajmowała miejsce na progu, oparta plecami o odźwieriek; ojciec na ławie siedział, o stół łokciem oparty, dumal, głową wstrząsał i od chwili do chwili w brodę się palcami drapał, wyciągając przytém szyję i przekrzywiając usta w sposób szczególny. Powtarzał to dosyć często, aż wstał, przez izbę przeszedł i do stojącego nieopodal od progu wiadra zajrzał. Wiadro było próżne. Zdaje się, jakby chodziło mu o to tylko, ażeby się dowiedzieć, czy jest w niem woda. Dowiedział się i poprzestał na tém; chciał na dawne miejsce wrócić,

lecz rozmyślił się i usiadł przy drugim końcu stołu.

A kiedy on usiadł, wstała Żydówka. Wstawanie nie przyszło jej z łatwością. Dźwigała się, razy parę próbowała, aż wreszcie stanęła na nogach i boki sobie kułakami naciskając, skierowała się do wiadra, do środka zajrzała i wykonała ustami cmoknięcie, świadczące, jako pragnienie jej dojmuje. Nie rzekła jednak nic i byłaby zapewne w milczeniu odeszła, gdyby nie pogarnęły się do niej dzieci i nie przemówiły jedno po drugim:

— Mame, wody!

— Skądże ja wam wody wezmę? — ofuknęła się.

— Wody — mimo to, powtórzyło jedno.

· — Nie, niema, niema.

— Wody — żałośnie odezwało się naraz dwoje.

— Cicho! — krzyknął Żyd i po chwili dodał:— I mnie się pić chce. Czemu to?

Żydówka, na miejscu powoli się obracając, flegmatycznie odparła:

— Czemu? nu, od pieprzu. Od czegożby?

Coś pieprznego rodzina zjeść musiała. Na utulenie pragnienia wody nie było, mimo że okolica nie wyglądała na bezwodną, o czém przekonać się było łatwo. Żydówka przed karczemkę wy-

szła, w boki się rękami ujęła i okiem dokoła powiodła. W dali, niby tafła szklana, połyskiwała powierzchnia stawu. Było to jednak daleko, na oko sądząc pół mili blisko. Bliżej rozlegały się trzęsawiska i domyślać się należało, iż środkiem takowych sączy się strumień. Przypuściwszy wszelako, że i to było zadaleko, to wcale niedaleko, o kroków bowiem dwieście od karczemki, na staczającej się ku trzęsawiskom pochyłości, widzieć się dawały trzy wierzby, otaczające kamień, zpod którego tryskało źródło kryształowej, przeczystej, chłodnej, jakby z roztopionego świeżo lodu, wody. Woda wprawdzie w oczy się nie rzucała, lecz wierzby ją wskazywały i mieszkańcy karczemki niesposób, ażeby o niej wiedzieć nie mieli. Na miejscu ich—gdyby nam n. p. pragnienie dojmowało, udalibyśmy się do źródła bez namysłu i nietylkobyśmy pragnienie zaspokoili, ale ochotniej w cieniu wierzb zażywalibyśmy wczasu, aniżeli w izbie brudnej, pełnej woni zgoła nieuroczej. Na kwestyą tę jednak mieszkańcy karczemki zapatrywali się snadź inaczej. O wodzie myśleli wszyscy, ale źródło nie przychodziło na myśl żadnemu. Z racyi pragnienia oblicza ich wyrażały cierpienie; dzieci skarżyły się głośno; Żyd okazywał niecierpliwość; Żydówka zaś, przed progiem stojąc, zwracała oczy to na drogę, to na idącą przez błonie ścieżkę, i słuch nastawia-



ła, jakby kogoś wyglądała, czy wyczekiwała. Z piersi jej wydobywało się niekiedy westchnienie, niekiedy znów upominała wołające o wodę dzieci:

— Nu, nu, i zkad-że ja wam wody wezmę?

Zdaje się, iż nie łatwiejszego być nie mogło, jak pójść po takową, jeżeli nie z wiadrem, to z kufelkiem, z garnkiem. Mogła zresztą z dzieci które posłać, albo też wyprawić je do źródła wszystkie — niechby piły. Ani się jednak domyślała rzeczy tak prostej. Wyczekiwała, czy wyglądała; wzrok badawczy po drodze raz w jedną, znów w drugą stronę puszczała i krzywiła się boleśnie prawie.

Spoglądała, nasłuchiwała, wreszcie do izby wróciła i do męża się odezwała:

— Nic i nikogo.

Żyd na te wyrazów parę, z akcentem złego humoru, pod nosem mruknął.

— A przecież—zaczęła—Josyp...

— Ostatnie zastawił postoly.

— Pijak—przez zęby wycisnęła—pijak przekłety. Nie przyjdzie...

Wyraz ostatni wymówiła ze smutkiem, po izbie się obejrzała, do wiadra zaglądnęła i znów przed karczemką wyszła.

Po niejakiem czasie nad progiem stanęła. Dzieci się do niej garnęły; ona je po brudnych poli-

czkach i rozczochranych głowach dłonią głaskała i uspokajała:

— Nu, sztil, bucher... sztil-że, lubeńkies... ktoś przyjdzie i woda będzie. Poczekajcie jeszcze trochę, moje wy dziatki biędne. Nu, nu.

Tak upłynęło godzin parę. Słońce przygrzewało, jak przygrzewać zwykło około godziny drugiej po południu. W karczemce nie pojawiał się gość żaden, aż wreszcie Żydówka weszła do izby z radosnym na obliczu uśmiechem.

— Nu—odezwała się do męża.

— Co?—zapytał.

— Jada... słyhać.

Wyrazy te odnosiły się do skrzypienia kół, odgłos którego dochodził zdaleka i bardzo niewyraźnie. Skrzypienie z chwilą każdą coraz to wyraźniejsze się stawało i wkońcu ukazały się na drodze wozy, idące jeden za drugim w liczbie czterech. Ciągnęły je woły wspaniałe, po parze przy każdym, i na każdym wznosił się spory ładunek drzewa, z gałęzi i liści nieogolconego. Woły powolnym szły krokiem, pod kierunkiem parobków, którzy z batogami w rękach szli obok. Jeden z nich ze słomy żytniej, nawpół jeszcze zielonej, uplatał taśmę na kapelusz, trzej inni kiwali się, niby senni, i kiedy niekiedy batogami wywijając, pohukiwali półgłosem:

— Hej! cabe! ksobi, siry!

Ich to Żydówka słyszała i jeła powtarzać dzieciom:

— Sztyl-że, lubeńczykies, woda zaraz będzie.

Owo „zaraz” rozumieć należało w sensie żydowskim, upłynęło bowiem bezmała pół godziny, zanim wozy do karczemki doszły. Doszły i mijaly—i byłyby minęły, gdyby jeden z parobków nie odezwał się:

— A cóż, Wygnanka?

Na słowa te ten, co przodem szedł, zawołał przeciągle:

— Ho-hou!

Wóz przedni zatrzymał się i zatrzymały trzy inne. Parobcy przed progiem się zeszli, a jeden z nich uwagę zrobił:

— U mnie w hamańcu ani grosza.

— A i u mnie toż samo.

— Semen ma coś tam...

— Jeżeli ma, to dla siebie—odrzekł ten, co go Semenem zwali.

— Cóż więc?—inny na to—chyba-ż dalej ruszajmy.

— Niechajby woły wytchnęły—zauważył ten, co pierwszy o Wygnance wspomniał—a do szynku zajść nie zaszkodzi.

— Ta-że to, nie zaszkodzi ono.

Przestąpił próg jeden, za jednym drugi, a za drugim trzeci i czwarty, a każdy, do izby wkraczając, pozdrowiał:

— Dopomóż Boże!

Na wszystkie te pozdrowienia Żyd odpowiedział naraz jeden:

— Daj Boże zdrowie!

Żydówka wiadro ujęła i jednemu z parobków podała.

— A to na co?—parobek zapytał.

— Na co? O! on pyta na co, jakby nie wiedział. A na cóż wiadro?

— Na wodę.

— Nu, toż to jest. Skocz i przynieś.

— Czyż to ja najmit u ciebie?

— Alboż ja powiadam, żeś najmit? Powiadam tylko: skocz i przynieś, a jak przyniesiesz, to tobie nie uschnie ani ręka, ani noga. Czy uschnie może?—zapytała.

— No, nie.

— A więc, o...—odrzekła i, ująwszy parobka za rękaw od koszuli, na miejscu go obróciła i ku drzwiom lekko popchnęła.

Popchnięty poszedł; po chwili wrócił, wiadro napelnione wniósł, przy progu postawił i odezwał się:

— O, masz. Należy mi się podziękowanie.

Żydówka, jakby słów tych nie słyszała, nie odrzekła nic. Napila się, napił się Żyd, piły Żydzięta; parobek za stołem miejsce obok to warzywszy zajął i pot na czole obtarł. Żyd stanowisko za szynkwasem zajął i przestawiać zaczął flaszki, kieliszki i kwaterki. Parobek, co siedział obok pieniężnego Semen, trącił go zlekka łokciem w bok. Semen, na nieme to wezwanie, odchrząknął, dłonią usta sobie otarł i rzekł:

— Ano, kwaterka.

— Postawisz ty, a tam kiedyś, jak Bóg da, postawię ja—odezwał się z parobków jeden.

Szynkarz, jakby słów tych nie słyszał, flaszki, kieliszki i kwarty przestawiał.

— Nie słyszysz? hej! —zainterpelował go Semen po chwili.

Żyd na interpelacją tę nie zważał wcale.

— Hej! szynkarz... Srul!

— E?—zapytał.

— Od godziny na kwaterkę czekamy.

— Na jaką kwaterkę?

— A że, na tę ot... jak tam jego?... gorzałki.

— Nu?...

— Podaj nam kwaterkę gorzałki...

— Kwa-terkę go-rzałki?... — odrzekł Srul tonem zdziwienia niby.

— Płacę... — podchwycił parobek.

— Ja to wiem, że płacisz... ale...

— Cóż, ale... — podchwycił Semen, tonem impozycyi.

— Wy dworska czeladź, a dwór nie lubi, jak... tego... — odparł Żyd, robiąc ruch taki, jakby z szynkwasu wychodzić chciał.

— E...—zaprotestowali parobcy. — Co dwór!... Co tam dwór...

— Dwór dworem... ot co... Wy we dworze służycie, a ja od dworu szynk arenduję, więc jak ono tego, to wam skórę obijają, a na mnie się skrupi.

— Z racyi jednej kwaterki gorzałki?...

— Jedna kwaterka... ny... Bez jednej niema dwóch, bez dwóch niema trzech... Czy to ty nie wiesz o tém?...

— Wiem, ale ty kwaterkę tylko daj.

— Daj... daj... — Żyd na to — zaraz jemu tak i dawaj... A cóż ty?...

— Ja... płacę...

— A... — machnął Żyd ręką i odwrócił się, jakby czegoś na półce szukał.

W chwili tej przed stołem, frontem do parobków, stanęła Żydówka i półgłosem, z takim akcentem, jakby chciała, ażeby mąż jej nie słyszał, do parobków się odezwała:

— Bo gdybyście tak z woza każdego po jednem drewnienku zrzucili... czyby to wam co zaszkodziło?...

Parobcy spojrzeli jeden na drugiego; w oczach ich świeciło pytanie; przez chwilę milczeli, narazie jeden odrzekł:

— Ij... pro mene... nie mam nic przeciwko temu... Ja i tak wóz przeladował...

— A i jam wziął sztuk parę zanadto...

— Hm... — mruknął trzeci.

— O... — podchwyciła Żydówka — zrzućcie jeno i porąbcie...

— I porąbcie? — zaprotestowali chóralnie.

— Jakże!... Toż ma ekonom, albo pobereźnik jechać tędy i widzieć to drzewo... A jak Srula zapyta, to co jemu Srul na to odpowie?...

— Odpowie, że... hm... — zaczął z parobków jeden.

— Ono się na Wygnance nie urodziło... — wtrąciła Żydówka — pozna się odrazu... dosyć okiem rzucić...

— Niby to nie pozna i porąbanego...

— Złoży się w kącie i... ktoby tam patrzeć chciał. O!... A wam porąbać, co to znaczy? Chłopcy tacy harni.

Odwróciła się i odeszła, pantoflami kłapiąc.

W chwilę później od rąbaniny karczemka się aż w posadach trzęsła. DREW narąbanych zrobiła się kupa spora, którą parobcy uprzętnęli i, uprzętnąwszy, do izby wtargnęli.

— Teraz chyba gorzałki się doprosimy — odezwał się jeden, siadając.

— Srul poczęstuje — wtrącił drugi.

— Srulby bez koszuli wyszedł, gdyby każdego częstował — odpowiedziała szynkarka. — Podziękujcie, jeżeli wam za hroszi wasze da.

— Mógłżeby nie dać teraz, kiedyśmy i wiadro wody przynieśli i drew urąbali?

— Wam woda przyszła daremnie, drwa przyszły daremnie, a on gorzałkę kupuje — odparła Żydówka.

— Z tobą się dogadać nie sposób — zauważył Semen, obliczając miedziaki, które po jednym z hamańca wyjmował i na rogu stołu układał.

Żydówka pieniądze zgarnęła, mężowi odniosła i postawiła na stole płynem cuchnącym napelnioną miarkę piętnowaną, z kieliszkiem obok.

— Doczekaliśmy się nareszcie — odezwał się z parobków jeden.

— Dopomagaj Boże! — słyszeć się dał niespodzianie głos z progu.

Głos ten wypłynął z ust człowieka niemłodego, odzianego w czubaj obdarty, powrózkiem przepasany, w bieliznę połataną i bardzo brudną, mającego na głowie kapelusz słomiany dziurawy, a na nogach postoly sznurkami powiązane.

— Daj Boże zdrowie! — odpowiedzieli parobcy chórem.



## II.

### Gadaniny ludzkie i pies pański.

---

Przybysz usiadł z boku, na tej części ławy, co za stół sięgała.

Powierzchność jego była obrazem nędzy skończonej. Gdyby go zoczył Courbet jaki polski, wziąłby postać jego za model i jak tamten odtworzył na płótnie nędzarza kamienie tłukącego, tak ten odtworzyłby nędzarza, siedzącego pod ścianą w karczemce podolskiej i spoglądającego przed się wzrokiem, w którym w dziwny sposób łączyła się powaga ze spokojem. Twarz jego żółto-ciemna i wychudzona świadczyła, że odżywianie ciała nie odbywało się u niego w sposób ani regularny, ani dostateczny. Spokój jego miał w sobie coś zagadkowego, przypominające

go powierzchwnię wody, wrywającą głębię tajemniczą. Do nędzy takiej nie przychodzi się rzutem jednym, od kolébki do lat mniej więcej sześćdziesięciu, wypisanych na postaci przybysza. Spokój i powaga, jakie się na obliczu jego malowały, miały za tło poprawność rysów. Musiał to być, w młodych latach swoich, chłop piękny, pokązny, z piękności téj bowiem i pokąźności i na starość nieco zostało; ubóstwo, pomimo że zmitrężyło człowieka, że go zgięło, zdeptało, nie złamało jednak.

Przyszedł, pozdrowienie wymówił, na ławie usiadł i milczał. Żyd, Żydówka i Żydzięta nie patrzyli na niego, jakby go nie było. Parobcy spoglądali na przybysza z ukosa. Trwało to chwilkę. Wreszcie jeden zaczął go:

— Nie powiecie nam czego nowego, wujaszku?

Wiedzieć należy, że lud na Podolu wujaszkiem (dziadkiem) tytułuje każdego wiekiem starszego, gdy nie używa bądź nazwiska, bądź téż tytułu jakiego urzędowego.

— A cóż—odrzekł zapytany, ramionami wzruszając — cóżbym wam do powiedzenia miał? Dla starego wszystko postaremu.

— Przecież coś nowego zdarza się zawsze.

— Jak dla kogo. Dla was wiosna nowa, dla mnie stara.

— Hm — podchwycił najstarszy.—Na tę wiosnę przepowiadano zmiany różne. Mówiono o nadziei gruntami, o zmienieniu pańszczyzny.

— Mówiono — powtórzył przybysz sposobem echowym.

— Ano — odrzekł parobek — to byłoby coś nowego.

— Nowego, zapewne. Nową jest koszula, gdy ją ci żonka uszyje, póty jednak tylko, póki jej na grzbiet nie wciągniesz. Wciągniesz, pochodzisz w nią trochę i nową być przestaje.

— Nową jest jednak bodaj przez chwilkę — zauważył parobek, napełniając kieliszek.

— A — machnął przybysz ręką — chwilka przemija tak prędko!

Westchnął.

— W ręce wasze, dziadku — odezwał się parobek, podając mu kieliszek. — Napijcie się.

— Dziękuję — odparł przybysz.

— Z dobrego serca — dodał parobek, stosując wyrazy te do intencji podania kieliszka.

— Piłem — odrzekł nędzarz z uśmiechem.

Szynkarz z akcentem pogardy w oczach spojrział na niego; parobek zaś zapytał:

— Ta gdzie? we wsi chyba.

— Pod wierzbami.

— Wyprzysięgaliście się chyba, dziadku Łuka, gorzałki?

— Nie — odpowiedział krótko, sucho i ze złym humorem prawie.

W chwili tój nowe od progu słyszeć się dało pozdrowienie i ukazała się postać nowa, podobniuteńka, co się odzieży tyczy, do postaci dziadka Łuki, ale różniąca się od tój ostatniej tak urodą, jakoteż wyrazem oblicza. O ile tamten poważnie i spokojnie wyglądał, o tyle ten miał pozór ruchliwości jakiejś, zdolnej naginać się stosownie do potrzeby. W oczach świecił mu wyraz obleśny. Wszedł, kroków kilka od proga postąpił i zatrzymał się w postawie oznaczającej wyczekiwanie.

— Ny, Semen — zaczęła go Żydówka — gdzieżeś-to ty się dziéwał?

— Gdzie? -- odpowiedział — na ekonomii bywałem.

— E? a cóż ty tam na tój ekonomii robił?

— Zawołali, poszedłem; nie iść nie można było: esauła prowadził.

— Coś ty tam zmajstrować musiał — zauważyła, głową zlekka kiwając. — A ja tu na ciebie czekała, czekała: wody przynieść nie było komu.

— Będiesz ty nadal czekała dłużej jeszcze i nie doczekasz.

— Ny? a toż czemu?

— Czemu? ot. Kazali i już. Ekonom kazali, a ty słuchaj.

— Przykazali tobie, ażebyś na Wygnankę nie chodził? — zagadnęła.

— Ij, nie, nie to, ale żebym wrót pilnował, wrót nowych, które teraz właśnie stawiają. Do wieczora gotowe będą. Otóż to tak.

— Nu, a jakże teraz będzie? — zapytała szynkarka tonem wymówki.

— A jakże — odparł Semen, podnosząc dłoń dogóry i w łeb się drapiąc.

— Tyś mówił, obiecał. Toż słowo twoje pójdzie na wiatr?

— Poniewoli, ij-bohu, poniewoli. Jam nie pytał, nie prosił.

— Hm — mruknął Łuka pod nosem.

W momencie tym echo, przez drzwi otwarte, wniosło do izby odgłos dwóch szybko jeden po drugim następujących strzałów, od których drgnęła Żydówka, drgnął Żyd, parobcy zaś spojrzeli jeden na drugiego. Z parobków jeden odezwał się:

— Na moczarach ktoś strzela.

— Dziedzie — odpowiedział Semen. — Widziałem ich, jakem na kołowrocie stał. Oni z psem i ze strzelbą poszli wdół, a jam pociągnął drogą.

— A! ano — słyszeć się pomiędzy parobkami dało.

Objawił się wśród nich niepokój niejaki.

— A nie widzieli oni wozów? — spytał jeden.

— Uhm — Semen na to. — Chyba, że nie widzieli, bo i Wygnanki ztamtąd nie widać jeszcze.

— Anu, chłopcy, do wozów! — odezwał się starszy, nalévując do kieliszka z poópiechem.

— A o mnie zapominacie? — zagadnął Semen.

— O tobie? Alboż ty co?

— Ostrzegłem was przecie. Gdyby nie ja, dziedziaby was zeszi, jak kury na noclegu.

— Niby-to chcesz gorzałki czarķę. Przypominasz się?

— Czyżem nie zasłużył sobie? Gdyby nie ja...

— O! — przerwał parobek, na kieliszek oczyma wskazując.

Przybysz ręką sięgnął, kieliszek w zgrubiałe palce ujął i wychylił z tém zacięciem, które pijaka z profesyi oznacza.

— Gorzka? — rzekł półżartem z parobków jeden, z za stoła wstając.

— Nietyle ona gorzka, jak woniąca... brm — odezwał się.

— Napiłbyś się jednak jeszcze?

— Czemu nie? Od przybytku, jak ten powiada, głowa nie boli.

— Znajdziesz w kwaterce niedopitek — odrzekł parobek. — Wypij za zdrowie moje i bywaj zdrów.

Wyraz ten był ostatnim. Parobcy się wynieśli. Wkrótce po wyjściu ich słyszeć się dało skrzywienie wozów, oddalających się od karczemki,

a w karczemce pozostali: rodzina szynkarska i dwaj dziadowie, jeden Łuka na ławie pod ścianą, drugi Semen za stołem, przed kwaterką i kieliszkiem.

Semen wziął kwaterkę do ręki, do środka zajrzał, głową zlekka wstrząsnął, uśmiechnął się i powiedział napół do siebie:

— Na dobre mi się ich lęk obrócił. Złękli się i wódki odbiegli... Zostawili więcej, niż kieliszek.

Wyraz oczu jego uradowanie wyrażał. Nalał sobie ćwierć kieliszka, kieliszek przed sobą postawił i czekał, jakby nastrajał się do łyku. Po chwili duszkiem wypił, skrzywił się, splunął, odchrząknął przeciągle a z przyciskiem i znów nalał. Tak pijać zwykli pijacy nałogowi.

Łuka milczał; zdawało się, jakby pogrążony był w zadumie głębokiej. W izbie panowało milczenie. Przerwała takowe szynkarka, która, usiadłszy naprzeciw Semenowi i przypatrując się mu czas niejaki, w następujące odezwała się słowa:

— Oj ty, Semenie, Semenie... i cóż teraz będzie z ciebie?

— A i cóżby być miało! Postawią mi budę, gromada na mnie wyznaczyła ordynaryą, od przejezdnych kapnie kiedy niekiedy grosz jaki: będzie ze mnie pan...

— A jeżeli się upijesz, zaśpiesz, wrót nie dopilnujesz i bydło w szkodę pójdzie, to co się z państwem twojém stanie?

— Ha!—westchnął Semen i brwiami mrugnął.

— Bo ty chyba bez gorzalki nie wytrzymasz.

— Hm, nie wiem. Prawda, że gdy długo jej nie piję, coś mnie za serce ściska; ale toć przecie obchodzę się bez niej tydzień i dłużej niekiedy.

— Nielepij-że było tobie do wrót nie stawać?

— Przykazali... cóż począć miałem?

— Było, o...—oczami na Łukę wskazała—jego nastęczyć.

Łuka głową pokiwał.

— A samemu—ciągnęła Żydówka—nie brać się do służby, przy której trzeźwym być potrzeba. Nie pomyślał ty chyba o tém. Już tobie przez lato całe, a i dłużej może, na Wygnankę ani zajrzeć będzie można.

— Prawda... prawda twoja — odparł dziad z przekonaniem.

— Ny—odezwała się szynkarka.—Czyż tego, co się zrobiło, odrobić nie można?

— Łuko! hej!—zaczął Semen.—Słyszysz ty?

— A co?—zapytał.

— Chcesz ty do wrót stanąć?

— A hm... Cóż z tego, że chcę! Chciałaby dusza do raju, ale jej nie puszczają.





Na ekonomią pójdę, pokłonię się i nastęczę cię, zamiast siebie.

Dziad ręką machnął.

— Tylko—dodał Semen, palec z akcentem ostrzeżenia wznosząc—mohorycz mi postawisz.

— Nastęczał się ja sam, nadaremnie jednak.

— Czemu?

— Ja teżbym cię zapytać chciał o to... Nie wiem czemu, jak nie wiem czemu stało się niejedno nie tak, jak się stać było powinno.

Wypowiedział to Łuka z akcentem takiego w głosie smutku, że Semen oczy przymrużył, a Żydówka podchwyciła:

— I ty nie wiesz?

— Nie wiem.

— Szedłeś doli naprzekór, byłeś durny, taki durny że no!... i dlatego wyszedłeś na gałgana...

Łuka ramionami ścisnął.

— Naco tobie było z panami zadzięrać?

— Jazem się upominał o swoje... o moje dziecko.

— Ij, co tam!—Żydówka na to tonem lekceważenia:—dziewczyna!...

— A gdyby tobie dziewczyna twoja — odparł Łuka, palcem na dziesięcioletnią wskazując Żydóweczkę—tak się zaprzepaściła, iżbyś nie wiedziała, czy się ona utopiła, czy powiesiła, czy co—czybyś się za nią nie rozbijała po świecie?

— To co innego — odrzekła Żydówka tonem wyższości obrażonej — nie przyrówny waj ty dzwiczyny mojej do swojej... To co innego. Ona nie pójdzie na pokojówkę.

— Nie byłaby poszła i moja, gdyby nie...

Dokończył westchnieniem i potarciem dłonią po czole.

Semen nalał sobie nowe ćwierć kieliszka gorzałki, wypił i odezwał się:

— Niedługo już tego będzie. Gdy ludzie gadają, to zawsze coś wygadają... a mówią, że poddaństwa nie będzie, że pańszczyzny nie będzie i...

Słyszec się dał strzał na trzęsawiskach. Żydówka drgnęła.

— At... — wtrąciła. — Co ty tam, Semenie, wyplatasz....

— Powiadam, co ludzie głośno gadają...

— Mało o czem nie gadają! Ot, jak było poddaństwo, tak będzie, jak była pańszczyzna, tak będzie. Lepiej nie odzywać się z rzeczami takimi.

Nowy wystrzał, a dotego podwójny, nowe w Żydówce drgnienie wywołał. Aż na siedzeniu podskoczyła i rzekła:

— Takie tylko gadanie coś warte, co w książkach zapisane.

— Alboż tego nie pisze? — zapytał dziad zdekoncertowany nieco.

— Zapytaj Srula, Srul czyta w książkach bardzo, bardzo starych.

— No?

— I w nich nie stoi, ani o pańszczyźnie, ani o poddaństwie.

Wystrzał huknął w pobliżu karczemki. Żyd zbladł; dzieci się poprzerażały; Semen nawet niesiony do ust kieliszek w powietrzu zatrzymał; Łuka jeden przyjął to obojętnie.

— Nu—odezwała się szynkarka po ochłonięciu z przestachu—i kto to widział!...

— Strzelają sobie dziedzie ptaszki na błocie—rzekł Semen w rodzaju objaśnienia.

— Ptaszki na błocie... Kto to widział? — powtórzyła.

— Gdy to się stanie, o czem ludzie gadają, to nie będą oni tak sobie strzelali.

Wyrazy te wymówione zostały z silnym, przekąsnym zakolorowaniem.

— I jakże to ono będzie?—zapytała Żydówka.

— Panów nie będzie i oni będą panom pańszczyzną odrabiali.

— Na kogo, jeżeli panów nie będzie?

— Ij... znajdzie się tam ktoś zawsze, co za łeb wziąć potrafi... Nie bez tego—odpowiedział, o odpowiedzi resztę w kieliszku utopił.

Rozmowa poczyniała brać obrót interesujący, Żydówka bowiem coś odpowiedzieć miała, i by-

łaby odpowiedziała, gdyby ciągu dalszego nie przerwała nagła i niespodziana interwencya psa. Do izby wpadł pyszny, angielskiej porody wyżeł. Pojawienie się jego stało się powodem ogromnego dla rodziny całej żydowskiej przerażenia. Żydzieta z krzykiem na łóżku schronienia szukały i bety na siebie naciągały; Srul w szynkwasię zamknął; Srulowa na ławie nogi pod siebie ściągnęła i na stół wskoczyć gotowa była. Racya przerażenia tkwiła nie w tém tylko, że był-to pies, ale i w tém jeszcze, że był to pies z kształtów i pozoru niezwyčajny: przedewszystkiem czarny jak węgiel, sierść nizka, gładka, łeb duży, oczy wylupiaсте i krwią zasze, ogon twardy, niby żelazny, zęby białe na wierzchu, pysk otwarty, język wywalony, oddech krótki, silny i głośny, podobny nieco do pośpiesznego sapania miecha. Niekoniecznie Żydem być potrzeba było, ażeby się przestraszyć gościa podobnego, zwłaszcza że gość ów wpadł niespodzianie i zachowywał się w sposób niepokój wzbudzający. Wbiegł i rzucił się obces w kąć jeden, następnie w drugi, obwąchując podłogę; wykrecił się, zaskowyczał krótko, jakby z niecierpliwości; stanął, łeb podniósł i spojrział na Srulową, która zadygotała ze strachu wielkiego, ręce do siebie ściągnęła i z ust wykrzywionych wydała odgłos lękliwy, na następujące rozbity wyrazy:

— Aj waj, waj!... czegoż wun odemnie chce?

On od niej nie chciał niczego; popatrzywszy jęć bowiem w oczy, wywinął się, zwałchał powietrze w półkole i susem jednym pod łóżko się wsunął.

Széroko otworzone oczy Sruła i Srułowój znamionowały połączoną z przelęknieniem zagadkę: Co pies tam robi? W rzeczy samój, było to do odgadnienia trudne, témbardziej, że czasu zadużo upływało od chwili, jak się pies pod łóżko wsunął.

Po minucie słyszeć się dały szelest, stuknięcie głucho, jedno, drugie—cisza—znów stuknięcie. Żydówka w strachu zachlipywać się poczęła. Przelekła się o dzieci na łóżku w betach pochowane. Znajdowała się w tój chwili obezwładnienia, która u matek poprzedza wybuch ślepego dla dzieci poświęcenia się. Wybuch jednak nie nastąpił, zaszło bowiem rozwiązanie zagadki zapomocą zagadki nowój. Pies zpod łóżka wylazł, ale—bez głowy. Żłem się wyraził:—wylazł z głową, ale nie z tą, z którą wlażł. Na miejscu tój ostatniej miał garnek.

Miał garnek zamiast głowy; głowy zaś prawdziwój, głowy psiej—ani śladu. Szyja i wprost szyi garnek sterczał; reszta tułowia nie zmieniła się zgoła. W garnku znikły uszy, oczy, pysk, zęby, język—wszystko słowem, co psa tak straszonym czyniło. Wylazł, a raczěj wypełznął zpod

łóżka, na nogi stanął, kroków kilka postąpił i wnet przyległ.

Żyd i Żydówka w osłupieniu na zjawisko to patrzyli.

Pies, przyległszy, wnet następujące jął się czynić manewry: przechylał kark w stronę jedną i potrzasał garnkiem; przechylał w stronę drugą i potrzasał; wkładał garnek pomiędzy łapy przednie i raz jedną, znów drugą do ziemi takowy przyciskał, kark wtył naprężając.

Oslupienie Srula i Srulowej trwało chwilkę i ustąpiło nagle okrzykowi rozpaczą nabrzmiąłemu, który się z piersi Srulowej wydarł:

— *Szmalc!*...

— *Wus geszehn?*—zawołał Żyd, brwi groźnie marszcząc.

— *Szmalc!* — powtórzyła Żydówka z tymże akcentem.

— *Ferfa!* (przepadło)—była Żyda odpowiedź, której towarzyszyło wyraziste, acz powolne machnięcie ręką.

Pies wciąż z garnkiem manewrował. Dziadowie przypatrywali się temu, przypatrywali się i Żydzii—pierzsi obojętnie, drudzy z rozdrażnieniem. Po chwili Łuka wstał, polano ujął i do psa się zwrócił.

— Co ty? co?—podchwycił Żyd.

— Garnek rozbiję—odpowiedział spokojnie.

— Czy to twój? — podchwyciła Żydówka.—  
Masz aby czém zapłacić?

Na zapytanie to Łuka polano położył i odpowiedział:

— Zapłacić nie mam czém, ale inaczej pies się udusi w garnku.

— Twoja szkoda? co?..

Łuka ramionami wzruszył i w chwili téj z nadworu doszło gwiźnięcie mocne, po którym nastąpiło wołanie:

— Black (czytaj: Blek)!... Black!

Wołanie dochodziło zblizka, ustępując gwizdaniu. Szło to koleją, urywającą się cochwila, powtarzającą się atoli często. Słyszeć się wreszcie dały z akcentem gniewu wypowiedziane wyrazy:

— Cóż u licha!... gdzieżby się on podział? Czy do Wagnanki na kieliszek wódki nie zaszedł?

Na słowa te Sruł z szynkwasu wyskoczył i w chwili jednéj, przybrawszy na się wyraz ugrzecznienia uniżonego, z izby się wyniósł. Żydówka z ławy się zsunęła, psa zdala obeszła i przy piecu pozycyą zajęła. Semen przy progu stanął. Łuka czapkę z głowy zdjął, lecz z miejsca jakie zajmował nie ruszył się.

— Srułu, a!...—odezwał się głos obcy na dworze—nie widziałeś ty przypadkiem psa czarnego?

— Jaśnie wielmożny panie—zabrzmiała odpowiedź Sruła—ten pies... tego psa ja... widział.

— Widziałeś go?...

— Ny, a jakże, jaśnie wielmożny panie.

— Wygnankę okrążył i gdzieś mi nagle z oczu znikł.

— I mnie, jaśnie wielmożny panie, z oczu znikł.

— Gdzieś się podział?...

— Wun się nigdzie nie podział.

— Powiadam, że znikł.

— Nu znikł, ale nie znikł... Wlazł wun, a wy-  
lazł garnek.

— Srulu—zabrział głos upominający—tyś  
zwarzyował...

Na uwagę tę nie było ze strony Srula odpowiedzi, a to dlatego może, iż bezpośrednio po niej na progu izby szynkowej pojawiła się postać ubranego w odzież myśliwską szlachcica—postać tęga, wąsata, o dobrym bycie świadcząca, w nankinowym na grzbiecie kubraku, w takichże pludrach, w chodakach naśladowujących koturny rzymskie, w kapeluszu słomkowym, z torbą przez ramię i z dubeltówką na ramieniu. Postać ta na progu stanęła, oczy w szamocącego się z garnkiem psa utkwiała, brwi groźnie zmarszczyła i zawołała:

— A toż co?

— To wun tak... w garnku wylazł—odpowie-  
dział Srul z sieni.



— Ależ mi się pies udusi!—zawołał szlachcic, kroków kilka postąpił, strzelbę z ramienia zdjął i łożem o garnek na sztorc uderzył.

Garnek się na czerepy rozprysnął i ukazał się łeb psi, na wysokości oczu ubielony szmalcem gęsim. Pies poskoczył z oznakami uradowania i do szlachcica się pogarnął; ten jednak zawołał na niego przeciągle:

— Psss...

Pies przyległ, ogonem kiwając, szlachcicowi w oczy patrząc i językiem się oblizując.

— I gdzie to on się tak ubrał?—zapytał myśliwy, mowę do obecnych zwracając. Na odpowiedź nie czekał jednak, lecz prawił dalej:—Uduścić się mógł... Nikomu z was na myśl nie przyszło garnek stłuc?

— Mnie to na myśl przyszło—pochwycił Żyd z pośpiechem, bojąc się snadź, ażeby go Łuka nie uprzedził—mnie... ny, ale....

— No?...

— Ja usłyszał jaśnie wielmożnego pana i... tego... Czasu nie było.

— Ależ się ubrał!—szlachcic na to.—Szmalec mu wiatr zepsuł i dziś z polowania nic już nie będzie—a ku ławie idąc i miejsce zajmując, dodał:—Daj-no mi, Srułu, wódki kieliszek, ale... wiiesz, szumówki, szabasówki, téj co sam pijasz... czy-stej, niechrzczonej i niebardzo śmierdzącej.

### III.

#### P u s t k a.

---

Szlachcic haustem jednym wódki kieliszek wychylił i, kieliszek na stole postawiwszy, kazał Srulowi poczęstować dziadów, z których jeden stał u drzwi, drugi pod ścianą. Żyd z pośpiechem rozkaz spełnił: nalał Semenowi — ten się w pas szlachcicowi pokłonił, zdrowia i panowania mu życzył i kieliszek wypróżnił. Łuka ręki skinieniem Sruła od naléwania powstrzymał.

— A?... — odezwał się szlachcic, spostrzegłszy co się stało.

— Wun... wun—zawołał Srul i dokończyć nie mógł; na ustach wisiał mu wyraz „gałgan,” którego wykrztusić nie śmiał—wun... wun.

— Wódki nie pijesz?...

— Nie, wielmożny panie—odrzekł dziad.

— Rzecz osobliwa. Czyś się zarzekł? czyś nie pijał nigdy?...

— Pijałem... i nie zarzekałem się...

— Czemuż więc nie pijesz, kiedy się częstujesz?

— Boję się.

— Żeby cię Sruł nie otruł? — podchwycił szlachcic żartobliwie.

— Nie, nie to, ale... a!.. dużo byłoby do gadania o tém.

Szlachcic zmierzył Łukę okiem od stóp do głowy, pomilczał przez chwilę, powiedzieć coś chciał, lecz widoczném było, że się zmiarkował i z innój zaczął beczki.

— Przecież—odezwał się — z dobrego częstowałem was serca. Mnie teraz o waszę chodzi łaskę... wiecie?—zapytał.

Semen się pokłonił i odpowiedział:

— Oby ino Pan Bóg miłosierdny jaśnie wielmożnemu panu zdrowie dał i panowanie przedłużył...

— Panowanie moje skończy się niebawem... skończyło się już; niema więc co wspominać o niem. Ja nie pan...

— E?...—odparł chłop z niedowierzaniem.

— Czyżes nie słyszał pomiędzy ludźmi gadania?

— Ta...—zaczął Semen, w łeb się drapiąc—słyszał ja coś, ale nie wiem co...

— Coś więcej zapewne, aniżeli jest. Cóż, na przykład?

— Co?... hm... słyszałem—zaczął.

— No?—nalegał pan.

— Że będzie....

— Co? no, mówże! Cóż będzie?

— Powiadają... ale to nieprawda chyba—zastrzegł się na wypadek wszelki—że będzie... wolność.

— Nieprawda—odparł szlachcic—będzie bowiem tak: nie będzie mi wolno ciebie pędzić na pańszczyznę; więc dla mnie to... niewola... Co?

— Ono to niby tak—odparł Semen.

— A dla ciebie?—zapytał szlachcic.

— Dla mnie?... chyba wola.

— Niewolno będzie tobie pędzić na pańszczyznę mnie... Czy to wola?

— Jaka wola!

— A widzisz. Owóż tak we wszystkim. Dotychczas coś tam wolno było mnie: była więc wolność jakaś. Nadal niewolno będzie mnie, ale niewolno i tobie: ja stracę, ty nie zyskasz... Podzielimy się i będziemy panowali jednakowo, jak ja, tak i ty.

Rozmowa w półzartobliwy ze strony szlachcica toczoną była sposób; w półzartobliwości tej atoli brzmiał akcent żalu, czy gniewu, czy może ironii tylko. Po słowach powyższych do Sruła się zwrócił:

— Czy nie tak, Srulu?—zapytał.

— Ny, jaśnie wielmożny pan wie lepiej, aniżeli ja, biedny arendarz.

— Uhm — odparł szlachcic, wstając. — Na tej wolności rzekomój ty pono wyjdiesz najlepiej. Co się tam należy tobie?

— Za co?

— Za kieliszek szabasówki i za kieliszek zwyczajnej.

— Za szabasówkę nic... ona nie na sprzedaż; a za zwyczajną... to już się ja z Semenem porachuję.

Szlachcic wstał, na psa gwizdnął i, mimo dziada przechodząc, srebrny w ręce mu wetknął pieniążek.

— Masz — rzekł — rozpląć się za siebie i za mnie.

Żyd wyprowadził szlachcica, do pasa mu się kłaniając. Po chwili powrócił, przybrał ton dawniejszy i przystąpił do obrachunku z Semenem, który w dodatku do wyliczonej przez siebie zapłaty, musiał jeszcze oddać przysług parę, tyczących się gospodarki zimowej. Kiedy odchodził, Srulowa go zagadnęła:

— Nu, a jakże to będzie jutro?

— Hm, jak będzie? Ja od dziś przy wrotach staję.

— A jutro piątek... szabas zachodzi.

— Przywołajcie sobie chyba kogo innego.

— Kogóż? nu, kogóż?

— A, o—odpowiedział Semen, na Łukę ręką wskazując.

— Wun?—zapytała Żydówka z akcentem lekceważenia.

— Potrafi zrobić to samo i tak samo, jak ja.

— Czy zechce?... Zechcesz ty?—zwróciła się Srulowa do Łuki.

— Czemu nie—odpowiedział—za chleba kawałek...

W ostatnich tych wyrazach zadzwonił akcent trudny do wypowiedzenia. Zdawało się, jakby Łuce wstyd było słów wyrzeczonych, jakby, wyrzekłszy je, żałował iż mu się wyrwały, jakby uczuł się upokorzonym. Powtórzył raz jeszcze, pocichu jednak:

— Za chleba kawałek...

— Czyż myślisz, że ja zadarmo chcę usługi twojej?—odrzekła Srulowa.—Przyjdź jeno...

— Przyjdę... a tymczasem—dodał—bywajcie zdrowi.

Wyszedł pośpiesznie. Za nim pociągnął Semen. Dziad dziada dopędził i powlekli się powoli ku wsi — ku wsi podolskiej, ku wsi takiiej, której wspomnienie natchnęło poetę do rzucenia na wiatr strofy, bodaj czy znanéj pokoleniu dzisiejszemu:

„Gdyby orłem być, lot sokoli mieć,  
Skrzydłem orłem, lub sokolém,  
Unosić się nad Podolem,  
Tamtém życiem żyć—tamtém życiem żyć.”

Pokolenie dzisiejsze zapomniało jój. Prawdę powiedziawszy, i to, do którego dziadowie schyłkową życia należeli połową, pamiętało o niej przez pół zaledwie. Majaczyła się jednak jeszcze w pamięci. Co atoli majakiem nie było, to źródło, z którego poeta natchnienie zaczerpnął. A zaczerpnął takowe nie z miast i miasteczek, zamieszkałych przez plemię obchodzące się z naturą w sposób niekoniecznie poetyczny, ale z tych siół rozkosznych, nad które poetyczniejszych pod słońcem chyba niéma. Nie—niéma! Owiéwa je urok opowiedzieć się niedający, na który składają się w równéj mierze natura i życie, połączone w jakimś nieładzie, będącym ładem jednak. Natura daje ramy; życie wypełnia je po brzegi ruchem, układającym się w gamy harmonii i melodyi pełne. Ruch ów dzieli się na strofy, na kuplety, brzmiące w obrazach tonami, w tonach obrazami. Gdy wczesnym rankiem, na przykład, słońce wszędzie i tumany nad dolinami się słaniają, to w blasku i we mgłach słyhać niby szmery jakieś, śpiewające poszeptem i przenikające do głębi duszy; gdy zaś, śród szmerów tych, odezwie

się supiłka i echem po obciążonych rosą trawach popłynie, to tony te przeistaczają się niejako w postaci fantastyczne, a postaci grupują się w sceny i przesuwiają przed oczami zasłuchanego w grę supiłczaną człeka. Jedno się zmienia, zastępuje drugie, raz się łączy, znów dzieli, i bierze duszę w kręgi, i napełnia serce rozrzewnieniem, i unosi fantazją w sfery jakies tajemnicze, pełne barw, światel, cieniów, szmerów, tonów i uroków. Nie—uroków tyle, ile mieści w sobie sioło podolskie, w jarze rozrzucone, sadami okwiecone, chałupami utkane, dworem i cerkwią o trzech wieżach przyozdobione, nigdzie indziej chyba znaleźć nie sposób.

Do rodzaju siół takich należała Howorówka, wieś, do której właśnie dziadowie nasi zmierzali.

Szli—wlekli się, w milczeniu zrazu. Milczenie jednak, jak się zdaje, zawadzało jednemu z nich, a mianowicie Semenowi, który też przerwał je.

— Ot—zaczął—ludzie gadali, gadali i wygadali. Musi to być prawda, kiedy dziedzie potwierdził; koniec końcem jednak, rzecz ciekawa: co to będzie?...

Zapytanie to, bezimiennie rzucone, stosowało się jednak do Łuki. Łuka nie dosłyszał może onego, bo nie odpowiedział; Semen więc prawił dalej:

— Będzie chyha tak, że panem zostanę ja, zostaniesz ty, zostanie chłop każdy... no, i będziemy



panowali sobie. Hej-ha!—odezwał się przeciągle—ale jak? Co ja, na ten przykład, z panowania mego zrobię? Chatę postawię, a gdzie? kiedym ja chaty swojej nie miał w życiu nigdy. Co innego ty. Twoja-bo stoi, tylko zrujnowana. Tyś miał i grunt, i dobytek i wszystko, a wszystko to chyba powróconém ci będzie.

— Tylko nie spokój — odparł Łuka z westchnieniem.

— Spokój, ij!—podchwycił Semen. — Spokój to rzecz taka...

— Jaka?—zapytał Łuka, widząc że się towarzysz zaciął.

— Taka, którą człowiek sprowadzić sobie może.

— Hm?—mruknął dziad pod nosem.

— Czy ty myślisz, że mnie nie trapiło nigdy?.. Trapiło, och!—westchnął—alem ja utrapienie zalewał. Człek pijakiem nie robi się z rozkoszy.

— Ach!—machnął Łuka ręką. — Bywają utrapienia, z któremi człek rozstać się nie chce. Tyś takich nie miał zapewne.

— Takich, z któremiby się człek rozstać nie chciał? Jakież to?

I wymieniać jął utrapienia, jakie go w życiu spotkały. Był parobkiem niegdys; ożenił się; dostał za żonę kobietę nieroboczą, a „nawidzoną;” na komornem siedzieli; dzieci się im rodziły

i umierały; życie szło nieładem. Nie powiadał, w jakiej ze swój strony mierze do nieładu się przyczyniał, mówił jeno o tém, jak takowy trafił go i do karczmy popychał.

— Utrapienia napadały i... mijały. Ot—do—kończył.

Łuka nie odpowiadał na to. Wlókł się w milczeniu obok towarzysza, aż ukazała się oczom im Howorówka, rozłożona nad stawem, na którego jasną powierzchnię chylące się ku zachodowi słońce rzucało promienie ukośnie. Wieś poła była brzmienia, podobnego do brzęczenia pszczoł w ulu. Nad ulicami wznosiła się kurzawa, którą wzbijało powracające z paszy bydło. Co—moment odzywało się pobekiwanie krów, śpieszących do cieląt z wymionami pełnemi; kiedy niekiedy słyszeć się zdawało naszczekiwanie psów; owce wykonywały rodzaj śpiewu chóralnego, który zléwał się ze skrzeczeniem żab i brzęczeniem komarów. A tu koń zarżał. A tam kogut zapiał. Wdali gdzieś rozległ się głośny, donośny, dźwięczny śpiew dziewczyny, której się na śpiewanie zebrało.

Na śpiew ten, gdy się o uszy jego obił, Łuka wyprostował się, słuch nateżył, po chwili głowę pokiwał i z głębi piersi westchnął.

— Moja Maryna, gdzie ona?..

Wyrazy te wypłynęły mu z ust poszeptem i nie doszły do uszów Semena, który, gdy kołowrót się pokazał, głową zlekka wstrząsnął i rzekł:

— Ot, i wrota już stoją i buda już stoi... Wszystko gotowe.

Gotowość ta oznaczała dla niego początek służby kilkomiesięcznej. Trzeba było do takowej stawać niezwłocznie. Nie podobało się to Semenowi, ale—cóż począć było? Do wrót doszedł, oglądnał je, głową wstrząsnął i:

— Ot, panowanie moje—odezwał się i dodał, budzie się zdaleka przypatrując: — Chatę mi postawili na sławę. Czy tylko słomy do środka nanieśli podostatku? Nanieśli, zdaje się... Bóg im zapłać.—Cóż, Łuko?

Obejrzał się, ale Łuki nie było już obok niego. Ujrzał go o kilkanaście kroków dalej, na drodze ku grobli prowadzącej, i nie zawołał na niego. Łuka szedł pośpiesznie, o ile mu na pośpiech lata pozwalały; minął wygon, co się w stronie tej rozlegał; minął krzyż, co się nad drogą wznosił, i zatrzymał się na chwilę na grobli, nieopodal mły-  
na, na którego cztery koła woda z szumem z łotoków się rzucała. Z punktu w którym się zatrzymał, otwierał się z pomiędzy tworzących wzdłuż grobli szpaler wierzb widok na dwór, który się wznosił na wzgórzu. Łuka na dworze wzrok zawiesił; utkwiał takowy zrazu w ganku, następnie

powiódł nim poweli po szeregu okien, które w promieniach słonecznych poczerwieniały, jakby je płomień obléwał. Przypatrywanie się to trwało niedługo. Zwrócił się, młyn minął i wziął się w prawo ścieżyną, stanowiącą krótsze aniżeli droga przejście w ulicę, idącą pomiędzy ogrodami i zagrodami. W ulicy téj spotykał wieśniaków, wieśniaczki, parobków, dziewczęta, dzieci. Mało kto przeszedł mimo niego bez pozdrowienia. Na pozdrowienie pozdrowieniem odpowiadał i nie zatrzymał się, aż przy chałupie jednéj, pozór której różnił się od pozoru chałup innych, nie konstrukcją, ale tą cechą szczególną, że kiedy wszystkie o dobrym mieszkańców świadczyły bycie, ta przedstawiała opuszczenie, świadczące nie już o wielkim niedostatku, ale o zaniedbaniu do ostatecznych posunięć granic. Zaniedbanie widzieć się dawało na wszystkiém: na zagrodzie, na budowli, na obejściu. Z płotów pozostały jeno ślady, znaczone bujniejszym niż gdzieindziej porostem burzanów; podwórko pokryło się trawą; w sadku drzewa zdziczały; w ogrodzie chwasty zastępowały miejsce jarzyn; tu i owdzie widać było, że stały tam niegdyś chlewy i szopy; chałupa, pokryta zczerniałą i gdzieniegdzie nikłą trawą porosłą strzechą, przedstawiała obraz opuszczenia, widnego na ścianach obdartych, na drzwiach nadpróchniałych, na oknach słomą po-

zatykanych. Zdziwiła to z tego głównie powodu, że stanowiło rodzaj plamy na pełnym życia czerstwego sielskim obrazie rodzaj dziury w zwartej całości, rodzaj skrzypliwój nuty w koncercie. Śród wsi—pustka taka! „Pustką” się też chałupa ta zwała i uchodziła za znajdującą się pod klątwą. Ludzie, przechodząc mimo niój, spluwali i powiadali: „Cur ta pek.” Działwa wiejska, uganiając się po ulicach, nie zapędzała się do Pustki. Powiadano, że tam straszy, że chata postawiona na miejscu nieszczęśliwém, że rzucono na nią urok. Napewno nie wiedział nikt, jakim jest istotny ruiny tój powód; wiedziano jeno, że niezawsze tak bywało. Łuka nawet zaznał dni lepszych, ale jak się od niego dola odwróciła raz, tak i już nie nawróciła się. Poszło mu niby z kamienia od momentu pewnego—i tylko dziwowali się ludzie temu, że się on upiéra, trzymając się chaty, w którejby nie mieszkał nikt.

A trzymał się jój uparcie. Bywały dni, w których nie wychodził z niój wcale; zwykle jednak w domu nie przesiadywał, będąc zmuszony zarobkować na utrzymanie życia. Potrzebował niewiele: chleba kawałek, strawy łyżka zadowalały go zupełnie; o pieniądze nie dbał, w zapasy się nie zaopatrywał. Gdy go niekiedy głód nacisnął, szedł do chałupy piérwszój lepszój i wszędzie przyjmowany był gościnnie, albowiem za gościnn-

ność wypłacał się usługami, które o wiele przynosiły wartość traktamentu, tak dalece, że ile Horówka liczyła chałup, tyle było Łuki dłużników. Dłużnicy radzi byli, wypłacając mu się tem, co ich nie nie kosztowało i zapomocą czego zyskiwali nieraz radę dobrą. Łuka bowiem i poradzić umiał—tylko nie sobie.

Ha! bywają natury takie.

Tego jednak, że sobie radzić nie umiał, brać nie należy w znaczeniu literalném. Niezaradność jego tyczyła się spraw pewnych, o których dowiemy się wciągu opowiadania i które oddziaływały na to, cobyśmy nazwali programatem życiowym, nadwerekając programu tego punkta najważniejsze. Zresztą był to człek praktyczny. Oto na przykład teraz, gdy po rozstaniu się z Semenem do chaty wszedł, wszedł nie poto, ażeby z założonymi rękami usiąść, lub się na legowisku wyciągnąć. Nie! Wszedłszy, suchych gałązek do pieca nałożył, ognia wykrzesał, płomień rozdmuchał, podpałił, drewniek dołożył i garnuszek z wodą przystawił. Woda zawrzała niebawem. Wsypał do garnuszka mąki garści parę, włożył soli grudeczkę, zamieszał i miał polówkę ciepłą, którą spożył, maczając w niej chleb zeschły. Skromną tę wieczerzę spożywał o zmroku, poczem garnuszek umył, w piecu popiół zgarnął, porządek zrobił i, paciérz wieczorny pobożnie odmówiwszy,

położył się na pościeli, która dawne pamiętała czasy.

W izdebce było ubogo, bardzo ubogo, nie można jednak powiedzieć, ażeby ubóstwo to raziło. Brakło mu jednej z cech, znamionujących je za zwyczaj — niechlujstwa, usuwanego starannie, niezastępowanego jednak rzucającą się w oczy czystością. Stary zamiatał i przewietrzył, poprzestając na czynności tej w zakresie starań domowych. Zresztą nie troszczył się o nic, o nic nie dbał, z wyjątkiem bedni, będącej troskliwości jego przedmiotem szczególnym.

— Co to bednia?...—zapyta mnie kto z czytelników nad Wisłą zrodzonych.

Bednia jest-to sprzęt domowy, zbity z klepek jak beczka, nie wyższy jak na trzy stopy, na tyleż stóp szeroki, zaopatrzony do zamykania we wieko i przeznaczony do przechowywania wykwintniejszej odzieży i strojów wiejskich, przeważnie niewieścich. W bedni trzymają wieśniaczki spódnice cycowe i koszule perkalowe, namitki, chustki kwieciste, pasy wełniane, iglice, kolczyki, pierścionki, paciorki i korale, jakoteż różne inne kosztowności, takie jak nożyczki, zwierciadełka, medalioniki i t. p., nabywane bądź na jarmarkach, bądź od wędrownych Piliponów, roznoszących po wsiach towary w króbkach łubianych.

Taki-to sprzęt posiadał Łuka w chałupie swojej i przechowywał starannie. Będnia zawierała w sobie wszystko prawie, cośmy powyżej wyliczyli, z wyjątkiem namitki, tego rodzaju zawoju, który młodycom na Rusi służy zamiast czépcy. Z wyjątkiem namitki, znajdowało się tam wszystko, a pomiędzy tém wszystkiém odznaczały się szczególnie koszule, w liczbie aż trzech, dwie lniane, jedna perkalowa, suto „upołyczne” na ramionach, na rękawach, na kołnierzu i na piersi. Najpierwsza we wsi elegantka mogłaby się chwalić niemi. Dziś wzory te w Europie pokup znajdują. Szczegółność jednak nie na samych kończyła się koszulach. Szczególném jeszcze było i namysto: cztery sznurki koralu i osiem sznurków paciorków, nanizanych w sposób taki, ażeby na piersiach stanowiły coś nakształt ryngrafu, mieniącego się barwami i wydającego szelest loskotliwy za lada ruszeniem się przystrojonej w nie kobiety. Kilka zwitków bynd, kosmyki, zaściżki obecnością swoją śród drobiazgów innych świadczyły, że właścicielką skarbów tych była dziewczyna. Powiedzieliśmy „skarbów,” nie bez racyi. Pojęcie o skarbie jest względném. Córka najzamożniejszego w Howorówce gospodarza w bedni swojej nie posiadała podobnie zupełnego zbioru ozdób, służących do przystrojenia postaci dziewczęj.



Zadziwiającem było, że garderoba ta znajdowała się w posiadaniu człowieka tak jak Łuka ubogiego; Łuka nie uchodził za co innego, jeno za dziada. Nie żebrał wprawdzie, po odpustach i praznikach nie chodził, na mostkach i pod krzyżem nie siadywał, śpiewając i wyciągając rękę; wiadomem jednak powszechnie było, że nieraz głodem przymiérał i chwytął się sposobów w bliżkiem z żebraniną pozostających powinowactwie.

— Pożycz! — zwracał się kiedy niekiedy do tego lub innego, wymawiając wyraz ten głosem takim, jakby pod groźbą ścięcia — odślużę, odrobuję.

Odślugiwał też, odrabiał; niemniej jednak wyraz ów, w ustach człowieka co nie orał ani siał, chudoby nie posiadał, zagrodę zapuścił i w walcącej się chałupie mieszkał, brzmiał jak „daj” żebracze.

Łuka ewikcyi nie posiadał żadnej.

A bednia?

Bednia byłaby rękojmią dostateczną, gdyby o istnieniu jój kto wiedział. Ale starzec się z nią przed światem chował. W potrzebie największej nie przychodziło mu na myśl nigdy nie już na sprzedaż wystawić, ale choćby w zastaw dać najmniejszego ze znajdujących się w takowej drobiazgów. Co więcj: na dnie leżało tam w płateczku zawiązanych złotych kilkanaście. I tego

*Niezaradni.*

4

nawet nie ruszył, pomimo że pieniądze te do ręki brał niekiedy, co zdarzało się, gdy bieliznę i odzież wyjmował i na żerdce rozwieszał, przewietrzając takową. Czynił to w święta pewne, gdy w karczmie muzyka grała i młodzież wiejska tańczyła. Wówczas bednię wydobywał, otwierał, wyjmował z niej sztukę po sztuce, strzepywał, rozwieszał, a gdy wszystko rozwiesił, naprzeciwko pod ścianą siadał, ręce składał, przypatrywał się przedmiotom rozwieszonym i — płakał.

Coby to wszystko znaczyć miało? — nie wiedział nikt, nikt bowiem nie widywał przy czynności tej starca, zasłoniętego przed oczami ciekawych nieprzystępnością chaty, do której nie zaglądał żywy duch. Dla ekonomii nawet — dla zarządu wsi, grunt której i wszystko co się na nim znajdowało należał do dworu — nieprzystępna ona była. Oślaniała ją potęga przesądności, oddziaływającej i na sfery wolne od takowej. Owo „coś” tajemnicze, powstrzymujące chłopów od przekraczania granic zagrody nauroczonej, powstrzymywało pana od zajęcia pustki na użytek gospodarski, na zmienienie onęj w „numer,” odrabiający powinność. Trudnoby wprawdzie było znaleźć we wsi duszę, któraby się zgodziła zamieszkać w pozostającej pod klątwą chałupie. Były to jednak czasy, w których chłopca o zgodę

nie pytano. Rozkaz wystarczał. Z tém wszystkiém pustka pozostawała pustką; dwór uważał ją, jakby nie należąca do kompleksu ekonomicznego i pozostawiał w spokoju Łukę, odgrywającego w niej rolę puszczyka.

Łuka tedy, przez nikogo nie niepokojony, pędził żywot taki, jaki sobie urządził sam. Przychodził do chałupy kiedy chciał, odchodził kiedy chciał, robił co mu się podobało i czuwał nad bednią, która miała dlań znaczenie jakies szczególne. Doglądał jęj; w doglądaniu tém jednak ta zachodziła osobliwość, że nieraz dniami całemi pozostawała ona na łasce i niełasce ludzkiej. Starzec wydalał się z domu na dobę całą, na dwie niekiedy; razy parę zdarzyło się nawet, iż nie było go tydzień; mógłby kto bednię zabrać, stała bowiem na wierzchu; mógł się złodziej trafić. I w tym jednak względzie na straży stała siła przesądu, którą posiłkowała ta jeszcze okoliczność, że dla złodzieja Pustka nie przedstawiała ponęty najmniejszej. Mógłże kto w ruinie tój skarbu się spodziéwać?

Czy Łuka liczył na to? Przysłowie powiada, że „goly rozboju się nie boi.” W przysłowiu tém tkwi prawda. Być więc może, iż starzec, opierając się na takowój, nie zakopywał bedni w ziemi, jak to czynili powszechnie ludzie, którzy mieli skarby do przechowania, zwłaszcza zaś skarby

tak łakome dla dziewcząt wiejskich, z których niejedna nie ze złej woli, nie dla złodziejstwa, ale tak sobie, byłyaby, gdyby o istnieniu bedni wiedziała, wybrała z niej coś dla siebie. Bednia stała na wierzchu w chałupie, drzwi której, koromysłem nawet nie zastawione, otworzone być mogły za popchnięciem lada jakiem. Nie otwierał jednak onych nikt inny, tylko Łuka, Łuka samotnik wśród wsi rojnej, odludek wśród ludzi, dotknięty smutkiem, który niejako do niego przyrosł i którego z nim nie podzielał nikt.

#### IV.

#### Pod lasem na przechadzce.

---

Nie potrzebujemy wyklądać ustroju społecznego, jaki u nas dzieje wyrobiły, ustroju w którym wieś odgrywała rolę przeważną i w którym zajęły stanowisko oddziaływające na siebie wzajemnie sfery. Sfer tych było kilka; głównych atoli dwie: chłopska i szlachecka. Stosunek ich wzajemny wymagał pośrednictwa i spółczynnictwa, wprowadzających żywioly postronne, które się także dzieliły na sfery, mające swoje interesa specjalne. Wspominamy o tém mimochodem, dlatego jedynie, ażeby czytelników nie raziło nagłe przerwzenie się nasze z opuszczonej chałupy, do hucznego a życiem kipiącego dworu.

Przerwzenie się to nasze dotyczy nietylko przestrzeni, ale i czasu. Cofamy się o lat dziesią-

tek jaki i przenosimy nie do dworu wprost, ale na széroki, zbożem falujący łąn. Łań obsiany był żytem, a żyto się już wykłosiło, to znaczy, że miesiąc czerwiec „na niebie już świecił” (1). Słońce ku zachodowi się już chyliło. W zbożu odbywały się przepiórki. W powietrzu panowała cisza uroczysta. Sugłówką, który łąn przecinał i od drogi do Howorówki prowadzącej szedł do okopanego rowem lasu, widzieć się dawały, unoszące się ponad poziomem powierzchni białych kłosów, jakies niby grzyby białaste, niby wierzchołki balonów różnokolorowe. Jeden jaśniał barwą szafirową, drugi popielatą, trzeci szamuową. Posuwały się one zwolna drogą ku lasowi i od pierwszego oka rzutu rozpoznać się dokładnie nie dawały. Co to?—grzyby czy balony?.. Uważniejsze przypatrzenie się dawało klucz zagadki, która jednak całkowicie rozwiązywała się dopiero na miejscu, na sugłótku, ukazując się pod postacią trzech dam, osłoniętych zgóry perkalikami. Jeden z nich był szafirowy, drugi popielaty, trzeci szamuowy. One-to zdaleka złudzenie sprawiały, wydając się niby grzyby, niby balony. Trzy damy były nie same, towarzyszył im młody człowiek w rajtroku i w kapeluszu słomianym i mała

---

(1) Wyrażenie, używane dla oznaczenia, że astronomicznie, wedle kalendarza stylu nowego, jest już czerwiec.

dziewczynka, która wzrostem nie przenosiła wysokości żyta. Dziewczynka jasnowłosa, zarumieniona i ożywiona, biegła przodem, nurzając się co chwila w zbożu i wynosząc ztamtąd bławatki, kąkol i groszek, których pęku małą w rękawicze rączką objąć nie mogła. Za nią postępowały dwie damy, kobiety młode, równego jak się wydawało wieku, nieprzechodzącego lat trzydziestu. Za tą parą szła inna: młody człowiek w rajtroku, obok smukłej niby topola panny, blondynki jasnej, kształtnej, szykownej, w letnią płócienkową suknię odzianej, nietyle ładnej, ile ponętnej. Trochę zaszéroke usta, trochę nieregularny nos, trochę zawązkie czoło nie pozwalały jéj palmy piękności przyznawać. Ale młodość wynagradzała braki i zbytki, zwłaszcza że pod względem budowy ciała nic jéj do zarzucenia nie było. Owszem, pod względem tym czyniła zadość warunkom architektury. Smukła była, jak topola — jak rzekliśmy wyżej, w piersiach szeroka, w stanie wązka; zpod zarzuconej odniechcenia na ramiona peleyrunki przeglądał gors biały; rączki miała małe, nóżki małe i oczki igrające blaskami, które cieniowały niejako rzęsy długie, nadając wejrzeniu głębokość zagadkową. Tak wyglądała panna, krocząca obok młodzieńca i przyzostająca się z nim w odległości od pary pań takiej, że te, nie

podnosząc zbytecznie głosu, mogły jedna drugiej udzielać spostrzeżeń takich:

— Emilka pana Pawła haczy, haczy.

— Dobrana z nich będzie para—odpowiedziała ze znaczącym naciskiem druga, która względem tój, co pierwsza głos zabrała, zachowywała się z akcentem powolność oznaczającym.

— Byleby się pobrali.

— Czemuby się pobrać nie mieli?... zwłaszcza, że....

— Pawełek liczy... i, jeżeli się nie doliczy... uhm—gestem dokończyła.

— Ach!—zawolała druga—jakież to okropne!

— Cóż robić? świat taki. „Najgorętsze świata żądze, mieć pieniądze, mieć pieniądze.” Pawełek żądę tę ma w sobie rozwiniętą w stopniu wysokim.

— Przecież on sam nie ubogi, zamożny.

— Tém bardziej też pożąda posagu wielkiego.

— Emilki posag...

— Szlachecki—podchwyciła pani.—Na posag taki złakomilby się jakiś dzierzawca, jakiś dziedzic z kołokacyi, jakiś dorobkiewicz, ale nie pan i właściciel Koszylówki z przyległościami.

— Czyż pan i właściciel Koszylówki z przyległościami nie ma serca?

— Do rozkochania się, co?—zapytała z przekąsem lekkim.



— Ludzkość nie upadła jeszcze tak nisko, ażeby nie istniało w niej nic, okrom interesu, brudnego interesu.

— Ja o ludzkości nie mówię. Mówię o Pawelku.

— Jest on ludzkości częścią.

— Nieinaczéj. Zrób jednak na częścce téj doświadczenie. Spróbuj.

— Czego?—zapytała dama głosem niepewnym.

— Rozkochaj go w sobie.

— A niech mnie Pan Bóg broni! Ja?.. Cóż ja?

— Co ty? Niebrak ci niczego... Panna rodu dobrego, dobrze wychowana, wykształcona, piękna.

— O! o! nie—zaprotestowała panna—piękna? Zkąd znów!

— Jeżeli nie chcesz do piękności się przyznawać, to rzecz twoja—odrzekła pani tonem półzartobliwym.— Zaprzeczyć jednak nie możesz temu, że posiadasz warunki wszystkie, jakich się wymaga od kobiety w małżeństwie...

— Wszystkie? — odezwała się panna, tonem jak wyżéj.

— Z wyjątkiem jednego chyba majątku. Inaczéj nie byłabyś guwernantką przy mojej Julci. Owóz spróbuj i warunkami temi zechciej podbić serce Pawelka. Znajdziesz je twardém, jak skała.

— Anibym się nie odważyła—odrzekła tonem, który oznaczał, że co innego myśli, aniżeli mówi.

— Na co?—zapytała pani, która się na tonie tym nie poznała, albo może poznać nie chciała.

— Na... na próbowanie tego rodzaju.

— Powstrzymuje cię brak posagu. Emilka się odważa, ma bowiem za sobą sto tysięcy, które się jój hazardować pozwalają. A nuż partyą wygra...

— Róziu, cóż ty wygadujesz!

— Co? Mówię co i jak jest. Emilka Pawełka haczy, ufna w swoje sto tysięcy. Gdyby stu tysięcy nie miała, nie haczyłaby go nadaremnie. Jest podstawa jakaś, jakiś punkt wychodni.

— Nie podejrzewam jój o rachunkowość.

— Ona siebie nie podejrzewa także. Ale tak się rzeczy same przez się układają. Pawełek przez wzgląd na Tadeusza do siostry jego się zbliża, a Emilka, przez wzgląd na posażek swój, ze zbliżenia tego widoki dla siebie wysnuwa.

— Ależ serce, serce, na Boga! — podchwyciła panna Eufrozyna.

— Serce... hm—odrzekła pani Róża, zniżając parasolik i potrącając nim o łodyżkę dziewanny, która żółtym kwieciem zdołu dogóry oblepiona, z boku się wznosiła.

— Przecież — zaczęła panna Eufrozyna.

— Co?

— Przecież ty męża swego, pana Tadeusza, kochasz.

— Kocham.

— I kochałaś go, idąc za niego?

— No, tak. Ale z uczuciem takim samym byłabym poszła za innego, gdyby się był Tadeusz nie trafił.

— Mój Boże, mój Boże!—westchnęła panna.

— Co?—zapytała pani Róża.

— Cóż mówią i piszą o sympatyach dwóch dusz siostrzanych, szukających jedna drugiej po świecie!

— Mówią i piszą o wielu rzeczach, wyglądających w praktyce życiowej inaczej. Faktem jest, że się schodzimy przypadkiem, że panny posażnej szukają więcej, aniżeli nieposażnej, i że siostrzałość względem pierwszej objawia się mocniej, aniżeli względem drugiej. Dlatego Tadeuszowi głowę suszę, ażeby o posagu dla Julci myślał zawczasu.

W chwili téj dziewczynka do matki podbiegła z uradowaniem wielkiem. Powodem uradowania był mak czerwony, dużych rozmiarów.

— Co za kwiat! Jaki śliczny kwiat!

Dla maku rzuciła cały bławatków pęk.

— Uzbięrałaś przecie bławatków tyle—zauważyła matka.

— Mak ładniejszy...

Guwernantka nie omieszkała moralną ztąd wyciągnąć naukę, porównywając skromną, ale trwa-

łą piękność blawatków, z pięknością maku prędko przemijającą i połączoną z wonią dość wstrętną.

Młoda para przyzostała znacznie ztyłu. Panna Emilia, niosąc w jednej ręce parasolik, w drugiej z kwiatków mimochodem uszczkniętych bukietów, prowadziła ożywioną z kawalerem rozmowę— rozmowę, która była czynnością, nieposiadającą w mowie ludzkiej osobnej, technicznej nazwy. Czynność ta polega na dalekiem jakimś, bardzo dalekiem około środkowego punktu krążeniu, na zwiadach, na zasadzkach, na rzucaniu wędki, jak na rybki, na podbieganiu z siatką, jak na motyla. Prowadzenie rozmowy jest sztuką osobną, którą posiadają tylko panny na wydaniu. Sztuki tej nauczyć się niesposób; mężczyźni jej nie znają; kobiety zaś tracą, jak skoro zamaż wyjdą. Dlatego to zapewne poeta nasz wielki powiedział: „Gdy na kobietę zawołają żono, już ją żywcem pogrzebiono.” Grzebie się w niej ta sztuka piękna, nieznajdująca wyrazu swego ani w muzyce, ani w malarstwie, ani w rzeźbie, delikatna i subtelna, a taka czarowna, iż niejednego ze śmiertelników, upartego jak kozioł, przed ołtarz zaprowadziła i na kobiercu ślubnym postawiła.

Sztukę tę właśnie panna Emilia aplikowała do pana Pawła.

Mówili ze sobą— a! i o czemże nie mówili oni?.. O urodzajach tegorocznych, o deszczu co trzy dni

padał, o „Przedświcie” Krasieńskiego, o zajęczkach, o „Myślini” Trętowskiego i o kurczętach pieczonych. Rozmowa wiązała się nakształt girlandy. Panna Emilia mówić umiała o wszystkim; a że głos miała wdzięczny i wejrzenie powłóczyste, o wszystkiem przeto mówiła dobrze — zachwycała, haczyła, prowadziła kawalera na pasku niby. Pan Paweł czuł się pod urokiem „tajemniczych słów dziewczyny,” która spowiadając się przed nim z wrażeń różnych, czyniła go niejako powiernikiem swoim, odkrywała przed oczami jego głąb duszy swojej pięknej i szła obok niego sugłówką, który nie prowadził w nieskończoność. Kończył się właśnie, gdy opowiadała o zamięrowaniu w śpiewie.

— Nie mnie, proszę pana — prawiała — wprawić nie może w zachwyty większy, jak śpiew piękny...

— Wrazie takim pani powinnaby słuchać siebie samą — odpowiedział młody człowiek, czyniąc z odpowiedzi swojej komplement.

— O! — odrzekła przeciągle — ja śpiewam, „jak ptak śpiewa”...

— Zachwycająco...

— Cieszyłoby mnie uznanie pana, gdyby...

— Gdyby szczerę było — podchwycił pan Paweł. — O pani... — zaczął.

Ale panna Emilia przerwała.

— Szczęre? Nie wątpię, że jest w niem szczerości trochę, a trochę tego kadzidla, do udzielania którego panowie czujecie się obowiązani względem nas, niewiast. Pragnęłabym jednak o jednej wiedzieć rzeczy.

— O jakiej, pani?

— Czy — odpowiedziała tonem zwyczajnym, a jednak zagadkowym — śpiewanie moje podoba się panu?

— O! — odparł pan Paweł z naciskiem uznania.

— Dlaczego?

— Dla... hm, dlatego, rzecz naturalna, że piękne...

— Słyszałeś pan piękniejsze za granicą, na koncertach, w operach.

Uwaga ta, pod względem tak treści, jak formy, była w rodzaju swoim arcydziełem. Pan Paweł połknął „haczyk,” o którym nie wiedział. Nie mogąc zaprzeczyć, nie mogąc dopuścić się kłamstwa zbyt rażącego, powiedziawszy na przykład, że panna Emilia śpiewa lepiej, aniżeli Allani lub Jenny Lind, które w czasie owym prym trzymały w Europie, następujące tylko uczynił wyznaczenie:

— Śpiew pani zachwyca mnie dlatego, że płynie z ust pani.

Panna Emilia odpowiedziała na to spojrzeniem, na które znów pan Paweł nie mógł odpowiedzieć

inaczej, jak pochwyceniem rączki jej i złożeniem na takowej pocałunku. Mówił następnie o wibracjach sympatycznych i podał pannie Emilii ramię. Sympatya dusz potęgowała się w ten sposób; operacya rozwijała się pomyślnie; należało jednak moderować ją, do czego pannie Emilii nastręczyła się okazyja wyborna w wydanym przez Julisję okrzyku:

— Poziomki!..

Sugłówek się skończył pod lasem, na skraju którego porastała trawa, a w trawie przeglądały w obfitości wielkiej jagódki czerwone. Widok jagódek w zachwycenie dziewczynkę wprowadził. Krzyknęła, mak rzuciła i jęła zrywać poziomki.

— Poziomki! — powtórzyła panna Emilia, wysuwając rękę zpod ramienia kawalera.

Pani Róża i panna Eufrozyna rozglądały się w trawie. Nastąpiło przysiadanie pań, w celu przenoszenia jagódek z łądyżek do ust. Czynność ta zajęła je żywo; panna Emilia udział w niej wzięła i za siebie i za pana Pawła, który nie uważał za stosowne oddać się zajęciu, zdaleka, choć bardzo zdaleka przypominającemu pracę. Panna Emilia stała się karmicielką jego, podając mu razporaz to jagódki, to gronka. On dziękował, przyjmować się wzbraniał, a ona:

— Odemnie? — pytała.

Podawała mu fijołek.

— Ach! pani—zawołał kawaler—wolę to, aniżeli poziomki.

Ukradkiem kwiatek dō pugilaresu schował. Ukradek ów panna Emilia widziała, pomimo że w inną obrócona była stronę i w chwili téj do bratowej zbliżona, przyjmowała w słuch poszeptem wymówione zapytanie:

— I cóż, *ça chauffe?*

— Zdaje się—była odpowiedź.

Poziomkobranie odbywało się wesolo, jak jedna z tych rozrywek przypadkowych, które są dobre, gdy krótko trwają. Julisia zapowiedziała:

— Zbiéram poziomki dla papy.

Postanowienie to dziewczynki uzyskało aplauz powszechny. Guwernantka pochwaliła Julisi pamiętanie o papie. Dziewczynka gorliwie zbierać poziomki w chusteczkę od nosa poczęła: jagódki zrywała, dwie—trzy do buzi niosła, jedną do chusteczki wrzucała; krzątała się, szukała i — znudziła się. Gorliwość jéj słabła prędko, coraz to bardziej. Przyczynił się do tego jeszcze i wypadek. Jeden z rozków chusteczki z paluszków się jéj wymknął i poziomki się wysypały.

— Ach!—w rozpaczy krzyknęła.

Panna Eufruzyna z pomocą jéj pośpieszyła. Poziomki się napowrót w chusteczce znalazły, ale, niestety, zapal pierwotny nie odszukał się już.



— Papa więc bez poziomek obejść się będzie musiał—odezwała się pani Róża.

— A... o...—tłumaczyła się panienka zafrasowana.

Frasunek Julisi był wielki, bardzo wielki i byłby może oddziałał w sensie rozbudzającym gorliwość nanowo, gdyby nagle i niespodzianie nie nastreczył się sposób łatwy z kłopotu wyjścia. Sposób ten przedstawił się pod postacią dziewczyny wiejskiej, wynurzającej się z lasu z króbeczką w ręku. Króbeczka czerwieniła się z wierzchu. Julisia zoczyła ją pierwsza i, nie zważając na nic, pędem do dziewczyny się zbliżyła i króbeczkę jej z rąk wzięła.

— Dla papy! dla papy!—wołała uradowana.

Radość dziewczynki granic nie miała. Zabrała króbeczkę na własność, nie troszcząc się zgoła o prawowitą jej właścicielkę, która zabranii się nie sprzeciwiła, lecz okazywała rodzaj jakiś zakłopotania, ze zdziwieniem połączonego.

— Poziomki dla papy! Papa będzie poziomki miał! — wykrzykiwała i pokazywała z minką tryumfującą króbeczkę matce, ciotce, panu Pawłowi i guwernantce. — Poziomki! dla papy!

— Ależ, moja Julisiu — tonem refleksyi odezwała się do niej panna Eufrozyna.

— Dla papy! dla papy! Jakież piękne poziomki!

— Wzięłaś je od dziewczyny.

Ostrzeżenia tego Julisia nie zrozumiała. Nie wiadomo, czy rozumiał je kto z towarzyszków, nikt bowiem nie poparł onego i byłoby może przebrzmiało nakształt dźwięku pustego, gdyby nie to, że wywołało ze strony pani Róży zwrócenie na wywłaszczoną dziewczynę spojrzenia. Spojrzała na nią i odczuwała się:

— Jakaż ona ładna!

Wyrazy te stały się powodem obejrzenia dziewczyny przez wszystkich naraz obecnych.

— Uhm — mruknął pan Paweł odniechcenia, mierząc ją okiem od bosych, czerwonych, zgrubiałych, ale klasycznie ukształtowanych, drobnych stóp, do jakby przez Fidiasza samego umodelowanej głowy.

Mierzenie to odbywał powoli, zukosa nieco, z amatorstwem widoczném i ze znawstwem, ważąc szczegóły wszystkie postaci, uwydatniające się zpod zwieszonéj pod szyją a otwierającéj się nieco na piersiach koszuli i zpod obciskającéj kształty zapaski. Nogi miała bose, ręce po łokcie gołe i zapracowane, delikatność płci pozostawiała do życzenia wiele, lecz formy, jakie tę postać odzięwały, świadczyły, iż wydelikaccona, wypieszczona i przez modniarkę ubrana, byłaby odurzającą. Wejrzenie oczu szafirowych łagodne i pociągające, usta o kradzionych całusach

mówiące, bujność warkoczy czarnych, zdobiących czoło otwarte, wzrost niemały, regularność rysów oblicza, wytok szyi, skład ramion, wszystko jednem słowem składało się na uczynienie z dziewczyny téj istoty w stopniu wysokim ponętnéj.

— Uhm — mruknął pan Paweł, zukosa patrząc i do zwijania papierosa zabierając się.

— Prawda — potwierdziła panna Eufrozyna.

— Prawda — powtórzyła panna Emilia.

Panie zbliżyły się do dziewczyny i obstały ją w półkole.

— Jak ci na imię? — zapytała pani Róża.

— Maryna — odpowiedziała zapytana.

— A czyjaś ty?

— Łuki, proszę wielmożnéj pani.

— Łuki? a, to dobrze, to bardzo dobrze! Jaka ona ładna! — dodała, zwracając mowę do młodego człowieka — panie Pawle?

— Tak — odparł zapytany odniechceni, patrząc na dziewczynę z pewnym w oczach wyrazem, od którego ona pokraśniała i rzęsami oczy sobie zasłoniła.

— Poziomki dla papy! — powtórzyła Julisia, kręcąc się z króbeczką i zwracając się z nią do Maryny — dla papy.

„Papa,“ wyraz żywcem z francuzkiego do mowy polskiéj przesadzony, używanym jest i w mowie rusińskiéj, ale w znaczeniu inném. Po pol-

sku w spieszczeniu oznacza „ojciec;” po rusińsku, także w spieszczeniu, „chléb.” Dziewczyna nie rozumiała, o co pańskiemu dziecku chodzi.

— Dla papy — powtórzyła Julisia.

Maryna z dobrotliwym na nią patrzyła uśmiechem i kiedy ta raz jeszcze ten wyraz wymówiła, domyśliła się, że się od niej do poziomek chleba domaga.

— Papy — odrzekła — kiedy ja, pannuńciu serce, nie mam papy.

— Nie masz? — zapytała dziewczynka z akcentem politowania.

— Nie mam, nie.

— Ona papy nie ma. Mamo, ona nie ma papy!

Zwróciła się z ostatnimi słowami do matki; gdy ta jednak nie zważała na nią, zwróciła się do guwernantki.

— Panno Fruziu! ona papy nie ma.

— Siérota — odrzekła panna Eufrozyna.

— Siérota, o! o? Jakto siérota, panno Fruziu?

— To znaczy, Julisiu, iż nie ma ojca, albo matki, albo ani ojca, ani matki.

— Ona ojca nie ma. A mamę? — zapytała, do dziewczyny się zwracając — mamę, czy ty masz?

— Mamy ja nie mam, pannuńciu — odpowiedziała zapytana.

— Ona i mamy nie ma! — wykrzyknęło dzie-

eko.—Nie ma ani papy, ani mamy, a tak umie poziomki zbierać! Panno Fruziu!

— Co? — zapytała guwernantka uprzejmie i słodko.

— Niech ona dla mnie poziomki zbiera.

— Moja Julisiu — odrzekła panna Eufrozyna — ponieważ ona sierota, więc potrzeba mieć litość nad nią. Ona biedna.

Julisia nie zrozumiała tej perswazyi. Wydało się jej, że domaganie się, ażeby poziomki zbierała sierota, było względem tej ostatniej czynem litości. Czyniła jej ten zaszczyt, iż się od niej przysługi domagała. Dopuszczała się tego z całym spokojem sumienia, niepojmującego, iż przysługa narzucona bywa niekiedy ciężarem.

— Niech ona zbiera — powtórzyła z naleganiem.

— Poproś mamy, ja jej nakazać nie mogę.

Dziewczynka zwróciła się do zajętej rozmową z panem Pawłem i panną Emilią matki, która, dla pozbycia się jej snadź, odpowiedziała:

— Dobrze, dobrze. Ale widzisz, późno już, słońce niebawem zajdzie, ciemno się robi, a pociemku nikt poziomek nie zbiera.

Uwaga ta trafiła do przekonania dziecka. Julisia domagać się przestała, zaleciła jednak dziewczynie, ażeby jej jutro na śniadanie pełną a dużą króbkę poziomek przyniosła i wypowiedziała zalecenie to tonem, który na słuchaczach wrazenie

niejakie sprawił. Dziecko odezwało się, niby osoba słuszna. W zaleceniu zabrzmiał rozkaz, wypowiedziany stanowczo:

— A pamiętaj sobie!

Na drodze z powrotem, która wypadła sugłówką tymże samym, dziewczyna towarzyszyła państwu. Miała ochotę wyprzedzić i pośpieszyć, ale ją Julisia przytrzymała. Któżby był niósł króbeczkę, gdyby Maryna była odeszła? Na nią spadł zaszczyt ten i ona, przyjmując takowy, postępowała za towarzystwem pańskim zdala, nie tylko króbeczkę niosąc, ale służąc Julisi do transportowania kwiatków, które dziewczynka po drodze zrywała. Nadawała się też Julisi wielce. Dziewczynka co chwila za bławatkiem lub kąkollem w zbożu się nurzając, do niej powracała i wręczała jej zdobycz coraz-to nową. Niekiedy znów, obok niej kroków kilkanaście idąc, o różnych różnościach jej pytała, na co ona odpowiadała uśmiechem dobrotliwym i ujmującym, tym uśmiechem, który posiada własność oddziaływania na dzieci. Wpływ ten wzrastał stopniowo; nim się lan skończył, Julisia była już Maryną zachwycona i ze sobą ją do dworu ciągnęła. Dziewczyna szła, obciążona króbką i kwiatkami, towarzyszyła towarzystwu pańskiemu do wrót, a przez wrota na podwórze do ganku szła machinalnie, nie zdając sobie jasno sprawy z tego, co się z nią dzieje.

V.

Dziewczyna z kwiatami.

---

Dwór pański dla Maryny był czémś nakształt zamku zaklętego. Widywała go, a widywanie sprawiało na nięj wrażenie takie prawie, jak słuchanie skazek, podających wiadomości o tym świecie fantastycznym, w którym węzolatawce porywają dziewczęta, konie skrzydlate niosą rycerzy, ludzie w wilkołaka się zmieniają, baby na miotle na łysą górę jeżdżą, paproć kwitnie i inne tym podobne nadzwyczajności się dzieją. Widywała go zdaleka i patrząc na okna wielkie a jasne, na dach gontami pobity, na kolumny ganek zdobiące i na fasadę, która się na kolumnach wspierała, wyobrażała sobie, że wewnątrz domu wyglądać musi bodaj czy nie tak, jak wewnątrz cerkwi. Znalazłszy się na ganku, uczuła w sobie

rodzaj jakiegóś czci z bojaźnią pomieszanej, jaką pobożni uczuwają na progu świątyni. Przekroczyć progu nie śmiała i byłaby takowego nie przekroczyła, gdyby jej Julisia nie zmuszała.

— Chodź — mówiła — chodź!

— Pannuńciu — odezwała się Maryna tonem wypraszania się.

— Chodź, no!

Dziewczyna oddawała jej króbkę i kwiaty. Że jednak kwiatów był snop cały, snop więc zerwał się i kwiaty podłogę zasłały.

— O, widzisz, czegoś narobiła — upomniała ją Julisia.

Maryna wzięła się do zbierania. Składała sobie kwiaty na lewej ręce, przyciskając ją do piersi. Dziewczynka, dla ułatwienia jej tej pracy, koszyk od niej wzięła i kiedy kwiaty co do jednego wyzbiérane zostały, ponagliła ją znów do przekroczenia progu.

— Chodź-że!

Przekonawszy się wreszcie, że namawianie nie skutkuje, ujęła ją rączką za zapaskę i pociągnęła za sobą.

Sień duża i widna miała drzwi kilkoro, prowadzących w strony różne. Julisia skierowała się do drzwi na prawo i, poprzedzając Marynę, weszła do pokoju obszérnego, umeblowanego w sofę, krzesła, stolki, stoliki, przyozdobionego w kil-



ka na ścianie w ramach zawieszonych sztychów i litografij i mającego pośrodku stół podłużny, owalny, w jednej połowie obrusem białym okryty i przyborami do herbaty zastawiony, w drugiej dźwigający duży, parą buchający samowar, otoczony naczyniami, jakie zazwyczaj samowarowi towarzyszą. Przy stole na miejscu naczelném siedziała pani Róża; o miejsc parę od niej zajmowała krzesło panna Eufrozyna; po pokoju przechadzał się, z fajką na długiej w bursztyn wspinały zaopatrzonej antypce w ręku, ten sam szlachcic, któregośmy w Wygnance poznali, ale o wiele młodszy. Postać jego dyszała dobrym bytem, swobodą umysłu i spokojem sumienia. W wyrazie oblicza przebijał się jowializm szlachecki, który harmonijnie odbijał od budowy, znamionującej siłę, i od pozoru całego, świadczącego o zdrowiu. Wyglądał on na pączek w maśle. Tuszy miał wmiarę, włosy na głowie krótko ostrzyżone, wąsy obfite. Postać jego okrywała odzież letnia.

Szedł właśnie ku drzwiom, kiedy przez takowe Julisia dziewczynę wciągnęła. Zatrzymał się, Marynę spojrzeniem obrzucił i zawołał:

— A cóż-to za Flora?

Dziewczyna, w rzeczy saméj, wyglądała trochę na mitologiczną kwiatów przedstawicielkę. Snop tego cały na ręku niosła, a maki, kaskole i dzwonki na lica jój odblask jaskrawy rzucały; lica ru-

mieńcem płonęły; z oczami co robić nie wiedziała, więc je rzęsami osłoniła i, półżywa, półmartwa, stała, snop kwietny przyciskając do piersi, z obawy snadź, ażeby się po podłodze nie rozsypały.

— I zkądżeście taką nimfę wypisali? — zapytał szlachcic, do pani Róży zapytanie zwracając.

— W lesie się znalazła — odpowiedziała pani.

— Poziomek dla papy nazbięrała — dodała dziewczynka, podając króbeczkę ojcu. — O, papunieczku!

Pan Tadeusz poziomek nie brał, a na dziewczynę ciągle patrzył.

— Hm, hm — mruknął sobie w wąsy razy parę, głową zlekka ze strony jednej na drugą przekiwując.

W chwili téj z głębi dworu, przez drzwi parę otwartych, doszły do słuchu przy stole siedzących i stojących dźwięki fortepianu. Wzięto akordów kilka, po których nastąpił śpiew. Polały się tony aryi włoskiej, silne, pełne, donośne, nie takie zapewne, któreby oklaski słuchaczy w jednej z oper europejskich wywołały, dźwięczne jednak i miłe.

— Cóż im się stało — odezwał się pan Tadeusz, mowę do żony zwracając — muzykę rozpoczynać, kiedy samowar na stole?

— Zachciałeś — odparła pani. — W głowie im tam samowar.

— Na wszystko jednak jest pora.

— To też oni z pory korzystają, jak im się najstosowniej wydaje.

— Emilka wolałaby Pawełka śpiewem, niż herbatą upoić.

— Pewno, pewno — odrzekła pani, na stołku się poprawiając.

— Ale my nie wolimy — zaczął pan Tadeusz i miał coś do wyrazów tych dodać, lecz na Marynę okiem rzucił i zawołał: — A patrzcie jeno, co się z tą dziewczyną stało!

Z Maryną stało się to, że osłupiała, skamieniała, zmieniła się w posąg, któremu mistrz nadał wyraz ekstazy. Jak stała okwiecona, tak pozostała. Kwiaty ręką jedną do piersi cisnęła, a głowę podniosła nieco; usta w pół otworzyła, oczy wzniosła; zdawało się, jakby się w punkt jakiś na suficie wpatrzyła i jakby do punktu tego wzlecieć pragnęła. Coś ją niby wgórę rwało. Wyprężyła się korpusem, naprzód się podała i dech w piersiach sobie zaparła. Wydawało się w rzeczy samej, jakby skamieniała.

— Co się z nią stało? — powtórzył pan Tadeusz.

Pani Róża, jakby jej zapytanie nie na swoim wydawało się miejscu, brwi zmarszczyła i gest niechętny głową wykonała. Panna Eufrozyna, szeroko otwartymi oczami przez chwilkę na dziewczynę popatrzawszy, rzekła powolnie:

— Katalepsya.

— Czyżby? — odrzekł pan Tadeusz, bursztyn w usta wkładając.

— Wydaje się tobie, Fruziu — zaczęła pani Róża.— Dziewczyna wiejska na pokojach po raz pierwszy się znalazła i zagapiła się.

Objaśnienie to trafiło do przekonania pana Tadeusza i panny Eufrozyny; pierwszy zaś lokajowi rzucił rozkaz:

— Pójdź po pannę Emilią, powiedz że samowar kipi i przekipi, jeżeli się będzie dłużej śpiewaniem zabawiała.

W chwilę później śpiew umilkł i zagapienie się dziewczyny nagle ustąpiło. Miejsce onego zajęło zdziwienie, z zatrwożeniem połączone. I to jednak ustąpiło, a okazało się zawstydzenie tylko.

Otóż się zawstydzila!

Oblicze jej oblało się karminem. Głowę spuściła. Poczęła się cofać. Nie wiedziała, jaką osobie swojej postawę nadać. Ręce opuściła i zpod ramienia jej kwiaty na podłogę się wysypały.

— Głótko ty moja!—jęknęła.

Schyliła się, zbierać chciała, lecz w téjże chwili panna Emilia po zasłaniu kwietném przeszła, kwiaty nogami zdeptała i, co gorzej, sukni spodem po pokoju je rozmiotła.

Dziewczyna zrazu w pogoń za niemi się puściła, lecz, zmiarkowawszy snadź, że daremną bę-

dzie jęj praca, a przytém znalazłszy się w pobliżu drzwi wchodowych, we drzwi się wsunęła, z pokoju wysunęła, sieni dopadła, z sieni na ganek wyskoczyła i ani się obejrzała, jak się za wrotami znalazła. Odwrot ten wykonała z taką szybkością, że zanim się psy podwórzowe turbować ją namyśliły, już ona — hęj-gdzieś! — była.

Zniknięcie jęj dostrzeżoném nie zostało przez nikogo, z wyjątkiem Julisi jednęj — i to nie odrazu. Naglądać za nią przeszkodziły dziewczęciu poziomki, z któremi się ona dokoła ojca nosiła, wzywając go bodaj do pokosztowania; ponieważ jednak pan Tadeusz, roztargniony naprzód widokiem Maryny, następnie tēm, że samowar wykipi, wkońcu metamorfozą, jaka z dziewczyną zaszła, nie zważał na wezwania Julisi, ta przeto do poziomek wzięła się sama i króbkę wypróżniać poczęła, co tak ją zajęło, iż nie spostrzegła ucieczki Maryny. Opatrzyła się dopiero, gdy prózną króbeczkę oddać chciała.

— A? — odezwiała się, po pokoju oczętami wodząc — gdzie ona?

Ojciec, matka, nauczycielka, ciotka, kawaler przy stole siedzieli.

— Gdzie ona? — powtórzyło dziewczę, do ojca podchodząc.

Pan Tadeusz coś właśnie zabawnego o parze prosiąt opowiadał.

Prosięta owe stanowiły przedmiot niesłychanie dla szlachty okolicznej ciekawy i zabawny. Właściciel jednego z mająteczków sąsiednich sprowadził sobie takowe, celem poprawienia rasy chlewni. W czasach owych—w czasach tak niedalekich, że ci, co się wówczas porodzili, nie postarzeliby jeszcze — wydało się to omal że nie potwornością, a w każdym razie wielką nieprzyzwoitością prosiętami się zajmować, szlachcicem będąc. Pomiedzy szlachcicem a prosiętami styczność jedynie istniała na—półmisku. Poza półmiskiem usuwała się ona za kulisy gospodarskie, w sferę ekonomiczną i pozostawała tam w cieniu dyskretnym. Szlachcic co do chlewni swojej dawał oficyalistom dyspozycyę, lecz nie uwidoczniał onęj w bilansie majątkowym. Wieprze się odkarmiały na użytek domowy; jeżeli się zaś sprzedawały, to nie na to, ażeby figurowały w rubryce dochodów, któremiby się chwalić było można przed światem. Uchodziło to za dochód ekonomiczny i dochód ów, wyjątkowo, w tajemnicy, zasiliał kasę gospodyni, idąc całkiem na rachunek gospodarstwa kobiecego. Była to rubryka poboczna, dodatkowa, przypadkowa i w tajemnicy chowana. Nie w każdym też istniała domu. U państwa Tadeuszów, na przykład, ani przypuszczano, ażeby się godziło ekonomowi konkurencyą czynić. Z tego też powodu humorystyczne pana Tadeusza o sprawozdaniu

prosiąt przez sąsiada opowiadanie miało powodzenie wielkie. Panie się śmiały; gość się śmiał; jedna Julisia tylko w wesołości ogólnej udziału nie brała. Do kolan się ojcowskich przytuliła i, jak skoro ojciec opowiadanie skończył, zapytała:

— Gdzie ona?

— Ale, zboku słyszałem — zaczął pan Tadeusz, na zapytanie dziecka nie zważając. — Słyszałem... hm.

Ton przybrał zagadkowy. Mówił i uśmiechał się.

— Słyszałem — ciągnął, wyrazy cedząc — jakoby Słomski (był to ten sam, co prosięta sprowadził) zamierzał przychówku się doczekać i o rękę Emilki konkurować.

Panna Emilia zrobiła gest pogardę oznaczający; panna Eufrozyna uśmiechnęła się z akcentem politowania dobrotliwego; pani Róża zaśmiała się z konceptu męża; pan Paweł zaś odparł:

— Jako konkurent niebezpiecznymby nie był.

— Kto wie — pan Tadeusz na to.

— Nie poruszyłby serca żadnej panny.

— Nie poruszyłby? Zapomocą prosiąt?

— Rzecz niesłychana i niebywała.

— Ani nie niesłychana, ani nie niebywała.

Panna Eufrozyna wie o wrażeniu, jakie sprawiły prosięta na człowieku jednym z najzimniejszych, na okrutniku jednym z największych. Prawda?

Zapytanie zwróconém było do guwernantki, do jój bowiem odnosiło się kompetencyi. Panna Eufrozyna odpowiedziała na takowe potwierdzeniem niemém, jakby wiedziała, o co chodzi.

— Poruszyły one serce Ludwika XI, króla francuskiego, tego samego co biskupów w klatkach żelaznych trzymał i szlachcicom łby uciął. Prawda?—zapytanie powtórzył.

— Prawda—odparła.

— A przecie—dodał pan Tadeusz—a przecie serce jego zmięczyły prosięta. Jeżeli przeto serce takie zmięczyły, cóż dopiero niewieście, serce dziewicze, tkliwe i wrażliwsze, aniżeli serce Ludwika XI. Nie mów przeto (wyrazy te stosowały się do pana Pawła) że Słomski, jako konkurent, niebezpiecznym nie będzie.

Wciągu mówienia tego panna Emilia taką miała minę, jakby znajdowała się pod wpływem dwóch działających równocześnie uczuć: gniewu srogiego i podniesienia modlitewnego. Skutkiem tego ostatniego oczy do sufitu wznosiła, skutkiem zaś tamtego siedziała w sposób taki, jakby w krześle tkwił éwiek. Wyglądała więc zachwycająco i niezachwycająco. Widać było po niej, iż materya, którą brat do rozmowy wprowadził, przykrość jój sprawiała.

Pan Tadeusz nie zważał na to i kiedy mu pan



Paweł na wyrazy ostatnie ściśnieniem ramion odpowiedział, prawił dalej:

— No, no, lekceważyć go nie należy — i dodał po chwili: — tobie zwłaszcza.

— Dlaczegoż mnie? — zareplikował pan Paweł.

— Wróble na dachach świegocą...

— O czém?

— Nie wiész o czém?

— Na przykład? — zapytał kawaler tonem niepewnym.

Przy zapytaniu tém ćwiek ów domniemany, który pannie Emilii zawadzał, skutek wywarł. Z krzesła się zerwała i z pokoju wyszła.

— O... — odpowiedział pan Tadeusz, na siostrę oczami wskazując. — Będzie ci wstyd, jeżeli cię Słomski ubiegnie.

Pani Róża z wyrazem znaczącym na pannę Eufrozynę spojrzała, ta zaś spojrzała na panią Różę ze zdziwieniem, w którym się indygnacya przebijała. Widoczném było, że pan Tadeusz przypuścił do pana Pawła atak formalny, wyprawiając takowy, jak to powiadają, z zapłota. Kawaler się na siedzeniu poprawił, odchrząknął i odrzekł:

— Ubiegnie... Kto wie.

— Będzie ci wstyd, dalipan, będzie.

— A jeżeli...

— No? — odezwał się pan Tadeusz, ponaglając

*Niezaradni.*

6

odniehczenia pana Pawła, który tego, co mu na języku wisiało, wykrztusić jakoś nie mógł.

— Jeżeli ja—zaczął.

— Co? prosięta sobie sprowadzisz?

— Nie, ale....

— Ale co?

Pan Paweł z głębi piersi odetchnął, powietrza w płuca wciągnął i do pani Róży mowę zwracając, dodał:

— Jeżeli ja pani o wstawienie się poproszę?

Pani Róża wnet się poważnie nastroiła.

— Panie—odrzekła.

— Mam to przekonanie, że mi pani nie odmówi.

— Gotową jestem nie odmawiać panu wielu rzeczy, ale—bąkać poczęła — w tym razie, nie wiem właściwie o co chodzi.

— Chodzi mi...

Panu Pawłowi z trudnością wykrztuszenie wyrazu przychodziło.

— Chodzi mi—powtórzył—o...

— Spółzawodniczenie ze Słomskim w rzeczy prosiat—podchwycił pan Tadeusz.

— Nie przeszkadzaj mi, Tadeuszu—przerwał kawaler.— Z tropu mnie zbijasz.

— Przeciwnie, na trop naprowadzam ciebie. Nie chodziż ci o współzawodniczenie ze Słomskim?

— Tak, zapewne. Ale o jakie?

— Mnie się wydaje, że...

— Niech ci się nie wydają rzeczy niebywale—  
znów przerwał.— Chodzi mi o co innego. Chodzi  
mi o siostry twojej, panny Emilii, rękę... Jeżeli  
pani — tu się znów do pani Róży zwrócił — ze-  
chcesz łaskawie za mną się wstawić, wdzięczność  
moja dla pani...

— Będzie nieograniczoną—dokończył pan Ta-  
deusz, w cybuch dmuchając.—Rzecz w tém, co na  
to Emilka powie.

— Pani mnie poprze.

— To nie racya—podchwycił.— Nawet żony  
mojej poparcie na nic się nie przydać może, jeśli  
serce Emilki jest, co do prosiat, miększe od serca  
Ludwika XI.

— Ja nie żartuję—w sposób upominający ode-  
zwał się pan Paweł.

— To co innego—odparł pan Tadeusz.— W ra-  
zie takim, pośrednictwo pani mojej przyda się  
może.

— Cóż ja?—zaczęła pani.

— Stań tylko pani po stronie mojej.

— O! bądź pan pewny, że dołożę usiłowań ca-  
łych. Zresztą, zdaje się... — zaczęła i zawahała  
się nad tém, co ma mówić dalej.

Chwila wahania się pani Róży sprowadziła

chwile milczenia, śród którego, przy wtórze szumu samowara, słyszeć się dał głos Julisi:

— Papo, gdzie ona?

Dziewczynka udziału najmniejszego nie brała w kwestyi ważnej, która się rozstrzygała przy stole.

— Gdzie ona, papo?

— A co?—odezwał się pan Tadeusz, dziecko dłonią po głowie głaszcząc.— Julcia przypomina o osobistości najważniejszej, od której decyzya zależy. Gdzie ona? Gdzie Emilka?

— Nie Emilka, papo, nie ciocia — zaprotestowała wnet dziewczynka.

Lecz protest jej jedna tylko panna Eufrozyna słyszała. Pani Róża, trafność uwagi męża uznawszy, wstała i wyszła; panna Eufrozyna, zmieszana, jakby o nią w sprawie tej chodziło, wezwała Julię do siebie, obok ją posadziła i z troskliwością szczególną do wypicia filiżanki herbaty z mlekiem namawiać zaczęła.

Nalęwała, przysuwała, lecz czyniła to z roztrągnięciem, świadczącym jako umysł jej zajęty był czem innym. Ku drzwiom spoglądała; ucho nastawiała; nie słuchała Julisi, która się żaliła na nagłe zniknięcie dziewczyny; nie rozumiała jej nawet. Wyrazy dziecka w uszach jej brzęczały, a ona je herbatką częstowała, odwracając uwagę

od drzwi na pana Pawła i wpatrując się w niego tak, jakby go na wylot przejrzeć chciała.

Wpatrywanie się to nie było zapewne bez racji; nie miało jednak, że się tak wyrazimy, punktu oparcia, albo raczej punktu zaczepienia się. Powierzchowność pana Pawła nie zdradzała stanu ducha nacechowanego jakąś, na uwagę szczególną zasługującą, osobliwością. Po odejściu pani Róży, jał się papieros zwijać; papieros zwinął, zapalił, od stolika się nieco odsunął i dym z ust w sposób zwyczajny puszczał.

Zato pan Tadeusz wyglądał osobliwie. Miał minę tryumfatora, ale tryumfatora skromnego, hamować i powściągać umiającego uniesienie, pierś rozdymające. Siedział nawpół uśmiechnięty i fajkę kurzył.

Po chwili pani Róża powróciła, uśmiechnięta także, ale poważna.

— Hrm—odchrząknął pan Tadeusz—spodziewam się, że powracasz z niczém.

Pani Róża, zamiast mężowi odpowiadać, do pana Pawła się zwróciła.

— Czy pan mi towarzyszyć zechce? — zapytała.

— Służę pani — odpowiedział, zrywając się z pościechem.

Wyszli; gdy za drzwiami byli, pan Tadeusz do panny Eufrozyny wnet się odezwał:

— A co! Otóżem go z mańki zaszedł! Wlekło się to, wlekło i możeby się rozwlekło, gdybym interwencyi prosił nie wprowadził. Interwencya ta sprowadziła oświadczyzny, do których, kto wie, czyby przyszło inaczéj... He?

Pytajnik zwróconym był do panny Eufrozyny. Ta przeto mocno zmieszana odpowiedziała:

— Emilka śpiewem swoim pana Pawła zachwycała. Pan Paweł tak śpiew lubił... Można więc było się spodziéwać, że prędzéj, późniéj...

— A!—przerwał pan Tadeusz.— Prędzéj, późniéj? Późniéj stało się już nawykiem i zagrażało tém, że się śpiewu nasłucha, pięknie podziękuję i z reszty skwituje. Gdyby nie prosięta Słomskiego, nie byłoby z tego nic.

— Może, zapewne — bąkała panna Eufrozyna i coś dodać chciała, lecz przeszkodziła jéj pani Róża.

Z za drzwi słyszeć się dało téj ostatniéj wołanie.

— Tadziu!

— Ehm — odezwał się pan Tadeusz do siebie tonem samozadowolenia.

W cybuch dmuchnął, odkaszlnął i z pokoju się wyniósł.

— Gdzie ona?—zapytała Julisia.

Pannę Eufrozynę opanowało wzruszenie, które przeszkadzało jéj słuchać dziecka, powtarzające-

go z naciskiem coraz-to większym i tonem kaprysy zapowiadającym jedno i toż samo. Dziewczynka herbaty nie piła, sucharków nie jadła i powtarzała wciąż swoje i swoje. Pannę Eufrozyne, która zrazu nie uważała na to, zniecierpliwilo wkońcu zachowywanie się elewki. W zniecierpliwieniu zawołała:

— I czegoż ty chcesz? Herbatki? mlęczka? ciasteczek? Zachciało ci się szybki z okna, czy kafi z pieca?

— Gdzie ona?

— Czyś ty nie chora? co? Może brzuszek cię boli?

— Gdzie ona? — wybuchnęła Julisia głosem, znamionującym kaprysy, w rozwoju doprowadzonym do stopnia bardzo wysokiego.

## VI.

### Drażliwe sytuacye.

---

W tém, co się w poprzednim opisało rozdziale—któż nie odgadnie oświadczyn? Odbyły się oświadczyzny formalnie, nie bez przeszkód jednak, nie bez mitręgi niejakiój. Wszystko poszło dobrze i w pokoju bawialnym, w którym panna Emilia schronienie znalazła i do którego pani Róża kolejno naprzód pana Pawła, następnie pana Tadeusza wezwała, rzecz odbyła się w porządku. Panna Emilia wmiarę była zmieszana i wmiarę opozycyą stawiającą; wporę atoli i z całym możliwym szykiem uczyniła ustępstwo, zajmując stanowisko pół-ofiarne, kilku lezkami okraszone i uśmiechem rozkosznym uświetnione.

— Proszę... błagam...—wygłosił kawaler.

— Dobrze...—szepnęła.



Nastąpiło ucałowanie podanej ze wzdraganiem się niejakiem ręki i zapomocą ucałowania tego zawarł się ślub honorowy, będący prologiem nieodzownym ślubu urzędowego, mającego dwie odmiennęj płci istoty związać na życie wspólne do śmierci. Wszystko to, jak powiadamy, w zupełnym odbyło się porządku, tak że nie pozostawało już nic innego — narazie przynajmniej—jak oddawać się zadowoleniu, wynikającemu samo przez się z faktu pomyślnie dokonanego, a pożądanego. Tak—pożądanego. Nie będziemy bowiem rzeczy w bawelnę obwijali, utrzymując, jakby pannie Emilii za mąż się iść nie chciało. Owszem. Nie powiemy też, jakoby pan Paweł miał do ożenienia wstręt. Gdyby tak było, toć od niego zależało oświadczyć się, albo nie. Pożądanie przeto miało ten charakter zobopólności, która sprowadza zadowolenie wraze, gdy rezultat pomyślnie wypadł. Wypadek taki zaszedł właśnie i, gdy ceremonia oświadczyn w sali bawialnej dopełnionym został, przejść należało do sali jadalnej, dokąd wzywał samowar. Pan Tadeusz o takowym przypomniał sobie.

— Herbata przeciągnie—zauważył, wtrącając wyrazy te do wynurzeń wdzięczności, wygłaszanych przez pana Pawła.

Temu ostatniemu conceptów już braknąć poczynało; panu Tadeuszowi zaś conceptów pełno

do głowy się cisnęło i śpieszno mu było z ekspensowaniem takowych. Roily mu się żarty z młodą pary. Zamierzał kawalera w ambaras, siostrę do rozpacy przyprowadzić.

Pan Paweł, który nadaremnie czynił poszukiwania za wyrazami i frazesami, odpowiedniami sytuacyi, jaką sam sprowadził, z głębi piersi odechnął po uwadze pana Tadeusza, co do przeciągnięcia herbaty.

— Przeciągnie naprawdę — potwierdziła pani Róża.

— A więc służę państwu... proszę — podchwycił potwierdzeniem żony do nalegania zachęcony pan Tadeusz, ręką na drzwi od sali jadalnej wskazując. — Proszę.

Nalegał, sam do siebie się uśmiechał i skwapliwość wielką okazywał. W myśli mu się snuły i na język cisnęły koncepty o parze narzeczonych, koncepty, których znany dobry szlachty polskiej humor napłodził ilość ogromną, sprawiającą ten kłopot, który Francuzi nazywają *ambaras de richesse*. Właśnie kłopot ów uśmiechy na usta szlacheica naszego sprowadzał. Miał do wyboru konceptów kilka — każdy mu się wydawał doskonały; szykował więc w myśli porządek, w jakim je zaprodukować miał, a tymczasem chrząkał, brwi marszczył, wąsami ruszał, cybuch

w rękę ważył i na prowadzące do sali jadalnej drzwi ręką ukazywał.

— Służę państwu, proszę—powtarzał.

Zwyklém to jest pomiędzy śmiertelnikami, że się ociągają z uczynieniem tego, czego pragną, zwłaszcza gdy spełnienie czynu od osób kilku zależy. W razie takim ktoś jeden zacząć musi. W tym razie do zaczęcia — do ruszenia ku drzwiom — osób było dwie: panna Emilia i pan Paweł. Ten ostatni atoli, gdyby nie dla czego innego, to przez grzeczność samę, pannie Emilii pierwszeństwo zostawiał, ta zaś ruszać przodem nie chciała. Co ją wstrzymywało? Konia z rzędem ofiarowaćby można temu, coby jasno i pewno wytłumaczył powód ociągania się panny Emilii. Ona sama powodu tego nie знаła zapewne. Ociągala się; coś ją przytrzymywało—coś, które się manifestowało pod postacią jakichś niby mrówek we krwi, niby leciuchnego łechtania pod skórą, niby bojaźni w sercu, niby skłonności do płaczu, niby ochoty do śmiechu, skutek których był ten, że z miejsca nie ruszała, pomimo że brat wzywał. I kto wie, czyby była ruszyła, gdyby się pan Tadeusz nie był uciekł do sposobu, który się skutecznym okazał.

— Ha—odezwał się tonem rezygnacyi, do żony mowę zwracając—zostawmy ich chyba. Wiadać, że oni chcą..

Gdy zaś pani Róża ku drzwiom się zbliżyła, dodał:

— ..... bez świadków się pocałować.

Ostatni ten wyraz stał się dla panny Emilii tępem, czém byłoby dla niej pchnięcie niespodziane, a nagle. Pośpieszyła tak prędko, że dopędziła bratową na progu i z nią razem wkroczyła do sali jadalnej. Za paniami postępowali panowie. Pan Tadeusz, z uprzejmością, drwinami zlekka nacechowaną, czynił honory panu Pawłowi, wyglądającemu tak, jakby mu się ciężar znaczny z ramion zwałił. Z lekkim przeto sercem wkroczył do pokoju i — stanął zafrasowany.

Widok, jaki się oczom jego przedstawił, był też widokiem frasunek wzbudzić zdolnym. Pannie, z wyrazem największego w oczach przerażenia, goniły jedna drugą dokoła stołu, albo raczej goniąciami były pani Róża i panna Emilia, podczas gdy panna Eufrozyna z Julisją na rękę uciekała.

Przerażenie malowało się szczególnie na obliczach pani Róży i panny Eufrozyny. Panna Emilia przyłączyła się do onego przez spółczucie, co się okazywało z padających z ust jej wyrazów, brzmiących pocieszaniem.

— Może to nic. Może to tak sobie... Może to przeminie.

— O Boże! o Matko przenajświętsza!... o ja nieszczęśliwa!—powtarzała panna Eufrozy na, tułac dziewczynkę do piersi.

— Oddajże mi ja! — domagała się pani Róża, niemniej jak panna Eufrozyna przerażona.

— Julisiu, Juleczko... O ja nieszczęśliwa!

— Fruziu!

Panna Eufrozyna jednak na odezwy pani Róży najmniejszej nie zwracała uwagi. W oczach jej świecił wyraz, który postrzegacz obojętny wziąć mógł za wyraz obłąkania. Postrzegaczem obojętnym był pan Paweł, ku któremu strzelały niekiedy panny Eufrozyny spojrzenia—spojrzenia-strzały, zatrute akcentem wyrzutu, jakby to on winien był chorobie dziecka. Po spojrzeniu takim jednem, drugim pan Paweł zwrócił się do osłupiałego pana Tadeusza i wsunął mu w ucho wyraz:

— Zwaryowała.

Wyraz ten pana Tadeusza z osłupienia wyrwał. W wąsy dmuchnął, kroków kilka naprzód postąpił i byłby pannę Eufrozynę wraz Julisią w ramiona wziął, gdyby ta ku drzwiom się nie zwróciła i za takowemi nie znikła. Za nią popędziły pani Róża i panna Emilia. Gonitwa trwała jeszcze przez dwa pokoje. W trzecim panna Eufrozyna na kanapę się rzuciła i bez oporu najmniejszego pozwoliła dziecko wziąć sobie z objąć.

— Co to jest? Co to znaczy?—zapytywała pani Róża.

Zapytywała jednak nadaremnie. Panna Eufrozyna odpowiedzi nie dawała. Nie odpowiadała też i dziewczynka, która, przestraszona tem co zaszło, miała minę porażoną nagłą jakąś chorobą; twarzyczka jej pałała, oczęta migotały. Naprózno więc matka, usiadłszy i na kolanach ją posadziwszy, przemawiała do niej słowami słodkimi:

— Życie moje, luba moja. Co? Boli cię? gdzie cię boli? Powiedz!

Po główce ją głaskała, dłoń swą do czółka przykładła.

— Może to nic—wtrąciła panna Emilia.

— Ach! nie, nie—odrzekła pani Róża. — Gorączka wyraźna. Patrz...

Panna Emilia dłoń dziecku do czoła przyłożyła.

— Główka gorąca.

— Mój Boże—zaczęła matka zatrwożona— w sposób ten rozpoczynają się choroby wielkie... w dzień zwłaszcza.

— Może Bóg da, że to przemienie.

— Dobrze tak mówić tobie, nie matce. Mnie Julisia niepokoi, bardzo niepokoi. Dziecko takie delikatne.

— Nie przypuszczaj że, Róziu, rzeczy najgorszych—odezwała się panna Emilia tonem perswazyi.

Perswazyja ta atoli podnieciła tylko niepokój matki. W razach podobnych zazwyczaj to się zdarza.

— Doktora! — zawołała pani Róża.— Pójdź, Emilko, powiedz Tadeuszowi, niech natychmiast posyła po doktora.

Panna Emilia nie śpieszyła się z zadośćuczynieniem woli bratowój.

— Pójdź-że! — rzuciła ta ostatnia z akcentem niecierpliwości.

— Ech—zaczęła Julisia pół z płaczem, tonem dziecka rozkapryszonego. — Ciociu, niech ciocia nie idzie!

— Czemu, życie moje?—zapytała matka.

— Niech ciocia nie idzie!

— Ciocia pójdzie i papie powie, żeby doktora sprowadził.

— Ja nie chcę doktora!

— Nim doktor przyjedzie, Julisia się w łóżecko położy.

— Ja nie chcę do łóżecka!

— Julisia będzie grzeczna; Julisia mamę kocha i zrobi to, czego mama chce: do łóżecka pójdzie i w łóżecku na doktora czekać będzie.

— Ja nie chcę doktora, nie chcę do łóżecka!— odpowiedziała przeciągle dziewczynka — nie chcę!

— Julisia mamę zmartwić chyba chce.

— Nie chcę do łóżecka, nie chcę doktora!

Słusznie ktoś uwagę zwrócił, że dzieci są to istoty najokrutniejsze; dodać należy: dzieci zwłaszcza rozpieszczone, takie właśnie, jakiem Julisia była. Okrucieństwo dzieci takich miary nie zna. Matka, nie matka — dla nich to wszystko jedno. Prośby, perswazye, jest to dla nich groch o ścianę rzucany. Napróżno pani Róża do Julisi najśłodszym i najłagodniejszym przemawiała głosem. Diewczynka się uparła i zacięła, niby to płakała, niby nie płakała i „nie chcę” ustawicznie powtarzała.

— Dobrze więc — zaczęła pani Róża, dając panie Emilii znaki, ażeby wyszła w celu spełnienia żądania jej, tyającego się posłania po lekarza — dobrze, doktor nie przyjedzie, ale Julisia zrobi to dla mamy, że do łóżeczka pójdzie.

— Ja nie chcę do łóżeczka!

Znakami ponaglona, panna Emilia odeszła i wnet po odejściu jej nastąpiła ze strony panny Eufrozyny zmiana sytuacji.

Panna Eufrozyna, po rzuceniu się na kanapę i po oddaniu Julisi matce, wpadła była w rodzaj odrętwienia. Ramiona zwisały jej bezwładnie, oczy puściła w ślup, po biuście jej przewijał się warkocz, który akcentował rozlany na postaci jej wyraz rozpacz. Nagle drgnęła, z głębi piersi odetchnęła i wzrok w pani Różę utkwiała. We wzroku tym zlewały się razem w wyraz jeden



zał, gniew i ironia, powleczone obłokiem smętnym. Pani Róża, która z Julisją do końca trafić nie mogła, zwróciła na nią wejrzenie i, omyliwszy się snadź na wyrazie, jaki w oczach jój świecił, rzekła:

— Nieszczęście!

— Nieszczęście! — odparła panna Eufrozyna, z akcentem znaczenia pełnym.

— Co, jak to się stało?

— Jak? w sposób bardzo prosty. Cóż ja? pariaszka, biała murzynka, nau-czy-ciel-ka.—Wyraz ostatni z przyciskiem wymówiła.—Ona mnie odepchnęła i w drogę mi weszła.

— O czém ty mówisz, Fruziu?—zapytała pani Róża, zdziwiona wyrazami, w których najmniejszego z chorobą dziecka nie widziała związku.

— O czém ja mówię? Ach! — odparła i głowę smutnie pokiwała. Gorzko się uśmiechnęła i westchnęła.

Wszystko to byłoby zapewne pani Róży nieco do myślenia dało, gdyby nie zakłopotanie o zdrowie dziecka. Zakłopotanie to sprawiło, że wyrazydziwiły ją, lecz w niej ciekawości nie wzbudzały. Nie zwróciła uwagi ani na akcent odpowiedzi, ani na uśmiechy, ani na westchnienia i kiwania głową.

— Julisia gorączkę ma?—zapytała.

—Ma?—odparła panna Eufrozyna zapytaniem.

— Nie zauważyłaś tego?

— Nie zauważyłam—odrzekła z gniewem tłumionym, jak odpowiadać zwykł szatan egzorcysty.

— Cóżżeś zauważyła?

— Co?—ramionami wzruszyła.

— Dziecko przecie zachorowało i niepokoju cię nabawiło.

— A!—odezwała się, jakby jej nagle przypomnienie do głowy strzeliło.—Tak. Niepokoju mnie nabawiło. Tak... to prawda. Julisia...

— Czy się na jaki gdzie ból skarżyła?

— Nie, nie skarżyła się.

W momencie tym rozległ się donośnie pół basowy pana Tadeusza głos, który następnie gromko i dobitnie wypowiedział wyrazy:

— A dymaj, co konie wyskoczą! Masz czasu dziesięć godzin tam i napowrót! Jeżeli mi się z powrotem o minutę spóźnisz, nie wracaj lepiej.

Słyszec się dał turkot bryczki, połączony z tententem koni.

Pani Róża, na znak zadowolenia, głową zlekka skinęła i do Julisi się zwróciła. Dziecko wciąż zasępione było. Po główce ją pogłaskała, do piersi przytuliła, w czoło pocałowała i znów pannę Eufrozyne rozpytywać się jęła.

— Nie skarżyła się więc, powiadasz?

— Nie.

— Czemużeś ją rzuciła i mnie niepokoju takiego nabawiła?

— Czemu? hm? — westchnęła, zmieszana nieco. — Wytłumaczę ci to później.

— Postrzegłaś coś w Julisi jednak... niedyspozycją jakąś, boć inaczéj nie byłabyś się sama tak przeraziła.

Panna Eufrozyna, do muru niejako przyciśnięta, postrzegła się, że popełniła nedorzecznosc, którą jakoś usprawiedliwić należało.

— A tak, tak — zaczęła — przeraziłam się.

— Czém? — zapytała pani Róża.

— To jest nie przeraziłam się, ale... alem się zmieszała. Nalałam Julisi do filiżanki herbatkę, dodałam śmietanki, dałam jéj sucharek.

— I cóż, czy piła, jadła?

— Nie.

— Czemu?

— Nie wiem, doprawdy.

— Może co niezdrowego przedtém zjadła?

— Nic. Chodziliśmy na przechadzkę, powróciliśmy i natychmiast do herbatyśmy zasiedli. Julisia więc nic nie jadła. Ach! — krzyknęła nagle — poziomki!

— Poziomki — powtórzyła pani Róża tonem uspokojenia.

— Całą króbkę.

— Króbeczkę — poprawiła dziewczynka, patrząc z podełba.

— Zawierającą mniej więcej trzy talérze głębokie.

— Tyś wszystko to sama zjadła? — zapytała matka.

— Dawałam papie, ale papa nie chciał.

— Trzeba było poczęstować mamę, ciocię, pana Pawła.

— Ciocia i pan Paweł poszli sobie na romanse — odparło dziecko.

— Co ty mówisz? — zawołała pani Róża tonem napomnienia. — Pfe! wstydz się! Kto cię nauczył tego?

— Doza taka poziomek, na raz jeden spożyta — podchwyciła panna Eufrozyna z pośpiechem, w celu zagadania odezwania się Julisi i odwrócenia od onego uwagi pani Róży — sprawdzić może chorobę niebezpieczną.

— Sprawić może co najwięcej poty — wtrąciła pani Róża.

— Właśnie też, poty. A przy potach nie łatwiejszego, jak zaziębić się, na wiosnę zwłaszcza. Z zaziębienia pleura, suchoty, następstwa najsmutniejsze.

— Przerażasz mnie!

— Bom się przeraziła sama, przypominam sobie. Siedzę przy stole, państwoście odeszli —

w wyrazach tych fałszywa jakaś zabrzmiała nuta — jam została sama z Julisją. Patrząc, ona potnieje; to mnie tak przeraziło, że ją na ręce pochwyciła, chcąc dziecko odnieść i od przeciągów uchronić.

— Moja Fruziu — odezwała się pani Róża z uczuciem, nie pomnąc na to, że bieganie dokoła stołu dziecko właśnie na przeciagi wystawiało.

Akcent, jaki brzmiał w słowach panny Eufrozyny, matkę za serce ujął.

— Trzeba więc — kończyła — trzeba Julisję do łóżka położyć, okryć i...

— Ja nie chcę do łóżka! — przerwała dziewczynka.

— A, Juleczko — odezwała się do niej panna Eufrozyna upominająco. — Mama każe, a ty wiiesz przecie, że co mama każe, to Bozia każe. Bozia cię ukarze, jeśli nie spełnisz woli mamy; Bozia się na ciebie pogniéwa, moje dziecko.

I opowiadać zaczęła o dészczu siarczystym, jaki Pan Bóg spuścił na Sodomę i Gomorę, które w perzynę obrócił i ziemię pochłonać kazał, a na miejscu, które one zajmowały, utworzył jezioro i na pamiątkę nazwał je morzem Martwém. Dziewczynka się w opowiadanie to wsłuchiwała; oczęta jęj się zaokrągliły; na twarzyćce odmalował się przestrich. A panna Eufrozyna wciąż

opowiadała. Opowiadała o zmienionej w słup soli żonie Lota za to, że Bozi nie posłuchała.

Julisia się mocno do matki przytuliła.

— Mamo — odezwała się półgłosem.

— Co? — zapytała pani Róża.

— Ja do łóžeczka pójdę.

Pani Róża z uśmiechem uznania na pannę Eufrozynę spojrziała; Julisię pogłaskała i ucałowała, i przywoławszy do rozebrania jej bony, ku odejściu się miała, kiedy mała do niej przemówiła:

— Ale przyjdzie do mnie dziewczyna?

— Co za dziewczyna?

— Ta z lasu, co kwiatki moje przyniosła i króbeczkę z poziomkami mi dała.

— Zkąd że ci ją wezmę?

— Niech ona przyjdzie — zaczęło dziecko, znów tym głosem przewlekłym i nosowym, który w dzieciach chimery oznacza.—Niech przyjdzie!

— Nie wiem, gdzie się podziała.

— Niech przyjdzie. Ja chcę, chcę dziewczyny!

— Rozbierz-że się i połóż, a ja pójdę i poszukam jej.

Pani Róża odeszła; bona przystąpiła do rozbiórki Julisi, która, zapomniawszy o deszczu siarczystym i o słupie soli, rozchimerowała się na dobre.

Panna Eufrozyna poczęła po pokoju chodzić i im dłużej chodziła, tém większe okazywała

wzruszenie. Wzdychała, ironicznie się uśmiechała, do samej siebie mówiła i najmniejszej nie zwracała uwagi na chorobę, która się na tém skończyła, że się rozebrała, powtarzając ustawicznie:

— Ja chcę dziewczyny!

Bona sobie rady dać nie mogła. Łagodziła, wdzięczyła się, przemawiała (rzecz prosta, po francusku)—nie nie pomagało. Julisję w łódeczku ułożyła, kołderką ją starannie okryła, sposoby rozmaite wynajdywała i dowcip cały wysilała w tym celu, ażeby dziewczynkę uspokoić; ta jednak coraz mocniej beczała i coraz wyraźniej powtarzała:

— Ja chcę dziewczyny!

---

## VII.

### Kłopoty pana Tadeusza.

Podczas kiedy w pokoju sypialnym zajęcie całe około Julisi się skupiało, w sali jadalnej, przy stole, pan Paweł naprzeciw pana Tadeusza siedział, jeden zadumany, drugi zafrasowany. O czém dumał pierwszy? — zapewne o oczekujących go w niedalekiej przyszłości dniach upojenia w miesiącu miodowym. O' miesiąc miodowy. Moment uroczy!—uroczy jednak nie dla wszystkich. Kawaler nasz nie należał do rodzaju tych szczęśliwców, dla których on posiada tajemnic dużo. Dumał atoli — może o czém inném. Nie będziemy w to wchodzić. Powiemy raczêj, zkąd pochodził pan Tadeusza frasunek, w ten wyrażający się sposób, że siedział nadęty i trzymał w ręku cybuch z fajką zgaszoną. Zapomnienie się takie zdarzało



mu się bardzo rzadko. Ktoś, bliżej go nieznający, pomyślałby, iż go tak dotknęła choroba dziecka. Choroba ta dotknęła go—temu zaprzeczyć nie można; obok tego wszakże, bardziej aniżeli choroba podziałała na niego okoliczność, iż z bawialnego pokoju wyszedł z konceptów zapasem ogromnym i zapasów cały do kieszeni schować musiał. Biedny człowiek! Polecam go litości czytelników, niemasz bowiem przykrości dotkliwszej, nad niemożność ulokowania konceptów, obsiadających język. Przykrości podobnej doznaje myśliwy, gdy mu na panewce spali. W razie takim człek ma ochotę strzelbę o ziemię rzucić i tём sobie jeno folguje, że klnie na czём świat stoi. Pan Tadeusz zakląłby—ale nie wypadało: nie pozwalała na to przyzwoitość wobec świadka, prawie już szwagra, ale nie szwagra jeszcze. A możeby go, wyrzuciwszy z ust kilka „kroćset” i kilka „tysięcy diabłów,” do siostry zraził. Trzymał więc język za zębami i powściągał w sobie ochotę rznięcia cybuchem o ziemię, ale nietylę już z powodu obecności świadka, ile dlatego, że żał mu było cybucha, antypki prawdziwej, żał mu było fajki, stambułki niewątpliwiej, żał mu było jeszcze i bursztynu faworytalnego, odznaczającego się tём, że znajdowała się w nim muszka skamieniała, osobliwość, posiadaniektórej lechtalo słodko pana Tadeusza próżność.

Muszkę tu cenil, jak kto inny ceni order. Nie chciał więc, dla uniesienia głupiego, kruszyć tego, co mu tak miłym było. Nadał się tylko jak sowa i milczał.

Aż naraz wchodzi panna Emilia.

We frasunku, jaki go przejmował, nie zważał na nią. W inném usposobieniu ducha byłby ją docinkiem jakimś powitał; tak zaś ani na nią spojrzął, aż się odezwała:

— Tadeuszu, po doktora!

— Albo co?

— Julisia zachorowała.

— Zachorowała, powiadasz, z przestachu chyba? Ta waryatka po sali z nią się uganiała...

— Gorączkę ma. Różia zaniepokojona; kazała mi powiedzieć tobie, ażebyś doktora sprowadził jaknajprędzej.

— Hm, niema co. Kiedy po doktora, to po doktora. Pawelku — zwrócił się do gościa, który wstał, gdy panna Emilia weszła — a co? Hej! — krzyknął.

„A co” znaczyło pożalenie się na kłopoty małżeńskie i zarazem przestrożę dla małżonka przyszłego; „hej!” odnosiło się do lokaja nieobecnego, który téż wnet, po zabrzmieniu okrzyku, pojawił się na progu i wysłuchał rozkazu następującego:

— Niech Maksym natychmiast konie do nejtyczanki założy i po doktora pojedzie.

— Słucham—odrzekł lokaj.

— Tylko duchem— dodał pan Tadeusz.— Natychmiast!

— Parę?—zapytał lokaj.

— Głupiś — odparł pan.—Parę? jeszcze co. Gdy jeden padnie, to jeden tylko zostanie. Cztery... rozumiesz? w poręcz.

— Słucham.

— No!—głową skinął.

Lokaj znikł, a pan Tadeusz odchrząknął i do panny Emilii się zwrócił.

— Cóż tam Julisi? czy co niebezpiecznego?

— Gorączka. Rózia zaniepokojona.

— Przestraszyła ją panna Eufrozyna; dziecko przed chwilką zdrowiuteńkie było... Ale coż się tam z Fruzią dzieje? Co jej się stało? W sposób taki nie obchodzi się z dziećmi choremi. Gdybym jej był drogi nie zastąpił, byłaby dotychczas jeszcze dokoła stołu z Julisią na rękach latała. Oszalała, czy co!

Wygadał się, a gadał w próżni, nikt go bowiem nie słuchał. Młoda para, jedno jedną, drugie drugą stroną stołu, szli powoli i spotkali się przy oknie, przez które dwiema ócz parami na podwórzu patrzeć poczęli. Na podwórzu do widzenia nie było nic osobliwego. Same rzeczy powszednie i doskonale znane. Po środku kłęb, drzew kilka, krzewy. Tam się charcięta ścigały i, gdy jedno

drugie dopędzało, koziołki wywracały. Owdzie pawie, ogony za sobą włócząc i szyje wyciągając, poszukiwania na ziemi czyniły. Z boku ukazał się kucharz, niosący na ręku radli kilka, zawierających prowizye na wieczerzę. Wgłębi, przed stajnią, furmani konie zaprzęgali do nejtyczanki i do koczyka kawalerskiego. Wszystko to były rzeczy obojętne, z wyjątkiem ostatniej, która na siebie uwagę panny Emilii zwróciła.

— Pan odjeżdżasz? — odezwała się półgłosem.

Pan Paweł głowę na znak potwierdzenia pochylił.

— Przed kolacją? Czy interes jaki pilny?

— Interesów pilniejszych, jak pod dachem, pod którym pani przebywa, niema dla mnie obecnie na kuli ziemskiej. Ale...

Panna Emilia spojrzała nań wzrokiem, jakim rozkochani spoglądać zwykli. Wzrok ów ma swój akcent właściwy. Mam-że go opisywać? Obejdzie się bez tego; natomiast przytoczyłbym odpowiedź panny Emilii, gdyby ona była co odpowiedziała. Odpowiedziała jednak spojrzeniem tylko i na tem poprzestała. „Kochanko moja, naco nam rozmowa?” Kochali się snadź młodzi. To i dobrze, jeżeli się w rzeczy saméj kochali.

Panu Tadeuszowi dłużyć się poczęło, wstał więc, w wąsy dmuchnął, odchrząknął, ręce w kieszenie wsunął i w odniesieniu do pary młodej

spełnił funkcją klina. Stał, po podwórzu okiem powiódł, miał ochotę na Maksyma za niedość śpieszne zaprzęganie się gniewać, lecz właśnie Maksym, na koźle już siedząc, lejce zbierał i po batog sięgał. W chwilę później nejtyczanka, przez cztery tęgie mierzyny ciągniona, przed gankiem się zatrzymała. Pan Tadeusz przez okno furmanowi dał instrukcją szczegółową.

— Hi!— huknął Maksym.

Konie z miejsca czwałem się kopnęły.

— Czyś nie zamało dał furmanowi czasu?— zauważył pan Paweł. — Toć to mil pięć opętanych. Pięć tam, pięć z powrotem.

— Ho, to rzecz nie moja. Ja konie ryzykuję, do niego należy rozkaz mój wykonać.

Pan Tadeusz opinią swoją wypowiedział i zajmowanego stanowiska nie opuszczał. Upłynęło chwil kilka. Koczyk pana Pawła zaprzężony czwórka w leje od stajni odjechał i z boku się zatrzymał, oczekując na ukazanie się pana na ganku. Towarzystwo składało się z trojga osób w kupce stojących i milczących; niebawem powiększyła je osoba czwarta. Do sali weszła pani Róża i stała się wnet punktem środkowym ciężkości towarzyskiej. Panna Emilia i dwaj panowie od okna się odwrócili i zwrócili do niej z nabrzmiałemi troskliwością zapytaniami. Do słuchu jej spływały wyrazy:

— Cóż? jakże? Julisia? niebezpieczeństwo?

— Niebezpieczeństwa, Bogu dzięki, niema najmniejszego—odpowiedziała.

— Jakto!—zagadnął pan Tadeusz.

— Niema, Bogu dzięki—powtórzyła.—Dziecko trochę zadużo, króbeczkę pełną, poziomek zjadło i, naturalnie...

— Cóż z niēm ta waryatka dokazywała?— podchwycił pan Tadeusz.

— Wydało się jej... Julisia spotniała, to Fruzię zaniepokoiło, a że się do niej bardzo przywiązała, wyobraziło się jej, że dziecko nagle zachorowało. Ale to nic.

— Nacóżeście mi kazali po doktora posyłać?

— Posłałeś?

— Jakżem posłać nie miał? Kazalaś— odrzekł z akcentem wymówki.

— Prosiłam Emilki, żeby poprosiła ciebie...

— To jest... hm — zaczął ze złym humorem; lecz wnet dobry humor odzyskał i zapytał:— A zatēm doktora nie potrzeba?

— Nie potrzeba wcale.

— Hm, to dobrze — rzekł do siebie.—Maksyma Hryń dogoni i zawróci.

Do drzwi do kredensu prowadzących podszedł, rozkaz tyczący się pościgu rzucił i fajkę sobie podać kazał.

— O to tylko chodzi, ażeby nie marudzić— odezwał się sentencyonalnie — i umieć omyłkę w porę naprawić. Konie się przebiegają, kozacy przetrzęsą, nieszczęście niewielkie. Znajdzie się rada na wszystko.

Usiadł, nogę na nogę założył i fajkę zwolna kurzyć począł. Zawiązała się gawędka o mniemaniej chorobie Julisi i o niepokoju, jakiego choroba ta nabawiła. Ten rzekł słówko, ów dwa. Rozmowa się snuła. Przerwał takową lokaj, który przyszedł z oznajmieniem, że Hryń już „dmuchnął.” Rozmowa znów się rozwiązała i, na mocy naturalnego związku pomiędzy treścią a wypadkami, o pannę Eufrozynę potraçała.

— Uganiała się, jak kotka za sadłem—zauważył pan Tadeusz.

Panna Emilia się uśmiechnęła, pan Paweł w głos się roześmiał, pani Róża w obronie nieobecnej stanęła.

— To z wielkiego do Julisi przywiązania—powiadała. — Wydało się jój, zaniepokoiła się .. głowę straciła.

— Stracić chyba niesposób tego, czego się nie posiada.

Pani Róża ujęła się za koleżanką:

— I jakże ty możesz, Tadeuszu, tak się odzywać o Fruzi, o której na pensyi jeszcze opinia była ustalona? Więcej taktu, jak ta dziewczyna

posiada, znaleźć niesposób i jestem bardzo szczęśliwa, że się jęj wychowywanie Julisi dostało. Jak się ona obchodzić z nią umie! Przed chwilą, na przykład, dziecko, zwyczajnie jak dziecko, rozkaprysiło się, do łóżeczka iść nie chciało. Nie wiedziałam już, co z niem począć. Perswazye, prośby, namawiania moje nie zdały się na nic. Ona sposób wnet znalazła, i to sposób jaki!... Nietylko uspokoiła, nietylko do posłuszeństwa Julię nakłoniła, ale ją nauczyła. Opowiedziała jęj ustęp z historyi świętej i dziecina odrazu się cichą i powolną stała. Podziałało to tak, niby czar.

Pan Tadeusz nie na to do odpowiedzenia nie znalazł. Uznać musiał panny Eufrozyny doskonałość, w głowie mu się jednak pomieścić nie mogło, dlaczego doskonałość ta dopuściła się niedorzeczności takiej.

— Hm — powiadał — hm. Być może... niech i tak będzie. Przyznacie jednak państwo, że osoba przy zdrowych zmysłach nie dopuściłaby się tego, czego się panna Eufrozyna dopuściła. Gdzież tu takt?

Pani Róża tłumaczyła to nagłością zaniepokojenia, lecz pan Tadeusz odwołał się do świadectwa pana Pawła.

— Trzeba było z boku na tę hecę patrzeć. Tyś biegła — mówił do żony — i tyś biegła —



wskazał na siostrę.—Pawełek i ja staliśmy zbo-  
ku i patrzyli. Piérwsze słowo, jakie na widok  
ten Pawełek w ucho mi wsunął, było: zwaryowa-  
ła... Cóż? czy nie prawda? Latała jak waryatka.

Pan Paweł przyznał, że takiem było piérwsze  
wrażenie, i przyznanie to stało się argumentem  
ważnym. Pani broniła koleżanki, nie z takim  
już atoli ferworem.

— Może—dodał po chwilce pan Tadeusz—za-  
świdrowało w nią to, że się Pawełek nie jój, ale  
Emilce oświadczył.

— Tadeuszu!—krzyknęła pani Róża tonem fał-  
szywym.

Fałszywość tonu pochodziła ztąd, że na wiatr  
rzucony domysł męża wydał się jój trochę przy-  
puszczalnym. Mówiła jednak:

— Zkądże to! Gadasz, aby gadać.

— Czemuż ani wczora, ani pozawczora, ani  
nigdy komedyi takięj nie wyprawiała, tylko wła-  
śnie w chwili...

— Zostaw to, zostaw—protestowała pani Róża.

— Przekonać się chcesz?

— No?

— Niech się jój Pawełek oświadczy.

— Żartujesz i żarty zadaleko posuwasz. Fru-  
zia położenie swoje rozumie i ma taktu tyle, że...

— Zaświdrowało w nią, zakręciło. Przeciwno  
temu takt nie może.

Sprzeczka ta małżeńska ciągnęłaby się zapewne długo jeszcze, gdyby tamy nie położył jej pan Paweł, który z kapeluszem w ręku do gospodyni domu z pożegnaniem się zwrócił. Pani Róża prosić go, ażeby jeszcze został, poczęła. On się wymawiał, wypraszał. Do prośb pani Róży przyłączyły się prośby pana Tadeusza. Pan Paweł wzięty został w obroty i po nietyle dłużej, co uporeczywój walce, w którą panna Emilia wyrazistemi jeno spojrzeniami udział brała, wkońcu na swoim postawił. Gdy już na tém stanęło, że pożegnania odwrócić nie można było, pani Róża, podając panu Pawłowi ręce obie, w te do niego z naciskiem wymówione odezwała się słowa:

— Panie Pawle, wyznać panu muszę, że się czuję prawdziwie szczęśliwą, że nie kto inny, tylko pan Emilkę nam zabierzesz.

— O pani! — odparł zagadnięty, kłaniając się — gotów jestem zawiązać z panią sprzeczkę upartą o to, po czyjój szczęście stronie. Milczę jednak, dla braku słów w mowie ludzkiej. Gdyby przemawiać mogło uczucie...

— Przemówi — podchwycił pan Tadeusz, który odzyskał równowagę humoru. — Nie troszcz się o to, poczekaj jeno trochę, a tymczasem z nami wieczerzę spożyj i po wieczerzy, przy blasku gwiazd, marząc i śpiewania słowika słuchając, do domu ruszaj.

Pan Paweł znów wymawiać się musiał. Wreszcie—odjechał. Naturalnie gospodarz go na ganek odprowadził, a przyszła małżonka jego, w oknie otwartém stojąc, wzrok trzymała na unoszącym go koczyku, który się toczył, za karczmą znikł, na grobli się ukazał, następnie na chwilę zamaskowany został przez młyn i wierzby, z poza wierzb jednak wynurzył się i w kołowrocie zatrzymał. Zatrzymanie to stało się dla panny Emilii powodem zdziwienia lekkiego.

— O! — wytechnęła pocichu z głębi piersi.

Nietylko się koczyk zatrzymał, ale pan Paweł przywołał dziada, co wrót pilnował, coś z nim mówił. Cóżby on miał z dziadem do mówienia? Zapytanie to powstało w myśli panny Emilii, lecz na krótką tylko chwilę. Pozostało bez odpowiedzi. Koczyk się potoczył, tumanem kurzawy osłonił i znikł w sinawej dali. Panna Emilia westchnęła, uśmiechnęła się, okna jednak nie opuszczała, słuchając, lecz nie słysząc rozmowy, jaka się pomiędzy bratem jój a bratową zawiązała, pomimo, że rozmowa ta jój się właśnie tyczyła. Pan Tadeusz powiada, że winszować sobie takiego sprawy sercowej obrotu należy. Pani Róża zgadzała się, lecz tego była zdania, że rolę rozstrzygającą odegrało tu nie serce, ale ucho.

— II! — pan Tadeusz na to. — Serce, ucho, to na jedno wychodzi. Koniec końcem, Pawełek

się złapał; gdyby jednak nie ja, toby się to ślimaczyło, ślimaczyło.

W chwili téj we drzwiach ukazała się bona, którą pani Róża przy łóżeczku Julisi zostawiła, i, do pani Róży się zwracając, po francusku przemówiła:

— Pani, nie wiem już co począć, panienczka chimeruje i uspokoić jęj nie sposób.

— Cóż jęj jest?

— Kaprysi, płacze i domaga się jakiegoś *ziewszina*.

— Poproś panny Eufrozyny, ażeby ją uspokoiła.

— Prosiłam.

— Cóż?

— Zwracałam się do panny Eufrozyny trzy razy, ale nadaremnie. Ani tego próbowała. Nie odpowiedziała mi nawet.

— Rzecz dziwna — rzekła pani Róża napół do siebie. — Poproś jęj odemnie.

Bona odeszła. Pan Tadeusz odchrząknął, wąsy dłonią przygładził i rzekł:

— Dzieje się z nią coś takiego, jakby z zawias wyskoczyła.

Pani Róża zaprzeczyć temu nie mogła, że panie Eufrozynie coś dziwnego się stało — coś, co się z przyjmowanem za pewnik przywiązaniem jęj do dziecka nie zgadzało zgoła. Rzecz do wy-

tłumaczenia była trudną, a stała się trudniejszą jeszcze, gdy się po chwili bona znów pojawiła, oznajmiając, że panna Eufrozyna na prośbę pani Róży głuchą się okazała, a powtóre, że ona (bona) nie bierze na siebie odpowiedzialności za następstwa chimer Juli*ki*, która wpada w rodzaj konwulsyj, drapie się, krwawi, z płaczu się zachodzi i ustawicznie o *ziewszinę* woła.

— Co to za dziewczyna? — wtrącił pan Tadeusz.

— Ta, cośmy ją spotkali w lesie z króbeczką poziomek — odpowiedziała pani.

— Ona tu była, gdzie się podziała? Sprowadzić-by ją chyba, żeby dziecko uspokoić.

I miał na lokaja zawołać, ażeby mu stosowny dać rozkać, gdy nagle w pokoju pojawiła się panna Eufrozyna. Wejście jej miało coś uroczystego w sobie. Wsunęła się cicha i dumna, w oczach świeciła łagodność gołębia, na czole jaśniała aureola rezygnacyi. Do państwa Tadeuszosstwa podeszła i głosem spokojnym przemówiła:

— Chcę, łaskawi państwo, opuścić dom wasz; proszę o bryczkę i konie.

Ośłupieli i pani Róża i pan Tadeusz. Pan Tadeusz nadał się i w wąsy sobie dmuchnął; pani Róża, po chwilowém milczeniu, odezwała się:

— Zdaje się, Fruziu, że nie zasłużyliśmy na taki ze strony twojej afront.

Panna Eufrozyna gorzko się uśmiechnęła i odparła:

— Jeżeli mi państwo dobrodziejstwo koni i bryczki odmówią, będę zmuszoną podwody sobie na wsi poszukać.

— Ale nie odmawiamy tobie—zaczęła pani—tylko, doprawdy, nie wiem co myśleć. Spada to na nas tak niespodzianie.

— Niespodzianie — z naciskiem panna Eufrozyna wtrąciła.

— Nie odmawiamy, do jutra.

— Do jutra czekać nie mogę — przerwała panna Eufrozyna.

— Odjeżdżać chcesz dziś?—zapytała pani Róża, w wysokim stopniu zdumienia.

— Niezwłocznie — zabrzmiała odpowiedź, po której nastąpił taki tonem uniesienia powściąganego wymówiony dodatek: — Pod dachem, pod którym doznałam potrącenia nogą, chwili jednej pozostawać nie mogę. Wszystko zniosę, z wyjątkiem upokorzenia. O konie proszę.

Wyrazy ostatnie wymówiwszy, zwróciła się i z pośpiechem odeszła, jakby się lękała, ażeby uniesienie, które ją widocznie przejmowało, nie uniosło jęj zadaleko.

Pani Róża za nią pośpieszyła.

W domu zapanowała cisza wieczorna i w ciszy tej rozlegało się lkanie dziecinne, przeplatane

krzykami przeraźliwemi, w których brzmiał wyraz: „dziewczyna!” Panna Emilia po pokoju chodzić poczęła; pan Tadeusz fajkę kurzył — kurzył powoli, spokojnie, aż nareszcie odezwał się:

— Otóż się tam Różia w opałę dostała! Z jednej strony Julisia, z drugiej panna Eufrozyna. Ta chimeruje, a ta...

— Co jęj się stało?—zapytała panna Emilia.

— Co? Mówilem.

— Czyżby była taką, taką (powiedzieć chciała: głupią)? Czyż widziała jakie bodaj najmniej-  
sze podobieństwo?

— A! — odparł, rękę, z gestem lekceważenia oznajmującym, podnosząc.—Po-do-bień stwo? Po-dobieństwo często zastępuje zachcianka. Ho ho! Czy to tak bardzo wielkiem było podobieństwo, ażeby się Pawełek tobie oświadczył? Zachciało się tobie, mnie, Rózi, manewrowaliśmy i wymanewrowali.

— Przypuszczasz więc, żeby było można wymanewrować i dla niej? — zapytała, z akcentem wymówki, gniewem zlekka zabarwionęj.

— Może, kto wie. Dosyć, że owo manewrowanie widziała i byłaby niezawodnie wołała, ażeby się takowe odnosiło nie do ciebie, ale do niej. Myślisz że nie? Postaw się na jęj miejscu. Trzymała się do ostatka, aż w ostatku zamki puściły.

Rozmowę tę, świadczącą jako pan Tadeusz nad słabościami natury ludzkiej zastanawiać się umiał, przerwało nagle pani Róży wejście.

— Jezus Marya — zawołała, wchodząc i obie dłonie do czoła sobie przykładając.—Piekło! Ta kobieta naprawdę chyba zwaryowała. Tadeuszu — do męża mowę zwróciła — każ dla Fruzi natychmiast konie zakładać i natychmiast na wieś po dziewczynę posyłać!



## VIII.

### Łuka i wnuczka jego.

---

Poco się pan Paweł w kołowrocie zatrzymał? zapytanie to zadała sobie panna Emilia, lecz pozostawiła je bez odpowiedzi i następnie nie troszczyła się niém zgoła. Rzecz to wszakże interesująca była. Pan Paweł kazał furmanowi w kołowrocie stanąć i, kiwnąwszy na dziada, co wrota otworzył i postawę pokorną przybrał, w następujący go zagadnął sposób:

— Słuchaj-no, dziadu, powiedz ty mi, która u was we wsi dziewczyna najpiękniejsza?

Dziadowi wydało się, że mu się przesłyszało. Że zaś pana pytać nie śmiał, więc udał głuchego i, głowę przechylając, palcem sobie na ucho pokazał i westchnął.

— Nie słyszysz, dziadu?

— Nie, proszę jaśnie wielmożnego pana.

Odpowiedział na zapytanie, wymówione głosem zwyczajnym. Na to jednak pan Paweł uwagi nie zwrócił i głos podniósł, powtarzając, co pierwszy raz powiedział.

— Dziewczyna najpiękniejsza?—rzekł dziad, w oczy panu Pawłowi patrząc.

— Tak. Kosy czarne, oczy niby ciemne bławatki, brwi niby malowane. Czy jest tu taka?

— Oj, czy jedna! jest tego dużo.

— Niekażda wszakże piękna.

— No nie. Trafia się i taka, że, patrząc na nią, splunąć się chce.

— A taka, co to od niej oczu oderwać nie można?

— Trafia się i taka.

— Któraż z pomiędzy nich najbardziej oczy ludzkie w siebie bierze?

— Która? hm?..—dziad się w głowę drapać począł.—Którażby to? I ta harna, i ta harna i ta ne pohana.

— Wiész że ty, dziadu, co?—zaczął pan Paweł.

— No?—dziad uwagę natężył.

— Dowiedz się, która to pomiędzy dziewczętami tutejszemi najpiękniejsza, a jak ja tędy za dni dwa przejeżdżać będę, powiedz mnie; ja cię za to wynagrodzę. Tymczasem masz oto na zادةk, jakoteż na to, ażebyś nie rozgadywał przed ludźmi, o czém mówiłem z tobą.

Rzucił dziadowi półrubla i powiedział „wio!” furmanowi. Konie ruszyły—koczyk się potoczył.

Teraz-że, zapytujemy: co znaczyć miało to rozpytywanie się o dziewczynę najpiękniejszą ze strony człowieka, który się oświadczył przed chwilą? Była-li to ciekawość prosta? Zostawiamy to do obrachunku przyszłego, a przechodzimy do opowiadania zdarzenia, wiążącego się z opowieścią naszą bezpośrednio. Zajęliśmy się panami i paniami i spuściliśmy z oczu dziewczynę w chwili, kiedy ona, z odwrócenia od niej uwagi korzystając, z dworu drapnęła. Gdy nieopodal od stajni przechodziła, zabrzęczały jej w uszach zaczepki służby stajennej, do żarcików z dziewczętami tak pochopnej—nie zrozumiała jednak wyrazu ani jednego. Całą duszę włożyła w nogi. Przepraszam za tę w nogach duszę, ale to się tak mówi, dla oznaczenia wypadku, w którym człowiek na nogi najwięcej liczy. W takim właśnie wypadku znajdowała się Maryna, a był to wypadek tém dla niej drażliwszy, że, nosząc, zwyczajem wieśniaczek podolskich, „podtoczkę,” nóg wyciągać nie mogła. Wieśniaczki w razach takich w ten sobie pomagają sposób, iż koszulę wyżej kolan podnoszą. Maryna, w zmieszaniu wielkiem, w jaki ją pobyt w domu wprowadził, zapomniała o sposobie tym i zmuszoną była zastąpić go innym. Zamiast nogi wyciągać, szybko

stawiała kroczyki drobne, co na oko sprawiało złudzenie, że się wydawało, jakby się na kółkach toczyła. Tak się toczą dziewczęta wiejskie w tańcu. Nazywa się to: „drybuszczka” i uchodzi za sztukę w zakresie choreografii sielskiej. Ta tanczniczka za najlepszą jest uważana, która najlepiej sztukę tę posiada.

Maryna pomykała — podtoczka jój wydawała szelest, podobny do szelestu targanego wiatrem płótna. Ziemi pod sobą nie czuła. Szczęściem dla niej, nie ściągnęła na siebie uwagi psów i dlatego bez szwanku wydostała się z podwórza, wybiegła na ulicę, czesała wzdłuż płotów i rowów, mimo pokrzyw, brzoź i dendery, aż wpadła we wrota zagrody, otaczającej chałupę, przed którą na przyźbie siedział wieśniak w tym wieku, co się do podeszłego zbliża, ale się podeszłym nie nazywa jeszcze. Po podwórku chodziły kury i dziobały, zboku stała krowa i z niepokojem spoglądała, z chlewów odzywały się raz cielę, znów owca, przed progiem leżał pies wyciągnięty.

Dziewczyzna wprost się do przyźby zwróciła i, obok wieśniaka usiadłszy, ciężko z głębi piersi odдыchać poczęła.

— Zabawiłaś się gdzieś — odezwał się ten ostatni po chwili.

— Ach — odetchnęła przeciągle. — Do lasum z króbeczką na poziomki chodziła.

— Przychodzisz bez króbeczki?

Po chwili, gdy dziewczyna wyjaśnienia nie dawała, wieśniak odezwał się znów:

— Czy cię jaka, broń Boże, przygoda spotkała?

— Ach! dziaduniu — odparła.

W wykrzyku tym nie zabrzmiała ani trwoga, ani skarga, wieśniak więc nie pytał więcej, poczekał aż się dziewczyna wydychała i rzekł:

— Kury, krowa, owce.

Maryna, jakby ją z przyżby mina wysadziła, tak skoczyła i po chwili słysząc się dał głos jej o dźwięku srebrzystym, wołając: ciurrr! Kury się dokoła niej zbiegły, ona im z rzeszota pośladu garści kilka sypnęła. Po załatwieniu się z kurami do chałupy weszła, kwadransa nie zabawiła i ukazała się z dojnicą w rękę. Cielę z chlewa wypuściła i wraz z niem do krowy przystąpiła; ona ze strony jednej, ono z drugiej szturm przypuścili do wymion, z których do dojnicy polały się strugi płynu białego. Gdy to skończyła, do owiec się wzięła, krzątając się po podwórku z naczyniami, które napełniała, wypróżniała, z jednego do drugiego przelęwała, ustawiała, porządkowała, uwiłajała się z robotą, która, jak to powiadają, w rękę się jej paliła. Po podwórku się kręcąc, cochwila zaglądała do chałupy, gdzie, w postawionym przy progu piecu, gorzał ogień, a przy płomieniu stało garnków kilka, w których woda zakipiała.

Więc kartofle skrobała, jagły przesypywała, omastę przysposabiała, jedno wkładała do garnka jednego, drugie do drugiego, soliła, kosztowała, wreszcie dzieżę dnem dogóry na środku izby postawiła i na dzieży chleb położyła.

Na dworze jeszcze niezupełnie się było ściemniło; w izbie jednak, mimo czystych okienek i otwartych drzwi, panował już zmrok, w piecu bowiem płomień zgasł; dziewczyna więc łuczywo zapaliła. Jak skoro łuczywo blask żywy rzuciło, w téjże chwili próg przekroczył wieśniak, który, wchodząc, głowy we drzwiach uchylił, ażeby się czołem o odźwierek nie uderzyć; czapkę zdjął, nogą pieńiek zpod ławki do dzieży przysunął, przeżegnał się, usiadł i chleb krajał, podczas gdy dziewczyna krupnik jaglany z garnka do misy naląła i sama z przeciwnój usiadła strony. Wieśniak i dziewczyna z misy łyżkami drewnianemi czerpać jęli i w milczeniu z apetytem spożywali jadlo, którego przyprawę najlepszą stanowiło spracowanie. Chłop nasz jada powoli; wieczerza się przewlekła, zwłaszcza że po misie piérwszėj nastąpiła druga, a gdy ta wypróżnioną została, łuczywo zgasło i biesiadników ogarnęła ciemność. Nie wstawali jednak od dzieży. Dziewczyna do wieśniaka się przysunęła i westchnęła.

— No?—odezwał się wieśniak z akcentem zapytania.

— Och! gdybyście wy, dziaduniu, wiedzieli...  
gdybyście wiedzieli!

— O czém?

— Com ja słyszała...

— Gdy powiesz, będę wiedział.

— Słyszałam ja — zaczęła — śpiewanie takie,  
że chyba aniołowie w niebie piękniej nie śpie-  
wają!

— W lesie?

— Gdzież tam. A było to śpiewanie i granie;  
jedno się z drugim łączyło, jedno drugiemu od-  
powiadało, jedno drugie zaczepiało niby, a oba  
razem płynęły, płynęły... i we mnie niby wpły-  
nęły. A mnie się, dziadusi, zrobiło tak, jakby  
to dusza moja śpiewała i grała. Nie wiedziałam  
sama, czy żyję, czy nie żyję.. i wolałabym nie  
żyć, ażeby ino tego śpiewania i tego grania słu-  
chać a słuchać. Ach! dziaduniu!

— Gdzież się to przytrafiło tobie?

— Wydało się mi — odparła, na zapytanie  
dziadka nie odpowiadając, ale raczej przed sobą  
samą sprawę z uczuć własnych zdając — że się  
niebo otworzyło.

— Gdzież się to przytrafiło?—powtórzył wie-  
śniak.

— Niebo—ciągnęła dalej—któregom nie wi-  
działa, ale które we mnie niby, dziaduniu, spły-  
wało.

Wtém słyszeć się dało silne do okienka puka-  
nie. Pies, który wieczery asystował, szczeknął  
i zerwał się, lecz wnet przycichł, przez wieśniaka  
wyrazem „zasię” skarcony. Z za okienka ode-  
zwał się głos z akcentem zapytania:

— Nie śpicie tam jeszcze?

Był to głos dobrze znany esauła, zapowiadają-  
cego pańszczyznę i roznoszącego po chałupach  
rozkazy z ekonomii.

— A no, nie—odpowiedział wieśniak.

— Zaświećcie jeno!

Esauł zazwyczaj do chałup nie wchodził.  
W okienko pukał, rozkaz rzucał i szedł dalej.  
Żądanie przeto, jakie wyraził, przekraczało gra-  
nice porządku zwyczajnego i dlatego zaniepokoiło  
trochę tak Marynę, jak wieśniaka. Rady jednak  
nie było. Dziewczyna wstała i łuczywo zaświe-  
ciła. Esauł do izby wkroczył.

— Pomahaj Bih wam, Łuko—pozdrowił.

— Daj Boże zdrowła — odrzekł gospodarz  
i dodał: — A z czém-to dobrém Pan Bóg was do  
chaty mojej sprowadza?

— Z czém? hm. Naprzód z zapytaniem, z któ-  
rém już do chat bodaj czy nie dziesięciu zagląda-  
łem. Owóz i was, Łuko, pytam. Czy była dziś  
nad wieczorem wnuczka wasza z króbką w lesie?

— A no, albo co?—odpowiedział Łuka tonem  
wahania się.



— Pytam was jeno: czy była?

— Czy to niewolno z króbką do lasu dziewczętom chodzić?

— Nie w tém rzecz. Nie słyszałem o tém, ażeby niewolno było.

— Na grzyby, na poziomki chodziły i chodzą ze wsi baby, mołodyce i dziewczęta wszystkie. Tak od wieków bywało.

— No tak. Nie w tém jednak rzecz, powiadam, ale w tém: czy dziś, nad wieczorem, wnuczka wasza z króbką w lesie była?

— Ta-że—odrzekł chłop, tonem takim, jakim odpowiadają ludzie za język ciągnieni—zdaje się że była.

— I przydybała ją tam dziedziczka?

— Co do tego, o tém nie wiem—odpowiedział Łuka z pośpiechem.

— Przydybała cię w lesie dziedziczka?—zwrócił się esauł do Maryny z zapytaniem.

Maryna, stojąc pod łuczywem w pełnym oświe-  
tlenia płomiennego blasku, znajdowała się w sta-  
nie zaniepokojenia ogromnego, podobnego do te-  
go, w jakim znajduje się zbrodniarz-nowicyusz  
w chwili, gdy władza porządku i bezpieczeństwa  
publicznego na gorącym go chwyta uczynku. Po-  
czuwała się do winy — do winy nieokreślonej ja-  
kiejs i dlatego obawa jój tém większą była. Na  
zapytanie esauła zmieszała się mocno, oczy spu-

ściła, ręce złożyła i wzdłuż przypiecka w ciemny kąt się usunęła.

— No? — tonem ponagląjącym odezwał się esauł.

Łuce się wydało, że wnuczka jego, a jeżeli nie ona, to inna dziewczyna jakaś dziedzicze ubliżyła. Do odezwania się więc esauła dodał ze strony swojej:

— Nie przydybała cię? co? powiedz... powiedz śmiało.

Dziewczyna cienkim głosem odchrząknęła i szepnęła:

— Przy-dy-ba-ła.

— A no — z akcentem zadowolenia wytchnął esauł.—I pannuńcia króbkę od ciebie wzięła?

— Wzię-ła.

— Chwała-ż Bogu. I we dworześ była?

— Byłam—odrzekła głosem zawsze szeptanym.

— I ze dworu-ś bez powiedzenia „bywajcie zdrowi” odeszła? A więc, do dworu z powrotem idź.

Słowa ostatnie wypowiedział tonem, w którym brzmiał akcent żartobliwy. Akcent ten przez pół Łukę uspokoił, a uspokoił go w tym sensie, że wezwania nie wziął naseryo. Myślał, że to żart. Nie przypuszczając wszelako, ażeby esauł dla żartu przychodził, czekał co będzie dalej.

— Do dworu—powtórzył tenże z naciskiem.

— E? — odezwał się Łuka tonem niedowierzania.

— Zbiéraj się i chodź.

Tym razem cienia już żartobliwości nie było. Rozkaz zabrzmiał wyraźnie.

— POCO? — zapytał stary.

— POCO, ha! alboż ja wiem? Przykazano i koniec.

— Toć to już późno, noc. Jutro chyba.

— Zaraz! Jam już i tak czasu stracił niemało, po chatach gdzie dziewczęta są, chodząc i rozpytuując.

— Do kogóż to?

— Do dworu, powiadam! — odrzekł esauł tonem niecierpliwości. — Cóż to, nie rozumiesz mnie? czyż nie mówię po ludzku? Ano, żywo.

Dwa ostatnie wyrazy stosowały się do Maryny, która wciąż w kącie stała, ni to martwa, ni żywa. Właśnie nie rozumiała, o co idzie. Niedobrze zrozumiał i Łuka. Wezwanie dziewczyny pod noc do dworu podejrzenie w nim niejakię wzbudziło. Co to znaczyć miało? Na naleganie przeto esaula uważał za właściwe, dla uspokojenia w pewnym względzie sumienia własnego, w następujący przemówić do niego sposób:

— Nie bierz mi tego za złe, że zapytam ciebie, czy dziewczyna moja, moja wnuczka, siórota, dla której jam jeden pod słońcem opiekun pozostał

i za którą przed Panem Bogiem i przed ludźmi odpowiadam, czy ona wołaną jest do dworu za wiadomością dziedziczki?

— Nie wiem — odpowiedział esauł łagodnie, tknięty tonem przemowy Łuki.—Nie wiem. Ale, ponieważ ją dziedziczka w lesie przydybała, ponieważ ona z dziedziczką do domu chodziła, trudno więc, ażeby o przywołaniu jej dziedziczka wiedzieć nie miała.

— Hm, hm—mruknął pod nosem stary.—Inaczej bowiem—odezwał się wgłos—och! Nie wiem, czego bym się dopuścił.

Nie sposób wypowiedzieć, jakim wyrazy powyższe nabrzmiały były uczuciem. W głębi onych coś głucho zahuczało niby i zawyło. Chłop wyrzekł je i, przez wyrzucenie to jakby sobie na sercu ulżywszy, do wnuczki się odezwał:

— No, niema co. Zbiéraj się, doniu... ja pójdę z tobą.

Zbiéranie się czasu dużo zabrać nie mogło. Maryna odziana była tak, jak przy gospodarstwie po wsi i za wieś chodziła. Łuka pas na sobie poprawił, czapkę na łeb włożył i laskę do ręki wziął; pogotowie do wyjścia wnet było zupełnem. Łuka z esaułem poszli przodem, dziewczyna za nimi.

W dziesięć minut później na ganek dworski wkraczali—wkraczali w momencie, kiedy przed gankiem stał pojazd zaprzężony i upakowany,

a z sieni, przy świecach wyprowadzana, wychodziła w salopie i w kapeluszu panna Eufrozyna. Towarzyszył jój, w roli gospodarza żegnającego, pan Tadeusz. Panna Eufrozyna chustką od nosa oczy sobie cochwila zasłaniała—plakała. Pan Tadeusz szarmanckim być usiłował.

— Proszę pani — mówił — niewymownie mi przykro, że pani na noc odjeżdża.

— I mnie przykro—odparła odjeżdżająca, na ganku się zatrzymując.—Przykro mi wogóle, że dom ten, pod dachem którego tak uroczu przyjaźń mi świeciła, opuszczam.

— A więc... konie jeszcze wyprządz i tłomoki rozpakować można.

— Nie, nie... Skorom się przekonała, że przyjaźń ta była złudzeniem, że napój słodki zmienił się w gorzki, od chwili téj pobyt mój w domu tym stał się niemożliwym. Mimo to—tu chustkę do oczu przycisnęła i wyrazy następujące nawpół wyłkała—mimo to, żal mi... złudzenia... och!.. żal! Ale (wyprostowała się) milcz, serce! Żegnam pana... proszę—wyrazy następujące wymówiła z akcentem ironii złośliwej—pozdrowić odemnie uprzejmie panią Różę i pannę Emilią... i uściskać tę biedną ofiarę, Julisję.

— Ofiarę! Julisję! — wzdrygnął się pan Tadeusz na to.—I czemuż to, proszę pani, Julisia ofiarą być ma? jak? czyją? co?

Wyrazy te były, ze strony panny Eufrozyny, strzałami Parta. W odwrocie je cisnęła i poszła. Nadaremnie ją zapytania ojcowskie ścigały. Nie słyszała, a może udawała, że nie słyszy takich. Do pojazdu wsiadła; lokaj drzwiczki zamknął; masztalerz na konie huknął i odjechała.

— Hm — zamruczał pan Tadeusz gniewliwie i zadumał się.

Niedługo jednak dumanie oddawać się mógł, albowiem jeszcze turkot pojazdu pannę Eufrozyne unoszącego nie ucichł, kiedy się na ganku obok niego pani Róża pojawiła. Wyszła i pierwszym jej słowem było:

— Odjechało więc to pannisko niegodziwe?

— Ano, odjechało.

— Niegodziwa! — powtórzyła z akcentem.— A miałam ją za słodycz i łagodność wcieloną. No widzisz, jak to się zawieść można! Jak na toż, dziecko rozdrażniła. Z Julisią sobie rady dać nie mogę. Cóż -- zapytała wkońcu — dziewczyna owa?

— Posłałem. Kazałem, celem odszukania jej, Howorówkę do dna przetrząść.

— Czemuż nie przychodzi? Ta niegodziwa dziecko w konwulsjach zostawiła.

— Cha! trudno, gdybym wiedział, jak się nazywa, jużby tu od godziny była.

— Nie odszukają jej chyba.

— Ale! — odparł pan Tadeusz tonem protestu. — Odszukać odszukają.

— I niezwłocznie przyprowadzą?

— Przyprowadzą.

Esauł, Łuka i Maryna z boku na ganku stali i rozmowę powyższą słyszeli. Dla Łuki, który domyślił się, że to o wnuczce jego mowa, była ona ulgą znaczną; dla esauła stała się podniętą do kaszlnięcia podwójnego, mającego na celu zwrócenie uwagi pana. Na nic się jednak kaszlanie nie przydało. Zawtórzyło onemu pana Tadeusza chrząknięcie — owo chrząknięcie szlachackie, głośnie, pewne, do grzmotu podobne, wobec którego kaszlnięcie chłopskie zgłuchło, jak głuchnie wystrzał z pistoletu wobec wystrzału z armaty. Pistolet atoli esauła za wygraną po jednej próbie nie dał — ponowił takową. Pana Tadeusza to zniecierpliwilo.

— Co u licha! — krzyknął groźnie. — Kto to?

— To ja, jaśnie wielmożny panie, esauła.

— Poco?

— A toż jaśnie wielmożny pan kazali panu ekonomowi, a pan ekonom mnie, ażeby dziewczynę pod ziemią odszukać. Otżeż ja wziął, taj odszukał.

— Acha! Róziu! — zawołał na żonę, która w sieniach już była — a to masz, czegoś chciała. Przyprowadzono dziewczynę.

Pani Róża na ganek wróciła.

— Chwała Bogu! — rzekła. — Czy tylko ta sama?

— Czy ta, nie ręczę, ale dowiedzieć się łatwo. To ona? — zapytał esaul, palcem na stojącą w cieniu filara postać wskazując.

— Ona, jaśnie wielmożny panie — odrzekł esaul, wyciągając z za słupa Marynę za kark, podprowadzając ją do pana Tadeusza i w ręce mu ją oddając. — O...

Pan Tadeusz, w uradowaniu, że żonie nareszcie dogodził i w obawie, ażeby mu się nie wymknęła, rękę po nią wyciągnął i za ucho ją ujął.

— O — rzekł — nakoniec. Chodź, niech ci się przy świetle przypatrzymy.

Poprowadził załękłą Marynę do ciemnej sieni, z sieni do oświetlonej sali jadalnej i puścił. W sali jadalnej pani Róża, jak skoro na nią okiem rzuciła, wnet zawołała:

— Ona, ta sama! Chodź!

Wezwanie ostatnie do Maryny się stosowało, ale ona przerażona, zahukana, osłupiała, olśniona, ani go nie słyszała, ani się czuła w możności zrobienia kroku jednego. Nie wiedziała, co się z nią działo. Znajdowała się w stanie bezprzytomności i bezpamięci, w którymby nią można było niby piłką rzucać, a onaby palcem nie kiwnęła.

— Chodź-że — powtórzyła pani Róża.

Ona na to nie, ani drgnęła.



— Co ta dziewczyna myśli sobie? — zwróciła się pani Róża do męża.

— Chce widocznie, żebym ją dalej poprowadził tak, jak przyprowadziłem tu.

Rzekłszy to, ujął ją, nie za ucho już atoli, ale za ramię, i za sobą pociągnął.

Dziewczyna się nie opierała zgoła — szła i znalazła się niebawem w izbie, w której rozległ się rytmiczny płacz dziecka. Powtarzał się w takt z przerwami, w których śpiewanym przez nos sposobem odzywały się wyrazy: „Ja chcę dziewczyny!” Miejscem, gdzie się to odbywało, było łóżeczko palisandrowe, pod ścianą ustawione; przy łóżeczku stała bona Francuska, panna służąca Polka i jeszcze jedna z garderoby kobiéta i jedna po drugiej przemawiały to po francusku, to po polsku, prosząc, grożąc, bajki opowiadając, lub piosenki śpiewać zaczynając. Przedmiotem, do którego się prośby, groźby, opowiadania i śpiewy zwracały, była Julisia.

— Masz dziewczynę — rzekła pani Róża, do łóżeczka podchodząc.

Dziecko zachlipnęło się płaczem razy parę jeszcze i w postawioną przed niem przez pana Tadeusza Marynę oczęta utkwilo.

— Masz — dodał pan Tadeusz.

Bona, panna służąca i kobiéta z garderoby od łóżeczka odstąpiły. Pani Róża nachyliła się,

dziewczynkę po główce pogłaskała, w czółko ją pocałowała i przemawiała do niej:

— Cicho, uspokój się, dziewczyna przy tobie zostanie.

— Zo-sta-nie? — wyjąkało dziecko.

— Zostanie; uspokój się tylko i zaśnij.— A do Maryny się zwracając, dodała: — Stój że tu, przy łóżeczku, i ani na krok się nie oddalaj.

— Póki dziecko nie zaśnie — wtrącił pan Tadeusz.

— Nawet jak zaśnie — podchwyciła pani Róża — obudzić się bowiem może. Przewidywać należy, iż po rozdrażnieniu takim, Julisia niespokojny sen będzie miała.

Zalecenie Marynie, ażeby od łóżka nie odchodziła, powtórzyła i wraz z panem Tadeuszem z pokoju się wyniosła.

## IX.

### Tik-tak, tik-tak.

---

Julisi do zaśnięcia potrzeba jeno było uspokojenia się chwilowego. Na uspokajanie dzieci w takich, jakie ją spotkało, rozdrażnieniach, są sposoby rozmaite, a pomiędzy innemi ten, że się im pokazuje przedmiot jaki błyszczący. Rolę przedmiotu tego rodzaju odegrała Maryna. Za ledwo państwo Tadeuszostwo próg przekroczyli, aliści dziewczynce oczęta się klęić poczęły. W chwilkę później spała już.

Maryna przy łóżeczku Julisi przytomność umysłu odzyskiwać poczęła. Była ona dziewczyną całkiem rozgarniętą, ale tylko młodą jeszcze, nieświadomą, świata ani trochę nieznającą, z ludźmi nieobytą, panów zdaleka tylko widującą lub dowiadującą się o nich z bajek, przytém z natu-

ry swojej należącą do tego istot ludzkich rodzaju, który nazywają powszechnie „tumanowatym.” Tumanowatość bywa rozmaita. Jedna pochodzi z braku jednej lub pary klepek w głowie; druga ztąd, że w duszy tkwi coś, co się wydaje lepszym, piękniejszym i droższym nad wszystko na świecie, co uwagę całą pochłania, istotę całą przejmuje, co zachwyca, podnosi, rozwesela, zasmuca, drażni, uspokaja i niby gdzieś w dali świeci, nakształ gwiazdy onej przewodniej, wabiącej za sobą w nieznanne, zagadkowe światy. Czémś tém dla Maryny naszej były tony; niewszystkie jednak i niewszystkie w jednakim stopniu. We względzie tym zachodziły warunki pewne, dotyczące się czystości i szykowności, których ona bezwiednie poszukiwała, które wśród brzęących w słuchu jej odgłosów natury podsłuchiwała. Młodość, niedoświadczenie, nieobycie się z ludźmi, w połączeniu z tém osobliwem usposobieniem duszy, sprawiały, że lada co w pomieszanie ją wtrącało.

To zresztą, co ją spotkało, bynajmniej lada czém nie było. Wejdźmy tylko w jej położenie. Czy nie było to położenie żrebaka dzikiego, pojmanego i wprost ze stada pomiędzy ludzi sprowadzonego? Wiadomo, jak się zachowuje żreback taki, który na swobodzie brykać, a w potrzebie ugryźć i wierzgnąć umie, wśród ludzi zaś grzywa

mu się zjeża, uszy niby kołki stają, oczy w ślup idą i zaponina, że natura zaopatrzyła go ku obronie w zęby i kopyta. W takim samym położeniu znalazła się Maryna, a położenie to w ten wyrażała sposób, że ruszała się o tyle, o ile prowadzoną i popychaną była. Doprowadzono ją do łóżeczka, postawiono; coś do niej mówiono, czego ona nie rozumiała, i zostawiono. Dziecko zasnęło. Niebawem we dworze całym zapanowała cisza głucha, cisza w której rozlegało się jakieś dla dziewczyny niezrozumiałe dygotanie w takt idące—tik-tak, tik-tak. Dygotanie to najpierwsze uwagę jej na siebie zwróciło. Wydało się jej, jakby duch jakiś przyjazny z pomocą do niej pośpieszył. Dygotanie szło i myśli jej w głowie porządkowało, układając takowe niejako w strofy, w kuplety, lubo w nich wyrazu mowy ludzkiej nie było ani jednego. Dziewczynie się na płacz zbierać poczęło i byłaby niezawodnie zapłakała, gdyby nie dygotanie tajemnicze, które stanowiło niejako dla poczynającego się potoku jej myśli zgóry przysposobione łożysko. Łóżyskiem tém potok zrazu się sączył, następnie płynął. Dziewczyna sformułowała wykrzyknik.

Obejrzała się dokoła. Postawiona w kącie lampka nocna pozwoliła jej widzieć przedmioty pokój wypełniające. Widziała stoły, krzesła, szafę, kanapę, obrazy na ścianie, zwierciadło, fran-

ki w oknach, wreszcie pod przeciwległą ścianą łóżko zasłane. Nie zajęło jęj nic szczególnie, ani nawet barwistość kołdry adamaszkowęj, odbijająca od śnieżystęj białości poduszki, obciągniętęj poszewką batystową. Wodziła po sprzętach spojrzeniem obojętnęm, aż zatrzymała takowe na sprzęcie od nięj najbliższym, na łóžeczku. W tym dopięro momencie w oczach jęj pokazało się zajęcie. Na łóžeczku zobaczyła dziecko, dziewczynkę uspioną, niby z obrazka wyjętą, rzuconą od niechcenia śród białych obsłon, które się na postaci jęj w draperye układały. Dziewczynka wyglądała cudnie w uspieniu głębokiem, cichęm, spokojnęm; twarzyczkę jęj zabarwiał rumieniec, na czole przewijały się w nieładzie smugi włosów, usteczka miała w pół-otwarte, a kiedy Maryna na nięj spojrzenie zatrzymała, przez sen się uśmiechnęła.

— Serce moje!—westchnęła dziewczyna.

Sama się uśmiechnęła i wpatrywać się jęła. Widok dziecka zajmował ją coraz-to mocniej, zajmował i rozrzewniał. Z uczucia, jakie ją przejmowało, nie zdawała sobie sprawy, oddawała się jeno onemu bezwiednie i szeptać poczęła te wyrazy, które wieśniakom służą do oddania tego rodzaju uczucia. Przemawiała do śpiącęj:

— Serce, lubko, duszko, zorzeńko. )

Wyléwała w wyrazach tę słodycz, jaka jéj serce przepelniała.

— Jak ono śpi! Cóż to za ono?

Zadała sobie zapytanie to i odpowiedź sama przez się znalazła się w świeżo minionych upłynionego wieczora wspomnieniach. Śród wspomnień tych jedne były rozkoszne — ach! to na przykład, co jéj naksztalt podzwonnego w uszach brzmiało; nie brakło jednak i przykrych, bardzo przykrych, ujęcia przez esaula za kark, ujęcia przez pana Tadeusza za ucho, potrażać i popychać. Wszystkie one atoli wydały się jéj, jakby szeregiem prób—prób onych, przez jakie, wedle skazek, przechodzą bohaterowie, zanim się dostaną do zamku zaklętego.. Czula się wynagrodzoną zupełnie i sownie przez to tylko, że przed oczami miała to dziecko i że przypatrywać się onemu mogła do woli. Przypatrywała się téż, rozkoszowała, a rozkosz jéj tłumaczyła się zapomocą tonacyi jakiegóś, ujętój w strofy czy kuplety, układające się w takt, wedle tajemniczego owego dygotania—tik-tak, tik-tak.

Nagle w słuch jéj wświdrowało się jakieś szypienie. Zimna trwoga ją zdjęła. W wyobraźni jéj nastąpiło zamieszanie, które, zanim przeminęło, szarpnięciem niespodzianie zostało tak, że dziewczyna drgnęła, przysiadła trochę i w przerażeniu ręce wyciągnęła, jakby się niemi przed niebez-

pieczeństwem jakięms zasłonić chciała. Szarpnięcie to sprawił odgłos dzwona, który się dał słyszeć w ciszy nocnej. Nastawiła się z gestem ochronnym nad łóżeczkiem, ale dziecko ani drgnęło. Spało jaknajspokojniej, pomimo że się szypienie wciąż odzywało, że dzwon wciąż bił. Kiedyż się to skończy?... Skończyło się wreszcie i na miejsce szypienia i dzwonienia powróciło dygotanie.

— Co to?—zapytała sama siebie i westchnęła. Znow się po izbie oglądnęła, jakby szukała w niej przyczyny tych zjawisk, które ją przerażały i dziwiły. W izbie nic zjawisk tych nie tłumaczyło. Zresztą działy się one za ścianą, gdzieś w głębi dworu, w której podejrywać się jęj dały jakieś tajemnice, jakieś moce czarodziejskie, działające w porze nocnej. Puściła wejrzenie w kierunku drzwi nawpół otwartych i ujrzała tam ciemność, otchłań czarną, straszną. Spojrzała w okno — i tam otchłań. Na myśl jęj przyszło uciekać—w chacie, pod skrzydłem dziadka, schronienia szukać, ale ruszyć się bała. Gdyby nie to, byłaby z pewnością zamiar swój do skutku przyprowadziła. Nie uczyniła tego dla tęg jedy nie racyi, iżby się za żadne świata skarby nie odważyła przekroczyć progu w ciemności prowadzącego. Zaprzestała nawet zwracać spojrzenia na drzwi i na okna; patrzyła na dziecko uspięne,



znajdując w tém nietylko otuchę, nietylko pocieszenie, ale rozkosz niewysłowioną.

Ale—natura ma prawa swoje. Maryna w chacie swojej od godziny już, jeżeli nie dłużej, byłaby na ławie, radeńkiem okryta, snu zażywała. Natura tego wymagała. Chłopka wcześniej się kładzie i wcześniej wstaje. Natura więc jęj, mimo przestachu i zadziwienia wszelkiego, o prawa się swoje upomniała. Maryna na powiekach uczuwać niby ołów poczęła. W wyobraźni jęj zacięrały się przewidywania i wnioski przestraszające; w uwadze głuchło owo dygotanie, które ją najpierwsze zajęło, a które przytęm powszedniało powoli, ani na chwilę nie ustając. Do tego dołączyło się uczuwanie niedogodności pozostawiania na nogach. Dziewczyna zapragnęła usiąść, przysiąść — bodaj przykucnąć. Kolana się pod nią uginały. Oglądnęła się. Tuż obok łóżeczka stało krzesło, na którém, celem uspokajania Julisi, siedziały pani Róża, bona, panna służąca. Maryna o tém, żeby na niem usiadła, ani pomyślała. Do głowy jęj to nie przyszło. Widziała kanapę, łóżko; gdyby była ujrzała ławkę — nie zawahałaby się wyciągnąć na takowej, lecz sprzęty pańskie wydawały się jęj do oglądania jeno. Patrzyła na nie i oglądała się za ławką, za pieńkiem, za stołkiem wreszcie drewnianym. Nadaremnie atoli oczy jęj we wszystkie kolejno wchodziły kąty, nadaremnie

przesuwały się po podłodze, która się jej przedstawiła, jako ucieczka ostatnia i jedyna. Że była jednak drewniana, to ją zastanowiło. Podłogi drewnianej nie widziała, jak w cerkwi tylko, a w cerkwi— czyli kto na podłodze siada? Ciągnęła ją do położenia się i wyciągnięcia—była jednak przekonana, że to się nie godzi. Położyć się na podłodze, w domu pańskim?

Co to wszelako siła natury może! Maryna ziewała, powieki roztwierała, całego na jaki zdobyć się mogła wysiłku dokładała, w celu utrzymania się na nogach i— nie utrzymała się. Kolana się gięły; chyliła się; razy kilka zasnęła stojąc i budziło ją padanie; wkońcu wszakże upadła.

Dla poetów, dla malarzy, dla rzeźbiarzy piękność uśpiona stanowi przedmiot wdzięczny; powieściopisarze nawet—po piórze bracia moi—korzystają z onego. Skorzystałbym i ja, gdybym władał piórem poetycznym, gdybym umiał piórem malować, gdybym się nie obawiał zepsuć obrazka, jaki tworzyła dziewczyna w zapasce i zgrzebnej koszuli, rzucona na podłodze u nóg łóżeczka, owiana półświatłem lampy nocnej. Spała, niby martwa, snem, który się kamiennym nazywa. Przespała ciągiem jednym godzin sześć, po upływie których przewróciła się na bok jeden, następnie na drugi, oczy otworzywszy, na łokciu się wsparła, przybierając minę taką, jakby na-

słuchiwała. Nasłuchiwała i rozpatrywała się. Zadziwiła ją ciemność, jaka w izbie panowała, pomimo że jasność dzienna świadczyła o sobie smugami światła, tworzącemi kręgi na podłodze. Nie zmiarkowała odrazu, że smugi te wdzięrają się przez szczeliny w okiennicach. Przetarła oczy i usiadła. W przeświadczeniu, że się budzi w chacie dziadka, wstawać zamierzała do gospodarstwa, gdy jednak odzyskała świadomość rzeczywistości, wnet na równe skoczyła nogi i przybrała tę postawę, w jakiej ją pani Róża z wieczora zostawiła. Przy łóżeczku dziecka stanęła i—nie wiedziała, co począć dalej. Zaszła w niej wszakże zmiana niejaka. Co począć, nie wiedziała; zdawała sobie atoli sprawę z położenia o tyle, że wiedziała gdzie jest i bardzoby się dowiedzieć chciała poco?

— Poco ja tu?

Sprowadzono ją umyślnie— o tém wątpliwości nie miała; ale poco? — czy poto tylko, żeby jęć uśpione dziecko pokazać? Nie wydawało się jęć, ażeby taką miała być racya. Nad racyą więc rozmyślała, gdy z rozmyślenia wyprowadził ją turkot bryczki, połączony z tententem koni. Turkot ustał; nastąpiło kołatanie. Ktoś się do domu dobywał. Po chwili słyszeć się dał ruch— rozlegało się stąpanie ludzi, suwanie sprzętów i otwieranie drzwi, następnie chrząkanie i rozmo-

wa. Nagle do pokoju wpadła dziewczyna, pokojówka, chłopka jak Maryna, znajoma jej z powodu tego, okiennice pootwierała i jeła z pośpiechem wielkim porządkowanie czynić, przestawiając krzesła, ściągając prochy i zbierając z podłogi śmiecie różne. Maryna się wejściu jej uradowała i pomówić z nią chciała, w celu dowiedzenia się czegoś o sobie; lecz nawet na zapytanie zdobyć się nie mogła. Dziewczyna uwijała się, niby mucha w ukropie, niezwracając wcale uwagi na obecność Maryny. Prędko czynność swoją skończyła i, jak wpadła, tak wypadła, rzuciwszy jeno na odchodem wyrazów kilka, których Maryna znaczenia nie rozumiała.

Po odejściu pokojówki wkroczyła jejmość, znana we wsi pod nazwą „chrampuski.” Maryna widywała ją zdaleka i wiedziała, że z nią sam diabeł rozmówićby się nie potrafił. Ani próbowała przeto zapytywać jej o co; ona zaś, rzuciwszy okiem na łóżeczko, w którym dziecko wciąż spało, ramionami od niechcienia ruszyła, ironicznie się uśmiechnęła i na krzesle obok łóżeczka usiadła. Niedługo atoli siedzieć mogła, niebawem bowiem do izby weszli: pani Róża w szlafrocuku porannym, w czépeczku białym na głowie i w pantofelkach na nogach, za nią jegomość jakiś łysy w odzieży zakurzonej, a za jegomością tym pan Tadeusz, w szlafroku i papuciach.

— Powiadam konsyliarzowi dobrodziejowi—  
mówiła pani Róża — że Julisia miała atak taki  
gwałtowny, taki gwałtowny, że...

— Cóż to był za rodzaj ataku?—zapytał kon-  
syliarz, przy łóżeczku się zatrzymując i dziecko  
okiem mierząc—nerwowy? konwulsyjny?

— Nerwowy i konwulsyjny razem.

— Trwał długo?

— Zaczął się około szóstej z wieczora, skoń-  
czył około dziesiątej.

— Z przerwami?

— Bez przerwy.

— Uhm—mruknął lekarz, na dziecko uważnie  
patrzac.—Musiała być jednak przerwa, bodaj  
krótka.

— Tak: była przerwa, zapomniałam o tém.  
Dziecina się uspokoiła o tyle, że można ją było  
w łóżeczko położyć.

— A przedtém iść do łóżeczka nie chciała—  
dodał lekarz tonem, jakim się symptomata wypo-  
wiadają.—Okazywała do łóżeczka wstręt.

— Tak, panie konsyliarzu — odrzekła pani  
Róża.

— Musiała się napięrać czegoś.

— Napięrała się, panie konsyliarzu dobro-  
dzieju.

— Uhm—mruknął lekarz, jakby w myśli so-  
bie informacye zaznaczając.

— Czy to co niebezpiecznego?—zapytała matka głosem, w którym brzmiał niepokoje.

— Niebezpiecznego? nie, pod warunkiem zapobiegania atakom podobnym.

Lekarz ujął dziecka rączkę, celem dotknięcia się pulsu.

— Czy zbudzić?—zapytała matka.

— Nie, nie trzeba—odrzekł, rączkę puszcza-  
jąc, a do czołka dłoń przykładając. — Gorą-  
czka.

— Gorączka!—powtórzyła pani Róża.—Mocna?

— Nie, ale wzmódz się może. Cóż ją uspokoi-  
ło? Środek jaki domowy?

Pan Tadeusz chrząknął, a pani Róża odpowie-  
działa:

— O—ręką na Marynę wskazała.—Uspokoiła  
się na widok téj dziewczyny.

— Którój—dodał pan Tadeusz—odrazu odszu-  
kać nie było można.

Lekarz okiem zpedelba Marynę zmierzył i rzekł:

— Sposób doraźny; ja jednak przepiszę dzie-  
cku lekarstwo: będzie to mikstura.

— Mikstura—podchwyciła pani głosem niepe-  
wnym.

— Pani dobrodziejka ma do mikstur uprze-  
dzenie. Będzie to jednak miksturka słodziutka...  
syropek, co trzy godziny łyżka stołowa. Przytém  
proszki... pigułki.

— Byle Julisia zażywać chciała — wtrąciła pani.

— W konfiturze. Bierze się wiśnia i nadziewa proszkiem. Dzieci w postaci tej przyjmują lekarstwa z ochotą. Co się zaś pigulek tyczy, jedna piguleczka do poduszki.

— Jedna tylko?

— Jedna. Nie mam zwyczaju chorych lekarstwami okarmiać. Gdybym zwyczaj ten miał, mógłbym tę jedną piguleczkę na sześć rozdzielić, a skutek byłby ten sam. A zatem...

Znów rozporządzenie powtórzył, z dodaniem diety. Skazał Julisję na klójek, rcsolek z kury, barszczyk lekki, kureczęta, kaszki, jarzynki, kompoty, zabronił jaknajsurowiej owoców niedojrzałych i ogórków zielonych, pozwoił mięso pieczone i duszone.

— Julisia — przerwała pani Róża — zjadła przed atakiem sporo poziomek.

— Zadużo może?

— Króbkę całą — odpowiedział pan Tadeusz.

— Króbeczkę — poprawiła pani.

— Widać, że króbeczka była, jak na dziecko, zawięka. Można jęj dawać poziomek, ale wmiarę.

Słowem, pozwoił jeść „wmiarę” wszystko, co do pożywienia służy, a wchodzi do rodzaju pokarmów zdrowych i posilnych, tak, że zamiast

litanii dłuższej tego co wolno, a czego niewolno, byłby mógł powiedzieć, że wolno wszystko, ale z umiarkowaniem. Gdyby jednak tak był powiedział, byłby na szwank reputacją swoje wystawił. Społeczność nasza w czasach owych domagała się od lekarza, ażeby przepisywał, którą chory ręką ma... nos uciierać. Musiał więc szczególnie wymieniać wszystkie artykuły pożywienia, powtarzając nomenklaturę tę po razy kilka. To wolno, a tego niewolno. Pani Róża dopytywała się wciąż, dowiadywała się o szczegóły śniadań, obiadów, podwieczorków i wieczerzy, o inne jeszcze rzeczy. Lekarz odpowiadał i sam ku drzwiom się zwrócił, lecz wstrzymany jeszcze został zapytaniem:

— Cóż konsyliarz dobrodziej myśli o tój dziewczynie?

Wskazała na stojącą naksztalt słupa Marynę.

— Niczego dziewczyna — odrzekł zapytany.

— Na widok jój Julisia się uspokoiła.

— Niech więc pani dobrodziejka Julisi widoku tego nie pozbawia.

Odrzekłszy to, wyszedł do jadalnego pokoju, w którym przygotowanem dla niego zostało śniadanie, złożone z kawy ze śmietanką, bułeczek, rogalików, obwarzanków, sucharków i innych w tym rodzaju artykułów, służących do zastępowania chleba powszedniego i do osładzania gory-



czy żywota na tym płaczu i zgrzytania zębami pełnym padole. Niezaraz jednak do osłodzenia sobie żywota przystąpił. Piérwój, jako człek porządny, recepty popisał i, popisawszy, radził niezwłocznie posłać po takowe.

— Kogóż poszlę?— mruknął pan Tadeusz.

— Kozaka, duszko, na koniu — odpowiedziała pani.

— Ohm—stęknął ze złym humorem i ramionami rzucił.

Pochodzenie złego humoru było naturalne. Tłumaczyła takowe obecność lekarza, który byłby nie przyjechał, gdyby Maksyma goniącego nejtyczanką i czterema końmi dopędził był Hryń, ściągający konno. Niedosć na tém. Maksym wyruszył czwórka, a powrócił parą końmi: jeden zdechł, drugi zastał, z dwóch zaś pozostałych jeden tylko okazywał się zdrowym. Domyślać się należało, że pod Hryniem koń padł. Okrom tego, cztery konie, konie masztalerza i lokaja, zabrała panna Eufrozyna. Dalój, odwiezienie lekarza neutralizowało zgóry siły ruchome dworskie. Nie brakło wprawdzie koni i ludzi; mimo to, rozgon ów podobać się nie mógł ozłowiekowi, który się miał za zaradnego.

Pan Tadeusz jednak nie dla formy, w mniemaniu własném, głowę na karku nosił. Zły humor więc jego przeminął niebawem; rada się znała-

zła; dał rozkaz i z umysłem swobodnym, z fajką w rękę, zasiadł obok lekarza do gawędki przy kawie.

Gawędka — o! Bez obwijania rzeczy w bawelnę deklaruję, że gawędka tego rodzaju jest, wśród przyjemności rozlicznych, jakie ludzie wymyślili, jedną z najmiłszych. Wobec niej błędą teatry, koncerta i inne zbiegowiska. Szlachcie w dobrym humorze — to mi dopiero rzecz!

Jakoż pan Tadeusz wziął się do bawienia lekarza, przeistoczonego w gościa, i tak go zabawić potrafił, że ten zapomniał, iż noc na bryczce spędził. Wypiwszy atoli szklankę kawy i zjadłszy przytém tuzin sucharków i rogalików, przypomniał sobie o tém. Poprosił o kącik do przedrzemania się. Pan Tadeusz odprowadził go do pokoju gościnnego, zamówił konsyliarza na obiad, zostawił go z lokajem, sam zaś na ganek wyszedł z miną taką, której opisu dokonał czasu onego Stach z Zamiechowa, opisując minę Pana Boga, spoglądającego na ziemię z ganku niebieskiego. Widocznie kontent był sam z siebie.

Ukontentowanie wszakże trwało niedługo. Zamącił takowe Hryń, który się we wrotach ukazał nagle. Pan Tadeusz brwi zmarszczył i kłątwe z ust cisnął. Było-bo dlaczego. Hryń wyjechał na koniu — wracał piechotą; wyjechał na siodle — wracał z siodłem na grzbiecie. Wido-

czn<sup>ym</sup> było, co się stało; mimo to pan Tadeusz, snadź celem spędzenia gniewu, jaki go opanował, krzyknął:

— Hryniu! pójdź tu jeno!

Kozak chwiejnym krokiem ku gankowi podszedł i wraz z kozakiem w tymże samym kierunku zbliżył się wieśniak niemłody. Przyszli i stanęli, jeden z siodłem na ramieniu, drugi z czapką w rękę.

— Dojechałeś szkapie końca! — odezwał się pan Tadeusz do pierwszego.

— A cóż — odparł zagadnięty — jak wielmożny pan kazali, dałem niby ten wiatr; ale i Maksym dmuchał niegorz<sup>ej</sup>. Co cztery konie, to nie jeden. Zrazu szedł, aż miło, ale na trzeci<sup>ej</sup> mili ustawać począł, dalej nogami plątał, wreszcie zwałił się i kopyta wyciągnął. Pewnie, że byłbym dojechał, gdyby nie to.

— Idź, rozmówię się z tobą później. A ty, poco? — zapytał, do wieśniaka mowę zwracając.

— Ja, wielmożny panie — odrzekł ten, w pas się kłaniając — ja do wielmożnego pana przychodzę. Mam tu we dworze wnuczkę.

— Co za wnuczkę?

— Moję, moję własną. Jeden, jak palec ja; jedna, jak palec, ona, ani ojca, ani matki, sierota. A przyt<sup>em</sup>, jest tam gospodarstwo jakieś, ona mi

gospodynią, gospodynią i wszystkiem. Otóż ja do wielmożnego pana przychodzę prosić o nią.

— Co? czego ty się czepiasz do mnie?—odparł pan Tadeusz, nie wiedząc o co chłopu chodzi.

— Wczoraj z wieczora, ba w nocy, esauł mi ją zabrał do dworu.

— A! — przypomniał sobie. — Więc cóż?

— Oddajcie mi ją, wielmożny panie — pokłonił się nieśmiało do ziemi.

— Idź do licha! — burknął pan Tadeusz gniewnie.

— Nie zaprzeczajcie mi dziecka.

— Idź do kroćset! — krzyknął. — Zacóż-to masz dwór? za zapadnię jakąś? Precz!—powtórzył w irytacyi, od której mu wyrazy w ustach drżały.

Wieśniak się tylko wyprostował i panu w oczy prosto patrzył.

## X.

### Osamotniony.

---

W chacie Łuki, do dnia w którym opuściła ją Maryna, panował dostatek. Widzieliśmy tam krowę, owce i kury, widzieliśmy i cielę; nie widzieliśmy atoli wszystkiego jeszcze, a mianowicie wołów pary, woza, nie zaglądaliśmy na tok, do zasieków, do śpichrza. Nigdzie nie okazywały się pustki, pomimo przednówka. Łuka, będąc człowiekiem pracowitym, trzeźwym i oszczędnym, pracował dziś, ale z myślą o jutrze. Szło też u niego wszystko chodem równym, regularnym, w czem wielką pomocą tak dla niego, jak dla wszystkich włościan, była względność ze strony dziedzica, z dziada, pradziada właściciela Howorówki, przyrosłego do gruntu i uważającego siebie za syna tej ziemi, na której się urodził wraz z Łuką, Se-

menem, z każdym, któremu się działo dobrze, i z każdym, co biędę klepał. Zachodziło pomiędzy nimi pokrewieństwo blizkie, naturalne i naturze rzeczy pozostawione, to znaczy, że ani pan, ani chłopie nie uczuwali potrzeby zmiany stosunków istniejących na inne. Nie bez tego, ażeby pan o zmianach, albo raczej o projektach zmian nie wiedział. Wiedział o takowych — w Humanium przecie w szkołach był, a więc czytywał i z ludźmi wykształconymi się wdawał; ale zmiany te przyjmował w sensie wiadomości ciekawych, takich mniejwięcej, jakie dochodzą z Afryki, z wysp oceanu Spokojnego, z Australii i t. p. Nie dostrzegał związku pomiędzy niemi a Howorówką, gdy przeciwnie, związek pomiędzy Howorówką a Howorowskimi uważał za ufundowany od wieków i na wieki. Nazywał się Howorowskim, pochodził z rodu starego i do gruntu przywiązanego w sposób — jak mu się wydawało — nierozzerwalny i samą nierozzerwalnością swoją obowiązujący dziedzica względem poddanych do łaskawości i sprawiedliwości, poddanych zaś względem dziedzica do uległości, uszanowania i ufności. Miał się naseryo za ojca, ale i za pana, a dzięki mechanicznemu dwóch tych ról połączeniu, tolerował sobie pewne lekkie przeciwko sprawiedliwości przekroczenia. Co pan, to nie ojciec; co ojciec, to nie pan. Z tém wszystkiém, rzecz ogólnie bio-

rać, Howorówczanie nie mieli racyi uskarżania się na dziedzica, tacy zaś jak Łuka—gospodarze słuszni—szczerze mu życzyli długiego życia i długiego panowania.

Tém téż przykrzej i boleśniej w uszach Łuki zabrzmiało owo „precz!” rzucone przez dziedzica, jako odpowiedź na jego prośbę.

Pierwszy raz do dworu z prośbą w sprawie osobistój przychodził i oto, co go spotkało.

Zakipiał gniewem wewnętrznym, skutkiem którego podrósł niby. Uczuł, jakby się dogóry podnosił, ręce mu tężały; pochylić się chciał z pokłonem błagalnym—nie mógł; chciał słówko pokorne dorzucić—nie mógł. Mógł jeno odejść precz i uczynić to jaknajprędzej, ażeby, broń Boże, nie dopuścić się czegoś, o czém ani myślał. Zwrócił się więc na miejscu i krokiem pośpiesznym ruszył z powrotem do chaty.

Jakże mu się chata jego pustą, nieznośną wydała!

Na przyźbie usiadł, w dłonie twarz ukrył i w milczeniu godzinę, jeżeli nie więcej, przesiedział.

Nie jemu jednak przystało rozpaczy się oddawać. Wnuczkę mu zabrano—to prawda; ale—zawsze ona, żeby jak, jest wnuczką jego, jego dzieckiem jedyném; zawsze wszystko co, w chacie i kolo chaty, cały dorobek dokonany i cały co

się w przyszłości dokona, wszystko to jój dobro, jój — wiano.

— Jój wiano? — zapytał sam do siebie z akcentem strachu.

Na punkcie tym rodziła się mu myśl wątpliwości, która starego przerażała. Lękał się, ażeby wnuczki jego pan nie wyposażał. Ona piękna taka! Obawa ta wszakże, acz wczęści usprawiedliwiona przykładami dziewcząt, które z dworu za mąż powychodziły, nie była jeszcze powodem dostatecznym do oddawania się rozpaczy i opuszczania rąk, tém bardziej, że dziewczyna dostała się pod rękę dziedzicze. Stanowiło to rękojmię niejaka. Rękojmia ta pocieszała starego. Posiedział przeto, wstał, westchnął, do Pana Boga króciutką w intencji modlitwę zasłał i do roboty się udał.

Dzień przeminał. Wieczorem cielę do krowy, jagnięta do owiec puścił, kurom pośladu sypnął i czekał. Łudził się nadzieją zobaczenia Maryny z dworu uwolnionej. Niestety! Wieczór i noc spędził samotnie, a nazajutrz znów do roboty stanął. Wieczorem dnia jutrzejszego znów się nadzieją łudził. Ale i złudzenie stracił, gdy w odwiedzinach do niego przyszła z sąsiadek jedna i zaczęła go zapytaniem:

— Cóż, Łuko, cieszycie się?

Łuka westchnął i ramionami ścisnął.



— Wiécie?

— O tém wiem tylko, że mi dziewczynę zabrano.

— Przychodziła do mnie dziewczyna moja (sąsiadka we dworze córkę miała) i powiadała...

— Co?—podchwycił Łuka skwapliwie.

— Że wasza przystawioną została do pannuńci, która za nią przepada.

— Do pannuńci?

— Do panienki małej—tłumaczyła sąsiadka—do téj panienki, co to, gdy się patrzysz na nią, zdaje ci się, jakbyś się na aniołka patrzył.

— Cóż ona przy niej do czynienia będzie miała?

— Co? jako co?—zapytała kobiéta zdumiona trochę.

— Juźci nie będzie chodziła tylko.

— Właśnie, że będzie chodziła i naglądała. Panienka przodem, ona za nią, panienka w prawo, ona za nią, w lewo, ona za nią, tędy, owędy, wszędzie za nią.

— Uh—pokręcił stary głową z akcentem niezadowolenia.

— Nie cieszy was to?

— Zabrali mi dziecko.

— Zabrali, cóż ztąd? Nie zabraliby wam, zabraliby komu innemu. Przykim siła, przy tym prawo.

Ostatnie to wyrażenie pozwoliłem sobie zmo-

dyfikować wedle ducha onego. Lud nasz po wiada „Przy kim siła, przy tym prawda,” pod wyrazem „prawda” rozumiejąc „prawo.” Dzieje się to wskutek naturalnego pojęć pokrewnych łączenia w umysłach, niedostrzegających różnicy, jaka pomiędzy jednem a drugim zachodzi. Księżę Bismarck n. p. nie powiedziałby: „Przy kim siła, przy tym *prawda*,” ks. Bismarck bowiem w uniwersytecie nauczył się prawa z prawdą nie łączyć. Dla baby jednak, jak dla Łuki, jak wogóle dla umysłów prostych, prawda była prawem i odwrotnie. Posłuchajmyż, co Łuka na uwagę sąsiadki odpowiedział:

— Ono to tak; z tém wszystkiem wolałbym, ażeby dziewczyna moja od pracy nie odwykła.

— Odwyknie od naszój, zagrodowój, polowój, to nawyknie do innój.

— Ta do jakiej, jeżeli będzie tylko za panielką chodziła?

— Nauczają ją pończoszek pleść, będzie chodziła i plotła.

— Jak Żydówka — wtrącił Łuka i splunął.

— Od Żydówki do pani nie tak to już daleko. Chodzi w pończochach i ta i ta, w sukni i ta i ta. Ot—dodała—dziewczynie waszój, Łuko, zapaskę już zdjęli, a odzieli w spódniczkę. Już ona i zgrzebnój koszuli na sobie nie ma; koszula na niój perkalowa, cieniutka, a niby śnieg biała.

— Widziałaś ją, sąsiadko?

— Zdaleka, w ogrodzie dworskim. Pokazała mi ją moja Frasyńska. Anibym ją była inaczéj poznała.

Łuka westchnął i głową pokręcił.

— Ta ne żurit' sia — odezwała się baba.—  
Przeinaczyć nie sposób; niech się przeto obracają rzeczy na jaknajwiększą wnuczki waszój korzyść. Ta panienska na pannę przy niéj wyrośnie i gdy się do niéj przyzwyczai, gdy ją polubi, kto wie, ażali nie zapewni jéj szczęścia, którem się ona i z wami na wasze stare lata podzieli.

— Nie o takiém ja dla niéj myślał szczęściu.

— Nie tak będzie, jak wy myślicie, ale tak, jak Bóg sądzi.

Na ten wiarą wfatalizm nabrzmiały, a szczerze w umysłach ludu ugruntowany argument nie Łuka do odpowiedzenia nie miał. Wierzył w dopuszczenie Boże, w wolę Bożą, w to, że bez wiadomości Bożej człowiekowi włos z głowy nie spada; a zatém, jak skoro baba w tę potraćila strunę, rzecz za skończoną uważał.

— Niech będzie, jak Bóg chce. Przeciéż zobaczę ją—i zapytał:— Doczce waszój, sąsiado, wolno czasem do was zaglądać?

— Coniedziela prawie dziewczęta dworskie na muzyki się zwalnają. Pójdźcie jeno w niedzielę do karczmy, a napatrzycie się na waszę.

— Nie potrzebuję ja do karczmy chodzić. Przybiegnie ona do mnie.

Nie zawiódł się. Nadeszła niedziela; poszedł Łuka rano do cerkwi i, z cerkwi powróciwszy, Maryny wyglądał. Wyglądał długo, aż wreszcie nad wieczorem wpadła. Byłby jęj nie poznał, gdyby się mu była w objęcia nie rzuciła. Przyłgnęła do niego, objęła go, ścisnęła po rękach, w kolana całowała i płakała. Rozplakał się i on. Ani on, ani ona słowa przemówić nie mogli.

Wreszcie stary zdobył się na uwagę, czy upomnienie:

— Hodi-ż, hodi. Dosyć tego. Czegóż tam płakać? No...

Upominał, a sam płakał. Powstrzymać się usiłował i walkę upartą sam ze sobą stoczyć musiał, aż tego dokonał, że wnuczkę obok posadził i rozpytywać się jął:

— Cóż tam? no? jakże?

— Ta że nic, dziadusiu.

— Przywykłaś już tam, we dworze?

— Bez was! Jakżebym gdzie ja bez was przywyknąć mogła?

— Nie znęcają się tam nad tobą?

— Nie, broń Boże. Ani nie znęcają, ani krzywdzą. Co do tego, o...

— Dobrze ci więc?

— Dobrzeby było, gdyby nie to, że wciąż w głowie mi stoi: co wy tam porabiacie? jak sobie bezemnie rady dajecie?

— Niech cię tam o to głowa nie boli. Przy pomocy Bożej radę sobie jakoś daję.

— Kto krowę doi, kto kurom poślad sypie, kto wam, dziaduniu, obiad i wieczerzę gotuje?

— Nie troszcz się o to. Jam się tak urządził, że na ciebie czekam. Czekam, aż cię z dworu puszcza; wówczas powrócisz i znajdziesz wszystko, jakieś zostawiła: i krowę, i owce i kury; rekawy jeno zakaszysz i do roboty po dawnemu staniesz. Nie wiem tylko...

— Co?— zapytało dziewczę, widząc że się dziadek w język niby ugryzł.

— Czy się tobie robota podoba?

— Dziadusi!—zawołała tonem protestacyi.— Zkąd-że wam coś podobnego do głowy przyszło?

— Przyszło mi ztąd, że, słyszę, przy paniencie lekki chléb jész.

— Prawda, dziaduniu — odrzekła dziewczyna głosem takim, jakby się do winy przyznawała.

— Nogi ci osłabną, ręce ci się wydelikacą, stracisz ochotę do roboty.

— Jeżeli to robota będzie dla was, to... jakżebym ochotę stracić mogła?

— Daj to Boże, daj to mocny Boże!—westchnął stary—tymczasem zaś rozpowiędz mi, co i jak tam się z tobą we dworze dzieje.

Dziewczyna rozpowiadać począwszy, zgóry się przyznała, że co się roboty tyczy, to ta jest żadną. Do niej należy panienkę ubrać rano, rozebrać wieczorem i znajdować się ustawicznie na jej usługach. Przedtém czyniła to bona Francuzka; od chwili jednak, jak ją przyprowadzono, bona się do tego nie wtrąca, poprzestając wyłącznie na pokazywaniu panience na książce z obrazkami, które..... Ach! dziadusiu — wtrąciła z akcentem uniesienia. Obrazek maleńki, malusieńki, a widać na nim koguta takiego, jak nasz i kury takie, jak nasze. Kogut nastawił się tak, że zdaje się słyszysz, jak kury do ziarna zwoluje. Patrzysz i napatrzeć się na to dosyć nie można, tak to malowane, tak ustawione. Szczęśliwi oni, że mają rzeczy takie!

— Kto oni? — zapytał Łuka, pomimo że wiedział, o kim dziewczyna mówi.

— Panowie, dziadusiu; dlatego, że mieć mogą het wszystko malowane. Pomiędzy obrazkami temi, na ten przykład, jest chata, taka niby, nie przymierzając, jak nasza, ale że namalowana, więc taka piękna, że się na nią dosyć napatrzeć niesposób. — Powiędzcie mi, dziaduniu—zapytała po chwilce—dlaczego to?

Łuka za odpowiedź całą ramionami ścisnął.

— I kto to dla nich maluje?—zapytała znowu.

— Muszą być chyba malarze, tak jak są kowale, slusarze, stolarze.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała na to.

Po chwili milczenia dziadek zaczął ją o sposób życia. We względzie tym Maryna nie skarżyła się. U państwa Howorowskich czeladź karmioną była należycie; na trzecim stole podawano jadło proste, ale czysto, zdrowo przyrządzone i w ilości dostatecznej. Omasta była omastą rzetelną, chleb dobrze wypieczony, do zaprawy nie używano surogatów, zastępujących artykuły na ten cel przeznaczone. Był to zwyczaj stary, od którego pan Tadeusz nie odstępował. Co do spania, to także praktykowało się wedle zwyczaju starego, nieznającego ani pokoiów sypialnych, ani nawet łóżek. O konforcie takim dla służby pojęcia nie miano. Płeć męzka lokowała się na noc w stajni, w masztarni, w kredensie, pleć niewieścia w piekarni i garderobie. Wyjątek we względzie tym istniał tylko dla klucznicy i dla bony; panny służące miały łóżka w izbie tej samej, w której podłogę zajmowały pokotem pokojówki. Do rodzaju tych ostatnich należała Maryna, lecz nie sypiała w garderobie z powodu Julisi, która w dzień i w nocy przy sobie ją mieć chciała. Łóżem więc jej sypialnym była podłoga,

obok łóżeczka panienki. Nie zawadzało jęj to zgoła. Podłoga twardszą bynajmniej nie była od ławy w chacie dziadka.

Maryna o wszystkiem tém Łuce opowiadała. Stary słuchał jęj z zajęciem wielkiem i — dodać należy — z zadowoleniem niemałym, pochodzącem ztąd, że widział wnuczkę niewystawioną na niebezpieczeństwa rozliczne, przytrafiające się młodym dziewczętom w zbiorowiskach takich próżniaczych, jakimi były domy szlacheckie. Pod dachem dworu howorowieckiego — rzecz ważna — nie było panicza, któryby pełnił funkcją napastnika bezkarnego. Od napastnictwa służby kredensowej i stajennęj bronił ją stosunek do Julisi. We względzie tym wszystko znajdowało się w porządku, tak że Łuka, któremu się przed oczyma przesuwaly widma rozmaite, uczuł uspokojenie. Kiedy mu wnuczka wszystko rozpowiadała, rzekł:

— To dobrze. Szanuj-że się jeno, a będą ciebie ludzie szanowali.

— O dziaduniu — odrzekła — dziedziczka dobra i dziadzie dobry.

— Trzymaj się dziedziczki — wtrącił.

— Jest tam i panna, panna Emilia, siostra państwa. — Otóż ta....

— Co? — zapytał.

— Ach! dziaduniu, jak ona śpiewa!... Śpiewa i przygrywa sobie na takiej muzyce, co się nazy-



wa fortepian. To taki długi, zakrzywiony stół, który się odmyka i zamyka. Po stole tym bębni się palcami i tyle tylko potrzeba, ażeby stół grał. Ale nie każdy na nim grać potrafi. Trzeba umieć.

— Panna umieć?

— Umieć panna i pani, ale pani nie śpiewa. Śpiewa panna tylko, czasem sama, a czasem z młodym panem z Koszylówki, który podobnoć ją weźmie. Otóż pan ten przyjeżdża, stają razem jedno obok drugiego i dopiero słuchać warto. Ona wyciąga głosem cienko, cienko, a on za nią grubo dosięga. Zkąd się u nich głosy takie biorą?

— Państwo, zwyczajnie — odrzekł Łuka sentencyjonalnie.

— Możeby i ja tak potrafiła, gdybym się jedno nauczyła po fortepianie stukać. Panienska powiada, że nauka to nudna. Och! mnieby ona nie nudziła.

Głową się o ramię dziadka oparła i w zadumę wpadła.

Łukę opowiadanie wnuczki wprowadziło w rodzaj jakiś rozmarzenia, z któregooby sprawy zdać nie potrafił. Rozmarzenie to pochodziło zapewne z obudzenia tego zacyznu estetycznego, który spoczywa w duszy każdego człowieka w stopniu mniejszym lub większym, który cywilizacya budzi tylko i który ze strony swojej jest jedną z najpotężniejszych dźwigni cywilizacyjnych. Zdaje

się, że Maryna to poczucie piękna posiadała w stopniu wyższym, aniżeli rówiennice jój w Howorówce, aniżeli wogóle howorowieccy mieszkańcy, aniżeli nawet mieszkańcy dworu. Dziadek poczucie jój odczuwał, ale rozumieć go nie umiał, wytłumaczyćby, objaśnić nie potrafił. Czuł jeno, że mu wnuczka jakby droższą się staje, dzięki onój zadumie, w jaką ją nieokręślone jakieś pragnienie wprawiło. Kto inny na miejscu jego powiedziałby: „Nie bądź głupia. Jeżeli czego panom zazdrościć mamy, to chyba jadła, napoju, odzieży, postawy, nie zaś zabawek onych.” Takby powiedział niejeden; Łuka nie powiedział— czemu? dla niego samego było to zagadką, do rozwiązania której w siwej głowie swojej klucza nie posiadał.

— Idź już, dziecko — rzekł wkońcu do wnuczki.—Chyba już tobie wracać pora.

— Tak mi z wami dobrze, dziadusiu! Tam, we dworze, pogadać niema z kim.

— A panienka?

— Panienka, ach! jaka ona pieszczona. Bawiłaby się jeno i bawiła.

— Uczą jój przecie.

— Bawią. Madam ją bawi książeczkami. Ale słyhać, że państwo jakąś guwernantkę sprowadzą, ta bowiem co była uciekła.

— Uciekła? — odezwał się Łuka.

— Kiedyśmy do dworu piérwszy raz przyszli, przed zamkiem stał kocz... pamiętacie?

— Pamiętam.

— To ona właśnie uciekała.

— Koczem pańskim? Dziedzic ją przecie sam wyprowadzał.

— Widać że u państwa uciekanie robi się inaczej, jak u nas.

— Chyba że tak — zauważył stary.

Rozmowa powyższa toczyła się na odchodnem. Maryna słów kilka dodała; jeszcze trochę zaplała, łzy obtarła i z powrotem ruszyła.

Łuka za nią patrzył, aż mu z oczu znikła.

Patrzyłby za nią niekoniecznie sam tylko Łuka. Dziewczyna oczy w siebie, jak to powiada ją, brała. We dworze przyozdobiono ją. Spódnica w kwiatki, koszula bielutka, paciorki, kosy, w które wetknięty barwinek ocieniał skroń i odbijał od wplecionych w takowe bind wzorzystych, czyniły z niej istotę zachwycającą. Wdzięki i pońety uroczę otaczały odgóry dodołu tę postać dziewczęą, mającą w sobie coś z jagódki, którą się zjeść chce, coś z półrozkwitniętego kwiatka, który się tajemnic domyślać każe. Odeszła i znikła; Łuka jeszcze patrzył, jakby za nią pozostał ślad jasny.

— Ach — westchnął i głową pokiwał, dodając pocichu: — Za tydzień.

Tydzień upłynął. Dziewczyna znów starego odwiedziła i znów mu nagadała, nagadała.

W sposób ten mijały tygodnie, miesiące. Maryna przed dziadkiem zdawała sprawę nietyle z tego, jak jęj się działo, ile z tego, co doznawała — z wrażeń, z poglądów, które się w niej stopniowo rozwijały, porządkowały, ogniskowały. Martwiło starego to, że od roboty prostęj odwykała. Miarkował to po rękach jęj, przybięrających kształty smukłe i sprawiających w dotknięciu wrażenie takie, jakby je jedwab powlekał. Na to atoli rady nie było. Płynącego potoku odwrócić nie mógł.

Razu pewnego dziewczyna, po przywitaniu się z nim, oznajmiła:

— Przyjechała.

— Kto? — zapytał.

— A taż... guwernantka.

— Cóż-to za jedna?

— Panna, nazywa się panna Klara, jakaś taka dobra. Przemawia do mnie zawsze po ludzku.

Z racyi wyrazu ostatniego byłoby do pisania dużo — rozprawa cała. W „przemawianiu po ludzku” tkwi wielkie towarzyskie, społeczne, ba historyczne nawet znaczenie. Zaznaczamy jednak takowe tylko ku rozważaniu i rozmyślaniu ludzi, co rozważać i rozmyślać zwyczaj mają,

a przechodzimy do drugiego oznajmienia, które staremu przykrość niemałą sprawiło.

— Na przyszłą niedzielę nie przyjdę do was, dziaduniu.

— A toż czemu? — zapytał.

— Państwo jadą do Humania. Panienska powiedziała mi, że bezemnie nie pojedzie.

— Gdyby pojechać chciała bez ciebie, mogłabyś do mnie przyjść na dni kilka.

— Otóż-to—odrzekła dziewczyna z westchnieniem.

Westchnienie to atoli, gdyby się zanalizować dało, wykazałoby pierwiastki obce szczerości. Podróż się do dziewczyny uśmiechała. Rada oniej była, pomimo że nie miała jeszcze pewności zupełnej co do tego, czy woli Julisi zadość się stanie. Wolę jej atoli popierała z duszy całej pragnieniem własnem. Human rozbudza w niej ciekawość, której stłumić nie mogła. Po westchnieniu dodała niepewnym jakimś głosem:

— Ale niewiadomo jeszcze. Może ja do was, dziaduniu, przyjdę.

— Chyba państwo nie pojedą.

— Oni ta pojedą, ale czy się tak stanie, jak panienska chce? — i zapytała: — Bywaliście wy w Humaniu, dziadusi?

— Dawno już temu, o! — odpowiedział stary, wspomnienia zbiierając.

— To miasto, słyszę, hej! nie takie jak nasze Kruty.

— Od Krut i większe i ładniejsze.

— Jakżebym je widzieć chciała!

Niedzieli następnej daremnie Łuka na wnuczkę oczekiwał. Nie przysłała. Nie zasmuciło to starego. „Zabawia się dziewczyna” — powiedział sobie i pomyślał, że mu niejedna zapewne w przyszłości niedziela bez niej upłynie. Cóż robić. Tak i jój i jemu los padł, czyli, jak się chłopci wyrażają: „Tak się im sądziło.” Było to źle, lecz że gorzej jeszcze być mogło, przyjmował więc złe z rezygnacją, zasilaną i podtrzymywaną ustawicznem o wnuczce myśleniem — myśleniem nie jałowem, ale wyrażającym się pod postacią rzeczywistości, dotykalną. Pracował i zbierał dla niej.

Osobistość własną uważał, jako narzędzie, przeznaczone na to jedynie i wyłącznie, ażeby dla Maryny wiano przysposabiało. Stał się wiewiórką, orzechy do dziupli znoszącą, z tą jednak różnicą, że co złożył, stawało się dla niego przedmiotem świętym i nietykalnym. Sobie skąpił, na siebie grosika nie wydawał — zbierał potrosze, po odrobinie, bo i zkadżeby chłop obfite mieć mógł zarobki? On zresztą, gospodarz — gospodarz słuszny, zaliczający się do arystokracji sielskiej — na tyle siebie szanował, że po zarobkach

nie chodził. U niego ludzie zarabkowali; on zaś dochody ciągnął z tego, co się w polu urodziło, z przychówku bydła, z sadu. Dochody te, z natury swojej niebardzo pewne, mogłyby być donioślejsze, gdyby jemu, gospodarzo wi, pomagała gospodyni. Ludzie mu na to uwagę zwracali i stręczyli dziewczki i wdowy. Nieopodal chaty jego mieszkała wdowa, w sam raz dla niego: miała dwóch synów, jeden parobczak, drugi już słuszny także, i trzy dorastające córki, to znaczy, iżby wniosła sześć par rąk roboczych, gdyby ją Łuka wziął. Łuka wszakże o czémś podobnym ani słuchać chciał, pomimo że uznawał i sam czuł najlepiej niedogodność osamotnienia, które go zmuszało do posługiwania się rękami cudzemi. Wolał atoli niedogodność tę znosić, aniżeli do dobra w nuczki spółkę przypuszczać, z obcymi ludźmi niem się dzielić.

— Nie — powiada — niech będzie dla niej, niech będzie jęj wszystko. Zbierze się to powolniej, ale zato pewniej, i po śmierci mojej nikt do niej o płateczek najmniejszy pretensyi rościć nie będzie.

Pracował więc powolnie, ale wytrwale, a po zbiorach wywoził lub wyprowadzał na sprzedaż, co się do sprzedaży nadawało, i, po potrąceniu kwoty, potrzebnej na zapłacenie podusznego, re-

szte albo chował, albo też obracał na kupno półszelka płótna, butów czerwonych, namysta lub czegoś innego, przedstawiającego kapitał leżący przydatny i o zamożności właścicielki świadectwo dający.



## XI.

### H u m a ń.

---

Historyk przyszły—historyk rzetelny, miłujący prawdę naukową, zwróci kiedyś uwagę na charakterystyczny objaw pewien: na wpływ, jaki w kraju naszym wywierały zakłady naukowe. Fenomen to godny zaznaczenia. Społeczeństwo nasze garnęło się instynktowo do wiedzy, czując potrzebę onęj bardziej, aniżeli społeczeństwa inne. W paktach konwentach punkt ten bywał zazwyczaj zaznaczanym; ludzie prywatni w testamentowych rozporządzeniach czynili na szkoły legaty, w które téż Polska, bodaj czy, z wyjątkiem Szwajcaryi, nie jest pomiędzy narodami stosunkowo najbogatszą. Szkoła każda, jak skoro założoną została, natychmiast stawała się ogniskiem, nadającym okolicy ożywienie. Uwaga ta nasuwa

się na myśl sama przez się przy wspomnieniu o Humaniu, kolébee, w której wykołysali się tacy Bohdanowie Zalescy, tacy Sewerynowie Goszczyńscy, Michałowie Grabowscy i inni. Oddziaływała ona na okolicę potężnie i później nawet, kiedy jej już nie stało, przywiązywała wspomnieniami do miasteczka, będącego przez czas jakiś źródlikiem żywej wody, opłukującej ciemnotę. Humañ długo jeszcze wywierał atrakcyą, wyrażającą się zjazdem tłumnym szlachty w roku każdym nie dla jarmarku żadnego, ani dla kontraktów. Za szkolnych czasów zasłynął dzień świąteczny Piotra i Pawła. W dniu tym rozpoczynały się wakacye aktem uroczystym rozdawnictwa uczniom nagród i ogłaszania promocyj. Rodzice przyjeżdżali po dzieci. Zajazdy napelniały się szlachtą, na przyjęcie której przystrajała się odświętnie ośpiéwana przez Trębeckiego Zofiówka, w mieście zaś urządzano reduty i bale. Niekiedy zjeżdżała trupa wędrowna z przedstawieniami teatralnemi, a zawsze prawie przybywał wirtuoz z koncertem. Przez dni trzy, nie licząc w to kilku *ante festum* i kilku *post festum*, miasteczko wrzało życiem wesolém. Mimo spiekoty czerwcowej, a właściwie lipcowej — w tamtych stronach bowiem miesiące liczą się wedle starego stylu—bawiono się, jak w zapusty. Choć szkół nie stało—zjazdy nie ustały. Dzień Piotra i Pawła wyszedł

na uroczystość miejscową. Przyjęty raz zwyczaj utrzymał się. Szlachta się ściągała z obwodu, promień którego mil dziesięciu dosięgał; teatr przyjeżdżał; koncertanci instrumentalni i wokalni przybywali; reduty i bale odbywały się postaremu.

Państwo Howorowscy wybrali się dwornio i pokaznie, cztery pojazdami: koczem wiedeńskim, koczem warszawskim, bryczką i wozem prostym. Pierwszy, w pięć koni w leje, wioził panią, guwernantkę, Julisję i Marynę; drugi, w cztery konie w leje, pana Tadeusza i pannę Emilią; w trzecim, w trzy konie w poręcz, za ledwie sięśród pudeł i pudełek pomieścić zdołała panna służąca; — kucharz siedział na koźle obok furmana; na czwartym, wypakowanym naczyniem kredensowem i kuchennem, jakoteż zapasami spiżarnianemi, paradowali kredencierz i kuchta.

W czasach onych obywatele szanujący siebie nie podróżowali inaczej. Wymagał tego nie sam tylko szacunek dla siebie. Łatwo nam drwić i dziwić się zbytkom owym dziś, kiedy, mając na usługi nasze drogi żelazne i bufety, przebiegamy w sześć godzin przestrzenie, do przebywania których końmi własnymi potrzeba było dni dwóch po złych drogach, przerażających groblach, duszę na ramię wypędzających mostach i urywających się promach, jadąc od Żyda do Żyda, znajdując

do napoju rzadko wodę, zawsze gorzałkę, a do jedzenia produkta surowe, których z trudem niekiedy wielkim wyszukiwać trzeba było. W warunkach takich w podróż wybierać się należało z zapasami. Komu zatem możność pozwalała, ten zabierał ze sobą wszystko, co komfort zapewniało: pościel, prowizye, służbę; że zaś zabieranie to świadczyło o zamożności, a zamożność dawała poważanie, nie przeto dziwnego, że się wkradała przesada, zwłaszcza że źródłem takowój była wrodzona narodowi naszemu słabość do szukania chluby lada w czém. Pan Tadeusz więc jechał do Humania, jak na szlachcica, dziedzica Howorówki, pana na dwustu pięćdziesięciu duszach przystało. Znaj naszych! Mógł był się zabrać dwoma pojazdami; zabrał jednak cztery, dla szyku — wioził do Humania koni piętnaście, ludzi szesnaścioro, lieząc w to i Julisję, która miejsca zajmowała niewiele. Miał przed sobą popasy dwa i noclegi dwa: tak wypadalo z marszruty podróży, ułożonój wedle wskazówek, udzielonych przez osób pięć, z których każda prawiła co innego. Gumienny, człek w świecie bywały, powiadał, że do Humania jedzie się na Braclaw; ekonomowi wydawało się, że drogę obrócić należy na Sawrań; kowal, którego reputacya, jako człowieka o wszystkiém wiedzącego, była we wsi ustalona, zaręczał, że jechać należy

nie na Braclaw, ani na Sawrań, ale na miasto, nazwy którego zapomniał; arendarz wreszcie radził poczekać do jarmarku, a on ludzi o drogę rozpyta. Na szczęście trafił się dziad żebrak, pędzący żywot na chodzeniu ustawicznem po praznikach, i ten dopiero drogę rozpowiedział i odległość oznaczył: z Howorówki do Czeczelnika, z Czeczelnika do Bernady, z Bernady do Teresówki i z Teresówki do Humania, z przeprawą przez Boh w Dzulinkach.

— Tędy prosto, niby strzelił — powiedział. — Sawrań zostaje z jednego boku, Braclaw z drugiego; jest jeszcze z boku jednego i drugiego siół i miast niemało, ale droga sprawiedliwa prowadzi na Bernadę.

Dziad-żebrak z taką mówił pewnością, że mu nie wierzyć trudno było. Jędrzejowi przytém, furmanowi, zdawało się, że dziad ma racyą, był więc tego zdania, ażeby do Bernady dojechać i tam się wpytać.

— Droga najpewniejsza na końcu języka. Bernada nie za światami. Choćbyśmy mil parę nadłożyli, to nieszczęście niewielkie.

Rada furmana do przekonania pana Tadeusza trafiła i pokazało się, że była ona dobra. Pierwszy popas wypadł w Czeczelniku. Z Czeczelnika wyjeżdżając, Jędrzej oznajmił:—dobrze jedziemy.

— A no —odpowiedział pan Tadeusz.

Nie obeszło się jednak bez wykroczeń przeciwko programowi podróżnemu, wymagającemu przede wszystkim wstawania rannego i wyruszenia tak z noclegów, jak z popasów w porze właściwej. Z Bernady, zamiast o piątej rano, wyjechano o dziesiątej, a to z przyczyny Julisi. Dziecko, nowością położenia zajęte, i samo długo z wieczora spać nie mogło i paniom zasnąć nie dawało. Sen zjął je nad ranem. Nie można było dziecka budzić. Pan Tadeusz się gniewał, gderał, powiadał że tym porządkiem tydzień cały wlec się do Humania trzeba będzie, nie śmiał jednak dziewczynce snu smacznego przerywać. Na popasach spóźniała się służba kuchenna. Z racji tej podróż zamiast dwóch, na trzy przeciągnęła się dni i zakończyła późnym wieczorem wjazdem na rynek, na którym pojazdy opadli miszurysi, zupełnie tak jak w portach włoskich i lewantyńskich przybywające okręty opadają łodzie. Nastąpiła wrzawa nie do opisania. Żydkowie wywoływali:

— Do mnie, jasny panie! Do mnie, panie grafie! Do mnie, mości książę!

Ten zachwalał zajazd jeden, ów drugi, wymieniając zalety niezrównane swego i opowiadając o niedogodnościach innych.

— U mnie, jak w raju; czysto, jasno, kanapy, zwierciadła, żłoby, usługa, samowar! — wywoływał jeden.

— Niech jasny pan tam nie zajeżdża, tam pchły! — krzyczał drugi. — U mnie samowar kipi.

— Jasny pan zawsze zajeżdża do mnie — wma-  
wiał inny.

Ten znów konie za uzdy chwycił i za sobą ciągnął, broniąc się przeciwko temu, co odciągał w stronę przeciwną, aż furman batem zainterweniował i zgodę pomiędzy współzawodnikami zaprowadził. Konkurencya wrzała w postaci swojej najelementarniejszej i najnaiwniejszej. Miszury si szarpali się o zysk w sposób taki, że zdawało się, iż się pozabijają przy pojazdach przez nich napadniętych. Julisia się przelękała i do Maryny przytuliła; Maryna w osłupieniu wpatrywała się, o ile na to zmrok wieczorny pozwalał i, słuchając, rozróżnić nie mogła wyrazów, jakie sobie wzajemnie przeciwnicy ciskali. Wrzawa nie do opisanja głuszyła wyrazy pojedyncze, topiąc takowe w tym szwargocie gardlanym, który stanowi akcent potocznej mowy żydowskiej. Wywoływania, wyzywy, klątwy w powietrzu się krzyżowały. Pan Tadeusz wyprawił lokaja, polecając mu opatrzyć domostwa i wybrać jedno, w którémby się pomieścić wygodnie można. Lokaj powrócił po niejakiem czasie:

— A co?

— Wielmożny panie, wszystko zajęte.

— Nieprawda! On łże!—odezwały się okrzyki.—  
U mnie dom cały próżny! Do mnie zajechał tylko  
graf z Taradai! U mnie pan marszałek stanął!

— Wszystko zajęte? — zapytał pan Tadeusz  
z powozu.

— Nie wszystko! Nie!—zakrzyczeli miszurysi.

— Byłem w zajazdach sześciu—odrzekł lokaj.

— Hm—odezwał się pan Tadeusz, dźwigając  
się z siedzenia.—Pójdę ja sam.

Wysiadł; zajrzał naprzód do żony, której słów-  
ko rzucił, oznajmiając jój zjazd wielki; następnie  
rum sobie czynił i przebijał się przez tłumy, za-  
glądając kolejno do domostw, których pozór był  
obietującym. Zaglądnął do jednego.

— Jest miejsce?

— Znajdzie się.

— Ale czy jest?

— Ny, i czemużby być nie miało?

— Na ludzi i na konie? Koni szesnaście!

— Gdzie stanie sześć, tam i szesnaście stanie:  
Niech o to jasnego pana głowa nie boli.

— Potrzeba mi trzech pokoi.

— Trzech? Dam jasnemu panu nie trzy, ale  
jeden taki, że z niego trzyby zrobić można.

— Trzech mi potrzeba.

— Na co trzech? do czego trzech? Jeden, ale  
dobry, lepszy od trzech!

— Nas szesnaścioro.



— Owa! — perswadował Żyd. — Nas trzydzieścioro i w jednej, mniejszej aniżeli ta, co jasnemu panu dam, mieścimy się izbie.

Tego mniej więcej rodzaju rozmowę stoczył w domostwach kilku i rozmyślać już począł nad sposobem wyjścia z kłopotu, przedstawiającego się pod postacią wcale niewesołą, gdy nareszcie, cud istny, znalazło się pokojów trzy. Prawda, że zdobył je szturmem. Pokoje te zamówił prezes dla siebie i Żyd, celem zwabienia pana Tadeusza, pokazał mu takowe, ale proponował ciupek dwie, położonych w głębi podsienia. Pan Tadeusz propozycyi téj nie przyjął. Pokoje leżały od frontu, jeden oknami na ulicę wychodził.

— Biorę te.

— W tamtych jasnemu panu będzie tak spokojnie, tak cicho, ach!

— Stajnie, konie, wyziewy...

— W tych frontowych wyziewy większe, od ulicy kurz, a tam kurzu ani odrobinki. Jasny pan dzwi tylko otworzy i będzie widział, jak konie przy żłobach stoją.

— Obejdę się bez widoku tego.

— Ny, ja wiem, co jasny pan spokój lubi.

— Jam tu nie po spokój przyjechał. Spokoju mam w Howorówce dosyć— i do lokaja się zwracając, dodał:—Kaź zajeżdzać!

Dopiero teraz Żyd przyznał się, jak rzeczy stoją, i wyraził swoje ze względu tego ubolewanie.

— Co mi tam diabli do tego!—odparł pan Teusz.

— Cóż ja powiem panu prezesowi, jak nadjedzie?

— Jam równie dobry, jak pan prezes. Powiedz żem pokoje zajął i kwita.

W chwili téj w otwarte na ścieżaj drzwi podjazdu wbiegała przednia trójka piątki, wiozącej panią Różę w koczku wiedeńskim. Andrzej lejce ściągnął. Pojazd się zatrzymał przed progiem frontowej izby gościnnéj; lokaj drzwiczki otworzył; wyskoczyła guwernantka, za nią ostrożnie wylaźła Maryna, po niej lokaj Julisę na rękach przeniósł, pani Róża wysiadła — pojazd się w głąb ciemną potoczył. Toż samo nastąpiło z koczkiem warszawskim, w którym siedzenie zajmowała panna Emilia. Dalej kolejno wjechały bryczka i wóz. Wszystko się odbyło w porządku należytym. Niebawem służba znosić poczęła tłumoki, walizy, zawiniątka, pudełeczka, podczas gdy do drzwi cisnęli się kolporterzy z towarami najrozmaitszemi, zachwalanemi pod względem gatunku i taniości.

— Rarytne!—wywoływali— rarytne! po niczemu! ...

Napróżno państwo Tadeus zostwo, jakoteż pan-ny Emilia i Klara, powiadali, że niczego nie potrzebują.

— To nie—odpowiadali Żydkowie—to tylko na pokaz. Ja chcę się przed jasnym państwem pochwalić.

— Przyjdź jutro, dziś już późno.

— Przyjdę jutro, może co utarguję... dziś pokażę tylko.

— Nie ciekawiśmy.

— Ach waj! Na co tu ciekawość? To towar taki, że do niego ciekawości nie potrzeba, o...

I cisnął się do stołu, w celu rozkładania paczek.

— Nie potrzeba, powiadam ci! — z akcentem niecierpliwości odezwał się pan Tadeusz.

— Aby ino jasny pan był zdrów — odparł Żyd, paczki na stole układając.

— Idź precz!

— Co ja złego robię jasnemu panu? Pokazuję i tyle.

— Precz! — krzyknął, zrywając się i paczki zrzucając.

— Co to precz? dlaczego precz? do czego ten gwałt taki!.. Ny?

— Idź do kroćset!...

— Pójdę, ale nie do kroćset.

— Więc do stu tysięcy—poprawił się pan Tadeusz, ton ku żartobliwości naginając.

— Ny, ja Pana Boga proszę, ażeby sto tysięcy do jasnego pana przyszły. Ja powrócę jutro; jasne państwo mi coś utargować da.

Odprawiwszy pół tuzina natrętów tego rodzaju, pan Tadeusz drzwi frontowe zasunął, okiennice pozamykać kazał i przy drzwiach bocznych wartę postawił. W sposób ten uzyskał spokój, dzięki któremu służba mogła pakunki podróżne jako tako uporządkować i do herbaty z wieczszą połączoną stół nakryć. Na wiecznię przygotował kucharz naprędce bifszyk z chrzanem i naleśniki z serem. Spożyli podróżni nasi bifszyk i naleśniki i, spożywając, zastanawiali się nad tém, jak w Humanu czas im upływać będzie. We względzie tym nieświadomość ich była zupełną. Pan Tadeusz, który się u bazylianów uczył i z czasów swoich szkolnych przypominał sobie co i jak się działo, miał o tém pojęcie ogólne. Lecz chodziło o szczegóły, które panie interesowały. Bale?—co za bale? Reduty?—gdzie i jakie? Kwestya zahaczała się o rzecz wagi ogromnej— o toalety, tajemnice których znane były dokładnie mieszkankom Howorówki. Miały one przygotowane ubrania strojne i mniej strojne; we względzie tym znajdowały się w pogotowiu zupełnym, w takim mniej więcej, jak Prusy do wojny; ale jak Prusy, gdy wojna nie zdeklarowana, tak one nie wiedziały, jaki z pogotowia użytek zrobić.

Kwestya ta zajęła je mocno, zaniepokoiła nawet. Rozstrzygnąć jej nie można było inaczej, jak za pomocą dostania języka.

— Hm— mruknął pan Tadeusz i lokajowi kazał gospodarza zajazdu zawołać.

Żyd stawił się niezwłocznie. Był to człek poważny — siwiał już potrosze; broda nieobfita stanowiła ramy do oblicza, wyrazem inteligencji nacechowanego; wzrost słuszny i tusza umiarkowana czyniły go człowiekiem okazałym. Wszedłszy, uchylił nieco jarmułki aksamitnej, którą nosił mimo zakazu, uprzejmie się skłonił i, do pana Tedeusza mowę zwracając, zapytał:

— Cém wielmożnemu panu służyć mogę?

— Przedewszystkiém, panie kupiec, powiedz mi, jak się nazywasz.

— Naftuła Kodymski, do usług pańskich.

— Kodymski? z Kodymy, z mego przeto sąsiedztwa zapewne.

— Ojciec mój i dziad nazwisko to nosili.

— Hm. Cóż tu słyhać?

— Nic, chwała Bogu.

— Nic, to mniej, aniżeli niewiele, ale lepiej to, aniżeli co złego. Jednakże coś słyhać przecie?

— My, Żydzi, słuchamy tego tylko, co nas obchodzi.

— Na przykład?

— W jakiej cenie korzec pszenicy, poczemu wiadro wódki.

— Obchodzi to i nas, nie-Żydów, i pomówiłbym o tём z tobą, panie kupiec, gdyby nie te oto panie moje, które spać téj nocy nie będą mogły, jeśli nie dowiedzą się, co jutro, pojutrze i popojutrze będzie się w Humaniu robiło.

— A cóż! będzie się robiło to, co się robi w każdym roku.

— My-bo w roku każdym nie bywamy. Z Horówki do Humania mil dwanaście opętanych.

— Ny, nasamprzód bal.

— Kiedy?

— Jutro wieczorem.

— A dalej?

— Dalej, nie wiem. Przyjechała komedya; przyjechał jakiś, co to wedle fortepianu.

— Liszt?—zawołały razem pani Róża, panna Emilia i panna Klara.

— Nie wiem... Liszt może—odpowiedział gospodarz.— To rzecz nie moja.

— Liszt z pewnością — zawnioskowały panie.

Pewność ta pochodziła ztąd, że Liszt, który w roku 1847 objeżdżał z koncertami miasta i miasteczka nasze, Kijów, Berdyczów, Żytomiérz, Niemirów, Krzemieniec, sprawił wrażenie głębokie, zostawił wspomnienie niezatarte i wszczepił nadzieję usłyszenia gry jego jeszcze. Paniom

naszym, tak tym, co go podziwiała, jak tym, co tylko o nim słyszały, przyśniwał się on i przywidywał. Przypuścić nie mogły, ażeby powrócić nie miał do krainy, co się na przyjęcie jego pod stopy mu niejako podesłała. Entuzjazm, z jakim go przyjmowano, do szaleństwa niemal dochodził. Ten mocarz tonów zyskał uwielbienie, oczarował tak, że uprzytomniając sobie moment ów pamiętny, powiedzieć bez przesady możemy, iż niejedna byłaby zrobiła to, co pani W., która dla Liszta mężowi odprawę dała. Szczęściem zrobić to mogła jedna tylko. Oczarowanych jednak było dużo, pragnących powrotu mistrza jeszcze więcej, a spodziewających się takowego tyle, ile fortepianów na Podolu, Wołyniu i Ukrainie brzmiało. Liszt rozmuzykalnił południowo zachodnie gubernie. Do czasu odwiedzin jego grano tam, ale... od niechcienia, dla zwyczajku, gwoli modzie; wierzone bardziej w skrzypce, dzięki Lipińskiemu i jego koncertom kontraktowym; od momentu atoli, gdy Liszt słyszeć się dał, nastrój muzykalny podniósł się i rozszerzył. Kobiety nasze rozentuzjazmowały się do tonów, wydobywanych palcami z klawiszów. Te które synów miały, marzyły o tém, ażeby ich na Lisztów kierować.

— Liszt! nie kto inny, jak Liszt! — powtarzały podrózne nasze.

Powtarzały i upewniły się w tém, co ze strony ich prostém przypuszczeniem było.

Upewnienie się to uczyniło niepotrzebną obecność Naftuły. Żyd się już ku odejściu miał, gdy nagle brzęk dzwonka od chomątów i palenie z bata, które się słyszeć dały, w izbie go zatrzymały. Wyprostował się, przez chwilę nasłuchiwał i, zwracając mowę do pana Tadeusza, rzekł:

— Nu, już ja teraz nie wiem, co począć.

— Albo co? — zapytał pan Tadeusz.

— Pan prezes.

— Więc?

— Chyba ja do niego nie wyjdę. Niech się dzieje, co chce.

— Przeciwnie, wyjdź i powiedz mu, żeś zachował dla niego pokoje, w których mu będzie cicho i spokojnie.

— Wielmożny pan żartuje sobie.

— Żartowałeś ty ze mnie, oddaję ci wetzawet.

— A waj! i co ja powiem jemu? To puryc taki.

Na podsieniu tymczasem odzywać się poczęło hukanie i strzelanie. Głos jakiś mocny a donośny nawoływał Naftuły.

— Naftuło, hej! Schował się huncwot przedemną!

— To prezes — odezwał się Żyd i, do pana Tadeusza się zwracając, dodał tonem prośby usilnej: — Jasny panie, te pokoiki...



— Czego odemnie chcesz?

— Niech jasny pan przeniesie się tam, a tu prezes stanie.

— Jeszcze co! jam się tu rozłożył, roztasował.

— Ny, ja, ja sam złożę, przeniosę.

— Daj ty mi święty pokój! Gdybym był sam, to jeszcze.

— I prezes nie sam: pani prezesowa, trzy panny.

— Co mi tam!

— Naftuło! — powtarzało się wołanie.

— Aj waj-ż-mir! — rzekł Żyd sam do siebie.

W chwili tój stuknięcie słysząc się dało tuż pod drzwiami, drzwi się otworzyły i w progu stanęła postać nietyle wyniosła, co gruba, z grubą w rękę laską, w odzież nankinową ubrana, le-tnim kształtu melonowego kaszkietem przykryta, wygolona, czerwona i pokazująca twarz pucółowatą, zpomiedzy pary najeżonych bokobrodów. Stanęła i groźnym głosem przemówiła:

— A, tyś tu, Naftuło? No?

— To nie ja — odparł Żyd, pana Tadeusza demaskując.—To ten pan.

— Toś pan raezył cudzą kwaterę zająć?

— Zająłem, mości dobrodzieju, kwaterę prózną. Przyjechałem pierwszy. W domu zajezdnym, jak na trakcie, kto pierwszy, ten lepszy.

— Ja też, jak na trakcie, wjadę na pana. Będziemy kwaterowali jeden na drugim.

— Przepraszam — odparł pan Tadeusz, wstając i fajkę z cybucha zdejmując.

W momencie tym, który się wydawał w groźne brzemienne następstwa, panie do przyszłej cofnęły się izby. Na placu pozostali: pan Tadeusz z cybuchem, prezes z laską i Naftuła, jako świadek.

— Przepraszasz mnie asan dobrodziej... przeprosiny przyjmuję i o wyniesienie się upraszam. A nie, to, jak mi Bóg miły...

— Co? — zapytał pan Tadeusz tonem wyzywającym.

— Wyrzucić każe!

Na *dictum* to pan Tadeusz nie odpowiedział nic, ale z postawy jaką przybrał i z gestu, jaki zrobił, domyśleć się było można, że z drogi dyskusyi na drogę czyhu przejść zamierza. Jakiego czynu? — odgadnąć trudno. Może napastnika za kołnierza chciał wyrzucić. Niewiadomo; to jeno pewne, iżby się był czegoś dopuścił, gdyby nie interwencya Naftuły, który się do dyskusyi wmieszał.

— Jaśnie wielmożny pan prezes — zaczął.

— Chęć? — zapytał szlachcic, Żyda wejrzeniem mierząc.

— Jaśnie wielmożny pan do mnie pisał.

— Pisałem.

— A w liście napisane stoi: pokoje porządne

— Właśnie też.

— Otóż jam dla jaśnie wielmożnego pana prezesa pokoje porządne przygotował.

— Gdzie?

— Jakto gdzie! tu, w domostwie. Ja wiem, bo któż tego nie wie? że jaśnie wielmożny pan prezes nie tak nie lubi, jak cichość i spokój.

— No, tak. Ale gdy mi kto w drogę wchodzi...

— Otóż — ciągnął Żyd — jam dla jaśnie wielmożnego pana wybrał pokoje takie, że tam nikt w drogę nie wejdzie i że jaśnie wielmożny pan prezes tam, a jaśnie wielmożny pan graf tu.

Wyraz „graf” wymówił z przyciskiem.

— Hm! — prezes na to. — Tak-że i gadaj. Gdzie więc te pokoje?

— Proszę jaśnie pana, fajn pokoiki.

Prezes kaszkiet na głowie podniósł nieco, ukłonił się i, widocznie zmieszany, cofnął się na podsień. Za nim, kłaniając się panu Tadeuszowi z miną półdrwiącą, wyniósł się Naftuła. Drzwi się zamknęły. Panie z izby przyległej wyszły. Pan Tadeusz, rad sobie, z racyi odniesionego nad przeciwnikiem zwycięstwa, tak istotę onego tłumaczył:

— Chociaż się prezes w humańskiego zabawił  
durnia, ale trafiła kosa na kamień, przekonał  
się, że i na Podolu trafiają się ludzie zaradni.  
Inny, na miejscu mojem, byłby stchórzył, w eks-  
kuzy się wdał i kwaterę stracił.

## XII.

### Karty i praca.

---

Ażeby wartość ludzi poznać, niekoniecznie potrzeba wypadków wielkich. Okazuje się ona i w najdrobniejszych. W życiu potoczném przytomność umysłu, zaradność i tym podobne przymioty taką samą rolę odgrywają, co na arenie spraw publicznych. I tu i tam z powodzenia wyradza się zaufanie, które, jeżeli się nie opiera na powodach racjonalnych, staje się rodzicem pewności siebie, narażającą często ludzi na niedorzeczności, niekiedy na szkody. Zauważyć mogliśmy, że pan Tadeusz pewność siebie posiadał w stopniu wysokim, że miał się za człowieka nieomylnego. Zaznaczamy punkt ten i ciągniemy dalej opowiadanie o pobycie podróżnych naszych w Humaniu.

Zajście z prezesem pepsuło paniom humory. Podtrzymywała je jeno nadzieja usłyszenia Liszta.

— Wiiesz, będę Liszta słyszała — oznajmiła Julisia Marynie, gdy ta jej pończoszki z nóg ściągała.

— Jakiego Liszta? — zapytała dziewczyna.

— Człowieka, co na fortepianie gra, a gra tak pięknie, że... nie można...

Dziewczyna westchnęła.

— Gra, ciocia powiada, jak anioł — ciągnęła panienka.

— Niech mnie pannuńcia weźmie ze sobą — szepnęła Maryna.

Julisia do snu się ułożyła i, dzięki wzruszeniom dnia minionego, jak pani Róża, jak panna Emilia i panna Klara, długo zasnąć nie mogła; zasnąwszy jednak, nie obudziła się przed dziewiątą, a o dziewiątej już panie przy śniadaniu siedziały i na pana Tadeusza oczekiwały; pan Tadeusz bowiem, wstawszy gdy wszyscy jeszcze we śnie pogrążeni byli, wyszedł był na miasto na wywiady. Wyszedł raniuteńko, o siódmém. Panie się tymczasem pobudziły i poprzebierały; stół nakryto; samowar parą buchał.

— Tadeusz, Tadeusz! — powtórzyły, z akcentem niecierpliwości, pani Róża i panna Emilia.

Aż tu oczekiwany zjawia się, ale — nie sam. Przyprowadził ze sobą pana Pawła.

— A o — od proga się odezwał.—Pawełek byłby jeszcze w objęciach Morfeusza pozostawał, gdyby nie ja. Przechodząc mimo domostw, patrzę, Jasiiek (pana Pawła lokaj). Pytam: pan śpi. Eh, myślę sobie. Idę, budzę i oto go macie...

Nastąpiły powitania, po powitaniach zaprosiny; gdy zaś wszyscy się dokoła stołu okrągłego ulokowali, wszczęła się rozmowa, rzecz prosta, od Liszta.

— Liszt? zkądże! — zaprotestował pan Paweł.

— Byliśmy pewni — odrzekła pani Róża.

— Zkądże pewność?

Pokazało się, że pragnienie zrodziło przypuszczenie, to ostatnie zaś zmieniło się w pewność, opartą na niczem. Zawód, jakiego panie w nadziei doznały, sprawił przykrość niemałą, która wyraz swój znalazła w kilku westchnieniach i w kilkakrotnie powtórzonem: „szkoda!”

— Ha! cóż robić? Gdyby go sprowadzić można — odezwał się pan Paweł.

— Moznaby — odparł pan Tadeusz — gdyby z pań naszych która w celu sprowadzenia go poświęciła się tak, jak się poświęciła pani W. w celu wprowadzenia.

Nawiasem powiemy, że w sensie tym były próśby. Mówimy to pod sekretem. Nadobne z porzeczka Dniepru, Bohu i Dniestru rusalki ściagały mistrza po szerokim świecie, wabiły go, wydały

dużo westchnień i pieniędzy i nie zwabiły. Mistrz jak się zdaje, dosyć miał jednej, przeciwko której się habitem asekurował, a która—powiedzieć chciałem: Polkom zaszczyt wielki przynosi; we względzie tym atoli zdania są podzielone. Zdaniem niektórych zasługa, a zatem i zaszczyt pani W. polega na tém, że kościołowi jednego więcej służyć przysporzyła — a jakiego służyć!

— Będzie jednak koncert jakiś — odezwała się pani Róża.

— Będzie, podwójny nawet: instrumentalny i wokalny. Pan X. na fortepianie, panna Y...

— Na gardle — podchwycił pan Tadeusz.

Nie wymieniamy artystów po imieniu i nazwisku dla powodu, z którego tajemnicy nie czynimy. Nie chcemy osobistości, co może żyją jeszcze, wyprowadzać na scenę wraz z osobistościami powieściowemi, zmieniając przez to powieść w historią i naciągając jedną do drugiej. Czy to brak nam historii naciąganej? Niechże przynajmniej powieść naciągania się ustrzeże.

Wiadomość o koncercie zadowoliła panie nasze. Panna Y., śpiewaczka należąca do składu opery włoskiej w Odessie, znana na Podolu i Ukrainie była jednym ze słyszenia, drugim z reputacyi. Do rodzaju tych ostatnich należały panie nasze. Uradowały się niezmiernie, gdy się dowiedziały, że panna Y. w koncercie udział we



źmie; uradowały się témbardziej, że w przyszłości niedalekiej miały przed sobą wesele — a na wesele, gdzież, jeżeli nie w Odessie, sporządzać wyprawę? Zapytanie to w umysłach ich tkwiło pod postacią pragnienia, którego zdradzać nie śmiały. Sporządzanie wyprawy w Odessie przedstawiało się jako rzecz, pociągająca za sobą wydatki więcéj aniżeli znaczne, w odniesieniu tak do Howorówki, jako téż do ulokowanego na takiej panny Emilii posagu. Nie zachodziło więc we względzie tym powzięcie postanowienia, ale tylko niejasne zarysowanie projektu. Niemniej przeto nadzieja usłyszenia śpiewaczki odeskiej, zbiegając się niejako z projektem owym, sprawiła paniom naszym uciechę istotną.

Wiadomość o koncercie uzupełniała program, wedle którego spędzać się miał czas w Humanii.

Zadziwi może kogo, że wiadomość o programie owym zdobywała się tak pracowicie — urywkowo. Cóż łatwiejszego, jak dostać takową? Afisze, plakaty, ogłoszenia w gazecie. Nie w Humanii jednak znajdują się ułatwienia tego rodzaju, właściwe miastom, posiadającym drukarnie. Mieszkańcy Humanii ze słuchu wiedzą jedno o istnieniu drukarni na świecie, a potrzeby, wymagające postaciowania myśli na papierze, załatwiają w sposób rękopiśmienny, do którego uciekają się w razach nawet, gdy o afisze chodzi.

Jest-to postęp w stosunku do czasów dawniejszych, do epoki bazylikańskiej, wówczas bowiem, w razach takich, poprzestawano na zawiadomieniach ustnych, które krążyły, modyfikowały się, przeistaczały, koniec końcem jednak wystarczały ojcom naszym, nie tak jak my pod względem akuratności i dokładności wymagającym. A i my nie jesteśmy pod względem tym tak wymagającymi, jak inni. Wczasy pobytu, n. p., w Humaniu państwa Howorowskich, rzecz cała, co się zawiadomienia tyczy, ograniczała się na dwóch afiszach, przyklejonych jeden na ścianie najpokaźniejszego w rynku domu zajezdneho, drugi przy drzwiach skłéconego z desek budynku, przeznaczenie którego trudnoby było odgadnąć, gdyby nie napis nadedrzwiami: „Teatr.” Napis ów i afisze były dziełem kaligrafa, będącego członkiem trupy wędrownéj, produkującej się po jarmarkach. Do niego należało pisanie afiszów. Wywiązywał się z zadania tego wcale nieźle, nietylko bowiem litery stawiał szykownie, ale ani Żydów nie sadził, ani omyłek ortograficznych nie robił. Z zadania artystycznego wywiązywał się również dobrze, grywając kochanków.

Balu ani koncertu nie zapowiadały afisze żadne; mimo to wiedziano, że dziś teatr, jutro koncert w połączeniu z balem, pojutrze teatr znów, dalej

zaś jak Bóg da — ciąg dalszy zależał od stopnia rozochocenia się gości, co Humani zapewniali. Rozkład ten wielce płci pięknej dogadzał, ze względu na wymagające tyłu przyszywań, obszywań, upinań, fałdowań, marszczeń i prasowań tualety balowe, ze wsi w walizkach przywiezione. Na cel ten pozostawiono dni dwa, co bynajmniej zawiele nie było, zwłaszcza że w dniach tych ubywało po godzin kilka na przechadzkę w Zofiówce, stanowiącą dla tego płci delikatnej odłamu, co do kobierca ślubnego wzdycha, konieczny w odniesieniu do wystawy balowej wstęp. Na Zofiówce pokazać się należało w stroju przedsmakowym, nakształt tego, jak Paryżanka pokazuje się w lasku Bulońskim. Jak nad Sekwaną, tak nad Humanką też same pobudki i namiętności działają, także same sposoby są w użyciu. Potrąciwszy więc godzin kilka w dniu jednym i godzin kilka w drugim, potrąciwszy wizyty i przeszkody nieprzewidziane, pracować było potrzeba usilnie, ażeby w chwili wyrocznej przedstawić się, jak z igły, świeżo, pięknie, modnie i zachwycająco. Panie przeto miały zajęcia dużo; zato panowie — tychby rozpacz ogarniała, czarna melancholia się chwytala, gdyby nie ów wielki, nadzwyczajnie skuteczny, a ze wszystkich najgłupszy rekurs, jaki obywatelstwo krainy, w której Humanka przepływa, znajduje w kartach. Karty stanowią ogólną przed

wszystkiemi zgryzotami, troskami i nudami, a przedewszystkiém przed myśleniem ucieczkę. Z kart, gdyby talie przez szlachtę podolsko-wołyńsko-ukraińską zgrane w stos ułożyć, stos ów wosokości i znaczenia wieży Babelby dosięgnął; gdyby je zaś jedną obok drugiej rozłożyć, przykryćby niemi można całą z Podolem i Wołyniem Ukrainę, tak iżby zamiast pól i lasów, łąnów zbożem falujących, stepów na których mogiły o ubiegłych prawią czasach, zamiast gór i rzek, siół i miast, chłopów, Żydów i szlachciców, widać było w ilości nieprzebranej asy, dyski, damy, walety etc. Cóżby to był za widok wspaniały!

Do widoku tego, tylko nie na stepie, ale na stolikach zielonych, zwrócili się panowie i oddali się onemu, jak bonzowie indyjscy modlitwie się oddają. Zatopili się w kartach od rana. Po wszystkich domach zajezdnych, w pokojach frontowych, stanęły stoliki, a przy stolikach zasiadło tu po czterech mężów statecznych, owdzie po dziesięciu i więcej niekoniecznie statecznych, jedni do preferansa, drudzy do faraona, diabełka lub sztosika. I pan Tadeusz za gromadą poszedł.

Powiadamy „i pan Tadeusz” nie dlatego, ażeby to oznaczać miało, że stronił on od stolika zielonego, ale dla téj przyczyny, że pani Róża wyraziła życzenie niedopuszczania preferansa do zajmowanej przez nich kwatery.

— Ach! gdyby to można!—przy śniadaniu powiedziała.

Życzenie to wyraziła w interesie własnym. Potrzeba jej było swobody ruchów do dokonania ważnego dzieła tualecjanego, do rozłożenia się ze strojami i stroikami, do oglądania kombinacyj ubiorów w perspektywie. Na powiedzenie jej pan Tadeusz nie odpowiedział jeszcze, gdy do izby wkroczył—kto?—prezes.

Wyglądał dziś inaczej, aniżeli wczorajszego wieczora. Miał na sobie surdut czarny, czapkę trzymał w ręku i nie niósł laski.

— Ano — zaczął od proga, pokłoniwszy się piérwój damom z akcentem szarmanteryi światowej. —Przychodzę do państwa dobrodziejstwa z przeprosinami i z pretensyą... Przeprosin, zdaje mi się, nie przyjąć nie możecie, zwłaszcza gdy takowe połączę z przyznaniem się do winy i z żalem za grzech. Winieniem... *mea culpa*: uniosłem się w poczuciu zostania wystrychniętym na dudka.... ktoby się nie uniół na miejscu mojem? Za uniesienie o przebaczenie proszę—rzekł, ku panu Tadeuszowi podchodząc.

Pan Tadeusz wstał i rękę mu podał.

— Rzecz więc ta skończona.

— Skończoną była wczoraj jeszcze — odparł pan Tadeusz.

— No, co do wczoraj, nie wiem jakby się tam było skończyło, gdyby mnie był Naftuł z mańki grafem owym nie zaszedł. Graf... tfu! co za graf? pomyślałem sobie: czy nie Branicki, albo Potocki który, Ledóchowski, Krasiński? A może przybył jaki z Wołynia, albo zza kordonu, gdzie graf na grafie siedzi i grafem pogania? U nas się grafy nie tak poławiają. Zaimponowało mi to, gdy tak na mnie zniecka spadło. Stuliwszy więc uszy, wyniosłem się kosztem własnym i dziś stawiam się oto, po przeprosinach, z pretensją.

— Jam siebie grafem nie zatytułował—zaprotestował pan Tadeusz.

— Pretensya moja tyczy się nie tytułu, ale...

Nastawił się i postawę rezolutną przybrał. Pan Tadeusz, głosem niezupelnie pewnym, zapytał:

— Czego?

— Tęj oto izby.

— Chcesz mnie asan dobrodziej, jak widzę, koniecznie wyrzucić.

— A broń Boże! Zważywszy jednak, że izba ta przeznaczeniem swoim do mnie pierwotnie należała, zważywszy żeś ją pan dobrodziej zabrał prawem kaduka, że ja sierota w dwóch dusić się muszę ciupach, w których wraz ze mną dusi się niewiast cztery; zważywszy, że obecność

niewiast rzeczonych nie pozwala postawić stolika do preferansa i że bez preferansa przyszłoby się w Humaniu powiesić chyba; zważywszy nakoniec, że, jak przypuszczam, asan dobrodziej nie żywisz tego życzenia, ażeby bliźni twój zapomocą samobójstwa kres żywotowi położył—zglaszam się do pana dobrodzieja z propozycją przypuszczenia mnie do prawa używalności izby, w granicach jakie gościnność zakreśla.

— Ależ, panie prezesie dobrodzieju—odrzekł pan Tadeusz, przysuwając krzesło do stolika.

Prezes miejsce zajął i tonem żartobliwym zawiązał z paniami rozmowę o sobie w roli nastpnika wczorajszego, o żonie swojej i córkach, zajętych szlarkami, szlarczkami i falbankami.

— A i moim paniom zajęcie to grozi — odezwał się pan Tadeusz.

— Będą się mogły onemu oddawać ze swobodą całą. My tu sobie postawimy stolik, zasiądziemy, zatopimy się w kombinacyach, pozostawiając paniom dwa pokoje do użytku bezpodzielnego. W sposób ten będzie i wilk syty i koza cała.

Pani Róża nic nie odpowiedziała, czem uderzony prezes, podchwycił:

— Może pani dobrodziejka mi nierada?

— A panie! — odparła.—Czyż można mnie

o coś podobnego posądzać? Owszem, proszę...  
bardzo proszę.

— Będziemy się sprawowali cichutenieczko. Zobowiązemy się zgóry ani pisnąć, chociażby który wpadł na dziesięć bez atu. Gdyby jednak sam widok mężów, zaciekających się w kalkulacjach preferansowych, przykrość pani dobrodziejce sprawiać miał, odstępuję od żądania, zrzekam się pretensyi i idę ztąd wprost na cmentarz, kupiwszy sobie postronek po drodze.

Pani Róża przytułku nie odmówiła i, wnet po śniadaniu, stanął w izbie frontowej stolik naprzód jeden, wkrótce drugi, następnie trzeci, wkońcu czwarty, otoczony panami. Byli to po największej części nowi pana Tadeusza znajomi, luboż się pomiędzy nimi i dawni trafiali—wszystko „siéroty,” jak prezes powiadał, który denominacją tę zastosowywał do ludzi, zasługujących raczój na nazwę „wygnańców.” W izbie mimo okna na ścieżaj pootwierane, pociemniało prawie od dymu. Zgromadzenie zachowywało się cicho; słyhać tylko było deklaracye gry; niekiedy zawiązywała się rozmowa urywkowa lub wymówka krótka, tycząca się „zadania” nie pików, ale treffi. Rozpoczęło się to około dziesiątej i ciągnęło do piątej po południu, z przerwą blisko godzinną, spowodowaną obiadem. Rzecz prosta, towarzystwo całe obiadowało u pa-



na Tadeusza, co pani Róży przyczyniło znacznie zajęcia, albowiem do zajęć około toalety, dołączyła się troska o nakarmienie i ugoszczenie gromady takiój. Nie narzekała jednak wcale, a to dlatego, że troska owa stanowi zadanie, do rozwiązywania którego niewiasty nasze posługują się kluczem, ukutym z miłości własnej. Polka na trudy żadne nie zważa, ze skóry się wywleka, cuda płodzi, gdy o ugoszczenie idzie.

Działo się tak w Humaniu całym, w każdym domostwie zajezdne. Kobiety się pracą mordowały; mężczyźni się w karty „kropili.”

Do stołu u państwa Tadeuszystwa zaprosić gwoli prezesa wypadało prezesową z córkami. Grzeczność, przyzwoitość, względy wszelakie to nakazywały. Pani Róża sama się tego domyśliła—poszła, zaprosiła i sprowadziła poważną, grubą matronę, poprzedzającą trzy rozkwitające dziewczęta, prowadzone pod ramiona przez trzech kawalerów, pomiędzy którymi jeden był prezesostwa synem. Do obiadu przeszło zasiadło osób trzydzieści parę, jadło, baraszkowało i wstało w dobrym humorze. Po obiedzie panie powróciły do roboty, panowie do kart i grali—grali, aż wybiła godzina wyjazdu na Zofiówkę. Z pośpiechem więc kończono partye.

— Nie „wpadajmy” jeno, panowie!—odezwał się prezes głośno ostrzegający.

*Niezaradni.*

14

Ostrzeżenie to ten wywarło skutek, że przy stoliku każdym „wpadania” się pomnożyły. „Bez dwóch na siedem bez atu.” „Bez jednej na totus” i t. p. Partye się przeciągały. Zdaje się, że najprostszym na zakończenie gry sposobem było przerwanie takowej. Nikomu jednak sposób ten na myśl nawet nie przyszedł. Gdzie téż! Gdyby kto był się z propozycją tą wyrwał, uszedłby jeżeli nie za zbrodniarza, to za szaleńca, kwalifikującego się do domu waryatów. Preferans przerwać?... a!...

Panie więc w mantylkach, w kapeluszach, z parasolikami w ręku czekały; pojazdy zaprzężone stały; skończyła się nareszcie partya najpierwsza przy tym stoliku, przy którym walkę toczyli prezes i pan Tadeusz. Inne jeszcze w obłężeniu pozostawały. Nie zważano jednak na nie. Pani Róża nagliła.

— Ach! te kobiety! — westchnął pan Tadeusz, do prezesa się zwracając.

— Ach! kobiety! — odparł prezes, przegraną płacąc.

— Puchy marne, wietrzne istoty.

— Nie mów tylko tego pan dobrodziej w obecności żony mojej, która ma do Mickiewicza wielką o to pretensją, że kobiety nazwał „puchem marnym.” Prędzej ja nazwaćbym się mógł puchem, aniżeli ona.

— Nazwę tę włożył Mickiewicz w usta szaleńca—ktoś się odezwał.

— Wnorusiu! — słysząc się dało z podsienia wołanie dyszkantem wyciągnięte.

— Niecierpliwi się... wietrzna istota — rzekł prezes nawpół do siebie, wynosząc się z pośpiechem.

— Wkrótce po jego wyjściu panowie Tadeusz i Paweł wprowadzili panie do pojazdu, do drugiego pojazdu wsiedli sami i udali się do miejscowości, o której tak się Trembecki wyraża:

„Kto gajów tuskulańskich smakował ochłody,  
Kto uwieńczył Tyburu spadające wody,  
Kto straszne Pauzylipu przebywał wydroże,  
Jeszcze i w Zofiówce zadziwiać się może.”

Byłoby ze strony mojej zuchwałstwem nie do przebaczenia, gdybym, po dokonanym przez Trembeckiego klasycznym opisie Zofiówki, porywał się na opis prozą. Możeby to uszło jeszcze, gdybym był o Trembeckim nie wspomniał; wspomniawszy — nie pozostaje mi, jak czytelnika odesłać do poematu, dodając ze strony mojej to tylko, że Zofiówka jest, w rzeczy samej, jednym z najpiękniejszych w Europie ogrodów. Fantazyja wielkopańska przystroiła się tu w kształty urocze. Pospolity jar ukraiński, dzięki estetycznemu sma-

kowi ogrodnika i milionom magnata, zmienił się w ustrój, urzeczywistniającą niejako opowiadania o ogrodach zaklętych. To pomnik—dzieło sztuki świetnie pomyślane i znakomicie dokonane. Jest to muzeum krajobrazów, układanych jeden obok drugiego ze skończoną znajomością efektów perspektywy, przedstawiającej za każdym niemal krokiem widoki coraz-to inne, a zawsze cudne; tu dzikie, tam łagodne, w jedném miejscu poure, w inném uśmiechające się, rozkoszne. Szyby wód, groty, kanały podziemne, kaskady, wodotryski służą jako okrasa całości dzieła, wartość którego polega głównie na kombinacjach perspektywicznych. Zadziwić się potrzeba nagromadzeniu widoków, w ciasnym stosunkowo obrębie rozległych, pomimo że promień oczny sięgnąć nie może daleko. Wyjątek powyższy z opisu Trembeckiego jest wierną Zofiówki charakterystyką.

Kiedy państwo Tadeuszostwo przybyli, ogród był już prawie pełen, to znaczy wszyscy, z wyjątkiem tych panów, co się w karty zagrali i od partyi oderwać się nie mogli, przechadzali się po cienistych alejach i drobniutkim żwirem wysypanych ulicach, słuchając orkiestry wojskowej. Orkiestra grała—echa dogrywały. Z gości niektórzy łodziami płynęli na wyspę, lub kanałem podziemnym wydostawali się na słodkie morze. Dzie-

ci chowały się pod „fartuszek Diany” — tak się nazywa kaskada w formie fartucha, osłaniającego wejście do groty. Ogromna większość obecnych krążyła wśród drzew, skał i trawników, zapuszczała się w gęstwiny, deptała wybrzeża ośpiewanego przez poetów nadwornych strumyka, przekraczała mosty i mostki, ażeby po razy kilka na te same powracać przejścia. Pora sprzyjała. Atmosfera nadwieczorna, chłodzona drzewami i wodami, dyszała wonią kwiatów i krzewów egzotycznych, wystawionych z cieplarni na wolne powietrze.

Towarzystwo—rzec można—rozbijało się na grupy, złożone z rodzin, przyjaciół lub znajomych. Grupy się wymijały, krzyżowały, mieszały i przypatrywały jedne drugim. Obok widoków Zofiówki, były to dla przechadzających się widoki równie ciekawe — ciekawsze nawet pod względem pewnym, pod tym mianowicie, że dla człowieka przedmiotem do oglądania najciekawszym jest człowiek, bliźni, a to dlatego zapewne, żeśmy go kochać winni, jak siebie samych. Bliźni przeto, po zapłaceniu długu ciekawości, należnego ogrodowi, przypatrywali się bliźnim. Kobiety jedne drugie wejrzeniami zukosa od stóp do głowy obléwały; mężczyźni, zwłaszcza młodzi, Ukrainy dziatwa hulaszca—czynili toż samo, ale nie jedni względem drugich, lecz względem owianych

urokiem Ukrainek, szukających na postaciach rówieśnic natchnienia do przypięcia kokardy, przewiązania wstążeczki, lub ulokowania turniury. Ztąd w przypatrywaniu się ta zachodziła osobliwość, że kobiety stanowiły przedmiot oględzin tak dla kobiet, jak dla mężczyzn. Tym ostatnim od przedstawicielek płci odmienniej dostawały się tylko spojrzenia przelotne.

Państwa Tadeuszostwa grupa zwracała na siebie uwagę szczególną. Gdzie przechodziła, wszędzie się na nią spojrzenia zatrzymywały. Spojrzenia niektóre wyrażały coś nakształt zachwytu, czy zadziwienia, podobnego do tego, jakie przeżyje człowieka w galeryi malowideł, gdy spostrzeże niespodzianie odznaczający się zaletami szczególnymi obraz. Cóż mogło być objawu tego powodem? W gronie państwa Tadeuszostwa, do składu którego wchodziło dwóch podobnych od wszystkich innych panów, jedna bardzo przyzwoicie wyglądająca pani, panny, jedna niemłoda i jedna, mimo że młoda, ale nie uderzająca szczególnością żadną, jedno dziecko i jedna... istota. Nie we wszystkiem nie było uderzającego — ani nadzwyczajność żadna, ani dziwaństwo najmniejsze. Rzecz osobliwa — nie panowie, nie panie, nie panny, nie dziecko, ale istota owa, o której się nie mówi w szanującym siebie towarzystwie, stanowiła punkt atrakcyjny, który uwagę na grono

zwracał i spojrzenia na takowém zatrzymywał. Byłoz-li na nią co osobliwego? Czy ją wypiększo-  
no w sposób taki, że się przedstawiała, niby du-  
dek na kościele?—Nie, wcale nie. Miała na so-  
bie koszulę perkalową z naszywaniem, spóдни-  
czkę fałszywą cycową, czerwonym wełnianym  
pasmem ujętą; miała na szyi namysto nie nader su-  
te i na głowie nic innego, jeno warkocze własne,  
tworzące nad czołem i skroniami rodzaj korony,  
czy wieńca, odbijającego połysk jedwabisty.  
Wszystko to—czyż to osobliwość jaka?— Bynaj-  
mniej. Więc w niej chyba coś było? Cóż?—coś,  
czego wypowiedzieć dokładnie niesposób, krasa,  
która niby to w oczy się nie rzucała, w głębi du-  
szy się kryła, a jednak obléwała postać jej cał-  
kowicie, wypromieniając się z wnętrza przez  
oczy, czoło, usta, wyraz ogólny oblicza, uśmiech,  
przez ruch i gest każdy, przez wszystko słowem,  
co Maryną było i w Zofiówce Julisję za rączkę  
prowadziło.

### XIII.

#### Wrażenia.

Pomówmy o kolorach. Nie będzie to ani artykuł humorystyczny, ani rozprawa naukowa, ale powieściowe odwołanie się do faktu, objawiającego się w związku, jaki zachodzi pomiędzy barwami, a zmysłem patrzenia. Patrzymy wszyscy jednakowo i jednakowo barwy nazywamy. Barwa zielona, na przykład, zieloną jest dla mnie, dla ciebie, dla niego, ale—czy nie dlatego, że ją tak nazywamy? Czy jednakowo widzimy? Odkryta niedawno choroba (daltonizm) zapytanie to wywołała i wielce je ciekawem uczyniła. Widzenie zależy od warunków fizyologicznych, na zmysł wpływających, warunków przez naukę tylkoznaczonych, ale niezbadanych jeszcze. Dostrzeżoną jest tylko różnica, która zestawie się da



z różnicami, jakie się objawiają we względzie zmysłu innego, a mianowicie słuchu. Słuchamy jednakowo, zapomocą narzędzia, pełniącego względem dźwięków funkcją taką samą, co organ widzenia względem barw, ale — czy jednakowo słyszymy? Na ostatecznie to pytanie odpowiedź jest nie inna, jak przecząca. Słyszymy nie jednakowo; dowód: jeden woli śpiew słowika, drugi śpiew panny Reszke, a zdarzają się i tacy, którym jeden i drugi wydaje się krzykiem zrytmowanym. Od czego to zależy? Zmysły wzroku i słuchu są przewodnikami wrażeń, odbijających się ostatecznie w duszy, która wrażenia zużytkowuje, stosownie do tego, w jakich się w niej one odbijają warunkach. Ten je przyjmuje tak, ów inaczej, inny jeszcze inaczej. Stopniowanie we względzie tym idzie od całkowitej na to co się widzi i słyszy obojętności, aż do uniesienia, ekstazy, która ze strony swojej także stopniowaniu podlega. Wrażenia, przyjmowane przez ludzi za pośrednictwem zmysłów, jak zmysły, dzielą się na gatunki.

Oto com uważał za potrzebne powiedzieć, dla usprawiedliwienia wrażenia, jakiego wnuczka Łuki w Zofiówce doznała. Widziała ułożone w krajobrazy piękno, obwiewały ją wonie balsamiczne, i to co widziała, co słyszała, co odczuwała, odczuwała inaczej, aniżeli wszyscy. Można by fenomenów w ten wytłumaczyć sposób, że, nie mając in-

nego zajęcia jak prowadzenie panienki za rączkę, nie podlegała téj co inni dystrakcyi. Zapewne. Nic niéma elastyczniejszego, jak tłumaczenie zjawisk tego rodzaju: dają się one naginać i naciągać, jak się komu podoba. Nie rozumiem jednak, dlaczego przypuszczaćby nie można, iż racya odmiennego odczuwania przez Marynę tego co widziała i słyszała, tkwiła w jéj wrażliwości.

— O Boże, jakież to wszystko piękne!...

Słów tych nie wymawiała. Stanowiły one rodzaj krzyku duszy, słyszanego tylko przez nią zrozumiałego i tylko dla niéj. Wpadła ludziom w oko dlatego może, iż na postaci jéj osiadały wrażenia i zmieniały ją we wrażeń tych wciele nie żywe. Przechodnie zatrzymywali się i okiem przeprowadzali grupę państwa Tadeus zostwa, Pani Róża brała to za rodzaj hołdu, składanego Julisi — dziecko w mniemaniu matki takie było piękne, tak gustownie ubrane! Panna Emilia przypuszczała, że to ona wywiéra ten urok, któremu ogół podlega. Panna Klara efekt zauważyła, ale sprawy sobie z onego zdać nie umiała. Pan Tadeusz przez pół się domyślał, gotów był jednak podzielić opinią żony, gdy ta ją wypowieć, własną zaś odkładał na później. Jeden tylko pan Paweł poznał istotę rzeczy, a to dlatego zapewne, że i on w rzeczy téj *magna pars fuit*. Stało się to w ten sposób, iż spółzawodniczył niejako z o-

gółem, schodząc się z takowym w jednym i tymże samym punkcie — w patrzeniu na dziewczynę, prowadzącą panienkę za rękę. Ogół atoli czynić to mógł przelotnie tylko, mimochodem, on zaś, idąc z panem Tadeuszem w tylnęj straży, miał wciąż przed oczami postać dziewczyny, zwracającą się ku niemu niekiedy pół-profilem raz ze strony jednej, znów z drugiej, to znaczy przybierającą tę pozę ponętą, która potęguje urok wdzięków niewieścich, gdy się zdarza odniechcenia. Tu przychodziła ona odniechcenia całkowicie i bezwarunkowo. Umysł dziewczyny zanadto pochłaniało to, na co patrzyła i czego słuchała, ażeby w intencjach jęj kokieterya miejsce dla siebie znaleźć mogła.

Grono przeszło po razy kilka przez też same ulice, aleje, mosty i mostki: zatrzymywało się w punktach różnych: przy grotach, przy posągach, w miejscach, z których się widoki odsłaniały. Zrodził się był projekt przejechania się łodzią. Niestety, projekt ów zaniechanym być musiał, z powodu trudności dociśnienia się do łodzi. Zachodził powód i inny jeszcze: pora spóźniona. Słońce ku zachodowi się miało. Trzeba było wracać, ogarnąć się i na teatr iść. O potrzebie tęg przypominał pan Tadeusz, który nagle zateśnił do kanapy i fajki. Palił wprawdzie udzielane sobie przez pana Pawła papierosy, tego atoli

nie zadowalały. Wierzył w cybuch z bursztynem; papierki wydawały się mu studenteryą. Odezwał się przeto:

— Jeżeli będziemy tak sobie po Zofiówce chodzili, to chyba na teatr nie pójdziemy.

— Ach, prawda—odparła pani Róża.

Nastąpił powrót w tym samym, co wyjazd na Zofiówkę porządku i w godzinę później to same grono zajmowało łożę, przypominającą klatki stajenne, do odosobnienia koni służące, i oczekiwało na podniesienie kurtyny.

Nie mam zamiaru opisywać teatru humańskiego. Był on takim, jakim być mógł i przynosił tę korzyść, na jaką tego rodzaju widowiska zdobyć się zdołają. Nie godzi się od miasteczek prowincjonalnych domagać tego, aby stolicom wyrównywały. Teatr, instytucya towarzyska i w sensie społecznym obyczajowa, a przytém ku uprawie piękna służąca, stał się potrzebą towarzyską, społeczną i estetyczną, ogarniającą zarówno stolicę, jak prowincyę, mniej aniżeli tamta wymagającą, bardziej wyrozumiałą. Zresztą trupy wędrowne, zwłaszcza gdy się nie porywają na sztuki trudne, niezawsze bywają liche i śmieszne. Gdzież, jeżeli nie w trupach tych, przysposabiają się w znacznej części artyści dla teatrów stołecznych? Trupa, która w epoce opowiadania naszego do Humania zjechała, pozostawała — jeżeli mnie pamięć

nie zawodzi—pod dyrekeyą pani Zielińskięj; repertuar jęj składał się przeważnie z utworów dramatycznych Korzeniowskiego; z zadania przeto wywiązywać się jęj było łatwo i wywiązywała się z onego wcale dobrze.

Na afiszach zapowiedzianą była—jakeśmy to powyżęj zaznaczyli—„Natałka Póltawka.” Kurtyna się podniosła—Natałka się na scenie ukazała: publiczność się zajęła, ucieszyła, zachwyciła, tłumacząc zachwyty swój nietylko oklaskami i bisami, ale także wtórowaniem piosenkom, przez aktorów śpiewanym. „Wijut witry, wijut burni” odśpiewano chórem. Przy słowach „Nawaryła, napekła” słysząc się dało na parterze gwizdanie, ale gwizdanie pomocnicze, na nutę piosnki dzwoniącej na scenie skargą kochanki. Była to interwencya przychylna; zasykano ją atoli i okryto śpiewaczkę oklaskami, krzykami „brawo!” i wołaniem o powtórzenie. Powtórzyła.

— Brawo! bis! bis! brawo!—zabrzmiało znów, przy wtórze oklasków.

Maryna, która w loży, w charakterze przyboczniczki Julisi figurowała, rozwikłać nie umiała wrażeń, jakie na nią widowisko wywieralo. Przypatrywała się onemu, o ile z tylnego kąta patrzeć mogła, ale niedokładnie widziała. Nie mówimy tego w znaczeniu wyłącznie fizyczném. Widzenie moralne—jeżeli się tak wyrazić wolno—pod tym

szwankowało względem, iż nie potrącało tych strun duszy, które w organizacyi dziewczyny bardzo ważną odgrywały rolę. Nie pozostawała ona obojętną, owszem, widowisko żywo ją zajmowało; nie oddziaływało jednak na nią, nie pojmowała, co ono właściwie oznacza. Znajdowały się przytém rzeczy, które ją wręcz raziły, a mianowicie oklaski i krzyki, które z przedstawieniem i ze śpiewkami w jedną dla niej zléwały się całość. Wydawało się jęj, jakby tu ktoś komuś przeszkadzał. Odbijało się to w jęj słuchu mętną jakąś wrzawą, stanowiącą niby tło, po którem prześlizgały się smugi melodyi. Co się zaś tyczy akcyi dramatycznęj, tęg zgoła nie zrozumiała, pomimo że trudno chyba o akcyą bardzięj prostą. Może to służyć jako dowód, że widowiska teatralne wymagają publiczności jeżeli nie całkowicie ucywilizowanęj, to przynajmniej posiadająćej, pewien cywilizacyjny polor, którego wnuczce Łuki brakło jeszcze. Słuchała, ale ani słyszała, ani rozumiała.

— No i cóż? — zapytała jęj Julisia, rozbięrając się do łózka.

— Ach! pannuńciu, Zofiówka! — odpowiedziała.

— A teatr?

— No, i teatr. Ale Zofiówka!

— Ta Natałka! a ten Petrus!... Albo ten rudy! chi, chi, chi!

Dziewczynka śmiać się poczęła, podczas gdy ją Maryna kołderką okrywała.

Dzień następny upłynął tak samo. Panowie w karty grali; panie, całe w kombinacjach strojów balowych, oddawały się pracy, rzec można, nadludzkiej. Pani Róża do ustrojenia miała siebie i Julisję, jakoteż do pewnego stopnia pannę Emilią i pannę Klarę — Julisję nie dla balu, ale dla koncertu, po skończeniu którego dziewczynka powrócić miała z guwernantką do domu zajezdneho i pójść do łóżka. Takie zapadło postanowienie. Postanowienia tego atoli wykonać nie było można bez zgody strony niēm dotkniętėj, to jest Julisi, która, gdy jēj to oznajmiono, wręcz oświadczyła, że się onemu nie poddaje.

— Z panną Klarą, Juleczko — perswadowała jēj matka.

— Nie chcę.

— Juleczka grzeczna, Juleczka zmartwić nie zechce mamy i papy — dodała od siebie guwernantka, którėj także postanowienie to do gustu nie przypadalo.

Panna Klara, choć zgóry wiedząc, iż w sali balowėj skazaną będzie na struganie pietruszki, wolałaby była na balu, jako na widowisku ciekawém, pozostać, nie zrzekając się nadziei, które jēj w głębi duszy szemrały. Głośno jednak z tém oświadczyć się nie śmiała i byłaby wedle posta-

nowienia postąpiła, gdyby nie Julisia, która chimery na wielką skalę zagroziła. Na chimery jój jedyném, jak dotychczas, lekarstwem okazywała się Maryna. Maryna ją łagodziła, uspokajała, do posłuszeństwa względem starszych przyprowadzała, i w tym razie, wobec balu, na którym obecność dziecka rażąca była, przedstawiła się pani Róży pod postacią deski zbawienia.

— Pójdiesz z panienką i, jak skoro koncert się skończy, wyprowadzić ją się postarasz — takim było rozporządzenie, jakiego jój udzieliła.

Uwalniało ono guwernantkę od towarzyszenia elewce; z drugiej zaś strony dogadzało Marynie o tyle, o ile perspektywa zobaczenia i usłyszenia rzeczy niepowszednich dogadza ciekawości ludzkiej. Teatr nie zadowolił jój w zupełności; mimo to, gdyby się okazała trafiła, poszłaby znów na widowisko teatralne z ochotą. Według teatru sądziła i o koncercie, o którym wiedziała, że będzie na takowym śpiewanie i graniu. Spodziewała się krzyków. Nie przeszkadzało to jój atoli myśleć o nim z uciechą wewnętrzną.

Rzecz naturalna, że o rozporządzeniu tém matki Julisia nie wiedziała. Było ono rodzajem spisku przeciwko niój, zawiązanego przez wszystkich starszych, powołanych przez panią Różę do działania zgodnego. Każdy ze starszych przyrzekł spółudział swój o ile można najgorliwszy, nie wy-



łączając pana Pawła, który się już prawie do grona rodziny zaliczał i który, przy okazji tej, udzielił rady, powszechnie za wielce praktyczną i racjonalną uznanęj. Polegała ona na tém, ażeby guwernantki z balu do dziecka nie odsyłać.

— Inaczéj—tłumaczył —Julisia się do panny Klary zrazi, wstrętu do niéj nabierze: będzie w niéj widziała egzekutorkę postanowień niemiłych. W wychowaniu dzieci drobnostki takie wiele znaczą. Lepiej ażeby wstręt zwrócił się ku pokojówce, aniżeli ku guwernantce.

— Nie wiedziałem, żeś taki biegły w kwestyi wychowania dzieci — zauważył pan Tadeusz.— Ale to dobrze, to bardzo dobrze... cieszy mnie to, jako wujaszka przyszłego, i dobrze mi o mych przyszłych siostrzeńcach i siostrzenicach wróżyć każe.

Rada pana Pawła uznanie, przyjęcie i ze strony panny Klary wdzięczność znalazła. Dziewczynka okazała niechęć wracania z nią; byłaby przeto zniewoloną względem dziecka do środków przymusowych się uciec, a przytém—bal opuścić.

W balach jest dla niewiast urok, posiadający potęgę ogromną.

Wszystko więc ułożyło się dobrze.

Czy mam opisywać tualetę dam? Niestety, talent mój nie starczy na opiewanie prozą tych fał-

dów, falban, szlarek, wstążek, bukietów i obłoków gazowych, obwiévających napół eteryczne postacie, tych warkoczy pachnących i trzewików atlasowych, tych ramion toczonych i gorsów alabastrowych, tych — czegoż jeszcze? no— cudów najcudniejszych, których wystawą są sale balowe. Nie—nie potrafię tego. Ośpiewać nawet nie zdołam strojów pani Róży i panny Emilii. Możliwym się jako tako wywiązać potrafił ze skromnej stosunkowo toalety panny Klary, gdyby się to na co przydało, to jest, gdybym miał czytelnika na bal humański prowadzić. Poprowadzę go jednak nie na bal, ale na koncert tylko, nie dla ukazania mu toalet, ramion, gorsów i nówek, ale dla opowiedzenia o wiejskiej dziewczynie, którą losy z chałupy aż tu zagnały.

Maryna znalazła się poza szeregiem siedzących pań i panów, pod ścianą, nieopodal od drzwi buduaru, w którym po koncercie spotkać się miała z Julią. Oparta o ścianę, stała w oczekiwaniu owego grania i śpiewania, nie rozumiejąc zgoła istoty koncertu. Oczekiwała i doczekała się. Na estradzie zabrzmiały akordy fortepianu i wkrótce potem popłynęły tony, które ją niejako sobą napełniały. Przez głowy panów i pań widziała w dali artystę, który się jej wydał czémś naksztalt pająka-kosarza. Nachylał się i ręce to kurczył, to rozkładał, wyciągał, a instrument raz

szczebiotał, znów huczał, stękał, śpiewał, przemawiał, żalił się, sam ze sobą rozmowę prowadził; niekiedy niby ptaszę szczebiotał, niekiedy głosem rozkochania szeptał. Dziewczyna osłupiała. Nic podobnego ani się jęj śniło. Słuchała: granie nagle ustało; zagrzmiały oklaski, które ją niby ze snu zbudziły i urok odeгнаły. Nastąpił gwar; gwar niebawem ucichł i, zamiast człowieka do pająka podobnego, ukazała się wdali, na podniesieniu, jakby się w powietrze wznieść miała, postać niewieścia w bieli girlandą z róż w pól obwinięta, smukła, powiewna, w diademie warkocza czarnego nad czołem. Postać ta, sama przez się, uderzyła ją niezwykłością jakąś. Szeroko oczy otworzyła, albo raczėj oczy się jęj otworzyły mimowolnie i w stanie tym pozostały, jak skoro na estradzie odezwał się głos śpiewaczki donośny, czysty a giętki. Fortepian pobrzękiwał wtórem, lecz ona wtóru nie słyszała prawie. Wsłuchiwała się w śpiew. Tony wlewały się w nią, kłębiły i każde włókienko w organizmie jęj w drżenie wprowadzały. Stała się, rzec można, harfą Eola, dźwięczącą nie dla innych, lecz dla samėj siebie. Co śpiewaczka śpiewała, to się w nięj odgrywało, przy akompaniamencie jakichś ech, opowiadań, rojeń sennych, obrazów cudnych, szmerów dziwnych. Wydało się jęj, jakby się w puch zmieniła i w eterach kołysała, unosząc się na fa-

lach grających. Uduchowiała się. Nie sobą była, ale—pieśnią.

Wtém—koniec i oklaski.

Maryna oklasków nie słyszała. Mogłaby powiedzieć o sobie, co powiedział Mickiewicz o słuchaczach wojskiego, którym

„ . . . . . się zdawało,  
Że wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.”

Wrażenie to nie zatarło się następnie, kiedy śpiewaczkę fortepianistą zmienił, a po tym ostatnim znów śpiewaczka wystąpiła. Powtórzyło się to raz jeszcze, poczem powstał w sali ruch i wśród ruchu tego dziewczyna uczuła, jak ją ktoś za rękę pociągnął.

— Czy śpiesz? — wsunęło się jęj w ucho zapytanie.

— Ja! co?—westchnęła.

— Idź, tam—mówiący ręką wskazał—prędko. Pani się ogląda za tobą.

Po tych dopiero wyrazach oprzytomniała. Podniosła oczy na mówiącego: był nim pan Paweł. Niewiedzieć dlaczego, rumieńcem się oblala.

— Pani ciebie czeka—powtórzył uprzejmie.

— Och—odparła tonem zakłopotania.

Poszła, oglądnęła się i wnet zoczyła panią Różę i pannę Emilią. Pani Róża palcem na nią ki-

wała. Maryna wnet przypomniała sobie rozporządzenie, do pani Róży podeszła, Julisję, która z minką skrzywioną stała, za rączkę ujęła i w te do niej przemówiła słowa:

— Chodźmy ztąd het, pannuńciu. Nie my tu do czynienia nie mamy.

Powiedziała to tym, nie rozkazu, ale stanowczości tonem, który dzieciom imponuje. Dziewczynka zapytała tylko, niby zdumiona:

— Nie mamy?

— Ano... nie... — odparła i ku wyjściu się zwróciła.

Julisia, bez okazania oporu najmniejszego, za nią poszła i drepcąc obok Maryny, która jęj nie odpowiadała na liczne pytania, zaszła do dworu zajezdnego, gdzie na chimery się jęj zebrało. Zachciała wracać.

— Dokąd? — zapytała Maryna.

— Na bal.

— A co to bal, pannuńciu?

— To zabawa taka. Tańczą mazura, walca, kadryla, polkę.

— Tańczą? o? a kto z kim?

— Czyżes nie widziała panów i pań?

— Widziałam, o! jakżebym widzieć nie miała! Ale czy pannuńcia słyszała?

— Co? — zapytała dziewczynka.

— Jak ten grał, a ta śpiewała?

— Co tam! Mama też gra, ciocia gra i śpiewa.

Dziewczyna z gestem niecierpliwości w czoło się palcami podrapała i wyrazami, których powtórzyć niesposób, z powodu, że niekoniecznie wedle sensu sięszykowały, opowiadać jęła o wrażeńiach, przez jakie przechodziła. Wrażeń tych Julisi nie wytłumaczyła, ale się wygadała i dziecko zagadała. Dziewczynka, słuchając, uczuwać poczęła pociąg do snu. Maryna ją rozebrała, położyła, okryła i, usiadłszy przy niej, zaczęła:

— Na wieczornicach bajki opowiadają, ale nie opowiadają takięj, jaką ja usłyszałam.

— Jakięj?—zapytała Julisia, powieki mrużąc.

— Takięj, co się nie gada, ale śpiewa, a śpiewa bez słów, i chociaż słów w niej niema, to ona mówi, rozpowiada o dziwach i cudach, o iskrach skrzydlatych, o ogniach gadających, o wiatrach płomiennych. Otóż...

Zwróciła na Julisię spojrzenie; Julisia już spała.

Maryna usunęła się z krzesłem nieco, rękę o poręcz łóżka oparła i na ręce czoło złożyła. Wpozycyi tēj pozostawała przez chwilę, aż ją senność ogarniać poczęła, nie ta atoli senność, co śmierci jest obrazem, ale ta, która stanowi zerwanie z rzeczywistością, przez przeniesienie człowieka w krainę złudzeń. Nie spała, a jednak nie

czuwała. Odtworzyła w sobie te wrażenia, jakich w sali koncertowej doznawała, i pomimo że dookoła niej panowała cisza, słyszała w sobie śpiewanie i granie. Czowała w sobie naciągnięte struny niby, a po strunach tych przebiegało technicznie lekkie i wydobywało z nich tony, które ją wprawiały w drżenie rozkoszne. Wytwarzało się to stopniowo, z przypomnień niejasnych a mętnych, podobnych do tych tonów, jakie wydają instrumenty, gdy je muzykanci stroją — wyjaśniało się, oczyszczało, odzywało się zrazu głucho, dalej coraz to mocniej i mocniej. Nie wiedziało dziecko chłopskie, że nosi w sobie zaczyn artystyczny, że natura jej należy do rodzaju tych organizacyj nienormalnych, które w kierunku jednym wyrażają się pod postacią geniuszów, w drugim — waryatów. W którym z kierunków tych zwróciła się Maryna? Do którego z dwóch rodzajów należała? To pewna, że nie należała ona do rodzaju ludzi pospolitych, do „zjadaczy chleba,” stanowiących większość ogromną w społeczeństwach, które jednak nie obywiają się bez tych wyjątków, które wyjątków owych potrzebują nawet. Artyzm w rozwoju cywilizacyjnym pełni funkcją ogromnie ważną. Rola jego we wzglądzie tym jest pierwszorzędna, a — dodać należy — bywa niekiedy niezmiernie dla obarczonych nią istot trudną.

Dziewczyna, jeżeli taka wypadła jój doba, nie o niéj nie wiedziała. To, czego doznawała, było to uczucie rozkoszy niewysłowionéj, przejmującej ją nawskrós. Sprawy sobie z tego nie zdawała. Czuła i tyle. Oparta czołem o ramię, spoczywające na poręczu łózka, tonęła w podzwonném tych tonów, co całą jój istotę napelniały. Świat, ze wszystkiém co na nim jest, nie istniał w chwili téj dla niéj.

Dokoła niéj, w izbie w której Julisia spała, panowała cisza. Na stole w izbie przyległej paliła się świeca stearynowa w lichtarzu żydowskim i do téj, w której Maryna pozostawała, posyłała światło niepewne. Ta cisza i to półświatło przyczyniały się niemało do utrzymywania jój w tym nastroju ducha, w jaki ją koncert wprowadził. Wpływy fizyczne oddziaływają na usposobienie moralne.

Nagle drgnęła i rzuciła się, jakby ze snu rozbudzona. Ciszę przerwał szelest klamki u drzwi izby przyległej. Szelest ów rozległ się tak głośno, jakby w słuchu dziewczyny zabrzmiał wystrzał niespodziany. Na równe skoczyła nogi. Słyszeć się dał chód — chód ów był lekki, rozpoznała w nim jednak stąpanie mężczyzny. Zjęła ją trwoga taka, jaka przejmuje zaskoczonego w dokonywaniu zbrodni złoczyńcę. Poczowała potrzebę ukrycia się. W chwili jednéj za poręczą



przysiadła, poza łóżko się wcisnęła. Stała się niewidzialną; sama atoli widzieć i słyszeć mogła.

Chód przycichł, wznowił się atoli wnet — na progu stanął pan Paweł we fraku, w kamzelce białej, w butach lakierowanych.

— Hm — mruknął pod nosem. — Bez światła nie znaję.

Wrócił i pojawił się ze świecą w ręku; przeszedł przez pokój, zatrzymawszy się na chwilę przy łóżeczku Julisi, przy którym się odezwał:

— Tam zapewne.

Wyrazy te odnosiły się do izby trzeciej, w której sypiały panna Klara, panna służąca i Maryna, a która w chwili téj, z powodu, że panna Klara na balu pozostała, a panna służąca z igłami, nićmi i nożyczkami znajdowała się w buduarze obok sali balowej, niezajętą była. Do izby téj udał się pan Paweł. Nie było go minut kilka. Powrócił nareszcie.

— Wszyscy diabli! — rzekł. — Co się z nią stało?

Odechrząknął z gniewnym naciskiem i odezwał się z po chwili:

— Ha! sztuka się nie udała. Wyznać jednak należy, że złodzieje humańscy bardzo są względni, czy też nadzwyczajnie roztargnieni: mogliby w chwili téj Tadeus zostwu zabrać wszystko, dziecko nawet. To mi się podoba!

Powiedziawszy to, wyszedł, świecę w pokoju przyległym na miejscu swoim postawił, papieros zapalił—klamka we drzwiach zaszeleściła i drzwi się zamknęły.

Marynę, na wzmiankę o złodziejach, przeszły dreszcze. Natychmiast po odejściu pana Pawła z za łóżka wylazła i jęła wszystkie do podsieni wyprowadzające drzwi na rygle zasuwac. Nie przychodziło jej to z łatwością; w howorowieckim jednak dworze powziąwszy niejaki o ryglach wyobrażenie, trudności pokonała i, pozostawszy w pierwszym pokoju, postanowiła sobie drzwi, z wyjątkiem państwa, nie otwierać nikomu, ani panu Pawłowi nawet. Czemuż: ani panu Pawłowi? Gdyby ją kto o to zapytał, odpowiedziéby nie umiała. Powzięła wszakże postanowienie niezłomne, którego—na szczęście—nie potrzebowała na próbę wystawiać.

#### XIV.

#### Dokument gardlany.

---

Nie na tém koniec. Wrażenia duszą do głębi wstrząsające zostawiają po sobie następstwa, trwające dla jednych dłużej, dla drugich krócej, a wyrażające się rozmaicie. Weźmy dla przykładu skład grona państwa Tadeuszosstwa. Każdy z członków onego następstwa produkcj koncertowych odczuł, ale każdy inaczéj. Po panu Tadeuszu prześliznęły się one, niby krople rosy po polerowanym pancerzu rycerza.

— Śpiewała — powiadał o panie Y. — cóż więc?.. Jabym tak nie potrafił, to pewne.

Przy tém obstawał i podrwiéwał sobie z wyrażonéj przez resztę towarzystwa opinii, skrajnym wyrazem którój była panna Emilia.

Panna Emilia zachwycała się mocno, spółzawodnicząc we względzie tym z narzeczonym swo-

im i idąc dalej nawet, aniżeli on. Pan Paweł chwalił; jako znawca jednak, uważał się za zobowiązanego dotykać krytyką bądź-to czystości głosu, bądź też wykonania ustępów niektórych.

Pani Róża i guwernantka okazywały zachwyt na zimno, zgadzając się zarówno z uwagami krytycznymi pana Pawła i z admiracją bezwzględną panny Emilii.

We wszystkiem tém atoli, tak w krytyce, jak w admiracyi, odzywała się nuta niezupełnie fałszywa, lecz niedociągniona, niedostrojona należyście. Nie można było ludziom tym odmówić poczucia i znawstwa, jedno i drugie wszakże trzymało się na poziomie niższym, aniżeli ten, do którego podnosiły się wrażenia dziewczyny chłopskiej, kierującej się uczuciem naturalnem i nieznaną się na rzeczy ani trochę.

— Jakżebym się z nią poznać pragnęła!—rzuciła panna Emilia wciągu rozmowy.

— Nic łatwiejszego—podchwycił pan Paweł.

— O?—zapytała.

— Panna Y. do Odessy wracać musi; droga jój wypada na Bałtę; z Humania zaś do Bałty przejeżdża się mimo Howorówki o milę. Czyżby jój nie można było namówić, a w potrzebie uprosić, ażeby milę tę nałożyła, zwłaszcza gdyby się jój, na przykład, ofiarowało z Humania do Bałty pojazd i konie?

Pomysł ten podobał się nie samęj tylko pannie Emilii. Podobał się on również pani Róży. Pan Tadeusz jeno skrzywił się nieco i odrzekł:

— Zkądżebym tu dla nięj pojazdu i koni wziął!

— Nie troszcz się o to, bioreę to na siebie. Chodzi tylko o uproszenie tęj panny.

Rzecz ta nie przedstawiała trudności nie do pokonania. Twórcą pomysłu podjął się wykonania onego, zażądał tylko pomocy pani Róży—pomocy polegającej na tēm, ażeby pani, wzięwszy za pozór admiracyą dla talentu panny Y., do nięj się udała i propozycyą jęj uczyniła. Żądanie to wydało się pani Róży zrazu niekoniecznie właściwem.

— Panna Y.... cóż to za jedna?

— Z ojca śpiewu, rodzi ją matka sztuka— odrzekł pan Paweł.

— Niesiecki nie zapisat w herbarzu ani ojca jęj, ani matki—dorzucił pan Tadeusz.

— Mniejsza o to—odparła pani Róża.— Nie przywiązuję do tego wagi wielkięj. Wszelako, jakoś to nie wygląda dobrze: panna sama... w podróży.

— Z ciotką—podechwycił pan Paweł.

— Z ciotką—powtórzył pan Tadeusz z gestem i przyciskiem.

— Przyzwoitości przeto dzieje się zadość.

— Najzupełniej.

— Przesadną nie jestem zgoła — oznajmiła pani Róża.

Stało więc na tém, że do śpiewaczki pojedzie pani Róża, w towarzystwie pana Pawła, i zaprosi ją na dni parę wypoczynku wiejskiego w Howorówce.

W godzinę później rzecz ta załatwioną już była.

Panna Y. zawahała się z początku; na uprzejme jednak pani Róży naleganie przyjęła zaprosiny i na udokumentowanie niejako układu, wieczorem tegoż dnia złożyła państwu Tadeuszcztwu wizytę, w towarzystwie ciotki owój, kobiety niemłodej, żółtej, pomarszczonej, ciemno odzianej, umiejaczej tylko milczeć i uśmiechać się. Zaba-wiła krótko — godzinę niespełna; odchodząc, wyraziła radość, jaką jej sprawia nadzieja pobytu na wsi, używania życia wiejskiego.

Obecność jej w domu zajezdny wprowadziła Marynę w stan pomieszania. Gdy ją z drugiej ujrzała izby, drgnęła, niby zelektryzowana, i wzrok w nią wlepiła. Od pierwszego oka rzutu śpiewaczkę poznała i zdziwiła się.

— Ta sama, a niby nie ta — w duchu sobie szepiała.

Na estradzie wydawała się ona inaczej — powietrznie niby; zdawało się, jakby wiatr nawie-

wał i odwiéwał to różami obwinieęte, białe zjawisko śpiéwne. Na kanapie zjawisko to przedstawiało się jéj pod postacią pani pospolitéj, niejaśniejacéj ani wdziękami, ani młodością i bynajmniej nie powietrznój. Śpiewaczka siedziała, patrzyła, obracała się, przemawiała, uśmiechała się, jak każda inna. Maryna zaledwie oczom własnym wierzyła. „Onaż-to? ona? ta sama?” Nie wierzyć atoli sposobu nie było; uwierzywszy zaś, trudno się było obronić temu tak naturalnemu przeprowadzaniu paraleli pomiędzy nią, a sobą, poczynającemu się od mimowolnego w siebie samę zwrotu, od mimowiedniego postawienia zapytania: „A ja?” Najpiérwsze atoli zapytania tego postawienie tak dalece mimowolném i mimowiedném było, że się nie ostało. Dźwiękło mimochodem i przeszło bez śladu, zaznaczywszy się jeno, jako właściwość natury ludzkiéj odnoszenia do siebie rzeczy i zdarzeń.

Państwo Tadeuszostwo trzy dni jeszcze w Humanu zabawili — byli raz jeszcze na koncercie, dwa razy w teatrze, wreszcie, wybawiwszy się, jakoteż po zgraniu przez pana Tadeusza kilkunastu partyj preferansa, wybrali się do Howorówki z powrotem.

Podróż z Humania do Howorówki odbyła się tak, jak z Howorówki do Humania. Przygody, z wyjątkiem chyba takich pospolitych, jak pęka-

nie sztab na kołach, jak zakulenie koni podkowy gubiących, jak rwanie się postronków podgórej i naszelników zgóry, niekoniecznie dobrze o chwalebym się zaradnością panu Tadeuszu we względzie przezorności świadczących, nie przytrafiały się zresztą żadne. W dniu trzecim podróży pan Tadeusz, wysiadłszy z pojazdu i wszedłszy na ganek, wyciągnął się, odsapnął i wytechnął z głębi piersi wykrzyknik przeciągły:—A-h!

Zrobił to raz dla ulżenia sobie, następnie dla zadokumentowania zadowolenia, jakiego doznawał z powrotu w progi domowe, wkońcu dla zaświadczenia ustania odpowiedzialności, jaką dźwigał na sobie wciągu podróży—odpowiedzialności za wszystko, nie tylko bowiem za sztaby, podkowy, postronki i naszelniki, ale także za wygodę na popasach i noclegach, a nadewszystko za zdrowie żony. Pani Róża setnie się znużoną czuła—niedziw, tak pracowała! Podróż jej wypoczynienia nie dawała—przeciwnie, znużenie wytworzyło stan niemocy, niesmaku i złego humoru. Zły humor żony na kim się odbija? Pan Tadeusz tedy miał wciągu podróży do zniesienia niemało; gdy się przeto podróż skończyła, z gustem odechnął.

—„Wszędzie dobrze, w domu najlepiej.”

Święta prawda! —wrazie nawet, gdy żona w złym humorze. Rzecz ta po miastach inaczej



się przedstawia. Na wsi jednak przestronniej, aniżeli w mieście: zły humor się rozchodzi, nie koncentrując się na męzowskięj czuprynie lub łysinie. Dlatego to pan Tadeusz nie lękał się onego tak bardzo, zwłaszcza że zgóry wiedział, iż nie na nim jednym będzie się krupilo i meło.

Nie uszło mu jednak na sucho.

Zły humor pani Róży zwrócił się na niego przy wieczery. Zaczęło się to w sposób dobry. Pani Róża poskarżyła się na ból głowy.

— Wypoczynek, spokój, a ból przeminie— zauważył pan Tadeusz.

— Wypoczynek, spokój — odparła pani z akcentem, pochodzącym ztąd, że w tonie słów męża dostrzegła lekceważenie—jakby to dla mnie spokój i wypoczynek możliwym był.

— Cóż ci, moje życie, przeszkadza?

— Sprowadzasz przecie pannę Y.

— Ja?—zapytał ze zdumieniem.

— Któż? ja może?

— Kto—odparł głosem niezupełnie pewnym— z zaprosinami do niej chodził?

— Opiérałam się temu... oponowałam.

— Jam nie mówił ani za, ani przeciw.

— Właśnie też!—podchwyciła. — Czemuś nie podtrzymawał mnie? Zdaje się, że walenie ciężarów na barki żony nie czyni mężowi zaszczytu. Wygodnie to, to prawda, ale... ja się względem

ciebie tego nie dopuszczam. Nieprawdaż? co?... powiedź!

Pan Tadeusz milczał, mimo że miałby do powiedzenia niemało. Z praktyki atoli wiedział, do czego odpowiadania prowadzą. Milczał przeto; udawał zatopionego myślami w zrazach z kaszą, a pani prawila:

— Co? milczysz? Na zapytania milczeniem odpowiada się tylko przez wzgardę. Więc dobrze. Więc i ja będę milczała. Nie spodziéwaj się, Tadeuszu, ażebym kiedy zapytała ciebie o co. Nie. Skończyło się... Nieciekawam wiedziéć nawet, dla dogodzenia komu nie podtrzymałaś mnie, kiedym protestowała przeciwko sprowadzeniu pod dach nasz istoty o mętnéj przeszłości, ubranéj w ciotkę podejrzaną... Nieciekawam wiedziéć o tém. Będę milczała.

Była to do panny Emili przymówka. Panna Emilia usta przygryzła i zęby zacięła. Pani Róża prawila dalej:

— Będę milczała; słówko mi z ust nie wyjdzie, pomimo że mam prawo niejakié, jako matka, bronić córki mojej od zbliżeń się nieczystych. Będę milczała, jak deska grobowa, jak głaz, jak...

I wciąż zaręczając, że będzie milczała, wciąż sama jedna prawila, zachętę do rozwijania założeń znajdując w słowach własnych. Kobiéta w gruncie dobra i zazwyczaj niewielomówna, za-

trzymać się nie umiała, gdy się raz rozgadała. Zdarzało się jej to w momentach rozirytowania. W początkach pożycia małżeńskiego, pan Tadeusz próbował w razach takich dyskusji; na takową jednak wychodził jaknajgorzej. Chwycił się przeto milczenia. Pani Róża poznała się na manewrze tym i chciała onemu milczeniu przeciwstawić, ale było to nad siły jej, a to dlatego, że manewr ów gniewał ją i drażnił. Zaklinała się więc, zaprzysięgała na milczenie i im się zaklinała i zaprzysięgała mocniej, tém więcej gadała. Bywało tak, że płaczem wybuchała. Tym razem jednak do ostateczności tej nie przyszło, a to dzięki znużeniu podróżnemu. Po wieczerzy do łóżka poszła. Zadeklarowała się migrena. Ból głowy długo jej spać nie dawał. Zasnęła wreszcie i, po wyspaniu się, po wywczasowaniu, zły humor zniknął—zapomniała o postanowieniu milczenia, o pretensjach, o scenie wczorajszej; gdy zaś, w dniu następnym, nad wieczorem, zawitała przemycanego pochodzenia śpiewaczka, z ciotką przemycaną, uprzejmość pani Róży nie do życzenia nie pozostawiła.

Goście tego rodzaju, acz zawsze prawie mili, niezawsze jednak bywają dogodni. Mili są z tego względu, że gościnę opłacają gotówką talentu: malarze szkicami wysokiej niekiedy wartości, muzycy grą, śpiewacy śpiewem; ale każdy z nich

prawie posiada zajęczka, pod postacią bądź nawyknięcia jakiegoś stałego, bądź też zmieniających się cochwila kaprysów.

Panna Y. także posiadała nawyknięcia. Szła późno spać, o północy najwcześniej; rano przytém wstawała i musiała wytańczyć się, wypłakać i dwa jajka surowe wypić. Potém śpiewała— ćwiczyła się, śniadanie jadła i spać szła. Między trzecią a czwartą po południu wstawanie powtórne, tualeta, przechadzka; wieczorem przyjmowanie posiłków, pomiędzy któremi najobfitszym był północny. O północy jadła dużo, popijając winem i kończąc wódką.

Ta wódka szczególnie wywarła w Howorówce wrażenie. Panie zdumiały się; pan Tadeusz, któremu się oczy do snu klęły, otworzył je szeroko; gdy panna Y. zażądała takowój. W domu znajdował się likier; przyniesiono butelkę i kieliszek, lecz ona o wódkę prostą poprosiła i piła ją, po odrobinie do ust sącząc.

Gorszyło to pana Tadeusza. Zgorszył się jednak bardziej jeszcze z powodu następującego. Nazajutrz przed siódmą rano o słuch jego obily się akordy fortepianu. Muzyka o tój porze niezwykłej zdziwiła go niepomalu. Do dziewiętej, póki się pani Róża nie zbudziła, chodzono we dworze na palcach. Domyślił się, że przekroczenie przeciwko regule pochodziło nie zkadina,

jeno od panny Y., i udał się do pokoju bawialnego, w zamiarze spróbowania, czyby się nie dało hałasu tego delikatnym jakim sposobem zażegnać. Wszedł... jak skoro atoli próg przestąpił, pochwycony został w ramiona — w ramiona niewieście—i okręcony raz jeden, drugi, trzeci. Przy fortepianie siedziała ciotka. Okręcającą była panna Y. Pan Tadeusz, przez grzeczność, przez wzgląd na kobietę, przez gościnność wreszcie oprzeć się nie umiał napaści téj impertynencyi. Walcował, obejmując kibić tancerki ręką, w której cybuch trzymał. Myślał że to żart i że żart ów prędko się skończy, a wówczas wraz z tańcami i zagrażająca spokojności snu pani Róży muzyka ustanie. Ale—gdzietam! Panna Y. pociągała pana Tadeusza w kręgi coraz to szybsze i szybsze. Obiegli pędem wirowym salon raz, drugi i trzeci, następnie czwarty, potem jeszcze piąty. Szlachcic zamierzał z grzeczności skwitować i wyrwać się chciał; tancerka jednak delikatnemi ramionami niby w kleszczach go trzymała—ciągnęła, ciągnęła, aż, zmęczona, puściła nagle. Pan Tadeusz się zachwiał; mało brakło, a byłby na podłogę runął; zdołał jednak na nogach się utrzymać. Patrzy na tancerkę, a ona—we łzach się rozplywa.

— Co u licha!—i do panny Y. podchodząc, zapytał:—Czego pani płacze?

Ona na to nie, jakby zapytania nie słyszała, jakby pana Tadeusza nie widziała.

Przysiadł się wreszcie obok niej i przemawiał.

Nie to wszystko nie pomagało.

— Nie mnie do pocieszania jej potrzeba—pomyślał sobie i wstał w zamiarze sprowadzenia albo pani Róży, albo panny Emilii.

We drzwiach ciotka mu drogę zasłała.

— Dwa jaja surowe—szepnęła

— Dwa jaja?—rzekł zdziwiony.

— Surowe—powtórzyła.

— Pół kopy przynieść każę, jeżeli pani chcesz.

— Dwa tylko.

— Idę po moją żonę.

— Na co?—zapytała.

Gestem na płaczącą wskazał, do zrozumienia przez to dając, że mu o uspokojenie jej chodzi.

Ciotka również gestem odpowiedziała, że byłoby to rzeczą zbyteczną.

— Czegóż ona tańczy, płacze?

— To dla agitacyi—odrzekła półgłosem.

— Dla agitacyi? płacze?

— Tak — głową skinęła.—Skłonność ma do utycia; przeciwko skłonności tej broni się, nie bowiem nie wycieńcza tak skutecznie, jak łyzy.

Pan Tadeusz brwiami mrugnął, głową skinął, usta ścisnął i wąs pogładził. Prezerwatywa prze-

ciwko utyciu wydała się mu racjonalną, ale i—  
osobliwą.

— No, no—mówił sam do siebie.

— Dwa jaja surowe—odezwała się ciotka to-  
nem prośby usilnej.

Do kawy panna Y. nie wyszła. Kiedy państwo Tadeus zostwo przy zastawionym imbryczkami i garnuszczkami, obwarzankami i sucharkami stole siedzieli, ona ćwiczenia wokalne odbywała. Brząkanom fortepianu odpowiadało to wyciąganie tonów niskich, wyższych i najwyższych, to branie gam, przechodzenie z tonu jednego w drugi, powtarzanie po razy kilka trylu jednego i tegoż samego. Brzmiało to czysto, donośnie, ale nieprzyjemnie. Pan Tadeusz rozpowiedział paniom o tém, co go rano spotkało. Było z tego powodu śmiechu niemało—śmiechu, do umniejszenia którego ćwiczenie nie przyczyniało się zgoła. Gdy niekiedy panna Y. wysoko, wysoko wyciągnęła, a pan Tadeusz głosem przeciągłym powiedział „o” —wówczas guwernantka pod stół głowę chowała, panna Emilia usta, pani Róża serwetę gryzła, Julisia głośno chichotała. Wesolość państwa dzielali lokaje, kredencерze, panny służące, pokojówki.

Dzicy ludzie—co? Wszyscy byli dzicy, z wyjątkiem istoty jednéj, w uszach której te czyste a potężne tony brzmiały nie jako krzyki zabawne,

ale jako melodyi części składowe, która, nie rozumiejąc, rozumiała je jednak, czystość bowiem onych i postęp odczuwała w piersi własnej, rozdymanej tém, co wszystkich innych śmieszyło.

Pod względem jadła panna Y. wymyślną nie była, lubo nie jadła potraw wielu; kiedy gospodarstwo obiad spożywali, ona spała; dzień cały na osobności się trzymała i do towarzystwa przyłączała się przy herbacie dopiero, przy której bulion piła i kureczęta jadła, i już się do północy nie odłączała — rozmowy toczyła, śpiewała, śpiewała i znów rozmowy toczyła, nie o czém, ani o kim innym, tylko o sobie.

O, toż narozpowiadała! Dzieje życia jój, wedle niej, wielką miały analogią z dziejami bajecznymi narodów. Dosłownie z ust jój przepisane, sformowaćby mogły kilkotomowy romans, przygód dziwnych a nadzwyczajnych pełen, przygód rozpoczynających się od tego, że przyszła na świat z prawami do jakiegoś tam tronu. Wszystko się znajdowało w porządku i byłaby dziś zwała się siostrzycą Wiktoryi angielskiej i Izabelli hiszpańskiej, gdyby nie niegodziwość ludzka. Niegodziwość ludzka pozbawiła ją wszystkiego. Z kolébki porwana, wywiezioną została w lasy, gdzie ją ludzie litościwi znaleźli i przygarnęli. Przechodziła koleje bardzo smutne. Królewska dziecina drwa i wodę nosiła, w izbie zamiatała,



chusty prała; posiadała jednak skarb w rodzie jój dziedziczny: głos — i skarb ten z biedy ją wydzwignął. Obecnie zamiar ma o prawa swoje się upominać.

— Ma pani dowody jakie... dokumenty?—zapytał pan Tadeusz, napół przekonany opowiadaniem, prawdziwością od początku do końca narzynałem.

— Żadnych—odrzekła.—Jakże pan chce, ażeby niemowlę o dokumenta się troszczyło!

— Prawda—głosem jednym odezwały się pani Róża, panna Emilia i guwernantka.

— Może znaki jakie na ciele, albo na pieluszkach?

— Na pieluszkach, zapewne, znaki były; ale ludzie nielitościwi na takowych się nie poznali, byli to bowiem ludzie bardzo prości, Cyganie.

— Cyganie?—podchwyciła pani Róża ze spólczeniem.

— Na jakiejż podstawie będziesz pani praw swoich dochodziła?

— Na podstawie głosu. To dowód, to dokument mój. Poddani moi po głosie mnie poznają.

— Gdzież oni?

— Nie wiem gdzie. Dlatego to jeżdżę i koncerty daję. Dlatego w Humaniu była. Państwo, słuchając mnie, słuchaliście w tém przekonaniu, że się przed wami popisuje koncertantka prosta,

wałęsająca się po świecie za groszem, nie zaś córka królewska, upominająca się o prawa monarsze. Nie, jam nie Cyganka—dodała z uśmiechem, w którym z wyrazem protestu żenił się wyraz ironii.

— Któżby panią posądzał o to? — zaprotestował pan Tadeusz.

Opowiadała następnie o dalszych zamiarach swoich: jak to ona będzie jeździła od miasta do miasta i koncerty dawała, aż na dziedzinę ojców swoich trafi i poznaną zostanie.

— Albowiem — tłumaczyła — takich jak mój głosów nikt nie ma na świecie, tylko ja i siostra króla-ojca mego, która żyje jeszcze zapewne.

— Może i król-ojciec pani żyje?—ktoś wtrącił.

— Może.

— Dziwne losy — odezwała się pani Róża.

— Dziwne—potwierdziła—ale bardziej jeszcze smutne.

Ostatni ten wyraz znalazł uznanie jednozgodne, westchnieniem podkreślone.

— Dlatego też — prawila dalej — smutek tańcem zagłuszyć się staram, a na losy moje okrutne płaczę codziennie.

To walca i łez umotywowanie, połączone ze łzami, które na rzęsach czarnych śpiewaczki się zakropiły i brylantowym połyskiem zajaśniały, rozrzewniło i słuchaczki i słuchacza. Pan Tade-

usz o mało nie beknął. Panie na wyścigi strażnicą pocieszały, perswadując, że sprawiedliwość Boża potrafi niegodziwość ukarać i krzywdę wynagrodzić. Nie bez tego, ażeby rozrzewnienia nie czepiały się, w drobnej jakiejś bodaj części, widoki osobiste. Widoki owe zamajaczyły pani Róży—nie dla niej jednak samej—broń Boże!—ale dla dziecka, dla córeczki, dla téj Julisi, która, zajęta, w zapomnieniu, z oczętami szeroko otworzonymi, a w pannę Y. wlepionemi, opowiadań jej słuchała. Gdy panna Y. praw swoich dojdzie, wówczas Julisia... Ach! Pani Róża postulatów nie formułowała żadnych, ale tylko pewną była, że Julisia jej zupełnie dobrze figurowałaby na królewskim dworze, nietylko w przyszłości, ale — chociażby dziś. Co to za dziecko!

Niewiadomo, jakby Julisia na dworze królewskim figurowała, ale wiadomo zato co innego. Dziewczynka, przy lekcjach, jakie jej guwernantki dawały, zawsze roztargniona, opowiadania panny Y. słuchała z uwagą taką, że się onego na pamięć nauczyła. Około dziesiątej matka jej łóżeczko przypomniała. Przypomnienie to przyjęła z gestem takim, że pani Róża ani o jedenastej, ani o dwunastej nawet powtórzyć go nie śmiała. Julisia wysłuchiwała wszystkiego; powiadomioną została w obszerności całej o losach, nadziejach i widokach istoty niepospolitej, torują-

cęj sobie gardłem drogę do tronu. Nie miała też nic pilniejszego, jak, kiedy istota ta, po wypiciu wódki, dobranoc towarzystwu powiedziała i kiedy Julisi nie pozostawało nic innego, jak do łóżeczka pójść, rozbiierającą ją Marynie opowiadanie panny Y. od słowa do słowa powtórzyć.

— Pannuńciu! co pannuńcia powiada! — zawołała dziewczyna podziwu najwyższego tonem. — Ona pani mówiła to?

— Mówiła.

— Ona, królowna, w cygańskich była rękach?

— Była.

— Bo że ona królowna, tom ja to zgadła odrazu, inom... inom ją usłyszała.

— Doprawdy? — zapytała dziewczynka z ciekawością.

— Zgadłam, bo kiedy ona tam, w Humaniu, zaśpiewała, to mi się wnet chciało przed nią klęknąć i do niej ręce wyciągnąć. A pannuńci?...

— Mnie nie, ale kiedy ona opowiedziała...

— To już to prawda — podchwyciła Maryna — gdzieżby bowiem taka, co tak śpiewa, nieprawdę mówić mogła!

— Niby to każda co śpiewa, prawdę mówi — zauważyła Julisia, na poduszce się układając.

Miała jej na to coś Maryna odpowiedzieć, gdy wtém do pokoju wpadła przeznaczona do usługi

wania pannie Y. pokojówka, z obliczém zakrwawioném.

— Oj, Boże! cóż ja pocznę?—jęczała, za twarz dłonią się trzymając.

— Co tobie?—zapytała Maryna z niepokojem.

— Ach! ach! Jak mnie grzmotnęła!

— Kto?

— A taż to, gościa. To szczęście moje, że mnie puściła, a wzięła się do tamtej, do pani...

— Do ciotki swojej?

— A do kogóż! Nie było, tylko ja i ona. Otóż nie wiem, co robić teraz — dodała, twarz rękawem obcierając.

— Idź spać.

— Kiedyż tam—odparła, wskazując w kierunku zajmowanego przez pannę pokoju gościnnego—jest do czynienia jeszcze.

— Wyręcę cię — rzekła Maryna konfidencyjnie.—Ty idź, a o tém co zaszło nie rozpowiadaj nikomu.

Rzekła to i wnet się do pokoju śpiewaczki z pośpiechem udała.

## XV.

### Prima - donna.

---

Rezolucność Maryny w pójściu tam, gdzie biją wzięćby można za heroizm, gdyby nie to, że zmuszał ją pociąg nieprzeparty, któremu dziewczyna mimo wiedzy i woli własnej ulegała. Gdzie pociąg ów istnieje, tam na heroizm miejsca niema. Zachodzi tylko pytanie: z kąd się on wziął? Z kąd?—ztąd, z kąd się artyści biorą. Zaczyn artystyczny nie wybiera sfer, ani klas społecznych. Niby ziarno, które wiatr z kłosów obrywa i po polu roznosi, spada na grunt rozmaity. Na kamienistym się nie przyjmuje—marnuje; na uprawnym bujnie rozkwita. Zaczyn ów w Marynie byłby zapewne zmarniał, gdyby dziewczyna była u dziadka pozostała. We dworze na grunt trafił odpowiedni, wnet więc kielkować począł. Coś ją do panny Y. ciągnęło; chwyciła się więc oka-

zyi pierwszój lepszój zblizenia się do istoty tonami nabrzmiałój i poszła.

„Bije, więc cóż? — myślała sobie, idąc. — Niech bije.”

Temistokles powiedział: „Bij, ale wysłuchaj.”

Pomiędzy powiedzeniem wodza ateńskiego, a pomyśleniem Maryny, zachodzi analogia niejaka. I tamten i ta mieli do rozwiązania zadanie. Na tém się analogia zaczyna i kończy; zaznaczamy więc ją tylko i bez zastanowienia się nad nią, poprowadzimy rzecz powieściową dalej.

Maryna spodziewała się oberwać jeżeli nie szczotką, to żelazkiem od włosów, nie żelazkiem, to krzeselkiem może: Była na to przygotowaną. Wyobrażała sobie panuę Y, którą naseryo za królowną brała, w furyi; ku niemałemu atoli zdziwieniu swemu, znalazła ją w stanie spokoju zupełnego. Ciotka po podłodze zbierała grzebyki, spinki, pelerynkę, perukę i różne inne przedmioty w nieładzie rozrzucone, ona zaś przed zwierciadłem, przed którym dwie świece stały, włosy sobie do czépeczka nocnego układała. Jak skoro zoczyła w zwierciadle odbicie postaci dziewczyny, wnet się do niej żywo zwróciła i zaczęła:

— A, to nie tamta. Dobrze. Ale ja, zdaje się, głupstwo zrobiła?

Wyrazy ostatnie brzmiały akcentem zapytania, na które Maryna odpowiedzieć nie umiała.

— Prawda, że głupstwo? co? Cóż jednak! Tamtęj mi się fizygnomia nie podobała. Ty, co innego. Ty dobra dziewczyna. Jak ci na imię?

— Maryna, proszę pani — odpowiedziała zapytana.

— To dobrze, o, Maryna — wyśpiewała, do zwierciadła się zwracając.— Zróbże, moja kochana, jaki taki w pokoju porządek, tu się bowiem zrobił nieporządek.

Nieporządek polegał na zburzeniu pościeli na łóżkach i porozciąganiu części różnych odzieży po podłodze. Maryna przedewszystkiem do pościeli się wzięła, łóżka zasała, a potem uprzątnęła podłogę.

— Tak, to dobrze. Dobra z ciebie dziewczyna: zatarałaś ślady głupstwa mego. Dopuściłam się głupstwa wielkiego. Ale co ja temu winna? Bawiłam ich przez wieczór cały opowiadaniem o rzeczach niestworzonych i nikt ani się domyślił dać mi bodaj jedno brawo!

Maryna, nie wiedząc o co rzecz chodzi, nie zrozumiała pretensyi śpiewaczki. Wydawało się jej jednak, że musi to być coś bardzo ważnego.

Po chwili prima-donna dodała:

— Wiész co, Maryniu, powiem ci, żeś mi się podobała.

— Pani — westchnęła dziewczyna.

— Bardzoś się mi podobała.



To rzekłszy, rozbiierać się przy pomocy Maryny poczęła. Rozbięrała się, ziewała okrutnie. I niedziw: godzina była około drugiej. W chwilkę później spała już. Maryna świecę pogasiła i na palcach się wyniosła, udając się na spoczynek do nóg łóżeczka Julisi.

Dzień następny sprowadził do Howorówki gości osób kilka z sąsiedztwa. Przyjechał i pan Paweł. Goście którzy przybyli w celu oglądania i słyszenia śpiewaczki, gdy ta od godziny dopiero szóstej po południu widzialną się stawała, na noc pozostali. Późnym wieczorem panna Y. słysząc się dała—śpiewała. Pan Paweł, praktyk w materji téj, dał do okłasków hasło. Bito w dłonie; wołano „bis!” Panna Y. promieniała zadowoleniem i wielce się okazała łaskawą względem dwóch panienek, których matki dowiedzieć się od niej chciały, czy córeczki ich mają głos. Próbowwały się dziewczątka jedna po drugiej, wydobywając z piersi przeciągle „aaa.”

— Dobrze, bardzo dobrze!—za każdym razem panna Y. powtarzała, czyniąc przytém uwagi, jakie za stosowne uważała.

— Nie śmiałam pani prosić—odezwała się pani Róża—ale, ponieważ pani taka łaskawa, proszę mi co i o Julisi mojej powiedzieć.

Zkolei przystąpiła Julisia.

— Aaa —zapiszczała.

— Doskonale!—zawołała p. Y.— Powtórz-że!  
Dziewczynka, pochwałą zachęcona, zakrzyczyła  
głośniej i pewniej.

— Świetnie! To nie głos, to skarb, majątek.  
A no jeszcze.

— Aaa—zawrzeszczało dziecko, otworzywszy  
usta na szerokość całą.

— Brawo!—krzyknęła panna Y.

Pan Paweł klaskał, pan Tadeusz mu zawtórował—oklaski się posypały.

Pani Róża ze łzami w oczach powiadała z sąsiadek jedną:

— Anim się, droga pani, tego nie domyślała.  
Rodzice najmniej zazwyczaj o wartości dzieci  
własnych, o talentach ich, o powołaniu wiedzą.

— Prawda, pani kochana—sąsiadka na to.—  
A moja Kicia. Słyszała pani kochana? O głosie  
jój panna Y. powiedziała „bardzo dobrze.” Jam  
także o tém nie wiedziała.

Przez grzeczność pani Róża nie mówiła, że „co  
bardzo dobrze,” to nie „doskonale,” ani „świetnie.”  
Od porównywań się wstrzymała, zato treść roz-  
mowy zwróciła do kwestyi majątkowej, tak mo-  
cno przez pannę Y. zaznaczonęj.

— Co się tyczy tego—były słowa jój—dla Ju-  
lisi Howorówka starczy. Nie o posag tu chodzi,  
ale o talent, o talent—powtórzyła—zagrzebywa-  
nie którego byłoby grzechem.

— O tak, pani, o tak — potwierdzała sąsiadka.—Toż samo o mojej Kici myślę.

„Bodajęś z Kicią swoją skisła!”—myślała sobie pani Róża w duchu, głośno zaś powiedziała:— O tak, pani... tak. Zdaniem mojem talent, to rzecz, doprawdy, święta.

— Święta i nietykalna — zahazardowała się sąsiadka, chcąc świętość do wyższej podnieść potęgi.

Panna Y. na dobranoc raz jeszcze zaśpiewała i narzekać nie mogła na chłód przyjęcia. Zachwyty, jaki sprawiła, zostawał w stosunku prostym do nadziei, jakie w matkach wzbudziła. To też posiłek północny spożyła z apetytem wielkim, wódki się napiła i w dobrym się na spoczynek udawała humorze.

Państwo Tadeuszostwo złapać się dali na pochwały dla swego dziecka. Nie ciskajmy za to na nich kamieniem potępienia. Zwróćmy się raczej z kamieniem tym ku pannie Y., która się na rzeczy znała doskonale i poczciwych ludzi w błąd wprowadziła z rozmysłem.

Że się na rzeczy znała, dowód na to taki.

Na drugi dzień po wprowadzeniu państwa Tadeuszostwa w błąd, Julisia, w łóeczku jeszcze leżąc—było to około dziewiątej rano—opowiadała Marynie o próbie wokalnej, na jaką wystawioną została.

— I jakże to, pannuńciu, było? — zapytała dziewczyna.

— Jak. Oto tak.

Usta otworzyła i dalejże wyciągać: aaa!

— I więcej nie?

— Nie. Ale słuchaj-no, jak to ładnie: aaa!

Dziecko się darło. Maryna ze skrzyżowanemi na piersiach rękami przed niem stała.

— Prawda, że ładnie?

— No, nie wiem, może.

— Ta panna powiada: doskonale, świetnie. A spróbuj że ty.

— Ja? nie.

— Spróbuj. Gębę otwórz i krzycz: aaa.

— Czego pannuńcia nie wymyśli jeszcze— bronila się Maryna.

Julisia jednak uparła się, nastawała; że zaś, kiedy jej się czego zachciało, wówczas żartów z nią nie było, Maryna, po oporze długim, odchrząknęła, gębę otworzyła i z płuc wytchnęła głos, który zabrzmiał dźwiękiem kryształowym. Zabrzmiał i po dworze się rozległ, przechodząc z pokoju do pokoju. Trwało to niedługo, sekund kilkanaście. Gdy dziewczyna zamilkła, Julisia coś powiedzieć chciała, w chwili tej jednak we drzwiach pojawiła się panna Y. i zapytała surowo:

— Kto to śpiewa?

— To ja, pani—odpowiedziała Julisia.

— Nieprawda... Ty? — palcem na Marynę wskazała.

Dzieweczyna wyglądała jak winowajczyni.

— Ty?—powtórnie zapytała.

— Ja—Maryna wyjąknęła.

— Ty? o!—odezwała się panna Y.

Zawróciła się i odeszła.

Pokazuje się przeto, że się na rzeczy znała — znała się tak dalece, iż tego dnia, kiedy jej Maryna przy rozbięciu się posługiwała, po ramieniu ją poklepała i powiedziała:

— Gdybyś ty w moich była rękach, byłaby z ciebie w krótkim czasie prima-donna.

„Prima-donna!” Wyraz ten wpadł Marynie w słuch i ugrzązł w mózgu. Nie rozumiała go, ale dlatego właśnie obchodził ją tém bardziej. Biedne dziewczę! Czyż nie lepiejby dla niej było krowy doić, kurom jeść dawać i dziadka obsługiwać? Nie zwracają się jednak potoki do źródeł. Kto wie, azali Maryna, gdyby po tém, czego zaznała, dziadkowi oddaną została, zdołałaby przerobić się nanowo na prostą, wiejską dziewczynę, przydatną do dojenia krowy i dawania kurom jeść? Cuda podobne zdarzają się, tak atoli rzadko, tak rzadko, że w rachubę ich brać nie można.

Panna Y. zabawić miała w Howorówce dni parę, zabawiła parę tygodni, aż wkońcu i sama

się znudziła i ciężarem się stała. Wyjechać musiała i—wyjechała. Pan Tadeusz, odwdzięczając się jęj za wskazówkę, jakiej udzieliła, odkrywając rodzicom talent dziecka, pojazdem własnym i końmi własnymi odesłał ją, nie do Bałty, jak pierwotnie w zamiarze było, ale do samęj Odessy. Odjeżdżającęj nie żałował nikt, z wyjątkiem Maryny jednęj, w oczach której znikały ułomności i wady jęj wszystkie, pozostawała zaś tylko mistrzyni tonów, córka królewska sztuki. Nikt już nie wierzył opowiadanym przez nią bajkom; ona jedna wierzyła. Odjazd jęj przeto w rozpacz prawie dziewczynę wprawił; miejsca sobie znaleźć, rady dać nie mogła; biegła tam i sam, po pokojach i po ogrodzie, niby zraniona; za oddalającym się pojazdem spoglądała i czuła ochotę biedz za nim, biedz, jak to czynią psy, towarzyszące ludziom w podróży.

— Biednaż moja główeńka!—żałiła się przed sobą w duszy.

Pozalić się przed kim nie miała. Przed dziadkiem chyba. Na żadne względy służbowe nie zważając, z okopu ogród dworski otaczającego, który jęj za punkt obserwacyjny do spoglądania za pojazdem służył, pędem wprost do chaty swojęj się udała, dziadka zastała, obok niego przysiadła, do niego się przytuliła, ale mu

nic do powiedzenia nie miała. Nic a nic. Płakała jeno. Łuka łyzy jęj na swój brał rachunek.

— Żal—myślał sobie— dziewczynie za mną, za obejściem, za krową, za kurami. Pójdę, rzucę się dziedzicowi do nóg, będę go błagał, ażeby mi ją oddał.

Powiedział to Marynie, a ona:

— Ach, dziadusiu, nie idźcie! — ręce składając, zawołała—nie idźcie!

— Czemu?

— Nie trzeba. Nie można, nie, nie można!

Łuka pomyślał, że prośba jego, zamiast rezultat pożądaný sprowadzić, mogłaby na głowę wnuczki biędę nawołać. Myśl tę nasunął mu sposób, w jaki Maryna powiedzenie jego przyjęła. W słowach jęj brzmiał akcent błagalny i trwożny.

— Ha!—westchnął.—Niech po twojemu będzie. W takim razie jednak nie przypóźniaj się u mnie, do dworu wracaj... chyba, żeś sobie pozwolenie wyprosiła.

— Ach, nie! — krzyknęła, zerwała się i pobiegła.

We dworze nieobecność jęj chwilowa niczyjéj nie zwróciła uwagi. Uszło to jęj na sucho. Powróciła—nikt jęj nie zapytał, gdzie przez pół godziny bawiła. Powróciła do trybu życia dawniejszego, do spychania dnia po dniu na zajęciach,

które jej nie zajmowały, na pracy, która pracą nie była. Służba—zwyczajnie.

Zagadano niebawem o weselu. Gadanie dotyczyło się panny Emilii; lecz nietyle ją ono obchodziło, co opowiadanie Hrynia, który pannę Y. do Odessy odwoził, o podróży tam i z powrotem, o walkach czumackich, o „narodzie” co ze świata całego do Odessy idzie a idzie i o różnych innych miasta wielkiego osobliwościach. Zajmowało to ją żywo. Ilekroć czeladź do obiadu, zwłaszcza zaś do wieczerzy, przy której dłużej pozostawać było można, zasiadała, Maryna w słuch się zmieniła cała, gdy Hryń prawił o rzeczach, co mu się przed oczami przesunęły, z taką świadomością, jakby je na wylot zgłębił. Opowiadane przezeń nadzwyczajności niedowierzanie w tym i owym ze słuchaczy rozbudzały. On za prawdę zaręczał, aż wkońcu, przy wieczerzy, oznajmił:

— Przekonacie się. Ten i ów do Odessy pojedzie, zdaje się bowiem, że się tam państwo nasze wybięra. Pan do Krut po kowala i slusarza posłał, ażeby kocze i bryki popatrywali i ponaprawiali.

Wiadomość ta sprawiła Marynie rodzaj wstrząśnienia elektrycznego.

— Czy to prawda jednak?

Tak — była to prawda, prawda, która się urodziła nagle, a wbrew woli pana Tadeusza.



Wola jego uległa zgwałceniu. Przytrafia się to niekiedy ludziom, mężom zwłaszcza, mającym się za panów w domu. Spada im nagle na głowę z powietrza niby coś, o czém ani marzyli. Na pana Tadeusza nie spadło to w sposób taki. O Odessie, o wyprawie weselnój dla panny Emilii, były napomknienia przedtém — przed Humanem jeszcze, ale, jako życzenia pobożne, do wykonania niemożliwe, a to dla powodów, które — jak się panu Tadeuszowi wydawało — murem stały. Zapomniał snadź o murach jerychońskich, co się od huku trąb zwaliły. Do obalenia powodów pana Tadeusza huku trąb nie było potrzeba. Na powody naszły powody, te zaś ostatnie oparły się o dowody tak niezbite, że się sam oporowi własnemu dziwił.

— Wyprawa w Odessie jest tańszą i lepszą — wykladała pani Róża apodyktycznie, to znaczy w sposób zaprzeczania niedopuszczający — a przytém — dodała z pełnym znaczenia naciskiem — nie o same tylko wyprawę chodzi. Wiész...

— No, wiem — odparł na chybił-trafił, nie wiedząc, co żona ma na myśli. — Wiem. — Jedźcie wy — westchnął — sobie same. Ja w domu zostanę.

— Jak chcesz, Tadius — odrzekła pani. — Jak chcesz, pomimo że wołałabym, ażebyś nam towarzyszył. Ale ty wiész, że się ja woli twojój sprze-

ciwiać nie lubię. Jak chcesz... Jakże ty jednak zostaniesz sam?—zapytała.

— Nie sam całkowicie.

— Z kim-że?

— Z Julisją przecie.

— Z Julisją?—wykrzyknęła zdziwiona.—A toć tu o Julisję więcej, aniżeli o wyprawę Emilki chodzi.

— Uhm — chrząknął pan Tadeusz dla kontensu.

— Talent — rzekła pani Róża tonem uroczystym.

— Tak, zapewne... talent—bąkał.

— Gdy go będziemy na wsi trzymali, w cóż się on obróci?

— Z Odessy przecie do Howorówki wróci i w Howorówce zostać potrzeba.

— Wrócić... tak. Zresztą, co tam być ma dalej, to się pokaże później, tymczasem zaś korzystać należy ze sposobności pokazania dziecku świata nie dla czego innego, jak dla wyrobienia w niem smaku. Wszak—dodała głosem do serca idącym—my dla niej, dla Julisi żyjemy. Co?

Wyrazy ostatnie bez możliwej były repliki. Pan Tadeusz zgodził się.

— Hm—rzekł—to prawda.

— A widzisz? Sam chcesz tego. Korzyść oczywista.

— Jedźcie, jedźcie—westchnął.

— Cóż ty sam w Howorówce robić będziesz ?

— Będę zające szezul i kuropatwy strzelał.

— Jedź z nami—prośby tonem przemówiła.

— Hm—zamyślił się.—To i cóż?

Prośba żony jest to coś gruntowniejszego, aniżeli najgruntowniejsza racya. *Ce que femme veut, Dieu le veut.* Pan Tadeusz pomyślał i — i na to się zgodził. Wymówił sobie tylko oszczędność w podróży.

— Wybierzemy się nie tak, jak do Humania. Gdybyś bowiem wiedziała—dodał, palec podnosząc—co mnie ten Humań kosztował! Ha!

— Dla dziecka, mój Tadziu... dla dziecka. Gdyby nie ten koszt, nie bylibyśmy mieli panny Y. w domu; a gdyby nie panna Y., nicbyśmy o talencie Julisi nie wiedzieli.

— Jeżeli się to jednak zrobić da kosztem mniejszym—zaczął.

— Nic nie mam przeciwko temu—podchwyciła.—Co do oszczędności, wiesz przecie, czy nie jestem za jaknajwiększą?

— Pojedziemy przeto pojazdem jednym i...

— A pościel? a panna służąca? a kucharz?—przerwała.

— Weźmiemy bryczkę jedną ze sobą. Zabierzemy się w sposób ten ze wszystkiém.

Z rozmowy, jaka się ztąd wywiązała, wypadło, że guwernantka zostanie, ze służby zaś pojedzie jeden lokaj, kucharz, panna służąca i dwóch furmanów. Pani chciało się Marynę dla Julisi zabrać; lecz miejsca na nią nie było, a przytém dziewczyna już dziecku spowszedniała. Nowe sitko na kołeczku nowém być przestało. Pani Róża spostrzegła to i ze spostrzeżenia tego uczyniła zastosowanie odpowiednie w kombinacjach podróży. Udecydowano, że Maryna zostanie.

Decyzją tę dziewczyna przyjęła, jak się przyjmuje wyrok—nie wyrok śmierci koniecznie, ale taki, co śmierć nadziejom wszystkim jasnym, wszystkim rojeniom złotym zadaje. Zaboliała, zesmutniała i, po przeminięciu wrażenia pierwszego, myśleć o apelacyi poczęła.

Apelować—do kogo? Do kogóż, jeżeli nie do Julisi? Do niej więc uderzyła.

— Pannuńciu — zaczęła wieczora pewnego, w łódeczku ją ułożywszy i kołderką okrywszy—pannuńcia do Odessy pojedzie.

— Pojadę—odparła dziewczyna.

— Bezemnie?

— I bez ciebie, i bez panny Klary.

— A któż tam pannuńcię ubierać, kto rozbiierać będzie?

— Honorata (było to panny służącej imię).

— Czyż panna Honorata potrafi tak, jak ja?

— Czemu nie. Ona przecie mamę ubiera.

— Jabym jednak, jabym... pannuńciu serce—szukała w myśli racyj i nie znajdowała żadnych.

Na drodze apelacyi nie powiodło się jój, postanowiła więc tentować drogi innėj—drogi łaski. Postanowienie to powzięła w nocy i do wykonania onego przystąpiła nazajutrz, w porze porankowėj, sznurując Julisi trzewiczki na nogach.

— Pannuńciu serce—zaczęła nieśmiało, tonem prośby.

— Co?—zapytała dziewczynka.

— A gdyby pannuńcia pana ta pani poprosiła.

— O co?

— Żeby mnie ze sobą do Odessy zabrali.

— Takeś Odessy ciekawa?—odparła Julisia.

— Nie, nie to tylko, ale hm—odchrząknęła i zacięła się.

— Ale co?

— Chciałabym bardzo zobaczyć tę panią, pannę Y.? co tu u nas przez dwie niedziele gościła.

— Cóż ci do panny Y.?—dopytywała się Julisia od niechcenia.

— Ona na mnie taka była łaskawa, tyle mi dobrych słówek mówiła. Powiadała mi raz po raz, żeby ze mnie była prima-donna.

— Prima donna—powtórzyła dziewczynka.—No widzisz. Dobrze, to ja papy i mamy poproszę.

— Niech pannuńcia poprosi — posłała a odchodzącą wyrazy modlitewnie wymówione, a sama się uprzątaniem w pokoju zajęła, z biciem serca na rezultat prośby oczekując.

Upłynęło chwil kilka, zanim się słyszcć dało wołanie, do państwa ją wzywające.

Państwo Tadeuszostwo, panny Emilia i Klara i pan Paweł przy kawie siedzieli.

Marynie, jak skoro próg sali jadalnej przestąpiła, przedstawił się widok twarzy śmiechem rozweselonych. Śmieli się wszyscy do łez, śmieli się i na stojącą w progu Marynę spoglądali. Gdy by nie spoglądanie to, śmiech samby jej nie zdziwił. Była już o tyle z dworem oswojoną, że wiedziała iż państwu bywa wesoło niekiedy. Śmieją się. Niechby się śmieli zdrowi. Ale—dlaczegóż na nią spojrzenia zwracają? Czemuż w spojrzeniach tych świeci wyraz, dobrotliwy wprawdzie, zarazem jednak drwiący? Co to znaczy? Dziewczyna zagadkę tę rozwiązać usiłując, oczy to spuszczała, to podnosiła i spojrzeniem spotkała się ze wzrokiem pana Pawła. Zauważyła, że w oczach tego ostatniego drwina nie świeciła. Było to spostrzeżenie przelotne, którego sprawdzić czasu nie miała, w téj chwili bowiem w uszach jej zabrzmiał wyraz:

— Prima-donna!

Wyraz ten, wśród wylewów śmiechu wymówiony głosem kobiecym, powtórzył głos mężki basem, a głosowi temu zawtórowały soprana fałszywe.

— Chi chi chi, cha cha cha... Prima-donna!.. prima-donna?...

Maryna poznała, że przedmiotem śmiechu jest ona, a z nią owa w wyrazie mieszcząca się zagadka, która dla niej drogą była. Płomienie jej do twarzy uderzyły. Pod ziemięby się schowała, gdyby mogła. Pod ziemię się nie schowała, ale — uciekła.

## XVI.

### Zbiegostwo od puli.

Przyznać należy słuszość niejaka narzekaniom, jakie słyszeć się dają w ustach wieśniaków na miasta. Miasta — to pokusa: one to bardziej i skuteczniej, niż wszystkie inne, poczciwych ludzi na pokuszenie wiodą. Poczyna się ono od miasteczka małego, od małego ciągnie do większego, od większego do jeszcze większego, do wielkiego, do stolicy wreszcie. Do tego potrzeba, rzecz naturalna, racyi jakiejś. Bez racyi nie dzieje się nic, ani nawet oddawanie się grze w karty, odgrywającej rolę tak ważną w życiu obywatelstwa naszego. Dlaczego się w karty gra? — dlatego, że się nic innego do czynienia niema; dlaczego się do czynienia nic innego niema? — dlatego, że w umysłach panuje próżnia, panuje jako pokuta, „za winy własne i za ojców winę.” Nic bez ra-



cyi! Wodzenie przeto na miastowe pokuszenie odnosi się także do racyi bardzo wyraźnej, polegającej na tém, że są miasta ogniskami światła. Są tacy, co niby émy lecą w ognisko i jak émy się palą. Światło temu niewinne. Czy komu na myśl kiedy przychodzi obwiniać słońce?

Z tém wszystkiém narzekania na uwzględnienie zasługują. Wieś przypisuje sobie przywilej czystości i prostoty, który-to przywilej zetknięcie się z miastem na szwank wystawia. O przywileju tym wieleby do mówienia było; analiza wykazałaby słabe jego strony; pomijamy to atoli, zaznaczając tylko mniemanie o przywileju, podobnym do przywilejów wszelakich z tego mianowicie względu, że podkopują go najgruntowniej ci właśnie, którymby najbardziej o utrzymanie onego chodzić powinno. Sami podkopują i na podkopywanie narzekają.

Państwo Tadeuszowstwo tedy wybrali się. Pan Paweł wybierał się także. Wyjeżdżać mieli nazajutrz, ci pojazdami swojemi, ten swoim. Panna Emilia cieszyła się na myśl o podróży tej, przedstawiającej dla niej urok szczególny. Wędrówka narzeczonej i narzeczonego, to zawsze odyse a romansowa, zachwycająca mianowicie w perspektywie. Jeżeli narzeczeni, zbiegiem jakich okoliczności nadzwyczajnych, nie pocałowali się jeszcze, w podróży pocałują się napewno. Takim

jest prawidło ogólne. „Pocałunek jój, ach, nektar boski!” Nic nie może być bardziej pożądaném, jak nektaru tego haust pociągnąć ukradkiem w domostwie żydowskiém, na popasie lub na noclegu, bez względu na to, czy księżyc, czy słońce świeci, albo nie świeci, ani na to, czy słowik śpiewa, czy nie. Warunki te, podawane za bardzo ważne w romansach, w praktyce tracą na znaczeniu wobec nektaru, pozostającego nektarem bądź-cobądź, niezależnie od warunków, o które—jak mi się zdaje—chodzi jeno smakoszom romansowym.

Panna Emilia cieszyła się, jak rzekłem powyżej, na myśl o podróży. Czy do uciechy jój wchodziła myśl o nektarze? Poeta powiada wyraźnie „Pocałunek jój....” Pocałunek ów przeto jest nektarem dla niego. A dla niój—czém jest? Przypuszczać należy, iż jest nektarem także, opierając przypuszczenie na uciezce panny Emilii, która, w wigilią dnia na wyjazd z Howorówki przeznaczonego, wyglądać pana Pawła poczęła od chwili, jak słońce przekroczyło howorowiecki południk. Każdy turkot narzeczonego jój zwiastował, każda, którą na trakcie ujrzała, fura siana przybięrała w oczach jój kształt pojazdu podróznego, wiozącego pana Pawła. Dozorując służącój, co jój walizy i pudełka niezbędnymi w podróży artykułami napełniała, cochwiła się odrywała, do

okna śpieszyła i na trakt spojrzenie badawcze posyłała. Minęło południe; przy obiedzie niby na szpilkach siedziała.

— Pawelek mógłby być z nami obiad zjeść— zauważył pan Tadeusz.

Panna Emilia w zupełności zdanie brata podzielała i dlatego ze złym humorem przyjęła odpowiedź bratowej:

— Wybięra się.

— Co tam wybięranie się kawalerskie! — odparł pan Tadeusz.—Na miejsce jego w przeciągu pół godziny wybrałbym się do Pekinu.

— Do Pekinu; papo?—odezwała się Julisia

— Ano?

— Bo mnie się zdaje, że papa wolałby się wybięrać do Paryża.

— Proszę!— bąknął pan Tadeusz. — Zkądże ci Paryż na myśl przyszedł?

— Tak sobie. O Pekinie słyszę po raz piérwsz — odrzekło dziecko.

— Nie uczyłaś się geografii?—zapytał ojciec.

Dziewczynka gestem lekceważenia odpowiedziała; w odpowiedzi zaś ustnej zastąpiła ją nauczycielka w następujący, uśmiechem słodkim zaprawny sposób:

— Jeszcześmy z Julisją nie przechodziły—zawahała się i rzekła:—Ameryki.

Takie w tej mlékem i miodem płynącej krainie, ówierć wieku temu, zdarzały się nauczycielki, co Pekin do Ameryki przenosiły; zdarzali się rodzice, co przenosiny te uwzględniali; zdarzali się nawet mężowie poważni, co pisali nie Szwajcarya, ale Szwajcarnia. Co to wadziło?—kiedy kraina mlékem i miodem płynęła. Dziś, gdy—jak sły-szę—mléka i miodu ujęło się nieco, inaczej się tam, zapewne, pod względem tym dzieje. W czasie jednak onym Pekin w Ameryce uszedł bez zwrócenia na siebie uwagi i pan Tadeusz zapytał córki:

— A o Paryżuś się uczyła?

— Nie jeszcze, papo, ale... Paryż, ciocia...

— Cóż ciocia?

— Ciocia, jak za pana Pawła za mąż wyjdzie, do Paryża pojedzie.

— Pojedzie? hm—pan Tadeusz na to.

— Co też ty wyplatasz, Juleczko!—odezwała się panna Emilia.

— Czy ciocia tego nie mówiła? co? — odrzekła dziewczynka.

— Chociaż i mówiła, to żartem—podechwyciła pani Róża, przychodząc zmieszanej nieco narze-zonej w pomoc.—Julisia, spodziewam się, nie będzie tego powtarzała.

— Panu Pawłowi zwłaszcza—wtrącił pan Tadeusz.

— Ani panu Pawłowi, ani nikomu — dodała pani Róża. — Julisia grzeczna; Julisia przytém dziewczynka już słuszna, wie dobrze, co to żarty.

Julisia nie odpowiedziała na to. Panna Emilia musiała być nieobecności pana Pawła rada w tój chwili; po upływie atoli minut kilku, znów go z niepokojem wyglądać poczęła. Niepokój wzrastał wmiarę, jak się słońce ku zachodowi zbliżało. Pan Tadeusz żartował z siostry, która na miejscu usiedzieć nie mogła.

— Radzę ci, zerwij z nim — powiadał. — Pora jeszcze... Później, kiedy ksiądz wam stulą ręce zwiąże, klamka zapadnie, nie pozbędziesz się Pawełka, choćbyś chciała.

— Dlaczegożbym chcieć miała? — broniła się.

— Dlaczego, hm? dla powodów rozmaitych; przedewszystkiém dla głupstwa jakiegoś, a następnie dlatego że, jak dziś na przykład, słowa ci nie dotrzymał.

— Pan Paweł mi na dziś słowa nie dawał żadnego innego, tylko...

— Tylko co?

— Że przyjedzie.

— O której godzinie?

— Godziny nie oznaczył.

— Toś ty mu zapewne oznaczyła godzinę?

— Nie — odparła panna Emilia.

— O zbrodzień jakiś! — wykrzyknął pan Tadeusz. — Nie wiedząc, o której chcesz, ażeby przyjechał godzinie, nie domyślił się!

— Nie myślę, ażeby to zbrodnia była.

— Nie zbrodnia? Winszuję ci, Emilko: pokazuje się, że będziesz małżonką wyrozumiałą.

W tym sensie toczyła się pomiędzy bratem a siostrą rozmowa, aż panna Emilia wyściem koniec jej położyła.

I wciąż nasłuchiwała i wciąż wyglądała.

„Jego jeszcze niema,  
A duszyczka roi.”

Tak się wlokło do herbaty. Herbatę podano — pan Paweł się nie pokazywał. Nareszcie — turkot się na podwórzu słyszeć dał, bryczka się przed gankiem zatrzymała.

— O — odezwał się pan Tadeusz. — Zapłacz, Emilko, z radości.

Drzwi się otworzyły i wszedł... ksiądz proboszcz.

— O! — zawołał pan Tadeusz przeciągle, idąc na spotkanie i powitanie gościa. — Szkoda, księżu dobrodzieju, że nie posiadacie ducha proroczego, ani mocy czynienia cudów: przydałoby wam się jedno i drugie w tej chwili.

— Przydałoby się to może i zawsze — odparł przybysz.

— W chwili téj jednak najbardziej.

— Czy wolno wiedzieć, dlaczego?

— Zapytajcie o to Emilki... tymczasem zaś miejsce zająć i podzielić się z nami czém Bóg dał raczcie.

Ksiądz zazwyczaj na preferansa, którego lubił tak namiętnie, że z trzema grywał dziadkami, przyjeżdżał. Obecnie atoli innym był przybycia jego powód. Oświadczył to na wstępie.

— Przyjechałem — zaczął — na chwileczkę tylko.

— Przecież ksiądz dobrodziej koniki wyłożyć pozwoli — przerwał pan Tadeusz.

— A nie — zaprotestował ksiądz — nie, nie.

— Razem wieczerzę spożyjemy i pulkę preferansika zgramy.

— Nie wódz asan dobrodziej człowieka ułomnego na pokuszenie. Nie.

— Było chyba nie przyjeżdżać lepiej — odparł pan Tadeusz.

— Byłbym téż nie przyjechał, gdyby nie interes.

— Zły ksiądz dobrodziej do załatwiania interesów moment wybrałeś.

— Czy dlatego, że się państwo dobrodziejstwo do Odessy wybieracie?

— Naturalnie.

— Owóż, interes mój właśnie się do Odessy odnosi. Gdyby nie to, nie odważyłbym się w chwili tój mitreği asaństwu dobrodziejstwu sprawiąć. Wiem bowiem, co to znaczy w daleką wybić się podróż.

— Z kobietami zwłaszcza—wtrącił pan Tadeusz.

— Z kobietami, tak, hm, zapewne. Chociaż...

— I z pudełkami.

— Z pudełkami, tak, to ambaras musi być wielki. Ale asan dobrodziej Panu Bogu dziękować powinienes, że się na tём ambaras kończy.

— Alboż co?

— Jedna z parafianek moich nie ruszy się bez papugi i małpeczki.

— „Dobre durity koły prystupaje” — odparł pan Tadeusz. — Za parafianką tą stoi siedemset dusz.

— Nie to, ale... ale hm—chrząkał ksiądz, tabakierkę z kieszeni wydostając.

Tabakierkę wyjął, tabaki zażył, nos hałaśliwie wytarł i dalej ciągnął:

— Ale co tam. Przystąpić do interesu muszę.

— Możeby później, po herbacie — zauważył pan Tadeusz.

— Czemu?—zapytał ksiądz.

— Jeżeli to interes jaki partykularny.



— Partykularny, ale... nie sekretny, a do tego—dodał, oczami wskazując—do panny Emilii.

— Czémże mam księdzu dobrodziejowi służyć?—zapytała ta ostatnia uprzejmie.

Proboszcz, zanim się z odpowiedzią zebrał, wy dobył piérwój z głębi kieszeni, zamaskowanej fałdami rewerendy, sztofik taki, w jakim się sprzedaje wódka tak zwana francuska, i sztofik ów na stole postawił.

— No, no — odezwał się pan Tadeusz, głową kręcąc.— Ksiądz dobrodziej, jak miarkuję, siostrę moję na niegodziwość jakąś namówić chcesz.

— Na przykład?—zapytał proboszcz.

— To, jak mi Bóg mily, trąci... kontrabandą.

— Kontrabandą, hm? Nie wiem. Chcę panny Emilii prosić, ażeby sztofik ten dla mnie napęniła...

— Koniakiem?—podchwycił pan Tadeusz.

— Nie zgadłeś asan dobrodziej.

— Dżinem angielskim, brandy angielską?

— Wcale nie.

— Tabaką zagraniczną?

— Ja nad wszystkie na świecie tabaki szarogrodzką przekładam.

— Chyba więc... no, czém?—zaczął pan Tadeusz.

— Czém? kto zgadnie?—wyzwał proboszcz.

Poczęły się odgadywania; panie, co przy stole siedziały, wymieniły z dziesiątek płynów rozmaitych rodzajów, aż wkońcu Julisia zawołała:

— Wodą święconą.

— O—podchwycił proboszcz, na dziewczynkę palcem wskazując—zgadła, ale przez pół. Woda, tak, woda, nie święcona jednak, ale morska.

— Ksiądz dobrodziejowi wody morskiej potrzeba?—zapytała panna Emilia.

— Potrzeba; to jest właściwie nie potrzeba, ale...

— Ksiądz dobrodziej wytłumaczył rzecz jasno—wsunął pan Tadeusz.

— Jaśniej nie sposób, koniec końcem bowiem obejśćbym się bez niej mógł; ponieważ jednak słyszałem i czytałem, że woda morska jest gorzko-słona, więcbym się przekonać chciał.

Wyznanie to posłużyłoby mogło za wychodni do długiej dyskusji punkt, gdyby w gronie, co księdza otaczało, znajdował się pozytywista jaki. W czasie owym jednak pozytywiści nie poławiali się jeszcze, w tamtych mianowicie stronach, wyznanie więc uszło płazem.

Ksiądz proboszcz, po załatwieniu interesu i wypiciu herbaty, ku odjazdowi się miał. Wstał, po kieszeniach się obmacał i za czapkę się oglądał. Ze szlacheckiego atoli domu nie tak to odjechać łatwo. Gościnność stawia przeszkody, które nie

każdy przewyciężyć może. Na nic niekiedy usiłowania najenergiczniejsze. Gościnność wikła człowieka, jak sieć pajęcza muchę: ofiara szarpie się, targa, brzęczy, lecz wkońcu uledez musi. Wypadek podobny spotkał księdza. Miał intencją najszczerszą zamówić sobie tylko wody morskiej i powracać, ale się na intencyi skończyło. Uległ—co nastąpiło tём rychlój, że pan Tadeusz w słabą go uderzył stronę.

— Preferansik, księżę dobrodzieju, preferansik—dogadywał—puleczka jedna.

Opierał się proboszcz czcigodny, bronił, wreszcie ręce podniósł i krzyknął:

— Jakże! we dwóch?

-- Tylko patrzeć, jak przyjedzie Pawełek.

— To co innego—ksiądz na to—no, to co innego, byle jeno przyjechał z pewnością.

— Nic pewniejszego być nie może. Wszak umówiliśmy się: jutro wraz z nami do Odessy jedzie.

Ksiądz jeszcze z jedną objekcją wystąpił.

— Paniom mitręgę sprawimy—rzekł.

— Co za mitręgę? — odrzekła pani Róża.— Przeciwnie. Panowie, gdy niezajęci są, mają zwyczaj w nieswoje wtrącać się rzeczy.

Od chwili tój nie sama jedna panna Emilia panna Pawła wyglądała. Wyglądał go i ksiądz proboszcz, który grę w karty wogóle potępiał i bar-

dzo surowo potępiał, z wyjątkiem preferansa, utrzymując i mając na to dowody, że jest to gra zbawienna pod tym względem, iż zajmuje umysł, tém samém myśli grzeszne odpędza, polegając zaś na licytacji dwóch kart zakrytych, wzdychać do Opatrzności uczy. Wyglądał przeto przybycia pana Pawła i niecierpliwił się potrosze, pan Paweł bowiem, jak na toż, nie przybywał i nie przybywał. Już słońko znajdowało się na granicy zachodu — jego nie było; już do wieczery stół nakryto — jego nie było; już — pomimo że z wieczera zwlekano — rodzina z gośćmi stół obiadła — jego jeszcze nie było. Zjawił się nareszcie, ale jak duch. Przy drugim daniu wszedł niespodzianie i towarzystwo pozdrowił.

— Ach! — wydarł się okrzyk z ust wszystkich prawie.

— Preferans — odezwał się ksiądz proboszcz.

— Czemuż tak późno? — zapytał pan Tadeusz.

— A, późno, cóż! — odpowiedział zapytany tonem, w którym coś nakształt roztargnienia czuć się dawało.

— Jakżeś przyjechał? Turkotu słyszeć nie było.

— Niedziw: przyjechałem konno...

— Nie myślisz przecie konno do Odessy jechać?

— No, nie.

— Więc jakże?

— Przyjechałem zawiadomić państwa, ażebyście bezemnie jechali.

— A ty?

— Ja, ja dopędzę... Dopędzę, jeżeli nie w Bałcie, to w Ananiowie, nie w Ananiowie, to gdzieś dalej.

— Zkąd-że to? dlaczego?

— W ostatniej chwili opatrzyłem się, że sztaby nie wytrzymają. Kował się upił; okucie kół jutro dopiero nastąpić może.

— Mybyśmy mogli dzień jeden poczekać— odezwała się pani Róża.

— A nie. Na co?—z pośpiechem i z akcentem niecierpliwości podchwycił pan Paweł.

— Dzień jeden nie stanowi różnicy wielkiej.

— Ależ ja dopędzę — powtórzył z naciskiem mocnym.—Ja prędej pojadę, jeżeli z państwem dobrodziejstwem razem jechać z początku nie będę.

— Ma racją—zaczął pan Tadeusz.—Nie jadąc z taborem, raźniej pojedzie. My się będziemy wlekli.

Uwaga ta kwestyą rozstrzygnęła. Państwo Tadeuszostwo w czasie oznaczonym postanowili wyjechać, nie oglądając się na pana Pawła. Jeden tylko ksiądz proboszcz był zdania odmiennego.

— Jabym, mości dobrodzieju, na miejscu pana Pawła, nie jechał aż po weselu.

— Taż bo to jedziemy dla wesela właśnie, o wyprawę chodzi—odrzekła pani Róża.

— A, to co innego. Nie znam się ja na tém.

— Ksiądz dobrodziej lepiej się na preferansiku zna—wsunął pan Tadeusz.

— Otóż to. Wyglądaliśmy tu pana dobrodzieja—rzekł, do pana Pawła mowę zwracając—z żywą niecierpliwością.

— Kiedyż-bo ja—zaczął pan Paweł z zakłopotaniem—ja... No, niech i tak będzie.

— Coś ty nie w swoim jesteś sosie—zauważył pan Tadeusz.

— Te sztaby mnie zdemoralizowały. Zgniewałem się.

— Gniew krew psuje — odezwał się ksiądz tonem upomnienia.

— Czy ksiądz dobrodziej nie gniewasz się nigdy?—zapytał pan Tadeusz.

— A nigdy.

— Ani nawet wpadłszy bez trzech na siedem bez atu?

— Ii, to gniew łagodny, wzruszenie raczej. Wzruszenia tego rodzaju nietylko krwi nie psują, ale, przeciwnie, ruch żywszy jęj nadając, krążenie ułatwiają.

— Przystąpmy przeto do ułatwiania krwi krążenia—zakonkludował gospodarz domu, zwracając się do stolika zielonego, na którym dwie świece gorzały, dwie talie nierozcięte, kawałki krędy zaostrzonej i szczoteczki leżały.

Pan Paweł, zamieniwszy z panną Emilią i panią Różą frazesów kilka, przy stoliku zasiadł i niebawem rozpoczęła się gra, poprzedzona rozpieczętowywaniem talij, czynnością, której dopełnił ksiądz proboszcz, z zachowaniem formalności zazwyczaj w razach tych przestrzeganej. Talii każdej, przed rozdarcie koperty, szczotka dał, po rozdarciu zaś w karty dmuchnął; następnie wgórze na sufit spojrzął, ażali siedzenie jego nie znajduje się pod belką, na krześle się poprawił, tabaki zażył, nos wytarł i karty na stole do losowania miejsca rozłożył. Następnie—westchnął.

— Do kogo to ksiądz dobrodziej wzdycha?— zapytał pan Tadeusz.

— Do kogóż, jeżeli nie do świętego Antoniego.

— Patrona przeciwko złodziejom i od rzeczy zgubionych.

— Ano—potwierdził proboszcz.

— Czy kto księdzu dobrodziejowi co ukradł?

— Nie, Bogu dzięki, alem... zgubił.

— Co?

— No, a toż, com do puli w preferansie włożył.

Pan Paweł młódkę wyciągnął, karty rozdał i gra poszła swoim porządkiem, neutralizując trzeci zdrowych i silnych ludzi na wieczór cały, podczas gdy pleć słaba oddawała się pracy wielkiej. Panie się pakowały. Do pracy tej większe wprawdzie, aniżeli w Humanu do przyzykowania strojów balowych, przystępowały siły, cała bowiem służba niewieścia udział w niej brała, niemniej przeto tak pani Róża, jak panna Emilia zajęcia miały dużo. Niczego nie zapomnieć, wszystko opatrzyć, dla rzeczy każdej miejsce odpowiednie znaleźć: toż to robota nielada, robota wszystkie umysłowe władze pochłaniająca. Wyobraźmy sobie przy robocie takiej pannę Emilią, na którą zwały się razem: układanie bielizny, sukien i troska — troska nieokreślona jakaś, z niepokojem połączona, a pochodząca ztąd, że pan Paweł pojedzie osobno. Zmiana ta burzyła dla niej widoki, czy nadzieje jakieś, które tak cudownie w perspektywie podróży przewijały się w tumanie kurzawy, ciągnącej się na trakcie za pojazdem pana Pawła. Widoki owe czy nadzieje znikły naraz. Tuman kurzawy, sam przez się, nie interesował zgoła młodej narzeczonej.

„Och, te sztaby, te sztaby!” — w duchu sobie powtarzała, układając w pudełku drewnianem kołnierzyki, mankietki i krawatki.



My od siebie powiemy, że gdyby pan Paweł był kochał—kochał tak, jak to niekiedy kochają niektórzy—sztaby nie przeszkodziłyby mu w porę się w podróż wybrać. Posiadał on w wozowni powozów kilka; wraże zaś, gdyby nie posiadał ani jednego, wyruszyłby konno, piechotą. Sztaby na pretekst wyglądały. Pod żołnierzem od jazdy, serca nieodważnego, regularnie koń przed bitwą podkowy gubi. Serce pana Pawła podejrzenie w nas budzi. Co się w sercu tém działo?

Zapytanie to panna Emilia zadawać sobie zapewne musiała, składała bowiem rzeczy z roztrągnięciem tak daleko posuniętem, że nie rozumiała słów pani Róży, gdy ta, do pokoju jęj wszedłszy, zapytała:

— Moja Emilko, czyś ty gdzie tę dziewczynę posłała?

Panna Emilia na bratową wzrokiem zdziwionym spojrziała i odpowiedziała nieprędzj, aż pani Róża zapytanie powtórzyła:

— Jaką dziewczynę?—zapytała.

— Marynę.

— Anim jęj widziała!

— Wyobraź-że sobie, składać potrzeba rzeczy Julisi, które to dziewczysko utrzymuje, a gdzieś się zapodziała i odszukać jęj nie sposób.

Panna Emilia ramionami wzruszyła.

*Niezaradni.*

19

— A to ze sługami temi skaranie Boże! — zaczęła pani Róża i, z pokoju już wychodząc, dodała: — Panu Pawłowi, spodziewam się, pośpiech nakazałaś...

— Panu Pawłowi?! pośpiech?!

— Gdy się żegnał z tobą.

— Żegnał się?... kiedy?... Przy preferansie siedzi.

— Przy preferansie nie siedzi już nikt. Pan Paweł, jak się pokazuje, odjechał bez pożegnania z tobą. Ale — dodała — nie żegnał się i ze mną: widocznie przeszkadzać nam nie chciał i postąpił sobie po angielsku.

Mimo uspokojenia, jakie się w ostatnich zawierało wyrazach, pannę Emilią niemile dotknął odjazd narzeczonego, dokonany na sposób angielski. Przykro się jej, bardzo przykro zrobiło. Ochotę miała pogniewać się, a nawet scenę jaką zrobić; rozwaga atoli doradziła jej zachowanie krwi zimnej, a raczej odłożenie scen i gniewów do czasu późniejszego—na... kiedyś. Na kiedy mianowicie? Odpowiedź na pytanie to pozostawiam narzeczonemu, którym narzeczeni przykrości wyrządzają, a które, dla powodów siedemdziesięciu kilku, gniewać się na nich nie mogą.

Co innego proboszcz. O! ten się gniewał, a miał do gniewu powód bardzo słuszny, pan Pa-

węł bowiem dopuścił się występku odbieżenia preferansa w połowie puli.

— To rzecz, mości dobrodzieju, niewidziana i niesłychana!—mówił ksiądz w uniesieniu.—A był wygrany... Karta mu, pomimo że grał z roztarzeniem niepraktykowaném, szła szalenie... Byłem przekonany, że wpadnie na dziesięć w kiery, nie wpadł... Wygrywał i wygrywał... o —ksiądz obliczył — miał już na nas siedemdziesiąt trzy złote i groszy piętnaście... I uciekł... poprostu uciekł...

— Niech się ksiądz dobrodziej nie unosi—perswadował pan Tadeusz.—Co tam! Zdarzają się wypadki straszniejsze. Oto spać chodźmy. Łóżko dla księdza dobrodzieja posłane.

— Ja do domu jadę. Jabym, po zdarzeniu tén, zasnąć nie mógł; potrzebuję się piérwój przewietrzyć, ochłonać. A! mości dobrodzieju... Od nierozegranój puli uciec? rzecz, odkąd świat światem, niewidziana i niesłyszana!

## XVII.

### Uwieszenie.

---

Zdarza się tak często, że wyraz jeden, gest jeden stanowi o życiu człowieka. Wyraz czy gest sprawia rodzaj pchnięcia, rzucającego na drogę, na którąby bez tego był nie wszedł. Przytrafiło się to Marynie. Wyrazem, gestem owym stało się dla niej wysmianie, jakie ją spotkało z powodu niezrozumiałych dla niej słów: „prima-donna.” Uczuła się ona obrażona głęboko, a tak dotkliwie, że byłaby skoczyła głową nadół do studni, gdyby jej to na myśl było przyszło.

Nim to atoli nastąpić mogło, w słuch jej następujące poszeptem cichym wymówione wsunęły się wyrazy:

— Czy wiesz ty, co to prima-donna?

Podniosła oczy, ale widziała tylko kontur jakiś, w pokoju bowiem panowała ciemność. Po głosie jednak poznała pana Pawła.

— Wiész ty? — pytał, na ramieniu jój dłoń miękko jakoś i łagodnie opierając.

A przemawiał dobrotliwie — dobrotliwiej aniżeli ktokolwiek we dworze.

— Ta i zkądżebym ja wiedzieć miała? — odszepnęła.

— Odemnie — odrzekł i zapytał: — Chcesz?

— Chciałabym — odpowiedziała.

— Wytłumaczę ci; nie dziś jednak, i nie tu. A gdzie?

— Nie wiem.

— W ogrodzie pod jaworem, pod którym ławeczka darniowa. Pojutrze przyjadę, wyjdź tam.

Maryna milczała.

— Wyjdziesz?

Dziewczyna nie odpowiadała.

— Nie chcesz chyba dowiedzieć się, co to prima-donna, i zawstydzić tych, co się śmieli z ciebie. No?

— Wyjdę — cichuteńko odrzekła.

— Słuchaj więc. Pojutrze przyjadę, a gdy przesiadywać będę, czy to w pokoju bawialnym, czy w sali jadalnej, ty przez pokój jeno przejdź, będzie to dla mnie znakiem, że się z tobą pod jaworem spotkam. Pamiętaj-że sobie: przejdź przez pokój jeno.

Powiedział to, po policzku ją pogłaskał i odszedł.

Maryna, mając potemu czas, zastanawiała się tak nad żądaniem pana Pawła, jak nad obietnicą własną. Gdy się zastanowiła, na myśl jej przyszło z dziadkiem o t $\acute{e}$ m pom $\acute{o}$ wić. Dwa razy się do chaty Łuki wymykała, lecz ani razu dziadka w domu nie zastała. Wymknąć się chciała raz jeszcze—nie mogła. Wahała się; sama ze sobą walki staczała; wydawało się jej, jakby się dopuścić miała grzechu, zbrodni; po razy sto postanawiała sobie obietnicy nie dotrzymać, po razy sto rozważanie od początku rozpoczynała, wkońcu atoli, gdy pan Paweł przyjechał, co począć, nie wiedziała. Napadała na nią myśl taka:

— I c $\acute{o}$ ż on mi złego zrobić może? Będziemy we dwoje tylko, on i ja: póki więc będzie mówił, dobrze... będę słuchała. Wysłucham, dowiem się i tyle.

I przeszła przez pok $\acute{o}$ j, w którym panowie przy preferansie siedzieli, udając się pędem do ogrodu pod jawor.

Pod jaworem serce jej przyspieszon $\acute{e}$ m uderzało t $\acute{e}$ t $\acute{n}$ em. Strach ją nieokreślony przejmował. Dla nabrania odwagi oczy dog $\acute{o}$ ry wzniosła—wg $\acute{o}$ rze na niebie gwiazdy migaly tu jasne, owdzie przymglone, a zponad horyzontu wznosiły się powoli i spiętrzały obłoki białawe, przybierające kształty faliste i obrazowe zarazem. Kształty się zmieniały. Wydało się jej, że sły

szmer—szmer obłoków — z nieba do niej dochodzący! Wysłuchała się w szmer ów i z odległości nie dalszój jak na kroków kilka, usłyszała szybki, ku jaworowi zbliżający się chód. W chwili jednej nastąpiła z nią zmiana, któraby się dziwną i nadzwyczajną wydała, gdyby nie to, że wśród ludzi zdarzają się osobistości lękliwe zazwyczaj, ale rozwijające większą, aniżeli odważni, odwagę w niebezpieczeństwie. Śród płci słabiej mianowicie fenomeny tego rodzaju przytrafiają się dosyć często, u matek zwłaszcza. Jest to kompensata słabości. Odwaga bierze się w chwili jednej niewiedzi z kąd i sprowadza zimną krew, potrzebną jako oręż do odpięrania napaści.

Z taką zimną krwią Maryna pana Pawła spotkała.

Pan Paweł, jakby opór przeczuwając—który zresztą przeczuć nietrudno było — przystąpił do niej nie z tą impetycznością, z jaką w razach podobnych ludzie młodzi postępować sobie zwykli.

— A—odezwał się.—Dobrześ zrobiła, żeś wyszła. No, więc cóż?

— Obiecaliście, paniczu, powiedzieć mi, co to...

— Prima-donna — podchwycił pan Paweł.— Tak, no... Siadaj że, to ci wytłumaczę.

— Wysłucham i tak, stojący.

— Jak chcesz... Prima-donna jest to taka, jak panna Y.

— Taka, co tak śpiewa, jak ona?

— Co tak nie tylko śpiewa, ale jeszcze przytém gra.

— Na chwortepianie?

— Nie. Jest to gra innego rodzaju... na teatrze.

— A—odezwała się Maryna z tym akcentem, co to oznacza świadomość rzeczy.

— Byłaś w teatrze?

— A jakże, w Humanii. Tam rozmawiali i śpiewali.

— Gra panny Y. na tём polegała, że tak ona, jak wszyscy, co z nią grają, nie rozmawiają inaczej, jak śpiewaniem. Jedni śpiewają lepiej, drudzy gorzej; ta zaś, co najlepiej śpiewa, nazywa się prima-donna.

Dziewczyna wykładu tego słuchała z uwagą, i słuchała jeszcze, mimo że pan Paweł mówić przestał.

— Cóż—zapytał po chwili—rozumiesz?

— Jak-że to musi być pięknie—odrzekła.

— O tak, bywa pięknie... zwłaszcza, gdy się śpiewacy dobiorą.

Maryna westchnęła.

— Czego wzdychasz? — było pana Pawła zapytanie.

— Tego, że do Odessy nie pojedę. Posłuchałabym... a pani ta mówiła... ta pani mówiła, że... — bąkać zaczęła.



— Wiem— podchwycił pan Paweł.—Mówiła ona i mnie, że głos twój, gdyby się wyrobił, mógłby z ciebie zrobić dziwo.

— Ta, żebym posłuchała ino — westchnęła dziewczyna.

Nastąpiła chwila milczenia. Pan Paweł wpatrywał się w stojącą przed nim dziewczynę i coś w myśli ważył. Tarł czoło i palce splótł.

— A cóżby było — odezwał się wreszcie— gdybym tak zrobił, ażebyś posłuchać mogła?

— Ach! paniczu — z głębokim odetchnięciem odparła Maryna.

— Posłuchasz...

— Wyproszą panicz chyba, ażeby mnie państwo do Odessy wzięli.

— O tém ani myśleć — i dodał do siebie:— O tożbym się wplątał! Nie w samej jednak tylko Odessie—znów do Maryny przemówił—są śpiewaczki i śpiewacy i nie w Odessie się śpiewania uczyć należy. Ty, gdybyś się uczyć chciała... Co?

Maryna nie odpowiadała.

— Uczyćbyś się chciała?—zapytał powtórnie z naciskiem niejaki.

— O! paniczu—drżącym ze wzruszenia odrzekała głosem.

— Hm. Posłuchaj-że no mnie. Ale usiądź pierwej.

Usiadł na ławeczce darniowej. Maryna zajęła miejsce opodal.

— Tu, bliżej — namawiał.

Ona się bardziej jeszcze odsunęła.

— To od ciebie zależy. Alebyś ani w Odessie, ani tém mniej w Howorówce nauczyć się nie mogła. Musiałabyś się dostać do miasta większego, aniżeli Odessa, gdziebyś słuchała śpiewów lepszych i piękniejszych, aniżeli śpiew panny Y., i znalazła takich, co uczyć jak należy umieją. Gdybyś mi zaufała, jabym ciebie do miasta takiego zawiózł i na naukę oddał. Potrzeba jednak, żebyś mi zaufała.

Ona nie odpowiadała.

— Śpiewaniabyś się nasłuchiwała i wyuczyła. Cóż? — zapytał.

Na zapytanie to nastąpiła odpowiedź — odpowiedź, jakiej się pan Paweł, sądząc po zachowywaniu się Maryny, nie spodziewał zapewne. Dziewczyna do nóg mu się rzuciła i stopy jego rękami objąwszy, do ust cisnęła.

— Ależ, ależ, no, no — bronić się i nogi umykać począł.

Maryna się na kolanach wyprostowała, dłonie złożyła i ku niemu wyciągnęła.

Pan Paweł do niej dobrotliwie i łagodnie przemawiał. Ona mówić nie mogła, wyrazów znaleźć nie umiała, a to dlatego, że to co słyszała wpły-

wało w umysł jój nie wyrazami, lecz pod postacią tchnienia niby, które przenikało istotę jój całą do głębin najgłębszych i przejmowało włókienko każde ciepłem ożywcem, a rozkosznem. Maryna ze złożonemi dłońmi klęczała i płakała.

Cieszy nas, że o panu Pawle powiedzieć możemy, iż go to wzruszyło. Podniósł dziewczynę, obok siebie ją posadził i nie objął jój nawet. Uszanował w niej dostojność artystyczną. Sam, jak rzekliśmy w jednym z rozdziałów początkowych, miał poczucie artystyczne i dlatego zapewne zrozumiał tak znaczenie uniesienia, jakie dziewczynę opanowało, jakoteż niegodziwość, jakiejby się dopuścił, gdyby z uniesienia tego korzystał. Był czem był, ale nie bydłem. Posadził więc ją obok siebie.

— Kiedy tak—zaczął— to niema co.

Maryna, rzecz prosta, wyrazów tych nie zrozumiała. I wogóle niezrozumiałemiby one były, gdyby nie to, że się odnosiły do panny Emilii w sposób, który się pokaże później. Po wyrazach tych, pan Paweł prawił dalej:

— Słuchaj-że mnie. Przyjadę ja tu jutro wieczorem i na trakcie, za ogrodem, stanę; ty wyjdź, do powozu wsiądziesz... i pojedziemy. Pamiętaj jeno, ażebyś o tém nikomuśłówka nie pisnęła, nikomu.

Wstał i, kiedy już ku odejściu się miał, Maryna zawołała:

— Ach! jaż dziadusia mam!

— Dziadusia?—odezwał się pan Paweł, który jój stosunków rodzinnych nie znał.

— Ja im nie powiedzieć nie mogę?

— Jak chcesz, ale albo się dziaduś przed kim później wygada i licha napędzi, albo teraz tobie jechać ze mną na naukę nie pozwoli i rzecz cała skończy się na niczém. Rozważ dobrze i zrób jak zechcesz, tymczasem zaś bądź zdrowa, do jutra.

W chwilę później tętent konia na trakcie oznajmił, że pan Paweł do Koszylówki odjechał.

Maryna, pozostając pod wrażeniem wzruszeń silnych, jakie nią owładnęły, długo nie wiedziała, co począć ze sobą. Zapomniała się pod jaworem; zapomniała o obowiązkach swoich służbowych. Artyści wogóle do służby się nie nadają. Przypomniała sobie jednak; pędem do domu ruszyła i natknęła się na burzę, która—wyznać należy—słusznie na nią spadła.

— Gdzieś była?—spotkało ją pani Róży zapytanie.

W sposób ten burza się rozpoczęła. Maryna wysłuchać musiała obelg, pogrózek i obietnic takich, które ją w howorowieckim dworze do gruntu przywiązać nie mogły. Trafiły się one, jako oliwa, której dla podsycenia ognia doléwają. Jedna pobudka więcej. Maryna się nie tłumaczyła, ani usprawiedliwiała; zacięła się w milczeniu

i wytrwała w takowem do chwili wyjazdu państwa Tadeus zostwa do Odessy.

Wyjazd nastąpił w warunkach niekoniecznie przyjaznych. Naprzód chmurzyć się poczęło — a chmury jesienne niedobrą są dla podróżnych wróżbą; powtóre, zły humor panny Emilii oddziaływał na panią Różę, na pana Tadeusza nawet. Jedna tylko Julisia radośnie szczebiotała i polecała kolekcją zabawek, lalek i gałganków swoich Marynie, do której się z takiem, paluszkim jej grożąc, zwróciła słowem ostatniem:

— A pamiętaj sobie, żebym wszystko za powrotem w porządku znalazła, inaczej bowiem wiesz, co ciebie czeka.

Maryna na to mileżeniem odpowiedziała i, po odjeździe państwa, natychmiast do dziadka pójść chciała, ale nie mogła. Klucznica, pod dworem której cała służba kobięca pozostawała, oznajmiła jej, że na rozkaz pani z pokojówki na dziewczkę piekarnianą zdegradowaną została. Oznajmiła jej to w sposób następujący:

— Ha, turkaweczko, nie będziesz przy panience gruchała i po Humaniach w koczku jeździła. Dziś zdasz Frasynie rzeczy panienki, a jutro w piekarni do roboty staniesz. Rozumiész?

— Rozumiem — odpowiedziała Maryna.

— Jaka harda — zauważyła klucznica.

Hardość jej polegała na milczeniu, w jakim dzień cały spędziła, odzywając się tylko o tyle, o ile służba tego wymagała. Zdawała inną pokojówce bieliznę i garderobę Julisi. Czynność ta zabierała jej czas do południa; po południu nie już do roboty nie miała: wzięła więc do ręki pończochę, zaczęła i, udając że drutami przebięra, rozmyślała. Smutno jej było i do dziadka ciągnęło: zamierzała rozpowiedzieć mu wszystko i pożegnać się z nim, pewną zgóry będąc, że dziadek ją zrozumie i w położenie jej wejdzie. Zachodziła jeno trudność z wymknięciem się do chaty. Jak trudność tę usunąć? Czula się pod dozorem klucznicy i najprostszym jaki się nasuwał sposobem było o pozwolenie jej poprosić. Ale—a nużby nie pozwoliła? W razie takim dozórby się spotęgował i trudność zwiększyła. Nie było więc rady innej, tylko wymknąć się ukradkiem, na następstwa żedne nie zważając.

Tak też uczyniła. Ale—Łuki w chacie nie było.

— O dolaż moja! — westchnęła.

Uważała jednak okręty za sobą za spalone; czekać postanowiła—czekała i czekała niedługo. Łuka nadszedł.

— A, tyś tu? — odezwał się, jak skoro ją zobczył.—Dziedzice pojechali i ciebie ze sobą nie zabrali?

— No nie, dziaduniu.

— Czemuż to?

— Czy ja wiem? Nie zabrali—odrzekła z wielkim westchnieniem.

— Panuńcia snadź nie prosiła...

— Prosiła, ale — zacięła się Maryna, przypomniawszy sobie, w jaki-to prośba obróciła się sposób.

— Niebardzo—dodał Łuka. — Przestałaś być dla niej nowém sitkiem na kołeczku.

Maryna nic na to nie odpowiedziała, zataiwszy bowiem zdarzenie z prima-donną, straciła punkt wychodni do przedstawienia dziadkowi rzeczy. Zataiła zdarzenie to dlatego, że jęj nagle w myśli stanęło, iż dziadekby nie zrozumiał onego. Rozumienie jęj pomykało już dalej nieco naprzód, aniżeli jego.

Łuka się krzątał, siekierę za pułap wetknął, czapkę z głowy zdjął i na kołku zawiesił, pas na sobie rozwiązał i odezwał się:

— Teraz, kiedy dziedzice odjechali i ciebie ze sobą nie zabrali, możebyś mogła, na dni bodaj kilka, przy mnie pozostać...

Ruchem ramion i podniesieniem rąk odpowiedziała.

— Co... nie?—zapytał.

— Nie wiem—odszepnęła.

— Nie ciągnie już do chaty ciebie? Innegoś zakosztowała życia...

Maryna zanadto siebie i dziadka szanowała, ażeby uwagę tę kłamstwem odeprzeć.

— O tak—westchnął Łuka. — Ale coś ja pokażę tobie. Weź jeno i zpod łóżka wysuń bednię.

Maryna zlecenie wykonała.

— Otwórz.

Otworzyła. Na wierzchu leżały korale i paciorki, z boku bindy i kośniki, dalej zwierciadelko w papier złocisty oprawne.

— A co?—zapytał stary, zbity nieco z tropu, tём, że wnuczka, na widok cacek takich, okrzyków zaziwienia nie wydaje. — Cóż... nie ładne to?

— Bardzo ładne—odrzekła głosem takim, jakim się dzieciom w razach podobnych potakuje.

— Prawda? Ale to nie wszystko... Ujmuj ostrożnie jedno po drugim i na stoliku składaj, ażebyś potem w tym samym porządku do bedni rzecz każdą włożyła.

Maryna wyjmowała i oglądała artykuły różne, do odzieży kobiecej należące. Oglądała z zajęciem, będącym wynikiem ciekawości wrodzonej. Chwaliła to i owo, jak naprzykład zapaskę ze szlakami ciemnopomarańczowemi, pas czerwony, ręczniki; chwaliła żółte z podkówkami buty.

— Hm—pomrukiwał z zadowoleniem Łuka za pochwałą każdą.



Dziewczyna z kolei wydobyła muślinu białego łocki parę, zwiniętego i poprzątanego iglicami o główkach czerwonych.

— A to—rzekła—namitka?..

W głosie jej zabrzmiało zdziwienie lekkie.

— No... namitka—potwierdził stary.

— Dla kogóż ona?—wyrwało się z ust dziewczynie niechęć prawie.

— Dla kogóż, jeżeli nie dla ciebie?... Wszystko dla ciebie, wszystko, i namitka, boć ja myślę, żem sobie u Pana Boga na tyle zasłużył łaski, ażeby ciebie panną młodą w namitce i w *pasie czerwonym* na drugi dzień po ślubie zobaczyć...

Wyrazy w „*pasie czerwonym*” wymówił z przyciskiem znaczącym.

— Dziadusi—odrzekła Maryna rozrzewniona.

— Bo ty przecie powrócisz kiedyś do chaty twojej, do gospodarstwa twego i... do sługi twego—dodał.

— Do sługi?—zapytała ze zdziwieniem w głosie.

— No... tak... Nie jest-że sługą ten, co na kogo pracuje?... Nie pracujęż ja na ciebie? A potem, gdy bardzo już postarzęję, a Bóg mi życia przedłuży, cóż mi do czynienia pozostanie? Będę niańczył prawnuczęta moje...

Rozrzewnienie Maryny było zupełne. Ręce, w których namitkę trzymała, na kolana opuściła

i dziadkowi w oczy patrzyła. W myślach jój panował odmet. Miała do powiedzenia tyle, a od czego zacząć, nie wiedziała. Przychodziło jój do głowy i to, i owo i dziesiąte, ale wszystko to, niestety, nie dla dziadka było. Znalazła się niespodzianie wobec trudności nie do przełamania i Bóg wie, jak długoby się nadaremnie z myślami łamała, gdyby jój dziadek z pomocą nie przyszedł.

— No, złóżże to wszystko w porządku napowrót—odezwał się—ta niech to czeka na ciebie... doczeka się... Bóg miłosierny da, że do mnie powrócisz...

— Powrócę, dziaduniu!—zawołała.

— Choćby kiedy?...

— Choćby kiedy!...

— Choćby z jak daleka?...

— Choćby z krańca świata!...

W tych dwóch ostatnich zapytaniach i dwóch odpowiedziach zawierało się wszystko, co Maryna Łuce powiedzieć mogła. Były to wprawdzie ogólniki, ale ogólniki, które sytuacją określały dokładniej i jaśniej, aniżeli by to uczynić mogły szczegóły tego rodzaju, że połowa z nich byłaby dla starca niezrozumiałą, druga zaś połowa stałaby się dla niego powodem przestachu. Starzecby nie zrozumiał ani pociągu do śpiewu, ani pragnienia nauki. Gdyby była powiedziała Łuce, że się rozmawiała w Hryciu, w Iwasiu, w pa-

nu Pawle zresztą, zrozumiałby to i uwzględnić potrafił. Ale miłość jej nie na człowieczeństwo spożyła osobistości. Z chłopskiej wyrwała się czar niawy i wsiadła do tej łódki powietrznej, w której się ku słońcu Prometeusze rodzaju ludzkiego puszczali. I oni się z czar niawy wyrwali. Rozmiłowali się w promieniach słonecznych. Łukowie owocześni tego rodzaju miłości nie rozumieli. Cóż więc Maryna miała o niej dziadkowi do opowiadania? Onby ją wziął ze strony formalnej. Jegoby uderzyły: wyjazd w dalekie jakieś i nieznanne strony—nie wyjazd, ale ucieczka; ucieczka—z kim?—z paniczem, z koszyłowieckim dziedzicem, z młodym człowiekiem, zaślubić mającym siostrę dziedzica howorowieckiego. Zgroza! Stryby się przeraził i...

Następstw, jakieby z przerażenia dziadka wyniknąć mogły, Maryna sobie nie przedstawiała, jak również nie przedstawiała sobie pomiędzy powodami przestachu tego powodu, że pan Paweł żenić się miał z panną Emilią. Ani jej to przez myśl przechodziło. Sprawa ta była w mniemaniu jej załatwioną i żadnej wątpliwości niepodlegającą. Mniemanie to było nawet w znacznej części przyczyną ufności, z jaką się panu Pawłowi powierzała, nie przypuszczając, ażeby być mogła, w jakim bądź względzie, panny pięknej, bogatej, wedle niej o niebo całe od niej

wyższej, rywalką. Gdyby jej coś podobnego na myśl przyszło, myśl tę w zarodku zabiłaby rozmowaniem następującem: „Byłby chyba dziedzie koszyłowiecki głupim, gdyby nad pannę chłopkę prostą przełożył.” Rozum pański stanowił dla niej artykuł wiary.

Zmlezała więc przed dziadkiem o wszystkim, coby go zaniepokoić mogło, a tylko złożywszy w bedui rzeczy, które jej do przegładania dał, przygarnęła się do niego, przytuliła i zapłakała.

Stary ją ramionami objął. Jakoś mu się łzawo koło serca zrobiło; człek poważny jednak, gospodarz stateczny, wiedział, że płacz to rzecz „żinocza;” mężczyźnie, żeby tam jak, łez wyléwać się nie godzi: rzeczą jego perswazyja, rada — rada, do której koniecznie potrzebną jest świadomość dokładna. Jął więc, po przejściu wzruszenia pierwszego, wnuczki w taki wypytywać sposób:

— Jakaś ty, jak miarkuję, „żurbę” masz na sercu.. Coś tam, w tym dworze, nie tak-to ono tobie, jak się zdaje... Czy ty czasem nie tego...

— Nie... o nie, dziadusi—odparła pośpiesznie dziewczyna, jakby się obawiała rozpytywać bliższych.—Gdzie tam... o!... nie...

— Więc może cię kto wytuzzał, połajał? Przyznaj się: nie wylajała cię dziedziczka? he?

— Ta-że bo wylajała... och!...

— Ano... i tyś to tak do serca wzięła!.. Prawda, jam nie łajał ciebie nigdy: nie było za co... Ale panowie są od tego właśnie, ażeby naród łajali... a to dla tój przyczyny, że inaczej naródby ich za baj-bardzo miał... Czy jest za co, czy nie-ma, łają. Pluń na to. Gdybyś panią była, tobyś tak samo robiła... „Pan łajut, sobaka bresze”...

Maryna się mocniej do niego przytulila i za-  
łkała.

— Dziaduniu mój, dziaduniu mój, luby, ta mi-  
ły!... sokole ty mój siwy... Ja do was z kraju  
świata przybiegnę, poto tylko, ażeby na piersi  
waszėj zapłakać... Mnie na piersi waszėj tak do-  
brze, tak słodko! Dziaduniu mój, bądźcież mi  
już zdrowi, a źle wnuczki waszėj nie wspominaj-  
cie...

Na kolana się osunęła, dziadka nogi i ręce po-  
całunkami okrywała; zerwała się, w drzwi ude-  
rzyła i z chaty wybiegła.

Łuka, pozostawszy sam, łokcie na kolanach,  
głowę na dłoniach oparł i długo tak siedząc  
a dumając, odezwał się nakoniec sam do siebie:

— Czy jēj co, broń święty Boże, nie nawię-  
dziło?...

O! nawiędziło. Stary dodał.

Ponieważ, gdy Maryna chatę dziadka opuści-  
ła, zmrok na świecie zapadał przeto już ona do  
dworu nie wracała. Do ogrodu się dostała i cze-

kała. Niebawem się doczekała. Nagle zaturkotało i na trakcie pod ogrodem pojazd się zatrzymał. pokazywać się nie śmiała, pojazd ten bowiem wydał się jęj dziwnie. Konie nie takie jak u pana Pawła i woźnica nie taki. I byłaby się niepokazała, gdyby nie pan Paweł, który po nią przyszedł, za rękę ją wziął i w powozie obok siebie posadził.

Woźnica na konie cmoknął i odrazu w czwał je rzucił.

## XVIII.

### Na przełaj.

---

Podczas kiedy Maryna do pojazdu, koźmi pocztowemi zaprzężonego, wsiadała, pojazdy państwa Tadeuszostwa wjeżdżały w bramę zajazdu żydowskiego, w mieście, które w czasach ostatnich wstawiło się w sposób, zaszczytu mu zgoła nieprzynoszący. Zamało mu snadź było sławy z jarmarków i błota. Domyśla się czytelnik, że mówimy o Bałcie. Nie musi to być „bardzo podłe—mówiąc stylem kantyczek—miasto,” kiedy reprodukowali je na płótnie znakomici malarze nasi, Kossak i Brandt. Bałta jest, a raczej była oryginalną—była, powiadam, dziś bowiem kolej żelazna, jak słyszę, starła z niej w części znacznej te cechy, które z niej czyniły zabytek przeszłości. Za czasów rzeczypospolitej składała się ona z dwóch części, przedzielonych rzeczułką, zwaną Kodyma, stanowiącą granicę pomiędzy ziemiami

polskimi, a posiadłościami niby tatarskimi. Stawiam wyraz „niby” przed przymiotnikiem, przynależność posiadłości określającym, z téj racyi, że posiadłości owe za czasów Rzeczypospolitej oczekiwały na *primum occupantem*, stanowiły bowiem tak zwane „Dzikie pola,” nienależące właściwie do nikogo. Był to szeroki gruntu neutralnego, pas rozlegający się pomiędzy Kodymą a morzem, od Dniestru aż do Dniepru. Bałta leżała na pograniczu onego, na kresach; na lewym brzegu Kodymy, wpadającej poniżej Koniecpola do Bohu, była polską, na prawym tatarską; w tatarskiej części rezydował murza. Miała ona pozór wschodni, który się udzielał i części polskiej, czyniąc z miasteczka okaz jedyny zetknięcia się bezpośredniego ludności krajów podolskich z ludnością muzułmańską. Ludność muzułmańska usunęła się po upadku Rzeczypospolitej; pomimo to, miasteczko zachowało długo fizyognomię, jaką posiadało pierwotnie. Nazwa onego jest turecka. „Bałta” znaczy bagno (1). I, zaiste, nie kłamała ona nazwie swojej. Ulice jej, w dżdżystych roku porach, stają się topieliskami, w których niejedno bydło i niejednen człowiek śmierć znaleźli.

Kiedy państwo Tadeuszostwo do Bałty przyjechali, na deszcz się zbierało, ale nie padało je-

---

(1) Ciekawa Bałty monografia oczekuje na autora.



szcze. Było to ich szczęście wielkie. Przyjechali przy świecach; zajechali do domostwa znajomego. Wszystko szło dobrze, z wyjątkiem jednej rzeczy. Pannę Emilią trapiły przeczucia jakieś niedobre — jakie mianowicie? — tegoby sama wytłumaczyć nie umiała, ale odnosiły się one do pana Pawła i wyrażały pod postacią złego, bardzo złego humoru, nieopuszczającego jój od chwili wyjazdu z Howorówki. Humor zły manifestował się w ten sposób, że panna Emilia monosylabami na wszelkie, stosowane do niej przez brata lub bratową, pytania odpowiadała i ustawicznie przez okno na okolicę patrzyła. Napozór zdawało się, że zły jój humor był bez racyi, zwłaszcza że to, coby za racją uważać można było, polegało na rzeczy małej wagi, na braku towarzystwa pana Pawła. Była przecie pewność, że brak ów usunie się.

Instalacya w domu zajezdnyim odbyła się tak, jak w Humaniu, wśród ciżby kolporterów, narzucających się z towarami „rarytmami.” Zapał ich spotęgowała wiadomość, że państwo są w podróży do Odessy. Wnet każdy z nich Odessą się chwalić jął, zalecając towary przekradane, a nawet — nawet — kradzione. Ta ostatnia zaleta wpływała szczególnie na taniość, usuwała bowiem całkowicie nakład fabryczny i przewozowy.

— Ny, co tu gadać. Grzech grzechem, ale tak tanio jaśnie wielmożna pani nie dostanie ani

w Odessie, ani w Anglii. Bo to z Anglii wprost, towar prawdziwy angielski, dla angielskiej królowej robiony w angielskiej fabryce.

— Ależ daj mi czysty pokój—broniła się pani Róża.—Ja nie królowa.

— Aj waj... Gdybym ja napewno nie wiedział, że jaśnie wielmożna pani pani z Howorówki, to bym myślał, je jaśnie wielmożna pani królowa. Jasna pani na królową wygląda. Od kiedy Bałta Bałta, takię tu nie było jeszcze. Ny, a mój towar?...

Iście nadludzkich trzeba było wysileń, ażeby się od kolporterów uwolnić i wieczera spokojnie spożyć. Przy wieczery humor panny Emilii nie naprawił się zgola.

— Ii, Emilko, nie bądź dzieckiem—perswadował jęj brat.—Wielkie mi nieszczęście: Pawełek funkcyi *cavaliero servante* w chwili tęg nie pełni. Spytaj Rózi, czym ja funkcyą tęg bardzo pilnie pełnił, kiedym się o nią starał. Raz zabałamuciłem się na polowaniu na wilki i ona przez trzy tygodnie słuchu o mnie nie miała; ja zaś, ja, zapomniałem żem zaręczony. Róziu — do żony się zwrócił—czyś się gryzła, co?...

— No, przyjemności mi to nie robiło — odrzekła zapytana.

— Ale czybyś się była zgryzła z tego co Emilka powodu?

— Z pewnością nie.

— Owóż o to chodzi. Ta zgryzota nie wiedzieć do czego podobna. Pawełek jutro z Koszylówki wyjedzie na noc do Bałty, a z Bałty... ot —przerwał sobie—nie wiem gdzie nocleg wypada. Rozpytać się trzeba.

Przywołać kazał gospodarza zajazdu i zawiązał z nim długą o handlu zbożowym rozmowę, zapomniawszy całkowicie o interesie, jaki do niego miał. Więc go przywołać kazał powtórnie i zapytał:

— Panie kupiec, gdzie to nam pierwszy nocleg wypadnie?

— Gdzie się wielmożnemu panu spodoba.

— W Ananiowie zablizko.

— Ono to tak: i zablizko i nie zablizko. Jak na wielmożnego pana, to może i zablizko.

— Bo to ja wszystko robić lubię z krédką, jak to się powiada.

— Nu, to wielmożny pan rozrachować sobie musiał w domu zapewne, gdzie popas, gdzie nocleg.

O! jakąż słowa te zawierały dotkliwą a trafną, do szlachty polskiej wogóle, do pana Tadeusza szczególnie, przymówkę! Pan Tadeusz téż odpowiedział, jakby był odpowiedział na miejscu jego każdy inny.

— U mnie to droga na końcu języka. Na popasie rozpytuję o nocleg, na noclegu o popas i tak jadę, jadę, aż zajadę.

Metoda najgorsza, zdaniem naszym. Metodą tą jedziemy, jedziemy, mości dobrodzieje (zwracam mowę, z przeproszeniem, do łaskawych czytelników) i nie wiemy kiedy, jak, ani dokąd zajedziemy. Nie rozrachujemy w domu, zawczasu popasów i noclegów.

Za dygresyą tę jeszcze raz przepraszam najmocniej. Przyplątała mi się ona pod pióro, ze względu na tytuł powieści, który, jak dotąd, komuś niekoniecznie stosownym wydać się może. Wracam jednak do rzeczy.

— Wielmożny pan bardzo mądrze robi—odpowiedział Żyd z lekkim ironii akcentem.

— Uhm—odmruknął pan Tadeusz odmrukiem zadowolenia. — Cóż więc, jakże: gdzie myślisz, panie kupiec, nocleg mi wypada?

Żyd zamyślił się i po chwili odpowiedział:

— Do Bajkał półtoréj mili, do Ananiowa trzy, do Szymkowej slobody pięć, a do Szarajewa osiem. Nu, ot...

— Mil osiem, na jazdę gospodarską, to trochę zawiele, mil pięć zamało... Niema tam, pomiędzy Szymkową slobodą a Szarajewem, przystanku jakiego?

— Jakżeby być nie miał! Jest.

— Nazywa się?

— Maryanówka.

— Jest tam karczma, zajazd jaki?

— Jest.

— Więc ja myślę w Ananiowie popasać, a w Maryanówce nocować; dalej zaś jak Bóg da.

— Wielmożny pan myśli bardzo rozumnie.

Znów w wyrazach tych akcent ironii dźwięczał.

Po odejściu gospodarza zajazdu, następujący pod adresem towarzyszek podróży program na dzień jutrzejszy wygłosił:

— Jutro potrzeba nam z Bałty wyruszyć jak najraniiej; mamy w Ananiowie popasać, w Maryanówce nocować... sześć mil.

Programy jednak łatwiej wygłaszać, aniżeli wykonywać.

Nazajutrz panna Emilia wstała, ubrała się, do podróży się przygotowała i—zachorowała.

Pojazdy już zaprzężone stały.

— Co? jak? czy cię co boli?

— Słabo mi, omdlęvam...

Na kanapę się osunęła, zbladła i z trudnością oddychała.

— Wyprzęgaj konie, Jędrzeju! Po doktora, Janku!—zagrzmiał pan Tadeusz.

W godzinę później nadszedł lekarz, ten sam, co czasu onego do Julisi był wzywany; rozpytał,

puls badał, język oglądał, receptę zapisał i odszedł. Około południa chora znacznie lepiej się czuła; niepokojących się nią braterstwa uspokajała.

— To nic... to przejdzie — mówiła. — W Bałcie przenocujemy i, nazajutrz...

Wyrazy „w Bałcie przenocujemy” stały się dla pana Tadeusza promieniem światła, rzuconym na tajemnicę powodu nagłej panny Emilii choroby.

— Nie—odrzekł.—W Bałcie nocować nie będziemy—i huknął:—Jędrzej, zaprzęgaj!

Na słowa te odhuknęła mu odpowiedź Jędrzeja z podsieni:

— A kiedyż, proszę pana, koniom na południe do żłobu wsypałem!

Nie było rady. Poczekać należało, aż konie obrok zjedzą; tymczasem zaś kucharz do gotowania obiadu się zabrał. Jedno z drugim do trzeciej czas zajęło, a o trzeciej pani Róża, ze względu na to, że dzień jesienny skończyć się miał niebawem, uwagę uczyniła:

— Możeby, w rzeczy samej, lepiej już było dziś w Bałcie przenocować, tobyśmy jutro wczesniej w podróż dalszą ruszyli i Pawełka się do czekali.

— Nie—była stanowcza pana Tadeusza odpowiedź.

Irytowała go ta, na intencją pana Pawła zamówiona, choroba siostry.

— Jak chcesz, Tadziu—odparła pani Róża.— Ty wiiesz... zawsze wola twoja.

Wola przeto pana Tadeusza tryumf odniosła. Około czwartej popołudniu pojazd, poprzedzając brykę, przejeżdżał przez most na Kodymiu.

Przed wyjazdem panna Emilia miała krótką, poufną z gospodarzem zajazdu rozmowę.

— Przyjedzie tu—mówiła—dziś na noc pan z Koszylówki.

— Pan Paweł Stocki?

— Pan Paweł...

— Znam go—podchwycił Żyd—o! znam. Pan Stocki nie zajężdża gdzieindziej, tilki do mnie.

— Proszę powiedzieć mu, żeśmy na nocleg do Bajkał pojechali.

— Do Bajkał?—zdziwił się Żyd.—Dwie ledziutkie milki! Wielmożny pan powiadali, że nocować będą w Ananiowie... do Ananiowa dziś, żeby tam jak, zaciągnąć jeszcze można...

— Proszę panu z Koszylówki powiedzieć, że nocujemy w Bajkałach—powtórzyła panna Emilia tonem repliki niedopuszczającym.

— Kiedy w Bajkałach, to niech będzie w Bajkałach—odrzekł Żyd.—Mnie to wszystko jedno...

— Proszę tylko nie zapomnieć.

— Powiem... powiem... Czemubym powiedziéć nie miał? Byle przyjechał ino...

— O, przyjedzie z pewnością...

Z pewnością tą wsiadła panna Emilia do pojazdu i, jak skoro powozy, minąwszy rozlegające się na prawym brzegu Kodymy przedmieścia Bałty, na góry się wydostały, coś pani Róży do ucha szepnęła; pani Róża pana Tadeusza, zwyczajem szlacheckim drzemiącego, szturchnęła, znak mu dała i pan Tadeusz, z powozu się wychylając, głosem donośnym rozkaz wygrzmiał:

— Jędrzeju, a stań-no!

Jędrzej koniom lejce ściągnął; Janek drzwiczki od pojazdu otworzył; panna Emilia wysiadła.

Wysiadła i nie wracała. Minął kwadrans, minął drugi—panna Emilia u drzwiczek, przy których Janek stał, nie pokazywała się. Zaczęło to już niecierpliwić Julisję, która się do matki zwróciła z zapytaniem:

— Dokąd to ciocia poszła?

Na zapytanie te odpowiedział pan Tadeusz z przyśpiewem:

„Nie wiem, z jakiego powodu,  
Poszła Filis do ogrodu.”

Nareszcie, po upływie kwadransa trzeciego, panna Emilia do powozu wsiadła. Drzwiczki się za nią zatrzasnęły.



— Wio ho-hi!—na nutę furmańską wyciągnął Jędrzej z kozła.

Konie szły raźnie owym kłusem podróznym, w którym ich doświadczony w rzeczy chodów końskich Jędrzej utrzymywał; podróż odbywała się pomyślnie przy zniżającym się ku zachodowi słońcu.

W kwadrans, we dwadzieścia minut może później, znów panna Emilia coś bratowej do ucha szepnęła, znów pani Róża pana Tadeusza szturchnęła i znów ten ostatni stał się trąbą, rozkaz do uszu Jędrzeja niosącą.

Powtórzyło się to samo co poprzednio, z tą różnicą, że panna Emilia dłużej nieco „w ogrodzie” pozostawała.

Pan Tadeusz cierpliwie to mitręzenie podróży zniósł. Z cierpliwości nawet nie wyszedł, gdy się takowe powtórzyło jeszcze poraz trzeci. Za czwartym atoli razem wybuchnął:

— Kroćset! — krzyknął.—Pókiż tego będzie! Słońce już zaszło, a myśmy jeszcze do Bajkał się nie dostali...

— Bajkały nie uciekną—pani na to.

Argument ten do przekonania pana Tadeusza trafił i dodał mu cierpliwości.

Na powrót siostry czekał bez szemrania; gdy zaś w powozie miejsce zajęła, pozwolił sobie w następujący zemścić się sposób:

— Noc już, Emilciu — rzekł do niej. — Ostrzegam ciebie, że na stepach chersońskich po nocy wiley się włóczą i nawet ludzi porywają.

Panna Emilia nie na to nie odpowiedziała; już jednak więcej nie wychodziła i... wychodzić nie potrzebowała, albowiem gdzieindziej nocować nie było można, jeno w Bajkałach.

Bajkały—o Bajkałach, z wyjątkiem chyba osobistego, a z opowiadaniem niniejszém w najmniejszym nie pozostającego związku wspomnienia, nie mam do powiedzenia. Co się podróżnych naszych tyczy, jak noc, tak poranek na walce im upłynęły. W nocy walczyli z tą kawaleryą lotną, co skacze, napada, krew człowieczą pije i pod mikroskopem straszliwie wygląda. Rano walka toczyła się głównie pomiędzy panem Tadeuszem z jednej, a panną Emilią z drugiej strony.

Konie zaprzężone, a ona — nieubrana jeszcze. Zamknęła się i ubierała. Odzięwała się klasycznie. Każdą z osobna odzieży część, zanim na siebie włożyła, pierwój pilnie ze stron wszystkich opatrywała, wstążeczki z jednego miejsca w drugie przenosiła i przesywała, sznureczki i haftki zmieniała, a na myciu się i czesaniu nie mniej niż półtóry godziny straciła.

— Emilciu, konie gotowe! — wywoływał pan Tadeusz pode drzwiami.

— Jeszczem się nie umyła! — brzmiała za drzwiami odpowiedź.

— Emilciu, jechać pora!...

— Czeszę się!

— Emilciu, dziesiąta już, na Boga!

— Za minutkę gotowa będę!

Minutka ta na godzinę się wyciągnęła, po upływie której, gdy do niecierpliwości przyprowadzony pan Tadeusz przedstawił jój przezedrzwi, że do podróży, jak na bal, stroić się nie trzeba, odpowiedziała:

— Przecież bez pończoch do powozu wsiadać nie mogę!

Po chwili pan Tadeusz do żony się zwrócił i rzekł:

— Wsiadajmy i... wio!

— A Emilka — tonem refleksyi odezwała się pani Róża.

— Kiedy się jój Bajkały tak podobały, niech w Bajkałach zostanie...

— Jakże to...

— Pawełek nadjedzie i ją zabierze... Spodzielam się, iż się nie będzie dla niego tak długo ubierała...

— Ona się właśnie ubiera dla niego, a przytém: coby ludzie powiedzieli o bracie, tak na trakcie siostrę rzucającym!

— Hm! — mruknął i z niejakim w głosie frasunkiem dodał: — Ale co to znaczy, że Pawełek nie nadjeżdża?... Hm... W Bałcie dziś nocował, więcby z Bałty mógł już przyjechać i napowrót odjechać i znów przyjechać... Chyba, że się przemknął tak, iżśmy go nie dostrzegli...

Głową wstrząsnął, jak czynić zwykł człowiek, gdy mu pomysł jaki zaświta, na podsień wyszedł i, powróciwszy po chwili, odezwał się tak głośno, ażeby panna Emilia przeze drzwi słyszała:

— Ano... zrobiło się tak, że taraz nie Pawełek nas, ale my Pawełka będziemy ścigali... Przez Bajkały przejechał.

Zanim wyrazy te przebrzmiały, aliści drzwi się otworzyły i panna Emilia wyszła.

Na obliczu jej malowała się głęboka irytacya wewnętrzna. Na policzkach powystępowały plamy czerwone. Wyszła i, do brata się zwracając, rzekła:

— Nieprawda...

Zmieszało to pana Tadeusza, jak człowieka, niemającego zwyczaju uciekania się do kłamstwa, miesza pojmanie na gorącym nadużyciu prawdy uczynku. W prędcie atoli z pomieszania wyszedł i siostrze odpowiedział:

— Zapytaj Janka...

— Nieprawda—powtórzyła.

— Janek powiada, że pojazd i konie jego poznał, znaki mu dawał, ale Pawełek tęgim jechał kłusem i w stronę karczmy nie patrzył, w czem niema nic dziwnego; możnaż bowiem przypuszczać, ażeby kto, w Bałcie nocując, nocował i w Bajkałach?

— Nieprawda—powiedziała po raz trzeci.

— Czemużby to nieprawdą być miało? — pan Tadeusz jeszcze bronić się próbował.

— Jedźmy...

— Trzeba piérwój konie na południe pokarmić i samym obiad zjeść. Po obiedzie... pojedziemy...

— Ale—dodała panna Emilia — do Howorówki z powrotem?

— Masz diable kaftan... A toż znów co?.. A wyprawa?

— Co mi tam wyprawa! — odrzekła, ku oknu podchodząc.

Nagle od okna odskoczyła i:

— Jedzie!—krzyknęła.

Pani Róża, panna Emilia, Julisia, panna służąca i pan Tadeusz przed karczmę razem wybiegli.

Traktem z Bałty zbliżał się powóz, czwórma końmi w leje zaprzężony. Zbliżył się i minął. Niestety, nie był to pana Pawła powóz. Zawód doznany to sprawił, że wszyscy z rzadkiemi mi-

nami do karczmy wrócili, a panna Emilia płakać poczęła.

Nie w równym stopniu na nerwy szlacheckie nie działa, jak płacz kobiety. Jak tylko pan Paweł siostrę płaczącą zobaczył, z powodu że się kłamstwa dopuścił, wyrzuty dręczyć go poczęły.

— Nie przejechał Pawełek... nie — zaczął.— Jankowi się przewidzieć musiało, jak się przewidziało nam. Ale... i cóż! Albo jeszcze z domu nie ruszył, albo w Bałcie nie nocował, albo... kto wie... jest może do Odessy inna jaka droga.

Przypuszczenie to tak go uderzyło, że zapragnął niezwłocznie informacji we względzie tym zasięgnąć. Po informacye do Żydów się zwrócił i po długim, wskazówek żadnych niedającym gadaniu, doszedł do tego nareszcie, że jest droga inna, co na Krzywe Jezioro prowadzi.

— Czy bliższa, czy dalsza?—zapytał Żydów.

— Ny... coby miała być bliższa, albo dalsza. Wona ani bliższa, ani dalsza. Kto jedzie tędy, to tędy, kto znów jedzie tamtędy, to tamtędy.

Błysnął panu Tadeuszowi w głowie pomysł.

— A czyby nie można na drodze tamtej na przełaj zajechać?

Dla lepszego wytłumaczenia akcji zajezdzenia na przełaj, pokazał takową Żydom giestem odpowiednim, ręką wykonanym.

Żydzi giest ten zrozumieli doskonale.

— Owa!—odpowiedział jeden—czemu nie można? Można.

— A którą?

Na zapytanie to znalazło się odpowiedzi dziesięć, każda inna. Kto inny, nie pan Tadeusz, straciłby wiarę w metodę końcowo-językową. Pan Tadeusz jednak w wierze był twardy; wywikłał informacją dokładną, zadawszy Żydkom zapytanie następujące:

— Którędy się wziąć należy, aż by drogi odeskiej nie tracąc, na drogę krzywo-jeziorańską się wydostać?

Żydzi, pomiędzy sobą po żydowsku pogadawszy i naradziwszy się, udecydowali, że potrzeba traktem pocztowym dociągnąć do Ananiowa, a ztamtąd pytać się do Isajowy, a z Isajowy do Odessy jedzie się już prosto.

— Z Ananiowa weźmie się wielmożny pan w lewo i już...

— Droga tam dobra?

— Jak po stole.

— Z Ananiowa do Isajowy daleko?

— Nie tak to... Nu... mil pięć bezmała.

We względzie odległości zaszedł pomiędzy Żydami spór; nie chodziło atoli o różnicę wielką.

Pomysł zajechania na przełaj powziął pan Tadeusz na intencją siostry płaczącej. Rad też był temu, że pocieszyć ją może.

— Zrobimy — zaczął, do izby gościnnej wchodząc — Pawełkowi niespodziankę. Zajedziemy mu na przełaj na drodze krzywojeziorskiej, można bowiem do Odessy na Bałtę i na Krzywe Jezioro jechać.

— Czyż on na Krzywe Jezioro pojechał? — wtrąciła pani Róża.

— Z pewnością... Gdyby jechał na Bałtę, przejeżdżałby przez Bajkały.

Racya ta trafiła, z powodu rozmowy z gospodarzem zajazdu bajkałskiego, do przekonania panny Emilii. Kombinacya pana Tadeusza znalazła uznanie pań.

— Jedziemy tedy. Póki do Isajowy nie dojedziemy, trzeba będzie dymać dobrze i—tu do siostry z dobrotliwej wymówki wyrazem się zwrócił—nieczęsto na drodze z powozu wysiadać, żeby czasu ani chwili nie stracić.

Pośpiesznie załatwiono się z obiadem, prędko założono konie i ruszono w podróż dalszą.

W Ananiowie zatrzymano się tylko dla dania koniom wytechnienia i dla rozpytania o drogę, która na szczęście nie jest mylną, idzie bowiem doliną Tyliguła i brzegu tej rzeczki się trzyma, usiana futorami i osadami, a prowadzi do Birki, gdzie nocować trzeba było. Z noclegu podróżni nasi wyruszyli, jak skoro świtać poczynało. Pan Tadeusz czuł się zadowolonym; Isajowy przed-



stawiała się mu niby port, ku któremu podąża żeglarz skolatany. To też rozpytawszy się dokładnie o odległość, zalecił Jędrzejowi bez popasu do Isajowy ciągnąć.

— Trzydzieści kilka wiorst... szkapy wytrzymają...

— Może i wytrzymają — była furmana odpowiedź.

— W Isajowie zanocujemy, więc wytechną należycie.

Szkapy wytrzymały, to jest dowiozły; lecz Jędrzej, gdy je wyprzęgał i oglądał, z nieukontentowaniem głową kręcił, nazajutrz zaś panu Tadeuszowi oznajmił, że jeden cugowy zapadł na krew, drugi od bryczki coś się na nogi skarży, a trzeciego myszy napadły; trzeba więc było dwom krew puszczać, a jednemu myszy dusić. Przytém i kował z podkowami do czynienia miał. W Isajowie przeto nietylko nocować, ale i dniować wypadło.

Nocowano, dniowano i, niestety, nie doczekano się pana Pawła.

A nuż pojechał drogą balcką! Na szczęście pan Tadeusz się dopytał, że, do Odessy jadąc, na drogę tę wjeżdża się od Isajewa o wiorst dwadzieścia pięć. Świéciła więc jeszcze nadzieja spotkania się z panem Pawłem.

Złudna nadzieja!—jak wiemy. Służyła ona jednak aż do Odessy za przewodnika i nawet w Odessie jeszcze nie zgasła.

Nie zgasła. Panna Emilia trzymała się ję uparcie. Jakże się trzymać nie miała, kiedy pan Tadeusz i pani Róża ani przypuszczali, ażeby zajść mogło co innego, jak jakaś przeszkoda przypadkowa, a chwilowa!

— Ktoś go zajechał. Może wreszcie zachorował...

Takiem było ich zdanie, zdanie, do którego pani Róża ze swęj strony dodawała, że dostrzegła w panu Pawle, wczasie ostatnięj jego w Honorówce bytności, rozstrój jakiś, zdradzający usposobienie chorobliwe.

— Katar może... fluksya... coś podobnego.

— Przy preferansie był roztargniony — dodawał pan Tadeusz.

## XIX.

### Na końcu języka.

---

Na frasunki człowieka w kleszcze biorące i na zdrowie jego oddziaływające, lekarze doradzają niekiedy wir miasta wielkiego. Lekarstwo to nastreczyło się pannie Emilii samo i odrazu w dozach dużych, które, jak china, szum jój w głowie sprawiały, jak morfina uspokajały. Po wyprawę przyjechała; wyprawą się téż zajęła duszą całą— utonęła w gałgankach i oddała się takowym z zapalem takim, z jakim kobiety, w miłości własnej dotknięte, oddają się czynieniu naprzekór. Bielizna co najcieńsza, materye co najdroższe, klejnoty, wchodzące w zakres drobnostek bankierskich—wszystko to kupowała, płacąc, rzecz prosta, gotówką i nie zważając na przestrogi brata, który uwagę jój na posag zwracał.

— Emilciu... posażek twój „płynie, płynie i upłynie, jak ta myśl wesola”...

— Co mi tam!—odpowiadała.

I miała po części racyą. Czyż bowiem pan Paweł brał ją dla posagu? Mogła więc takowy, chociażby w całości, użyć na wyprawę i dogodzić sobie w tym względzie, który w oczach świata stanowi kamień probierczy gustu, a nawet i wartości kobiety. Otoczyć się chciała całym możliwym blaskiem i wszystkimi urokami toalety i olśnić człowieka, który jęj, bądźcobądź, uchybił. Taką zemsta jęj przybrała formę. Panna Emilia nastrajała się przytęm do odpowiedniego powitania narzeczonego, gdy ten nareszcie przed nią w Odessie stanie. Że bowiem stanie, o tęm nie wątpiła.

Dnie atoli upłynęły, a Paweł ani się osobą swoją stawiał, ani wieści o sobie nie dawał.

Poczęło to nareszcie niepokoić, nie panią Różę i nie pannę Emilią, którym zajęcia czasu na niepokojenie się nie pozostawiały, ale pana Tedeusza, który nie absolutnie do czynienia nie miał, nudził się setnie i z nudów zaniepokoił się.

— A gdybym tęż napisał—pomyślał sobie.

Zachodziła jednak kwestya: do kogo pisać?— A nuż, gdy list do Koszylówki przyjdzie, on w tym czasie w Odessie stanie! Po namyśle tedy, postanowił napisać do panny Klary. Postanowienie to, gdy je paniom zakomunikował, znalazło ze strony ich uznanie, więcj nawet aniżeli uzna-

nie, pani Róża bowiem oświadczyła, że się przypisze. Zachodziła tylko trudność z przesłaniem listu. Przez pocztę? — A ba! Howorówka znajdowała się w tak znaczném od komunikacji pocztowej oddaleniu, że tą drogą nie dochodziły do niej listy żadne; jeżeli zaś korespondent jaki do sposobu tego się uciekł, to list miesiącami całemi leżał w Bałcie, w kantorze pocztowym, zanim się przypadkiem jakimś na miejsce przeznaczenia dostał. Tak było niedawno—ćwierć wieku temu. Ludzie pamiętają te czasy błogie. Kto gazety prenumerował i ze światem stosunki utrzymywał, utrzymywać musiał posłańca umyślnego, wyprawianego raz na tydzień, lub raz na dwa tygodnie na pocztę, która przychodziła i odchodziła najczęściej w tygodniu dwa razy.

— Oto sęk—biadał pan Tadeusz, kombinując sposoby różne.

W rzeczy samej, trudność zachodziła wielka, a na wybrnięcie z trudności tej dwa tylko następczały się środki: albo przesłać list pod adresem gospodarza zajazdu w Bałcie i do niego przytém napisać z prośbą, ażeby przez najętego umyślnego pchnął takowy niezwłocznie do Howorówki, albo też jednego z ośmiu koni i jednego z czterech płci męskiej służących, co z państwem Tadeuszostwem w Odessie byli, z listem wyprawić. I tak źle, i tak niedobrze.

— Ha, trzeba ludzi popytać...

Pan Tadeusz w Odessie znajomych nie posiadał. Sprzedając zboże Żydom na miejscu, komi-santa osobnego nie miał. Nie było więc rady in-niej, jak zwrócić się do właściciela hotelu, którym był znany szeroko szlachcic podolski Polak (nazwiska nie wymieniam), co się był z Żydówką ożenił i przyszedł odrazu do fortuny znacznej, sprzedawszy żonę jednemu z poważnych i zamo-żnych z nad Bohu obywateli. Za uzyskane z han-dlu tego pieniądze zbudował hotel i dobrze mu się wiodło. Do hotelu tego zajeżdżała szlachta przez ciekawość popatrzenia na męża, co taki zrobił interes i którego osoby czepiały się dwa rozwody: jego własny i rozwód obywatela. Do niego to pan Tadeusz o radę się udał.

— Powiedz mi asan dobrodziej, jakby to do Howorówki list wyprawić?...

Właściciel hotelu, znajdujący się na trudnościach tego rodzaju, nastroczył środek trzeci: wynajęcie posłańca w Odessie. Środek ten przedstawił się jako najpraktyczniejszy. Nietrudno też przyszło w mieście, w którym ludzie wynajmują się do wszystkiego, znaleźć ochotnika na przejechanie się do Howorówki. Kosztowało to. Cóż robić je-dnak? Koszta poszły na cel nie bez znaczenia tak dla państwa Tadeuszostwa, jakoteż dla panny Emilii; do przewiezienia był list ważny i ważki,

albowiem przypisek pani Róży obejmował ćwiartek osiem papieru pocztowego dużych rozmiarów.

Po wynajęciu i wyprawieniu posłańca, pozostawało na odpowiedź czekać i robić, co się robiło dotąd.

Czynność szła dwoma, że tak powiemy, prądami. Jeden z prądów tych był wyprawowy i przechodził przez magazyny, przez krawców, przez modniarki, szwaczki, gorseciarki, przez jubilerów, szewców, białoskórników, szmuklerzów, perfumiarzy, fryzyerów, etc., etc., drugim płynęła Julisia w sterowanej przez matkę łódce. O tym drugim atoli będzie później; piérwój, ażeby się wstecz w opowiadaniu nie wracać, zakończymy rzecz z listem, na który odpowiedź nie kazała na siebie czekać długo: dwa tygodnie tylko.

Dwa tygodnie: wobec wieczności znaczy to mniej, aniżeli kropelka w oceanie. Pan Tadeusz, zdaje się, z tego na czas zapatrywał się punktu, albowiem nudził się, ale nie niecierpliwił, na odpowiedź oczekując; gdy zaś nadeszła, posłańca za pośpiech pochwalił i napiwek mu dał.

Odpowiedź ta w zdumienie wszystkich razem i każdego z osobna wprawiła.

Panna Klara, poprzedziwszy rzecz długim, zawierającym wynurzenie uczuć różnych wstępem, donosiła, że pan Paweł do Odessy wyjechał. Pisała, że do Koszylówki posyłała i z Koszylówki

wprost wiadomość tę ma; co się zaś przypuszczałnej choroby jego tyczy, o takowej nikt ani sły-szał. „Wyjechał — listu jój były słowa—w zdro-wiu jak najlepszém;” nie donosiła jednak, kiedy wyjechał.

— Kiedy?—z pań jedna zapytała.

— Kiedy?—odparł pan Tadeusz — rzecz pro-sta: nim list ten — oczami na list panny Klary wskazał—pisany był...

— To znaczy?—odezwała się pani Róża.

— Tydzień, dziesięć dni temu.

— Powinienby więc już być w Odessie.

— Polowanie na wilki — rzekł pan Tadeusz, odniechceni dym z ust puszczał. — Jesień, po-ra jedyna do próbowania wileczarzy...

— Czyż Pawalek taki myśliwy zagorzał?

— To się tak mówi tylko... Jak mnie czasu onego polowanie na wilki zabałamuciło, tak jego zabałamucić mogło co innego.

— Cóżby, na przykład?

— Cokolwiek...

— Nie znamy w nim innego, jak w muzyce, w śpiewach zamiłowania—zauważyła pani Róża.

— Może więc trafił się gdzie koncert jaki, albo co... Dowiemy się, jak przyjedzie; teraz wiemy to tylko, że się pokazało, iż... z wielkiej chmury mały dészcz... Znam ja mego Pawelka, jak kie-szenie własne, które—dodał — *miserere* śpiewać



poczynają, pomimo żem w śpiewach niezamiłowany...

Wyrazy te ostatnie przeszły poślizgiem, jak również uwagi niczyjój nie zatrzymała na siebie następująca, w liście panny Klary zawarta skarga:

„Ach Boże! com się ja nacierpiała, jakiegom się strachu nabawiła! Przyszedł chłop jakiś stary i krzyczał, niech Pan Bóg broni, i rzucał się, i płakał. O Matko miłosierna! Myślałam, że ze strachu umrę. Dusza była na ramieniu. Mówił, że z dworu nie odejdzie, póki mu żywój albo umarłój wnuczki nie oddadzą. A zkąd-że jemu wziąć wnuczkę, co uciekła, czy się gdzieś podziała? Klucznica powiada, że się chyba utopić musiała, bo jej się nie chciało w piekarni do roboty stawać. O Boże wszechmogący, w jakimże ja strachu byłam! I byłby ten chłop nie ustąpił, gdyby nie ekonom, który go siłą odprowadzić kazał. Ależ krzyczał! Nie słyszałam, odkąd żyję, krzyków takich.”

— Cóż to za wnuczka i co to za chłop?—zapytała pani Róża odniechceni.

— Nie wiem—odmruknął pan Tadeusz.

Na tém się, co do tego, skończyło. Cierpienia i strachy panny Klary schodziły na plan drugi, a raczój usuwały się całkowicie w cień, wobec wiadomości o wyjeździe pana Pawła do Odessy. Stanowiło to rzecz główną. Nie pozostawało jak

na przyjazd jego czekać—na przyjazd, który, jak pan Tadeusz twierdził, nastąpić powinien nie dziś, to jutro.

— Otoż mu kapitulę natrę!— powiadał. — To nic, że się spóźnił, że się gdzieś zabałamucił... że, zresztą, jak ja ongi, o narzeczonej może zapomniał; ale mam do niego pretensyą głównie za to, że za marą jego po stepach chersońskich goił... Jego tam nie było, jam konie zajeżdżał... tfu!... Nie przytrafiło mi się jeszcze, mości dobrodzieju, nie podobnego. Dwa konie od bryczki ochwacone: za powrotem Żydom je będę musiał na woziwodów sprzedać; konia powozowego myszy napadły. Kręciliśmy się po stepach w zygzaki... Tfu!—splunął po raz wtóry.

Tak pan Tadeusz zrzędził, winszując sobie wszakże, że, bądźcobądź, końmi ochwaconemi i koniem z myszami do Odessy żonę, siostrę i siebie dowiózł. Rezultat ten przypisywał metodzie z końca języka, bardzo podobnej do polityki, kierującej się tak samo. O! gdybyż mężowie polityczni, którzy mądrość całą wysilają na wpatrywanie się w to, co komuś na końcu języka wisi i wedle tego stronnictwa zawiązują, z radami występują, kazania prawią i narodom kierunki wytykają — gdybyż oni rezultatu podobnego powin-szować sobie mogli! Chyba to nie nastąpi jednak. Narodu końmi ochwaconemi i przez myszy na-

padniętymi do celu w zygzaki dowieść nie można, jak pan Tadeusz dowiózł gromadkę swoją do Odessy. To co innego, a tamto co innego. Obok podobieństw, zachodzą różnice, wzbraniające zbaczania z drogi prostój. Na zbaczania te nie od dziś podnoszą się skargi i byli tacy, co jedy-ny przeciwko nim środek zaradczy upatrywali w tém, że:

„Ciebie anieli niebiescy ostrzegą.”

Czy ostrzegą? Pytanie to pozostawiając ku rozważaniu tym, kogo ono interesować cokolwiek może, zwracam się do tych, których interesują losy w opowiadanie niniejsze wplecionych osobi- stości—osobistości prawdziwych, rzeczywistych, z życia wprost wziętych, ani w najdrobniejszej części niezmyślonych.

Zmyślenia w powieściach jak ognia się wy- strzegam. O tém raz nazawsze łaskawych czy- telników i łaskawe czytelniczki uprzedzam.

Pani Róża, na przykład, pomimo że mój dawno, dawno nie widział, w oczach mi, niby żywa, stoi. Widzę ją, słyszę, rozumiem. Biedna kobieta! Wy- krzyknik ten atoli odnosi się do czasów tera- źniejszych, do dnia dzisiejszego — wówczas zaś do kucia biedy ona sobie dopiero, jak kowal do kucia żelaza, miechy nadymała. Albowiem omy-

liłby się grubo ten, coby pomyślał, że główna podróży do Odessy racya w wyprawie panny Emilii tkwiła. Gdzież tam!— Racya ta racją dla panny Emilii była. Poza nią atoli ukrywała się inna, skupiona całkowicie w sercu matczyném, w próżności, w dumie, niby para w kotle parowym, gotowa ściany miedziane rozsadzić, gdyby upustu nie miała. W odniesieniu do pani Róży rolę kurka upustowego odgrywała edukacya Julisi — edukacya, dla której gotową była na poświęcenia rodzaju wszelakiego.

W Julisi odkrył się talent taki piękny! Pokazało się, że dziecko jest perłą cenną, dyamentem piérwszej wody. Skarb taki, w Howorówce trzymany, pozostałby nazawsze, jak perła w muszli, na dnie oceanu, jak dyament w głębi ziemi. Potrzeba go było do Odessy wywieźć—poco? — pani Róża sama nie wiedziała, i ona bowiem — z powodu zapewne przestawania z mężem — trzymała się metody końca języka. Poco dziecko z Howorówki do Odessy wiozła, o tém się w Odesie dopiero dowiedzieć miała.

Nie mieszkałaż tam panna Y.?

Panna Y. atoli ufności wielkiej w pani Róży nie wzbudzała, raz dla ekscentryczności owych, z którymi się w Howorówce popisowała, powtóre — i głównie — dlatego, że w głowie chłopki wyrazy „prima-donna” ulokowała. Wyrazy — pani Róża bowiem ani przypuszczała, ażeby to mogło

być co innego. Brała za rzeczywistość tylko odkrycie talentu w dziecku swoim; wyrazy zaś owe uważała za wyrazy na wiatr rzucone. Ztąd przez pół tylko ufała pannie Y., przypuszczając, że, co się edukacyi tyczy, w Odessie znajdować się musi ktoś kompetentniejszy do udzielania rady i dania wskazówek. Jakoż nie omyliła się. Sama panna Y., we względzie tym, pomocną się jej stała, powiadając, że Odessa posiada mnóstwo nauczycieli i nauczycielek śpiewu złych, dobrych, lepszych i najlepszych. Za najlepszą podawała siebie.

— Takięj jak ja drugiey niema — mówiła otwarcie.

Na tém jednak przez nią udzielone wskazówki zaczynały się i kończyły. Czy kto czego innego w Odessie naucza, czy się kto czego uczy — o tém pojęcia nie miała najmniejszego. Pani Róża jednak myślała inaczej. Edukacją wyobrażała sobie, jako kształcenie umysłu i serca, służące za rodzaj grządki dla kwiatu talentu: nie mogła więc się z panną Y. porozumić i, zajęta wyprawową sprawą siostry mężowskiey, kwestyą edukacyjną odłożyła na później. Potrzebowała do niej umysłu swobodniejszego, którego pozbawiało ją ustawiczne z panną Emilią po magazynach i majstrach krzątanie się. Matce i cioci nieodstępnie towarzyszyła Julisia. Jeżeli to na edu-

kacją dziewczynki nie wpływało, jeżeli to takowej kierunku pewnego nie nadawało, to przyznać należy, iż pedagogowie najmniejszego o wychowaniu dzieci wyobrażenia nie mają. Julisia na równi z matką żywo się strojami ciotki interesowała — a tém nawet żywiój, że się nie obchodziło bez tego, ażeby pani Róża sobie i dziecku czegoś nie sprawiała. Trudnoż-bo się pokusie tego rodzaju oprzeć! Kupcy, jakoteż twórcy i twórczyńce strojów i stroików, taką grzeczność, taką ufność okazywali i tak rozumnie radzili! Kiedy się pani Róża wymawiała, powiadali:

— Niech pani ze sposobności korzysta. Sposobność nie przychodzi na zawołanie. Przy kupnie jedném przychodzi drugie... Z sukni dla osoby słusznój z łatwością wykroi się sukienka dla dziecka i wypadnie darmo prawie.

To „darmo” szczególnie panią Różę pociągało.

Modniarka jakaś powiedziała, że gust w dziewczynkach urabia się zapomocą ubrania gustownego.

Ach! jakże zdanie to do przekonania pani Róży trafiało! Brać się na lep dawała, edukacyjny kierunek w duszy dziewczynki szczepiła i przed mężem chwaliła się „okazyjami,” pozwalającemi jej sobie i dziecko trwale, tanio i gustownie ogarnąć. Tonęła pani Róża, tonęła.

Jeden z nowszych autorów francuskich tom Gruby napisał o wpływie na nerwy kobiece szelstu materyj jedwabnych i tkanin wełnianych, widoków barw i blasków, kombinacyj deseni i kształtów. Wpływ ten, według niego, działa tak potężnie, że niekiedy popycha do zbrodni popełnionej w niewiadomości czynu, w obłądnie. Kobięta nie ma siły oprzeć się. W olbrzymich bazarach paryskich, które sztukę pokazywania towarów doprowadziły do stopnia doskonałości najwyższej, panie, prawnuczki rycerzy krzyżowych w linii prostej, kradną na wyścigi; na dziesięć jedną łapią i ta jedna, dla uniknięcia kompromitacyi i skandalu, za dziesięć płaci. Doprowadza do tego wychowanie, urabianie tych nerwowych sensacyj, w jakie się właśnie Julisia, w towarzystwie ciotki, a za przewodem kochającą ją nad życie matki, uprawiała. Matka widziała w tém urabianie gustu; ojciec nie widział nic złego; dziewczynka pełną piersią wchłaniała w siebie edukacyą, a pani Róża o zdobyciu wskazówek edukacyjnych myślała.

Myślała—złeśmy się wyrazili. Pomyślała i zapomniała. Przypomniała zaś sobie dopiero, gdy nadszedł od panny Klary list, w którym opuszczona nauczycielka wyrażała pragnienie oglądania jaknajrychlej Julisi najdroższój i utęsknienie za przerwanemi lekcjami, które jęj (nauczycielce)

rozkosz najwyższą sprawiała. Rozwodziła się przytém nad niezrównaném uzdolnieniem, nad pojętnością i nad prawdziwie anielską dobrocią dziewczynki.

Pani Róża przyjęła wynurzenia te, jako świadectwo najzupełniej zasłużone, i pomyślała o edukacyi. Możeby z pomyslenia tego nastąpił był rezultat jaki niebawem, gdyby nie wiadomość o rychłym pana Pawła przyjeździe. Pan Paweł, sam muzykalnie i wokalnie wykształcony, wydał się jój najwłaściwszym do wyszukania w Odessie edukacyjnych wskazówek. Rzecz więc tę do czasu przybycia jego odłożyła, licząc na skutek pomyslny tém pewniej, że wyprawa panny Emilii, która już na ukończeniu była, dystrakcyi mu sprawiać nie będzie.

Czekała więc.

Wiemy z góry co się z czekania tego zrobić miało. Jak pan Tadeusz marę pana Pawła po stepie gonił, tak taż sama mara przedmiotem czekania była. Możnaż jednak było przewidzieć coś podobnego? Mijały dnie, minął tydzień cały; wszystko, co do wyprawy weselnój należało, spoczywało w pakach, pudłach i pudełkach, do przewiezienia których furę przynając należało: pan Paweł ani się pokazywał, ani wieści o sobie nie dawał.



— Przyjedzie... tylko co nie widać, jak przyjedzie—powtarzał pan Tadeusz, pewny swego.

Panie mu nie przeczyły.

Ale z chwilą, jak zajęcie gorączkowe ustało, uczuwać się dawała próżnia, znamionująca nudy tём dotkliwsze, że i słoty jesienne zawitały. Na ulicach klapanina; w hotelu nic do czynienia. Pani Róża i panna Emilia powynajdowały sobie robótki jakieś; Julisia gawędziła, chimerowała, ubierała się i rozbierała; pan Tadeusz fajkę palił, przez okna wyglądał, lub gazetę czytał, to jest na kanapie się kładł, arkuszem drukowanym oblicze sobie zasłaniał i usypiał. Tak dnie schodziły. Wieczory spędzano na operze, na którą Julisia szła ochoczo, dlatego że wkładano na nią coraz-to inną sukienkę. Pana Tadeusza zrazu to bawiło, następnie do rozpaczliwego pobudzało ziewania.

A pana Pawła jak nie było, tak nie było.

„Oczekiwanie—jak powiadają—godziny ukraca.” Nie sprawdzało się to jednak na Howorowczanach naszych. Godziny wlokły się dla nich bardzo powolnie.

— A!—zawołał razu pewnego pan Tadeusz, wzięwszy gazetę do ręki.—Wszak to już, jak mi Bóg miły, listopad!... Jakże ten czas prędko leci!

Pani Róża spojrzała na męża wzrokiem niezapowiadającym nic dobrego. Zdawało się, jakby

ją obrazila jego o szybkości upływania czasu uwaga.

— Leci—odparła—ale mnie nie to dziwi.

— Mnie dziwi to, żem się ani obejrzał, jak dwa miesiące upłynęło. Niby z bicza trzaśł.

— Pozwolę sobie, Tadeziu, zadać ci pytanie jedno...

— No? — zapytał pan Tadeusz głosem niekoniernie pewnym.

To „Tadeziu” go tknęło.

— Czyś ty przez ten czas pomyślał...

— O czém, moje życie? Jam, zdaje się, myślał o wszystkiém.

— W tém wszystkiém jednak jest rzecz jedna najwazniejsza...

— Rzecznajwazniejsza? —rzekł z zastanowieniem, usilując takową odgadnąć.

— Nie domyślasz się jaka?

Myślał, ale—ani weź! Radby odgadnąć; poznawszy atoli, że odgadywanie byłoby pracą o ile mozolną, o tyle daremną, zdecydował się odpowiedzieć:

— Nie.

Pani Róża, obdarzywszy go naprzód tkliwém spojrzeniem, powiedziala:

— Dziecko twoje...

— Hm—chrząknął.—Cóż? Zdaje się, że ja, co się Julisi tyczy...

— Jesteś ojcem dobrym, kochasz ją.

— A no—wtrącił tonem zadowolenia.

— Co innego jednak kochać, ot tak, a kochać rozumnie.

Wielką pani Róża powiedziała prawdę. Prawdę tę pan Tadeusz uznał.

— A więc — ciągnęła — korzystać winniśmy z pobytu w Odessie, ażeby się dowiedzieć przecie, jaki z pięknego, który jej Pan Bóg udzielił, daru użytek zrobić; chyba—dodała—że chcesz, ażeby dar ten zmarniał, zaginął, przepadł...

— Ależ ja tego nie chcę!—zaprotestował.

— Czemuż się nie ruszysz, nie obejrzysz, nie rozpytasz?

— O co?

— O to, co i jak zrobić, ażeby edukacją Julii pokierować odpowiednio do odkrytego w niej uzdolnienia.

— To jest do śpiewu?—wtrącił.

— Sam to uznajesz, nie zwalaj więc wszystkiego na mnie.

— Jam bo myślał.. mnie się zdawało, żeś już o tém z panną Y. mówiła.

— Co tam panna Y.! Pomówić potrzeba z kimś poważniejszym.

— Z kimże? — zapytał pan Tadeusz tonem, poświadczającym trudność zadania.

— Rozpytaj, dowiedz się. Wszak się pytasz o drogę, gdy jej nie znasz.

Wyrazy ostatnie stały się rodzajem pchnięcia onego, jakie otrzymały planety do krążenia około słońca. Pan Tadeusz krążyć zaczął. Z hotelu pod parasolem wyszedł i na ulicy zapytał siebie:

— Do kogo, u licha, pójde?

Do hotelu powrócił i do właściciela onego zapukał.

Trafił na człowieka najmniejszego o rzeczach tych niemającego wyobrażenia. Właściciel hotelu, po zrobieniu interesu, o którym wspomnieliśmy powyżej, nie zajmował się czem innem, jeno hotelem swoim, poza który myślą ani sercem nie wybiegał. Nie mógł więc pana Tadeusza poinformować w kwestyi edukacyjnej, co też wypowiedział z otwartością całą.

— Panie łaskawy, nie o tém nie wiem i nigdy nie wiedziałem.

— Od kogóżby się dowiedzieć można?

— Od kogo? hm? U mnie w hotelu mieszkają studenci, którzy się sami niby-to uczą, ale — ręką machnął. — Tak się uczą, jak płacą. Co z nimi kłopotu, gdy wydziierać przychodzi nędznych kilkanaście rubli!

— Przymć to młodzież — rzekł pan Tadeusz — ja zaś pomówićbym chciał z kimś poważnym.

— Z kimś poważnym? Kogóżby tu nastreczyć panu?

— Kogoś takiego, coby się na głosie znał.

— Na głosie? — zadziwił się właściciel hotelu.

— To jest na śpiewanin. Dziewczyna moja ma głos... phi! panie.

— A—odezwał się uderzony tém mąż szanowny.— Głos to rzecz piękna: za nią, panie, grubo płacą.

— Eh! nie chodzi mi o to, ażeby jój płacili. Ja zapłacę, byle się głos ten nie zmarnował.

— Hm, kogóżby nastreczyć panu?—Myślał i po chwili dodał: — U mnie, w hotelu, mieszka trzech nauczycieli, dających lekcyę, nie wiem dokładnie, grania czy śpiewu; wiem tylko, że tarabanią, rzępolą i wywodzą; ale poczekaj pan dobrodziej, zapytam.

Rzekłszy to, drzwi otworzył, przededrzwi przywołał numerowego i, gdy ten się na wezwanie stawił, zwrócił się do księgi, następujące zadając mu pytania:

— Numera tych muzykusów?

— Trzydziesty trzeci, piętnasty, szósty—była odpowiedź.

— Trzydziesty trzeci—w księdze poszukał—nazywa się Jarosław Żebraczek. Co on: gra czy śpiewa?

— Skrzypce męczy—odpowiedział numerowy.

— I w wypłatach zalega, to znaczy, że z niego muzykant lichy. Numer piętnasty—kilka kartek przerzucił.—Jan Sznapski... Co on?

— W trąbę dmucha.

— O tym nie jeszcze powiedzieć nie można. Sprowadził się niedawno; pierwszą ratę zapłacił, ale co będzie z drugą, niewiadomo. Numer szósty, pierwsze piętro, dwa pokoje, nazywa się Stefan Kapusini. Co on?

— Śpiewa.

— Ano, to człowiek porządny, mieszka u mnie rok już drugi i z wypłatą się nigdy nawet nie spóźnił. To przyzwoity człowiek. Niech się pan dobrodziej—dodał, do pana Tadensa mowę zwracając—do niego uda. Numer szósty.

— Nazywa się Kapucyni... Włoch. Co?

— Zdaje się. W książce zapisano... rodem—przeczytał—z Homonuy.

— Młody? stary?

— Ni młody ni stary—odrzekł numerowy, na znak przez właściciela dany.—Lat, tak, ze czterdzieści.

— Kiedy on Włoch, jakże ja się z nim rozmówię?

— Mówi po naszemu — odpowiedział numerowy.

## XX.

### Miękkość szlachecka.

---

Poderzwiami numèru szóstego pan Tadeusz zatrzymał się na chwilkę, dla posłuchania brzmiających za drzwiami tonów: aaa...

„Co się oni tego „aa” trzymają?” — rzekł sam do siebie i zapukał.

— *Entrez!*—odezwał się głos donośny ze środka.

Pan Tadeusz wszedł i na powitanie jego powstał od fortepianu człowiek, powierzchowność którego łączyła w sobie powagę i wdzięk, dobre od pierwszego oka rzutu dające mu świadectwo. Wstał i na pierwsze słowo z ust pana Tadeusza czekał.

— Mam zaszczyt przedstawić się panu dobrodziejowi: Tadeusz Howorowski.

— Bardzo mi miło. Proszę pana—odrzekł pan Kapusini, wskazując gościowi siedzenie.—Czém panu służyć mogę?

— Bo to ja tak—odrzekł pan Tadeusz, usiadłszy—ażeby panu dobrodziejowi czasu nie zabierać, do interesu, bez preambułów, prosto z mostu, przystąpię.

— Słucham pana.

— Mam córkę, na imię jej Julisia; dziecko jest latek dwanaście, ale, mości dobrodziej, ma głos.

— A...—i uwagę zwrócił.

— Ma głos—powtórzył pan Tadeusz.—Niech mi pan dobrodziej z łaski swojej poradzi: co z tym fantem robić?

— Czyś pan sam muzykalny?

— Ale gdzież-tam!.. Ja, panie, gospodarz... na wsi mieszkam, o dwadzieścia zgóry od Odessy mil.

— Córeczka pańska na wsi?

— Jest tu. Przyjechałem z żoną, z siostrą i z nią; bawimy już tu od dwóch miesięcy.

— To dobrze, inaczej bowiem niebym panu o głosie jego córeczki powiedzieć nie mógł. Potrzeba, żebym głos ten rozpoznał piérwój.

— Rozpoznany już.

— Przez panią zapewne?

— Nie. Przez pannę Y.

— A!—odrzekł na to i skłonił głowę z akcentem uznania.



Pan Tadeusz opowiedział w krótkości o koncercie panny Y. w Humaniu, o pobycie jęj w Howorówce i zakończył opowiadanie zapytaniem kategorycznym, tyczącęm się edukacyi Julisi.

— Nie mogę panu żadnych udzielić wskazówek—odpowiedział zapytany—bez widzenia i bez rozpoznania głosu córeczki pańskiej. Jak lekarze, tak i my, na niewidziane i niesłyszane radzić nie możemy. Niech pan córeczkę swoję do mnie przyprowadzić raczy.

— A może byłoby lepiej, gdybyś pan dobrodziej pofatygował się do nas? — podchwycił pan Tadeusz.—Bo to, widzi pan dobrodziej... żona moja...

— Kiedy?

— Choćby natychmiast.

— Natychmiast nie mogę. Oczekuję—spojrzał na zegarek—przybycia uczenicy, któręj edukacyą muzykalno-wokalną kieruję.

— Dziś więc wieczorem?

— Dziś wieczorem? hm.... — zamyślił się na chwilę.—O któręj godzinie i gdzie?

— Mieszkamy w hotelu tym samym, pod numerem dwudziestym, co zaś do godziny... Nie byłby pan dobrodziej łaskaw przyjsć do nas... ot tak, bez ceremonii, na herbatę, między szóstą a siódmą?

— Sprawię ambaras...

*Niezaradni.*

23

— Najmniejszego... Przeciwnie. Miałbyś pan dobrodziej czas obszérniej z żoną moją pomówić.

— Będę służył.

— Między szóstą a siódmą?

Artysta skłonił się na znak potwierdzenia.

Pan Tadeusz miał ochotę dłużej u niego pozostać, dla gawędki. Podobał się mu ten Kapucyni, jak go zwał. Piekło go atoli, ażeby jaknajrychlej pani Róży zakomunikować wiadomość pomyślną; wstał więc i odszedł, unosząc wręczoną sobie na odchodnym z ukłonem uprzejmym znacznych rozmiarów kartę, wypełnioną litografowanym napisem.

Z tą w ręku kartą z pośpiechem do mieszkania swego się udał.

— No, masz — do żony się odezwał, wchodząc — rzecz się piorunem zrobiła. Trzeba mi było powiedzieć tylko. Powiedziałaś i rzecz całą wciągu godziny załatwiłem.

Kartę pani Róży podał.

— Przyjdzie dziś wieczorem. Zaprosiłem go na herbatę. Rozmówisz się sama.

Pani Róża przebiegła oczami po razy kilka kartę, na której pięknie wykaligrafowane czytała tytuły, opiewające, jako pan Stefan Kapusini, były uczeń konserwatorium paryskiego, jest dyplomowanym profesorem śpiewu, odznaczonym jako taki przez królową hiszpańską i cesarza bra-

zylijskiego, zaszczyconym rekomendacją szczególną cesarzowej francuskiej i króla hanowerskiego etc. etc. etc.

Pani Róży to zaimponowało.

— Cóż? Jakże?—zapytała.

— Dopytałem się do Kapucyniego.

— Kapusini—poprawiła.

— Jaż tak mówię!.. no i, od słowa do słowa, na herbatę zaprosiłem.

— Ależ to figura jakaś.. królowie, królowe, cesarze, cesarzowe.

— A mimo to uprzejmy i bardzo, bardzo miły. Nie chciałem z nim się rozgadywać szeroko; wolałem, ażebyś rozmówiła się sama.

Powtórzył dosłownie rozmowę, w której nie opuścił tego, że byłby go ze sobą przyprowadził, gdyby nie to, że oczekiwał uczenicy, „której edukacją muzykalno-wokalną kieruje.”

— To dobrze, żeś go nie przyprowadził, byłby bowiem nieporządek zastał.

Wieczorem siódma już dochodziła, kiedy się pan Kapusini stawił. Stolik oddawna już nakryty, a ciastami i fruktami zastawiony, na przybycie gościa czekał. Przybysz miał na sobie czarny, na piersiach zapięty surdut, co mu akcent surowości jakiejś nadawało. Regularne rysy oblicza, wyniosłe czoło, ciemne, spokojnie patrzące oczy,

broda w wachlarz składały się na wyraz powagi, nacechowanej wyższością naturalną.

Wszedł, skłonił się damom nisko; panu Tadeuszowi dłoń do uścisku podał.

— Czekaliśmy na pana — z akcentem wymówki przemówiła pani Róża.

— Jaknajusilniej przepraszam. Od wpół do piątej do wpół do szóstej miéwam codziennie lekcją z księżniczką Della Gruda Odelgini, którą matka umyślnie do mnie przywiozła. Księżna gaduła trochę: po lekcyi na rozmowę mnie wyzwała.

Racya spóźnienia, do której księżna Della Gruda wchodziła, tak była, w mniemaniu pani Róży, słuszna, iż się wymówki swojej zawstydzila. Wezwała więc gościa, aby przy stoliku usiadł i herbatę naléwać zaczęła.

Panna Emilia i pan Tadeusz miejsca swoje zajęli; Julisia ulokowała się pomiędzy matką a ciotką, a wyglądała, jak istny aniołek. Zawiązanie rozmowy napotykało na trudności niejakié, które pan Kapusini usunął, zaczawszy o pogodzie. Od pogody z łatwością znalazło się przejście do Odessy, od Odessy do sztuki wogóle, od sztuki wogóle do teatru, do panny Y., do Julisi.

— To jest — odezwał się Kapusini, oczami na dziewczynkę wskazując — aspirantka na dive?

— Tak, panie. Panna Y. odkryła w niej talent.

— Ja w niej odkrywam zalety, które ją od talentów uwalniają. Piękność sama przez się jest talentem najwyższym.

— Jeżeli jednak przytém—zaczęła pani Róża.

— Zapewne — podchwycił. — Nie mam przeciwko uprawianiu talentów w kobietach nawet najpiękniejszych. Owszem, jako sam artysta, lubię kojarzenie piękna jednego z drugim. Śpiewaczka brzydka jest śpiewaczką tylko; przed śpiewaczką piękną tłumy na kolana padają.

Niewysłowiona jakaś od wyrazów tych w sercu pani Róży rozléwała się słodycz. Brzmiała w nich dla niej prawda święta.

— Cóż pan o Julisi mojej myśli?

— Przedewszystkiém zapytać się ośmielę panny Julisi, co ona o śpiewie myśli? Czy panna Julisia śpiew lubi?

— O! lubię—odparła z pośpiechem.

— Bardzo lubi—wtrąciła pani Róża.—Postrzegłam w niej oddawna szczególne do śpiewu zamiłowanie. I tyś, Emilko, postrzedz musiała toż samo?

— Tak, o! tak—odpowiedziała z naciskiem.

— Wszyscyśmy to spostrzegli, ale, na wsi, nie mogliśmy o głosie sądzić; aż dopiero panna Y. uwagę naszą na takowy zwróciła.

— Zamiłowanie to rzecz najpięrsza, od za miłowania bowiem zależy uczucie, bez którego głos najcudniejszy będzie, przy rozwoju nawet najwyższym, mechaniką tylko. Ponieważ więc panna Julisia zamiłowanie posiada, zobaczymyż teraz, czy posiada głos. Proszę mi zaśpiewać co.

Zmieszła się dziewczynka i za plecy matki usunęła. Nastąpiły namawiania, prośby, szepty i targi, które profesor przeczekał, aż usłyszał za pytanie: „Co?”

— Cokolwiek—odrzekł—tę na przykład śliczną piosenkę: „Wlazł kotek na płotek,” jeżeli, rozumię się, panna Julisia piosenkę tę umie.

— Umie, umie—podchwycił pan Tadeusz.— Jam ją sam nauczył.

Dziewczynka atoli namówić się nie dawała.

— Więc ja dam przykład — przemówił pan Kapusini i wnet się słyszeć dał. „Wlazł kotek na płotek” w ustach jego wydał się cudnym.

Zachęcona przykładem, Julisia powtórzyła, ale jej nie szło.

— Zmieszana — rzekł profesor półgłosem i, do dziewczynki się zwracając, dodał:—Proszę mi tę jeszcze zrobić przyjemność i ciągnąć za mną: Wlaaa..

— Wła—zaczęła Julisia i zakrzusła się.

Powtórzyła raz drugi lepiej, trzeci jeszcze lepiej.

— Dosyć—odezwał się pan Kapusini.—Znaleźliśmy, czegośmy szukali. Hm? — do pani Róży się zwrócił.—Jest nadzieja, nadzieja, do urzeczywistnienia której przystępować należy z jaknajwiększą ostrożnością i z całą umiejętnością.

— Proszę nam, panie łaskawy, we względzie tym wskazówek udzielić.

— Do właściwej, do szkolnej nauki śpiewu niema co przystępować jeszcze. Panienka zamłoda, płuca nie wytrzymają; ale przygotowywać zawczasu należy grunt, to znaczy: kształcić w muzyce zasadniczo i formować gust, nie spuszczać ani na chwilę śpiewu z uwagi. Panienka może, a nawet powinna, zacząć brać lekye śpiewu od dziś, ale u nauczyciela, coby jój płuca pielęgnować umiał. Oto wszystko, pani, co o tém z punktu ogólnego powiedzieć można.

— Dziękuję panu—odparła pani Róża, dłonie nawpół składając.

— O, pani!

— Jabym pragnęła dać jój edukacyą wszechstronną.

— Do lat siedemnastu, osiemnastu, póki płuca w mierze nie staną, jest na to czasu dosyć.

— O formowaniu gustu co pan myśli?

— Opera... opera, pani, przedewszystkiem; przytém koncerta i u dobrego profesora lekye muzyki.

— Opera w Howorówce—wtrącił pan Tadeusz.

— Tadzium—podechwyciła pośpiesznie, dla zagadania oczywiście, pani Róża — przysuń panu profesorowi sucharki. Proszę pana—zwróciła się do profesora—i przepraszam, żem o obowiązkach gospodyni zapomniała. W Howorówcebym występku tego nie popełniła; ale w miejscu obcém człowiek sam gościem się czuje.

— Państwo długo jeszcze pozostawać w Odessie zamierzacie?

— Nie wiem—odparła, uprzedzając odpowiedź męża—to zależy... Interesa nibyśmy to już pokonczyli; dla nas atoli ponad interesa wszystkie góruje edukacja dziecka. Więc, nie wiem...

— Pod względem edukacyjnym Odessa czyni zadość warunkom wszystkim i wymaganiom najwybrédniejszym. Zakłady, metrowie, nauczycielki..języków obcych, francuskiego, włoskiego, angielskiego, tu, przy dobrej woli, na ulicy wyuczyć się można. Odessa, to Marsylia czarnomorska... to miasto europejskie.

— I wygodne.

— Wygodne i, dodać należy, niedrogie, co jest rzeczą bardzo naturalną: tu się cła od towarów nie opłaca, a więc wszystko o połowę jest tańszém, aniżeli poza linią celną. Wina butelka w Kijowie rubli trzy, tu półtora.

— Pan zna Kijów?



— Byłem tam przed laty... koncert dawałem. Mieścisko duże, ale bez życia.

Rozmowa zeszła na materyą inną, na materyą z osnową powieści naszej styczności pośredniej nawet niemającą, i niebawem profesor śpiewu państwa Tadeuszostwa pożegnał. Przy pożegnaniu pani Róża, dłoń mu ściskając, mówiła:

— Nie poraz ostatni, mam miłą nadzieję, widzimy się, panie profesorze, i nie ostatni to miałam do pana interes.

— Pani, na twoje się oddaję rozkazy—skłonił się głęboko.

— O Tadius! —zawołała, jak skoro pan Kapusini za drzwiami zniknął—jakieżś ty trafny uczynił wybór! Mnie ciemnej człowiek ten oczy otworzył. Jakże on rzecz przedstawił jasno, prosto, a prawdziwie.

Przy mężu usiadła i do niego się przygarnęła.

— Mamy już wskazówki wszystkie; widzimy drogę przed sobą... „Jeśli wytkniesz sobie drogę, a prostą, to choćby do słońca zalecisz.” Nieprawda?

— Prawda—odparł pan Tadeusz, pomimo że się to z regułą jego metody z końca języka niekoniecznie zgadzało.

— Widzimy przed sobą wyraźnie wytkniętą Julisi drogę edukacyjną.

— Nie widzę jednak, jakim sposobem opera i koncerta znajdują się dla niej w Howorówce.

— Znajdą się w Odessie.

— Mamyż do Odessy jeździć a jeździć?

— A czyż-to nie można w Odessie zamieszkać?

Pan Tadeusz od żony się odsunął, oczy szeroko otworzył i popatrzył na nią tak, jak się patrzy na istotę, co nagle i niespodzianie pomieszczenia zmysłów dostała.

— Czego tak patrzysz na mnie? — zapytała spokojnie.

— Bo hm, bo, no; ani wiem, co się tobie stało.

— Czy ludzie nie mieszkają w Odessie?

— Mieszkają.

— Czy my nie ludzie?

— Jeżeli tak będziesz rzeczy brała, to nam nie w Odessie, ale w Pacanowie zamieszkać należy, dlatego że i w Pacanowie ludzie mieszkają.

— Zapewne, ta jednak zachodzi różnica, że Pacanowianie o edukacją dzieci nie dbają może, my zaś dbamy; Pacanowianie środków nie mają może, my zaś, Bogu dzięki, je mamy.

— Mamy, mamy! Zapominasz, żeśmy nie magnaci.

— Czyż-to magnaci tylko posiadać mają przywilój edukowania dzieci?

— Wedle stawu grobla.

— To też w Odessie urządzić się można stosownie. Mieszkają tu przecie ludzie od nas ubożsi.

— Ależ jabym tu nie wytrzymał — krzyknął pan Tadeusz.

— Więc, mój Tadzio, nie chcesz dziecku twemu dać edukacyi takiej, jaką dla niej sama natura, sam Bóg wskazuje? Nie chcesz? Powiedz!

— Mój Boże! — zaczął.

— Chcesz mnie skompromitować w oczach człowieka, któregoś sam wyszukał i sprowadził i który ma stosunki w sferach najwyższych? Chcesz? Powiedz!

— Jakże ja ciebie skompromitować mogę? — zawołał tonem, znamionującym mięknięcie.

— Jak? Zapytanie conajmniej ciekawe! Nie słyszałeś, com mu na pożegnanie mówiła? Nie wiesz, iżbym mu tego nie mówiła, gdybyś nie był sam człowieka tego nie polecił, nie zachwalił? Nie, Tadzio, nie traktowałbyś mnie w ten sposób, gdybyś miał dla mnie nie miłość, nie szacunek nawet, ale choćby litość!

Wyraz ostatni wyrzuciła z ust z uniesieniem, dłońmi się za skronie chwyciła, do przyległego pokoju wybiegła i drzwi za sobą z trzaskiem zamknęła.

Pan Tadeusz przy stoliku usiadł, czoło sobie na dłoni oparł i sapał.

Wysapał się, głowę podniósł, na pannę Emilię spojrzenie zwrócił, głową pokiwał i rzekł:

— No widzisz... A Pawełka jak niema, tak niema... Oho! Czy nie zwąchał on pisma nosem, co się tyczy stanowiska głowy w stadle małżeńskim?... Zwąchał, huncwot, niezawodnie zwałchał... jużby bowiem wszystkie na Podolu wilki wyszczuć i wystrzelać mógł od czasu, jak przyjechać miał. Ale... wlażem ja, wleźć musi i on. Nie wykręci się mi. Pojadę sam, zpod ziemi go wydobędę i za kark sprowadzę...

Wstał, a groźnie wyglądał. Gniew srogi na czole mu wisiał, z oczu tryskał.

Panna Emilia, w rogu kanapy siedząc, płakała.

Julisia, przebieirając w pudełeczkach błyszczących paciorki różnobarwne, nuciła sobie pod nosem: „Wlaż kotek na płotek.”

Pan Tadeusz razy kilka po pokoju ciężkim krokiem przeszedł; zatrzymał się przy Julisi i po głowie ją pogłaskał; zwrócił się znów do panny Emilii i w następujący do niej przemówił sposób:

— Nie płacz, Emilciu... Ja w tém, że staniesz z Pawełkiem na ślubnym kobiercu, a gdy się już z tém załatwisz, będziesz go ganiała, jak się gania żrebaka na linewce.

To powiedziawszy, udał się do pokoju, w którym się pani Róża zamknęła. Nie odrazu jednak

wszedł. Piérwój trochę podedrzwiami postął, jakby dla nabrania ducha; ducha nabrał, drzwi otworzył i w ciemność wkroczył. Pani Róża świecy sobie nie zapaliła. Pan Tadeusz drzwi za sobą zamknął.

— Róziu—odezwał się cichym głosem.

Na odzew ten odpowiedzi nie było.

— Róziu!—przemówił głośniej.

— Co rozkażesz? — słysząc się dał głos z łóżka, które w głębi stało.

— Położyłaś się już, życie moje? — zapytał fałszywym basem.

— Usunęłam się cicho—odparła, zapomniawszy snadź o trzaśnięciu drzwiami.

— Moja Róziu—zaczął.

— Kiedy do Howorówki wracamy? jutro? co?

— Ządze to wnosisz?

— Mówiłeś o Pawelku tak głośno, żebym słyszeć musiała z pokoju dziesiątego, nie dopiéroż z przyległego.

— Zleś zrozumiała...

— Powiédz raczój, że źle żem słuchała... Ale, niestety, uszu sobie bawełną nie pozatykałam.

— Bądź jeno spokojna.

— Jam spokojna i zrobić gotowa wszystko, co każesz, nawet dziś, natychmiast jechać, pomimo że się złamaną czuję.

— Posłuchaj mnie tylko.

— Słucham. Cha cha cha—zaśmiała się.—Do posłuszeństwa mnie wzywa? Nie szyderstwoż to?

— Z tym Pawełkiem, doprawdy, rzecz się tak złożyła, że koniec końcem, wygląda to niewiedzieć jak. Jakaś kpina, czy co! Potrzeba do gruntu dotrzeć i frantowi palcem pod nosem mocno nakiwać. Potrzeba, słowem, pojechać...

— Tegom się domyśliła. Wynałazłeś pretekst, którego ci powinszować można. Na kiedyż się więc wybierać rozkazujesz?

— Ja, po namyśle, postanowiłem pojechać sam.

— Bez nas?

— Bez was.

— Toż co nowego? — zapytała pani Róża, z łóżka się podnosząc.

— Wy zostańcie; ty się zajmiesz edukacją Julusi, a ja... pojedę.

— Ta separacya będzie niewiedzieć po jakimu wyglądała...

— Nibyż to seperacya jaka! Tyleż matek, dla edukacyi dzieci, po miastach osiada! A przytém, ja powrócę... z Pawełkiem.

— A jeżeli z się z nim w drodze rozminiesz?

— Więc cóż! Myż w Odessie ośmiu koni i czworga ludzi trzymać nie możemy, a przytém do domu zajrzeć potrzeba; wszystko tam na Bo-

żej zostało woli, Odwiozę konie i ludzi i gospodarstwo ureguluję. Gdybym się przeto z Pawełkiem rozminął, to... toby może i lepiej było.

— Emilkę-byś wziął ze sobą?...

— Gdyby zechciała... chociaż jej biedaczce przykroby było ludziom w oczy patrzeć.

— Nie... to mi się nie podoba... Jedziesz, to i ja z tobą.

— A edukacja Julusi?

— Kiedyż—westchnęła—edukacja ta niebardzo ciebie obchodzi...

— Ależ Róziu—lekkopłaczliwym głosem zaczął pan Tadeusz. — Róziu, co tobie! Mnie edukacja Julusi nie obchodzi? Ja... ja, dla edukacji jej siebiebym na bigos pozwolił posiekać. Zostań, proszę ciebie... zostań. Ułożysz się z tym Kapucynim...

— Kapusinin—poprawiła pani.

— Jaż tak mówię. Ułożysz się z Kapucynim; on ci pomoże do wyszukania metrów, nauczycieli, nauczycielek, no... i ot...

— Gdybym ja wiedziała przynajmniej, że to z ciebie płynie.

— Ale ze mnie... z głębi duszy, z głębi przekonania mego. Róziu, proszę ciebie.

— Ha... niech nie po mojemu, ale po twojemu będzie, Tadziu.

Pociemku wyciągnięta przez panią Różę ręka znalazła rękę pana Tadeusza, uradowanego i rozrzewnionego tém, że się żona uprosić dała. Małżonkowie coś jeszcze ze sobą szeptali i po chwili w jaknajlepszej harmonii na światło wyszli. Oboje do pocieszania panny Emilii razem przystąpili.

Panna Emilia, zapytana czy jechać, czy zostać woli, odpowiedziała, że umrzećby wołała; przyjmuje jednak życie, jako ciężar, który dźwigać chce w Odessie.

— We dwie więc z Emilką nad edukacją Julisi czuwać będziemy—rzekła pani Róża.

— I ja czuwaniem tém wywzajemnię się wam, kochani braterstwo, za kawalera, któregoście mi u karku uwiązali—odcięła panna Emilia.

— Myśmy ci go uwiązali?—zapytała pani Róża tonem, zamianę słów prędkich a ostrych znamionującym.

Na szczęście modniarka z resztami wyprawy nadeszła i zbierającą się burzę zażegnała. Następnie kolacyą podano; po kolacyi spanie nastąpiło, a nazajutrz państwo Tadeuszostwo dzień cały spędzili na szukaniu pomieszkania skromnego i wynaleźli, przy jednej z ulic bocznych, pięć pokoi z kuchnią, piwnicą, drwalnią, etc., które umeblować trzeba było.



— Tylko skromnie — upominała pani Róża — urządzamy się bowiem nie dla recepcyj, nie dla zabaw, ale dla nauki.

Sama meble wybierała, poszukując w takowych dwóch mianowicie przymiotów, gustu i trwałości; w rezultacie więc poszukiwania tego skromność wystąpiła pod postacią sprzętów płaconych słono. Fortepian rubli tysiąc kilkaset — reszta w tym samym stosunku. Krzątanka ta zabrała dni kilka. Pan Tadeusz widzieć chciał żonę zainstalowaną i, gdy się sprowadziła, gdy zamieszkała, gdy się przekonał, że jęj na niczém nie zbywa, dopiero wyjechał, zostawiwszy jęj pannę służącą i kucharza. Chciał jęj jeszcze powóz i koni parę zostawić, ale pani Róża od zbytku tego sama się wymówiła, a przytém przy apartamencie ani stajni, ani wozowni nie było. Zbytek jedyny, jaki udecydowanym został, tyczył się opery i koncertów, wchodzących, jako część integralna, do planów edukacyjnych.

Panna Emilia, smutna i milcząca, zajęła pokój osobny, który był mieszkaniem jęj, a oraz składem wyprawy.

## XXI.

### O Chiny!

---

Że się pan Paweł brzydko znalazł, każdy chyba przyzna i nikt się panu Tadeuszowi dziwić, ani mu za złe brać nie może tego, że do pana Pawła uczuwał żal wielki. Żal ten wzrastał wmiarę, jak się do Howorówki zbliżał, i zmieniał się kiedy niekiedy w gniew srogi. Może to pochodziło ztąd, że podróż odbywał samotnie i że właśnie, kiedy z twardego gruntu chersońskiego przejeżdżał na czarnoziem podolski, wszczęły się sloty wielkie. Pośpieszyć sposobu nie było. Koła grzęzły w błocie po osie, konie szły niby w pługu. Żal brał, patrząc na te stworzenia szlachezne, zmuszone do chodu koni pociągowych. Zapewne przeto widok ten przyczyniał się w części znacznej do potęgowania złego humoru pana Tadeusza i do nastrojania go gniwnie przeciwko

panu Pawłowi, którego zamierzał, ni mniej ni więcej, tylko... zgnieść.

— Na miazgę rozgniotę!—wykrzyknął, siedząc w głębi tego samego pojazdu, którym żonę, córkę i siostrę do Odessy odwiózł.

Analizując gniew pana Tadeusza, znajdujemy, że nie był to gniew czysty. Łączyły się z nim wyrzuty sumienia. Ażeby te ostatnie zaznaczyć, jak się sposobami chemicznymi w wodzie zaznacza obecność soli rozmaitych, należy zadać pytanie: kto do zaręczyn pomiędzy panem Pawłem a panną Emilią doprowadził? Przypomnijmy sobie owe z prosiętami manewry. Panna Emilia miała partycy inną. Starał się o nią młody człowiek, co się zajmował poprawianiem rasy nierogacizny. Tenby jej był zawodu nie zrobił. Ale ten dzierzawami chodził; pan Paweł zaś, dzięki Koszylówce z przyległościami, co razem stanowiło kilkaset dusz, należał do téj sfery szlacheckiej, która zbliżka do magnackiej przymyka. Był mniej aniżeli magnat, więcej atoli niż szlachcic zwyczajny; wchodził przeto do téj kategorii chłopców, która do złotych aspiruje panien. Pan Tadeusz odwrócił go od panny złotój, nawrócił do siostry swojej i—oto co się stało.

— I nie lepiej-że to było tamtego, od prosiąt, protegować? Emilkaby już dotychczas własne miała guiazdo i życie z ucziwym podzielała czło-

wikiem—szeptało mu sumienie, któremu odszeptywało usprawiedliwienie, pospolicie w razach takich przez podobnych do pana Tadeusza ludzi na pomoc przywoływane:— a przecież chciałem jaknajlepiej.

Co jednak z Pawelkiem się stało?

Rozwiązywanie zagadki tej stanowiło przedmiot rozmyślań pana Tadeusza, do którego często powracał. Rozmyślał bowiem przytém o żonie i dziecku, i to nawet głównie. I zimno mu się robiło, a raczej straszno, droga bowiem, na którą pani Róża Julię zaprowadziła, przedstawiała mu się tak dalece od blasków jasną, że jasność ta oczy mu olśniwała. Wzdychał więc głęboko i powiadał:

— Boże, Boże, zlituj Ty się nad nami!

Postanowił sobie mszy siedem na intencją żony i córki zakupić. To go uspokoiło naksztalt tego, jak zaasekurowanie się uspokaja kupca, wysyłającego okręt z towarami w strefy zwrotnikowe.

I jechał, a raczej włókł się, aż wieczoru pewnego wjechał na podwórzec dworu howorowieckiego. Jędrzej przybycie pana paleniem z bata oznajmił. Na ganek wysypali się domownicy, i, gdy ujrzeni jego tylko samego z podjazdu wysiadającego, okazali zdziwienie wielkie. Zdziwienie to pana Tadeusza zgniewało, wydało mu się

bowiem nietyle zdziwieniem, co pretensją, wypowiedział, zapytaniem:

— Gdzieżeś to żonę i córkę podział? Czyś je zaprzepaścił?

— Co im do tego?—powiedział sobie w duchu.

Pomimo więc, że oni o nic nie pytali, ale tylko witali, powitania ich przyjmował szorstko, spoglądał groźnie.

Ujrzał przed sobą pannę Klarę.

— Masz diable kaftan!— rzekł sam do siebie.

O niej, o egzystencyi jej, o tém że zajmowała stanowisko gawernantki, na powrót elewki oczekującej, całkowicie zapominał. O paunie Klarze, przy układaniu w Odessie planów na przyszłość, mowy zgoła nie było, jakby nie istniała. Ani jemu, ani pani Róży na myśl nie przychodziła. Kiedy więc ją nagle, niby zpod ziemi wyrastającą, ujrzał, zmieszał się i bąkać począł:

— Jakże tam pani dobrodziejka? zdrowa? he?...

— Pan dobrodziej przyjeżdża bez Julisi—odparła zmieszana również panna Klara.

— A tak... przyjeżdżam, nareszcie.

— Pani dobrodziejka? Julisia?...

— Ano, hm... Julisia, moja żona... a tak: kłaniać się pani kazały.

— Jam tak tęskniła, tak tęskniła! Pan dobrodziej wystawić sobie nie może... Dnie, jak dnie,

ale nocami... wytrzymać już nie mogłam. Wsta-  
wałam i szłam do łóżka Julisi, łudzając sama sie-  
bie przypuszczeniem, że w łóżeczku ona... Jam  
się tak do dziecka tego przyzwyczaiła.

— A pani myśli może, że się nie przywiązałam  
i ja? Ale... ha!

— Cóż się z nią stało, na Boga? Czy... czy...  
drżącym zaczęła głosem—nieszczęście może, Pa-  
nie uchwój, jakie?

Pana Tadeusza opanowało wzruszenie.

— Nieszczęście—zaczął, lecz mówić dalej nie  
mógł; usta mu drżały.—Nie...—znów zaczął.

Westchnął i odkaszlnął, jakby go w gardle za-  
dławiło.

Chciał już tę ceremonią powitalną raz zakoń-  
czyć i do wnętrza domu wejść, gdy nagle stanął  
przed nim człowiek, którego odrazu nie poznał.  
Zastanowiła go powierzchowność człowieka tego.  
Obłocony był od stóp do głowy. Włosy miał  
rozczochrane, oczy błędne, usta pokaléczone. Gdy  
się pokazał, panna Klara uciekła, reszta zaś do-  
mowników, napół przerażona, cofnęła się ku ścia-  
nie gankowej, tak iż na środku ganku pozostali  
tylko pan Tadeusz i on.

— Och!—zaczął ten ostatni, rękę do pana Ta-  
deusza wyciągając—doczekałem się ciebie, panie,  
nareszcie, doczekałem się i zapytać cię mogę o...  
dziecko...

— Dziecko—odparł pan Tadeusz, o Julisi my-  
śląc.—Co ci do tego?

— Co mnie do tego? mnie? Ono moje, panie...  
jedno jedyne! Gdyby tak tobie, panie, wydarto  
jedno jedyne dziecko, co byś te poczynił?

— Gdyby mnie wydarto?—powtórzył pan Ta-  
deusz ponuro, brwi marszcząc i patrząc w oczy  
pytającemu, w którym teraz dopiero poznał Łukę.

— Chwycił byś wydziercę za poję i krzyczał:  
oddaj!

— Łuko, tyś oszalał.

— Nie, panie. Jam — tu chłop nagle spokor-  
niał, zgiął się, dłonie złożył i głosem błagalnym  
mówił—przyszedł o dziecko moje prosić: oddaj  
mi je!..

— Co ty? Czego chcesz?...

— Dziecko mi oddaj! — zawołał chłop z płac-  
zem.

— Idź ty, po podróży odpocząć mi daj! — od-  
rzekł pan Tadeusz głosem irytacyi powściąganey,  
ku drzwiom wchodowym się zwracając.

Lecz się zatrzymał, zachwiał i o mało nie upadł,  
Łuka bowiem za nogi go pochwycił i głosem,  
w którym rozpacz łączyła się z wyrazem wście-  
kłości, wywoływał:

— Dziecko! dziecko mi oddaj!... Gdzie ono?..  
Dziecko!.. Och!

Rozgniewany pan Tadeusz na domowników krzyknął:

— Weźcie go!

Poskoczyło parobków kilku; Łukę oderwali, odciągnęli. Starzec na nogi stanął i, rękę ku przekraczającemu już próg panu Tadeuszowi wyciągając, następujące wygłosił wyrazy:

— Oby cię, panie, Pan Bóg za dziecko moje na twojem pokarał!

Pan Tadeusz się zwrócił; gniew srogi na obliczu się mu małował; krzyknął:

— W dyby go! w dyby!... Precz!... W dyby!

Łukę wprowadzono. Pan Tadeusz do sali jadalnej wszedł, na kanapę się zwałił i ciężko oddychał, a sapał, a brwi marszczył i czoło dłonią pocięrał.

— Oto, w progach domowych, powitanie—odezwał się wreszcie.

Upłynęła przynajmniej godzina, zanim się uspokoił i po domu przeszedł. Dom wydał się mu pustym; zakątek każdy o nieobecności żony i dziecka mówił; na płacz mu się zbierało. Przy wieczerzy panna Klara opowiadała, że Łuka to ten sam chłop, o którym ona pisała, że z powodu wnuczki awanturę zrobił.

— Jego wnuczka—zauważył pan Tadeusz—to ta dziewczyna, co przy Julisi była?

— Ta sama.



— Cóż się z nią stało?

— Utopiła się... Tak przynajmniej powiadają wszyscy.

Zainteresowało to pana Tadeusza. Kazał klucznicę przywołać. I ta o utopieniu się Maryny prawila.

— Było więc z tego powodu śledztwo?

— Śledztwa żadnego, proszę pana, nie było.

— Jakto? Cóż się z trupem stało?

— Trupa nie było żadnego. Na wierzchowiny pójść musiał; bo to ta dziewczyna, czy dlatego że bardzo, z przeproszeniem, pieszczona była, koczem do Humania jeździła, czy dla czego innego, jakoś się niesamowitą okazywała... a takie, proszę pana, topielice nie spływają.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że w to rzeczy przedstawienie pan Tadeusz nie uwierzył. Do tego jednak że wierzy przyznać się nie chciał i sprawozdanie klucznicy głupstwem nazywał. Żał mu się wszelako zrobiło Łuki; ekonomowi tegoż jeszcze wieczora z dyb go rozkuć i wolno puścić kazał i Łuka, od momentu tego, marnieć począł. W gospodarstwie się opuścił, o dobytek nie dbał, chaty nie dozorował, jednę tylko bednię troskliwością niejaką otaczał, słowem stał się takim, jakim się nam przedstawił w początkowych opowiadania niniejszego rozdziałach.

Pan Tadeusz, po rozpatrzeniu się w domu, przystąpił niezwłocznie do rozwiązania odnoszącej się do pana Pawła zagadki, wybrawszy do tego sposób najprościej do ce'u prowadzący: pojechać osobiście do Koszylówki. Do Koszylówki z Howorówki było nie dalej, jak mil dwie. Wybrał się rano, zajechał około godziny dziesiątej i zastał dwór zamknięty. Czekał na ganku, aż z oficyn nadszedł kamerdyner stary.

— Gdzie pan?

— Wyjechał, proszę wielmożnego pana.

— Dokąd?

— Do Odessy.

— Kiedy?

— A kiedyż!.. Będzie temu... och!... trzy miesiące bez mała... wtedy właśnie, kiedy wielmożni państwo z Howorówki wyjeżdżali.

— Nieprawda!—rzucił pan Tadeusz zirytowany i zapytał:—Cepowicz w domu?

— Na komisaryi, proszę wielmożnego pana.

— Poszlijcie tam kogo, niech go poprosi, ażeby do mnie na chwilkę przyszedł.

Stary kamerdyner odszedł, celem spełnienia rozkazu, pan Tadeusz zaś, czekać nie chcąc na ganku, na którym nawet usiąść na czym nie było, poszedł do wznoszących się zboku w głębi podwórza stajen. Służba stajenna znajdowała się w komplecie, jakoteż — co go zdziwiło — konie cu-

gowe, bryczkowe, wierzchowe — wszystkie na miejscach swoich stały.

— Cóż u licha!.. czémże pan wasz pojechał? — zapytał ze stajennych jednego.

— Poczta, proszę pana — była odpowiedź.

— Do Odessy?

— Do Odessy.

— A kiedy?

— Będzie temu trzy miesiące bez czegoś.

— Poczta? — mówił sam do siebie, po podwórzu chodząc i nie wiedząc, jaki z wiadomości téj, która dla niego nową była, wniosek wyciągnąć.

Niebawem nadszedł rzadca, pan Cepowicz — człek lat średnich, typ oficjalistów dawniejszój daty: bakembardy gęste, ogromne, wąsy szczeciaste, brwi duże, podobieństwo uderzające do buldoga, mianowicie z wyrazu wejrzenia.

— Panu dobrodziejowi pod stopki się ściele! — wołał zdaleka, ku panu Tadeuszowi podchodząc i nisko się kłaniając. — Toż mój pan żalować będzie, gdy się dowie, żeś go pan dobrodziej w domu nie zastał! Nie odżałuje tego...

— Powiedz mi, panie Cepowicz, dokąd pan twój wyjechał? — przerwał pan Tadeusz.

— Do Odessy, panie dobrodzieju... do Odessy prościuteńko.

— Pokazuje się, że do Odessy nie dojechał.

— Ale czemużby dojechać nie miał?

— Bawilem tam miesiący dwa zgórą i jego nie było.

— Przejechał chyba—odrzekł domyślny rządcą.

— Wpław przez morze... Odessa przecie nad morzem, dalej jechać nie sposób, okrętem chyba.

— Okrętem, a tak: od Żydów, którzy wiadomości miéwają pewne, słyshałem, że tam okręty podpływają.

— Widzisz więc asan, że Odessy przejechać nie mógł.

— Mógł na okręt wsiąść... Pan mój nie od tego.

— At — odciął pan Tadeusz z niecierpliwością.—Duby mi waćpan smalisz. Pan Paweł trzy miesiące temu wyjechał pocztą, tak?

— Tak, panie dobrodzieju.

— Powiedz-że mi asan prawdę, szczerą prawdę: czy nie dawał wiadomości o sobie? czy nie pisał?

— Ani słóweczka. Jak pojechał, tak.. o—po dłoni sobie dmuchnął.

— Przecież, interesa jakieś...

— Interesa... Co za interesa! Interesów tyle, co pieniądze; pieniądze idą do banku, a co się z niemi w banku robi, o tém wié chyba sam Pan Bóg tylko.

— Hm—mruknął pan Tadeusz, głową poki-

wał, na furmana swego kiwnął, do bryczki wsiadł i z powrotem do Howorówki odjechał.

Zagadka trudniejszą jeszcze do rozwiązania się stała. Jasną była rzecz jedna tylko, a to, że—jak się pan Tadeusz w duchu wyrażał:

— Od Emilki uciekł... Hm...—i dodawał:— Ależ niech ucieka, daleko ucieka, bo, gdyby mi się nawinął kiedy... spytłowałbym go na otręby.

I rozpoczął się dla pana Tadeusza żywot wdowca słomianego.

Żywot ów szedł zrazu niby po grudzie, ale się uregulował zczasem. W pierwszych wdowieństwa dniach taka nieraz pana Tadeusza opanowywała tęsknica, że myślał, iż się powiesi chyba. Nie wieształ się jednak. Przed Bożem narodzeniem ze szczupakami zamrożonemi pocztą do żony jeździł i zabawił aż do Gromnicznej, to znaczy, powrócił do domu ze strony przeciwnej, równocześnie z tymi, co z kontraktów kijowskich powracali. W Odessie znalazł wszystko jaknajlepiej. Pani Róża wyładniała; Julisia podrosła i szyku nabrała; panna Emilia lekeye śpiewu brać zaczęła! W zakresie edukacyjnym dziewczynka pełnemi płynęła żaglami, uczyła się języków i kształciła w sobie smak, w czem znaczne robiła postępy. W kształceniu smaku za kierownika służył jej pan Kapusini, który przychodził codziennie i brał po złotych dziesięć za godzinę. On też

i pannie Emilii lekye dawał, wszedł więc niejako do rodziny; udzielał wskazówek wysoko-cennych, za które pani Róża serdecznie mężowi dziękowała.

— Tyś to bowiem—powiadała—człowieka tego wyszukał.

Panu Tadeuszowi pochlebiało to. Rad był sobie i, wogóle, radby był wszystkiemu, co się robiło, gdyby nie jedno. Ach! to jedno!

Przekonany jestem, że każdy, co opowiadanie nasze czyta, domyśla się, co to za „jedno.” A toż był początek dopięro. Prawda, że pani Róża twierdziła, iż początek najtrudniejszy, co zresztą prawdą jest uznaną, sprzeciwiającą się innėj, również uznanėj, do końca się odnoszącėj, tak że na pewno wiedzieć nie można, która mianowicie z tych prawd przysłowiowych, a do tego łacińskich, jest prawdziwą. Mniejsza jednak o to. Dostyć, że pani Róża oświadczyła się za pierwszą i pan Tadeusz świadectwo to za dobrą przyjmował monetę. *Omne initium difficile est.* Zczasem się rzeczy uregulować i wydatki umniejszyć miały. Pocziwy szlachcic pocieszał się tém, myśląc sobie, że trafi się lat parę dobrych, pszenica popłacać będzie i on się odbije. Sumienie przeto miał we względzie tym mniejwięcej uspokojone, gdy się z powrotem do Howorówki wybierał i gdy

przypomniał sobie, z czego to jeszcze przed żoną sprawy nie zdał.

— Czym ci mówił o tój dziewczynie, Marynie?

— Nie.

— Otóż widzisz—i opowiedział o pogłoskach, jakie o niej chodzą, i o scenie, jaką mu Łuka wyprawił.

— Pretensya osobliwa—zauważyła pani Róża.

— A... ale!—podchwycił.—Byłbym znów zapomniiał o jedném, z czém coś zrobić potrzeba.

— O czém?—zapytała pani.

— Hm... a panna Klara!

— No... cóż?

— Trzyma się domu jak kot... Co z nią począć?

— Co począć? Czyż nie wiesz?

— Nie chciałem się rozporządzać bez ciebie...

— Na cóż się ona przydać może? W Howarówce na nic; tu zaś przydałaby się, nie ona jednak, ale Fruzia, która tak cudownie Julisę uspokajać umiała...

Ze słów tych poznajemy, że do Julisi potrzeba było uspokajania cudownego. Wychowanie przeto nie szło nader gładko. Wogóle było tam krzywych rzeczy dużo, które, nihy ziarno rodzajne, krzewiły się w duszy dziewczęcia, pchniętego w kierunku niekoniecznie właściwym. Artystą stać się nie może, kto chce. Talenta się nie

urabiają i nie rosną, jak ciasto na drożdżach. To przeto skierowanie edukacyi kobiecej na drogę talentów, nie może nie przynosić szkód wielkich. Ileż-to, dzięki onemu, głów się zawraca, ile serc usycha! Korzyść ztąd największą osiągają: fabrykanci fortepianów, metrowie muzyki, wydawcy nót, handlarze artykułów rysunkowych i malarskich; społeczność zaś traci. Tracą też, bodaj czy nie najwięcej, same te ofiary nieszczęśliwe, których rozum i wyobraźnia brane są w foremki takie same, jak te, które kobietom chińskim służą do kształtowania nóg.

O Chiny!

Pani Róża ani się domyślała, że do córki aplikowała sposoby chińskie. Ze sposobów tych zadowolona była zupełnie; dziękowała za nie na przód Bogu, następnie mężowi i jednego tylko żałowała. Żal jej wyrażał się tak:

— Czemu ty, Tadziu, nie mieszkasz z nami?

— Czyż sposób?—odpowiedział pan Tadeusz.

— Prawda, prawda, mój drogi. Ty tam pracować musisz na nas; my zaś tu... pracujemy na ciebie... Wyobraź bowiem sobie, gdy... Julisia nasza...

— Niezawodnie — odrzekł z westchnieniem tłumioném.

— Wszystkie trudy, cała praca wynagrodzone zostaną...



— No tak...

Pan Tadeusz pracował. Czuł, iżby się w Odesie zanudził na śmierć; uciekał więc z Odessy do Howorówki, gdzie zrazu—jak mówiliśmy wyżej—tęsknica go sroga napadała, zczasem jednak uregulował sobie życie znośnie. Gospodarował, to znaczy dyspozycye wydawał, robocizn dopilnowywał, inwentarzy doglądał, nie robiąc we względzie tym ni mniej, ani więcej, jak robił dawniej. Robota ta czasu mu pozostawiała huk. Dawniej czas ten spędzał z żoną i córką; często gęsto gość się trafił; przy stole i na gawędce upływały godziny — ani się człek obejrzyć miał czas. To się zmieniło. Godziny te pozostawały do rozporządzenia i powoli, nieznacznie, samo przez się znalazło się czem je zapychać. W pogodną porę polowanie, w którym się rozmiłowywał coraz bardziej; w dnie słotne oczekiwanie na pogodę. Goście rzadziej zaglądali, zaglądali jednak. Ksiądz proboszcz, na przykład, zmaśniał się za zwyczaj z kimś z sąsiadów i improwizował się preferansik, który, gdy dęszcz zaskoczył, stawał się nieustającym na tak długo, aż dęszcz ustał. Tak więc od polowania do polowania, od preferansika do preferansika, od czegoś przewidzianego do czegoś nieprzewidzianego próżnia się wypełniała, czas umykał, na drodze żywota grudy się ugniatały.

*Niezaradni.*

25

Latem, w porze kanikularnej, pani Róża przyjechała z Julisją. Miała przyjechać i panna Emilia; rozmyśliła się jednak. Pobyt ich ożywił dwór na krótko, po paru tygodniach bowiem Julisia tęsknić poczęła do miasta. W Howorówce uczuwała osamotnienie; staw, acz obszerny, wydawał się jej śmieszny w porównaniu z morzem; spacer nie był dla niej spacerem, dlatego, że nie było co, ani kogo widzieć.

— Czyż nie warte widzenia pola, łąki, lasy?— pytał jej ojciec.

— Bez ludzi, bez tualet—odpowiedziała.

Zrobiła się z niej, albo raczej robiła się mieszczka z rodzaju tego, dla którego tualeta najpierwsze wśród potrzeb życiowych zajmuje miejsce—najpierwsze i najważniejsze. Nienadaremnie — a my ze strony swojej dodamy: i niebezkarne — asystowała tualecianym zachodom, wczasie gdy ciotka sprawiała sobie wyprawę. Na młodziutki umysł, na delikatną, wrażliwą, dziewczęcą wyobraźnię podziałać to musiało. Wieś przeto smakować jej nie mogła, dlatego już samego, że w niej, w zakresie strojów, nie do widzenia, nie do porównywania, nie do pożądania nie było. Pola? łąki? lasy? Więcej zajęcia wzbudzała w dziewczynce kokardka jedna.

Jakoś to się dziwne wydało ojcu; składał to atoli na dzieciństwo.

— Dziecko—myślał sobie.—Wyrośnie, inaczej się będzie na świat i na rzeczy zapatrywała.

W sierpniu pani Róża Howorówkę opuściła. Panu Tadeuszowi chciało się jechać w październiku do Odessy z pszenicą i sprzedać takową samemu. Byłby to zrobił, ale—jak na toż—pszenicę sprzedał na pniu, nie miał więc jechać poco. Pojechał znów na święta Bożego narodzenia, mimo że mu to nie przyszło bez trudności, pochodząc z braku gotówki. Zarządził jednak temu. Trzyletnią arendę za karcznię we wsi, karcznię na trakcie i karczemkę Wygnanką zwaną wziął naprzód. Od czego głowa na karku? Przy głowie środki zaradcze nasuwają się same. Pojechał, żonę gotówką zasilił i kontent z siebie powrócił.

Tak jeździł i wracał i zarządzał przez lat trzy, aż nadeszła chwila próby wielkiej, dla której, zamiast do Odessy, jeździć musiał do Kijowa.

Próba ta polegała na liście panny Emilii, która się upomniała o sumę swoją posagową, na Howorówce ulokowaną.

Suma ta leżała w gotówce, ale było to przed laty. Wprzeciągu lat trzech gotówka wyciekła.

— A bah! — powiedział pan Tadeusz sam do siebie, list siostry odczytawszy.—Czemu się nie upominała pierwój?

W sensie tym odpisał pannie Emilii, która go

wnet nowém a natarczywém zaatakowała żądaniem, kładąc nacisk na to, że potrzebuje. Równocześnie pani Róża donosiła, że profesor Kapusini Odessę opuszcza, „co — pisała — niewielką jest dla nas krzywdą, albowiem pan K., jak od czasu jakiegoś zauważyłam, więcej się zajmuje Emilką, aniżeli Julisią.”

— Niech tam Kapusiniego wszyscy diabli porwą!—krzyknął pan Tudeusz w gniewie.—Ale co tój Emilce do głowy przyszło?

Tego pojąć nie mógł. Napisał więc do siostry z perswazyą, przedstawiając jęj, że fundusiku swego nie ulokuje nigdzie lepiej, pewniej i na warunkach dogodniejszych, jak w Howorówce. „Zważ jeno—słowa listu jego—co do procentów: czy prowadzę z tobą rachunek ścisły? Gdybym rachunek prowadził, pokazałoby się zapewne, żeś kapitalik swój nadszarpnęła. Tak zaś, masz sto tysięcy i będziesz je miała w całości.”

Na to taka nadesza odpowiedź, że panna Emilia, co się procentów tyczy, domaga się rachunku jaknajściślejszego, wedle kwitów; ze smutkiem w sercu zapowiada przytém, że, w razie gdy żądaniu jęj nie stanie się zadość, będzie zmuszoną upominanie się powierzyć adwokatowi.

— Wedle jakich kwitów? — wykrzyknął pan Tadeusz.—Nie mam ani jednego!—Pomyślał przez

chwilkę i dodał:—Nie z siebie sama pisze to ona. Jój ktoś radzi... Czy nie?... hm?...

Nazwisko mu na końcu języka wisiało. Przepuszczenie to atoli wydało się mu tak nieprawdopodobnym, tak potwornym nawet, że nazwiska nie wymówił. Poznawszy jednak, że to nie przelewki, do głowy po rozum poszedł. Zapłacić potrzeba—to jedno napewno wiedział; ale z kąd? Z Howorówki, oczywiście, z Howorówki, którą zdusić należy tak, ażeby sto tysięcy z procentami wydała. W celu tym pojechał na kontrakty: zamierzał wieś w dzierżawę puścić i za lat kilka zgóry tenutę zapłacić sobie kazać. Do układu takiego atoli ochotnika nie znalazł. Jedyńy środek pozostawał: bankową zaciągnąć pożyczkę. Środka takiego się chwycił; z pieniędzmi z Kijowa przyjechał, do Odessy pojechał, siostrę spłacił i, po otrzymaniu od niej pokwitowania, dowiedział się, że do Paryża wyjeżdża.

— W imię Ojca i Syna!— przeżegnał się on w zdumieniu.

— Zamiarem moim jest w śpiewie się wydoskonalić, a na to innego pod słońcem miejsca niema, tylko Paryż.

— Ha! jedź... niech cię Pan Bog prowadzi!— wymówił z uczuciem.

Ponure jakieś przecucie w duszy mu się ode-

zwało. Uspokajało go jednak to, że pani Róża znajdowała się w nieporozumieniu z panną Emilią i że się niekoniecznie dobrze rozstała z Kapuśnim, który także do Paryża się udał.

## XXII.

---

Jak cię widzą, tak cię piszą.

Nie nadaremnie ponure przecucie duszą pana Tadeusza wstrząsnęło. Sprawdziło się ono w lat dwa później. Julisia liczyła już lat osiemnaście; z sukienkami krótkimi rozstała się od półtora roku; rozwinęła się świetnie, uroczą — ojciec się nią zachwycił; na drodze edukacyjnej zaszła tak daleko, jak zająć można, po chińsku idąc: po francusku mówiła biegle; z czytania wiedziała o rzeczach wielu, o takich nawet, bez którychby się obejść wygodnie mogła; dzięki rozwojowi piśmiennictwa polskiego, i ono jej obcym nie było; obcymi nie były jej nauki nawet, o których wyobrażenia gruntownego nie miała; gruntownie знаła tylko tajemnice toalety i raczejby — zdaje się — śmierć poniosła, aniżeli by rękawiczkę nieświeżą włożyć miała. Gust miała wykształcony — wykształcony całkowicie i brakowało jej je-

dnego tylko: szkoły, tój szkoły, bez której śpiewaczką, w wyższém wyrazu tego znaczenia, być nie sposób.

Czyż posiadała ona głos odpowiedni? — ktoś zapyta. Głos posiadała i bardzo odpowiedni, ale nie posiadała ani tój w gardle właściwości, która wydobywającym się z piersi tonom nadaje dźwięk szczególny, ani też tego uczucia, tego ognia, tego piętna, które artystę cechuje. We względzie tym wyrobiła się o tyle, o ile kamykowi czeskiemu nadać można, zapomocą sposobów sztucznych, pozory dyamentu prawdziwego. Brakowało jój, jak to pani Róża nazywała, szkoły wysokiěj, a Paryż pod tym względem był portem.

Kiedy wyraz Paryż, bez epitetów, poraz pierwszy w uszach pana Tadeusza zabrzmiał, skoczył niby oparzony.

— Co wy myślicie sobie! — zawołał. — Cóż to, czy ja mam kopalnię złota? czy jestem kurą piędźdze wysiadującą? czy się u mnie w kieszeni piędźdze rodzą? Wy śpiewacie, ale nie tak cienko, jak ja... Ja ledwie dyszę.

Pani Róża i panna Julia nie odpowiedziały na to ani słówka. Rozeszły się w dwie przeciwne strony, a gdy się zeszły, matka miała na policzkach wypieki czerwone, córka łąz ślady. Widok ten pana Tadeusza skruszył. Byłby wołał



batogi dostać i czekał jeno ze strony żony lub córki zaczepki, ażeby rzecz naprawić, o ileby— rozumie się— takowa rozsądnie naprawić się dała. Nie zaczępiała jednak ani ta, ani ta. Na twarzach ich świeciła rezygnacya cicha, a męczeńska. Męczeństwo wyglądało pani Róży z wypieków na policzkach, pannie Julii z bruzd łzawych.

— Sto batogów... sto batogów odléwanych wołałbym dostać! Ale... co do Paryża...

Zżymał się, wzdychał, kłął i koniec końcem sam Paryż wywołał:

— Jeżeli nie można — odparła pani Róża.

Pan Tadeusz głęboko westchnął i po westchnieniu odpowiedział:

— Cóż robić! Można, nie można. Gdyby się to tylko co można robiło, to naprzód nie bylibyśmy do Odessy sześć lat temu pojechali, a potem... potem. Niech to wszyscy diabli porwą! — krzyknął.— Pokazuje się, że wszystko można... Jedźcie!

Ręką machnął.

Tu dopiéro, w zestawieniu harmonijném, wystąpiły: wysoka szkoła i port. Pani Róża, wyłożywszy znaczenie „szkoły wysokiej”, wytłumaczyła, że Paryż jest „portem,” do którego, gdy Julisia zawinie, nastąpi rezultat ten sam, jaki osiąga okręt, przybywający z wód indyjskich,

z ładunkiem pereł, kamieni drogich kości słoniowej.

— Jesteś okrętu tego sternikiem, mój Tadeu—  
powiadała.—Zważ-że sam: czy byłoby to z rozsądkiem, a nawet i z uczciwością zgodnym, gdybyś sam okrętu do portu nie wprowadził? Nie pozostałoby wtedy nic innego, jak ładunek do wody wrzucić.

Pan Tadeusz na wszystko to odpowiadać nie umiał inaczej, jak westchnieniami.

O paszporty się wystarał, sam żonę i córkę do granicy odwiózł; na granicy z niemi się rozstał i do domu powrócił.

Kiedyśmy z nim najpierwszą na Wygodzie znajomość zabrali, było to coś we dwa bezmała lata po wyprawieniu „do portu” żony i córki, które z nim ustawiczną utrzymywały korespondencyą, pisując listy zawsze żywe, natchnione, ale zawsze jeden i tenże sam przedmiot na celu mające. Brak „wysokiej szkoły” zapelniony został; pokazał się atoli inny, a mianowicie: brak pieniędzy. Żądanie takowych niepokoiło pana Tadeusza zrazu. Ze skóry się wywlekał a—posyłał. Z czém się to jednak człek nie oswaja! Oswoił się z tém, jak z oburzeniem, jakie go przejęło na wiadomość, że Emilka za Kapusinięgo wyszła.

— Zkapucyniła się... no! — zawołał. Tego brakło tylko. Howorowska za Kapucynim. Dobrze jednak przynajmniej, że... szczęśliwa.

Panie mu donosiły, że Kapusiniowie zajmują apartament wspaniały, z przepychem umeblowany, że trzymają konie, powóz, lokajów, dają wieczory artystyczne, przyjmują u siebie wielki świat; pani Emilia jest zawsze „*très applaudie*, pomimo — sława listu pani Róży — że głos jej ani pod względem woluminu, ani pod względem ekspresyi i dźwięku, iść nie może z głosem Julisi w porównanie.” Wyrażała przytém obawę, ażeby pani Emilia przez zazdrość nie szkodziła Julisi w karyerze, do której przedewszystkiém potrzebne są stosunki. W liście prawie każdym opisywała skromność zajmowanego przez nie przy ulicy des Vieilles-Ecuries apartamenciku.

Zamiast z listów czerpać wiadomości, które o przesadę podejrzywaćby można, przenieśmy się raczej do apartamenciku tego i podajmy wiadomość o nim *de visu*, byliśmy bowiem w takowym, widzieli go i podziwiali.

Podziwialiśmy mianowicie te ofiary, na jakie skazywały się kobiety, w pogoni za marą. Apartamencik w rzeczy samej był skromny: trzy szczupłe pokoiki, z których jeden salonik; kuchenka ciemna; skład na drzewo i korytarzyk taki ciasny, że się w nim z trudnością obracać

było można. Tak mieszkała kobieta, co na Podolu posiadała dom obszerny i wygodny, pojazdy, konie, służbę — wszystko na zawołanie. Pod względem umeblowania, salonik tylko miał pozór lepszy trochę. Umeblowanie onego składało się ze sprzętów, nabytych u handlarzy mebli używanych: kanapka, dwa fotele, cztery krzesła, stolik okrągły, pod stolikiem dywanik, fortepian — oto wszystko, *le stricte nécessaire*. Dwa okna; w oknach z lekkiego muszlinu franki. Do składania nut służyła niewykwintna etażerka. W pokojach sypialnych: łóżka żelazne, krzesła plecione drewniane, stoliczki, na stoliczkach przybory gotowalne, szaragi do wieszania sukien i wysłany gazetami kawałek podłogi do składania bielizny. Gdyby nie wytworność odzieży i nie cienkość bielizny, gdyby nie klejnociki, przeglądające tu i owdzie zpośródka gratów, na chowanie których komody nie było, pomyślećby można, iż w pokojach tych mieszkają kobiety bardzo ubogie. Pokoiki też te stanowiły *sanctum sanctissimum* pań naszych. Niewolno było do nich zaglądać nikomu obcemu. Dlatego zapewne obchodziły się bez sługi. Usługiwały sobie same we względzie uprzątań i ubierania się; co zaś do jadła — pożywienie ich ciepłe stanowiła herbata na spirytusie gotowana; wszystko zresztą inne spożywały na zimno, a nierzadko wszy-

stko to ograniczało się na chlebie suchym. Bez prywacyi takiej obejśćby się mogły, bądźcobądź bowiem, pan Tadeusz dosyłał w początkach po parę tysięcy rubli rocznie; a ponieważ kurs rubla w owym czasie nie schodził niżej franków trzech i pół, wystarczałoby więc to na odżywianie się dostatnie, gdyby w mniemaniu tych pań para rękawiczek nie stanowiła rzeczy ważniejszej, aniżeli posilny obiad. Pieniądze przeto dosyłane szły przedewszystkiém na rękawiczki, na trzewiki, na kołnierzyki, wualki, kapelusze, zarzutki, narzutki, suknie, etc., etc., etc.; dalej na lekye śpiewu tak w konserwatoryum; jakoteż u firmy pierwszorzędnej; wkońcu dopiero na jądło. Ztąd żołądkowi dostawały się okruchy, które funkcją odżywiania sprawowały w sposób umiarkowany.

Instalacya i urządzenie sposobu życia świadczyły, że się pani Róża i panna Julia oddawna do takowych przysposabiały. Musiały one już w Odessie studyować życie paryskie wedle materiałów, w które obfitują wypożyczalnie książek. Nie bez tego też, żeby w Odessie nie zaciągały informacyj ustnych. Tylu Paryżan i Paryżanek po świecie się uwija! Panie więc nasze przybyły ze świadomością gruntu dokładną, zajęchały do jednego z hoteli drugorzędnych i wprzeciągu tygodnia posiadały już własny ho-

me. Po zainstalowaniu się, wizytą najpierwszą, jaką w Paryżu oddały, była wizyta u pani Emilii.

Pani Emilia przyjęła je uprzejmie.

— Ach! kuzynki! — zawołała. — Jakżem rada! Prawie niespodzianka, pomimo że, myśląc o was, a myślę często... czyniłam przypuszczenia, że się na bruku paryskim spotkamy.

— Uległyśmy konieczności — odrzekła pani Róża.

— Słusznie, bardzo słusznie. Tadzio opierać się i zrzędzić musiał.

— Nie obeszło się bez tego.

— *Il s'est fait tirer l'oreille.* To jego rzecz. Ale — zawołała, spojrzeniem od stóp do głowy pannę Julię oblęwając — Julisia jakże pysznie wyrosła! Winszuję, winszuję! I to ta sama Julisia, którą na ręku nosiłam? A! — pannę Julię objęła i uścisnęła. — Jakże — zapytała — wielką znajdujesz różnicę pomiędzy Paryżem a Howorówką?

— We wszystkiem — odpowiedziała zapytana.

— *N'est-ce pas?* Oswoisz się jednak. Nie sposób się z czémś oswoić prędzej i łatwiej jak z Paryżem, a to dlatego, że jest to miasto uniwersalne, w którym zaspokojenie znajdują wszystkie gusta i fantazyje. Miasto najładniejsze pod słońcem... mniej krępujące niż Kruty, ale zato bez porównania w resursa wszelkiego rodzaju obfitsze.

— Ciocia żartuje — odezwała się panna Julia—przyrównywając Kruty do Paryża.

— Zapewne, żartuję; ale w żarcie moim jest prawda. Gdzież kuzynki mieszkacie?—zapytała.

— Zainstalowałyśmy się tymczasowo jaknajskromniej i jaknajustronniej, ażeby bez dystrakcyi przejść szkołę.

— Julisia kontynuje?—zapytała pani Emilia głosem bez wyrazu.

— Potośmy tu przybyły.

— To dobrze—słowa te znów zabrzmiały bez wyrazu.—Nie macie przecie zamiaru od świata się usuwać. Szkoła szkołą, a i świat to szkoła także.

— Tak — odparła pani Róża.—Zrobi się też znajomości parę.

— Jeżelibym w czém, kuzynki kochane, usłużyć wam mogła, jestem na rozporządzenie wasze.

Pani Róża podziękowała z udaną dobrze serdecznością.

Pani Emilia zapytała:

— Dajcież mi adres wasz; ulica? numer?

Z ociąganiem się niejakiem pani Róża na pytanie odpowiedziała.

W czas jakiś po wizycie téj pani Emilia odwiedziła kuzynki, w domu je zastała i tyle okazała taktu, że otaczającemu je, albo raczej służącemu im za ramy ubóstwu nie dziwiła się

zgoła. Ubóstwo to bowiem wyglądało na dobrowolne, odbijając od odzieży, której kobiety w rzeczy samej ubogie nie wkładają na siebie. Pani Emilia wiedziała, poczemu łokieć materyi na sukni pani Róży; znała wartość koronek i haftów, przyozdabiających postać panny Julii; cenność kolij i bransolet, pierścionków i koleczyków także obcą jej nie była. Panią Różę i pannę Julię, gdy się ubrały, szacować było można, wedle odzieży, na kilka tysięcy franków każdą z osobna. Ubóstwo przeto pomieszkania przybierało znaczenie szczególne, nacechowane umyślnością, mającą plan jakiś za punkt wychodni. Wydawało się, że, w rzeczy samej, unikanie dystrakcyi dla nauki miało ono na celu. W pomieszkaniu takim przyjmować nie można było nikogo; kto nie przyjmuje, ten i sam nigdzie nie bywa: to było jasne.

— Jednak nie godzi się — mówiła pani Emilia — córkę mając, skazywać się na żywot puustelniczy.

Pani Róża tłumaczyć nie chciała, że, wierząc w talent Julisi, żywot ten uważała za stan przechodni, mający się odmienić, jak skoro talent pełnym zajaśnieje blaskiem.

— Godzi się przecie jakąś dla nauki ponieść ofiarę — odrzekła.



— Niezawodnie. Bywacie wszakże w teatrze, na operze, na koncertach?

— Bywamy dlatego, raz że to potrzebne, powtóre że to żadnych za sobą nie pociąga konsekwencyj.

— W razie takim mogę mieć nadzieję, że zechcecie czasem zajrzeć i do nas, na wieczór... przyjmujemy we środy i dajemy w jednym tygodniu *soirée intime*, w drugim *soirée parée*... Będziecie mile widziane i na jednym i na drugim... Zbiera się u nas towarzystwo przeważnie artystyczne, lecz do świata artystycznego garną się światy wszystkie, tak że spotkacie w salonie naszym i bankierów, i urzędników, i wojskowych, i literatów, i uczonych, i dyplomatów i przedstawicieli arystokracji, w próbkach wyborowych.

— Miłoby mi było — zaczyna pani Róża — ale...

— Tylko bez objekcyj—przerwała pani Emilia.—Będziecie jak w teatrze; nie zechcecie być przedstawiane, nie zechcecie ażeby wam przedstawiano kogo, to stanie się woli waszjej zadość. A Julisi to nie zaszkodzi bynajmniej, jeżeli się pokaże. Meteor taki — dodała z przekonaniem — uwagę zwraca na siebie. Na zwracaniu na siebie uwagi panienki niekiedy wychodzą dobrze. Zresztą nie zobowiąże to was zgola do niczego.

Pani Róża, na takie rzeczy przedstawienie, zaprosin nie przyjąć nie mogła; przyjmując zaś, nie mogła zrobić tego połowicznie. Więc:

— Jakaś ty dobra, Emilciu! — z przyciskiem wymówiła i panią Kapusini uścisnęła.

— We środę najbliższą — podchwyciła ta ostatnia — wypada u nas *soirée intime*. Przyjdźcież do nas na obiad, o wpół do ósmej, a po obiedzie zostaniecie. Przy stole, oprócz was dwóch, będzie może jeszcze osób parę, bliższych znajomych, męża mego przyjaciół.

I te zaprosiny przyjęte zostały.

Panna Emilia następnie o mężu się rozgadała, rzuciwszy słów parę o zabiegach jego w Paryżu, rokujących przyszłość świetną.

— Na polu artystyczném? — dopowiedziała pani Róża.

— Ach nie! — odparła pani Emilia.—Artyzm mu, jako most, służy do pomysłów i kombinacyj innego rodzaju. Mąż mój obraca się w sferach finansowych.

Po zamianie frazesów kilku, tyczących się panna Kapusini, pani Róża, nastroiwszy minę na ton ciekawości troskliwej, zapytała:

— A nie zdarzyło ci się, Emilciu, usłyszeć bodaj czego o Pawełku?

— Ani słówka. Wyznam szczerze, iżbym go teraz spotkać rada.

Owo „teraz” miało partykularne znaczenie swoje. Zapewneby go na wieczór zaprosiła.

Pani Emilia z godzinę zabawiła. Po odejściu jej pani Róża córki zapytała:

— Cóż powiadasz o cioci Emilci?

— Bardzo jest dobrze... *Chic.*

— Kapusini do finansów się wziął.

— Mnie się zawsze wydawało, że on ze swojemi zasobami wokalnymi daleko zajść nie może.

— Nie dalej, jak ciocia ze swojemi... Zdaje się, że i Emilka za wygraną dała: miarkuję to ztąd, że się sukcesami nie chwali. Z nami będzie inaczej...

Panna Julia uśmiechnęła się i westchnęła.

— Trzeba jednak przewidzieć wszystko... U Kapusinich na wieczorach grają zapewne i śpiewają... Cóż, gdy ciebie prosić będą?

— Ach!.. nie.

— Trudno się wymówić będzie.

— Wymówię się czémkolwiek.. bólem gardła.

— Ustawicznie jednak gardło boleć nie może.

— To też później, kiedyś... co innego; ale nie odrazu. Niech się piérwój w towarzystwie rozpatrzę.

Do środy pozostawało dni kilka. Panie miały czas przysposobić się do *soirée intime*. Nie wystąpiły strojnie, ale też nie ubranii ich do przygania nie było, zacząwszy od głów, czesanych po

mistrzowsku, a skończywszy na nogach, obutych w trzewiki pochodzenia jak najszlachetniejszego.

Do stołu siadło osób dziesięć; mężczyzn sześciu i damy cztery. Damą czwarta była to jakaś jęjmość ruda, czerwona i tłusta, która żartowała, śmiała się i jadła z akcentem.

— Och! jakież to smaczne! — wywoływała za daniem niemal każdym. — Szef państwa posiada tajemnicę w przyrządzaniu półmisków, której nie posiada żaden inny.

— Odkryję pani tę tajemnicę — odpowiedział Kapusini — że u nas nie szef w kuchni mistrzuje, ale *cordón bleu*, jak na prawdziwych mieszczan przystoi.

— Winszuję — była damy odpowiedź.

I było winszować czego. Podanie jadła i przyrządzenie onego odpowiadało wymogom gustowności najwybrédniejszej. Zastawa stołu przedstawiała widok ponętny, nie ograniczała się bowiem na samych tylko bukietach, ale polegała na połączeniu figur różnych z kwiatami. Na środku stołu wznosiła się skała kryształowa, w mech i maki przystrojona. Skała ta za podstawę dla półmisków służyła. Symetrycznie do niej stały posągi w girlandach, wózki z leżącymi na takich bokiem butelkami, naczynia srebrne pozłacane, serwisy porcelanowe. Serwis każdego z biesiadników składał się z kolekcji całkowitej

naczyń stołowych, niepodjejranych pod względem materiału i zalecających się wykwinnością formy; bielizna nosiła markę firmy najznakomitszej. Było na co patrzeć na stole, który się zwał mieszczańskim.

Obiad dzielił się na trzy akty. Akt pierwszy: zupa, ryba i pieczeń; drugi—drób i jarzyny; trzeci—dziczyzna i legominy; po tém wszystkiém nastąpił epilog pod postacią wetów; wreszcie kawa czarna i likiery. Za każdym aktem naturalnie odbywała się zmiana całkowita serwisu, jakoteż zmiana win.

W układzie obiadu, w kombinacyi dań, w przyrządzeniu potraw panował wzgląd na utrzymanie apetytu w natężeniu ustawiczném. Wciąż się jadło i piło, a ciągle się jeść i pić chciało.

Panie nasze nie podziwiałały przepychu tego głośno, ale dlatego tylko, że na podziwianie ton dobry nie pozwalał; w duszy jednak i podziwiałały—i kto wie—zazdrościły może.

Przy obiedzie panował humor jaknajlepszy. Podtrzymywała takowy głównie ruda dama, w konceptach niewyczerpana. Pobudzała nieraz do śmiechu wszystkich, z wyjątkiem jegomości jednego, chudego, łysego, niemłodego i posiadającego wstążeczkę legii honorowej w pętliczce. Ten jeden się nie śmiał, nie uśmiechał nawet, nie okazywał jednak humoru złego—przeciwnie.

Ktoś zażartował z niego, że śmiechu nie podziela, i o przyczynę zapytał.

— Pojąć nie umiem przydatności onego—odpowiedział.

— Pan (nazwisko wymieniła) w przydatności tylko wierzy—podchwyciła ruda dama.

Pan Kapusini rzucił uwagę, że śmiech trawieniu pomaga.

— Z doświadczenia wiem—odparł jegomość—że się bez niego bardzo wygodnie obchodzić można.

— Tak, tak—potwierdziła dama—ale to dlatego może, że ja się i za siebie i za niego śmieję. W pożyciu małżeńskim kompensaty tego rodzaju są rzeczą bardzo naturalną.

Było to więc małżeństwo.

Po obiedzie panie przeszły do apartamentu pani Emilii, panowie zaś udali się do fajczarni na cygara. W apartamentach panowała elegancya taka sama, jak w salonach. W buduarze pani Kapusini miękkie siedzenia wabiły do siesty poobiedniej. Ruda pani zajęła kącik, oparła się i zasnęła. Panna Julia zajęła się przeglądaniem albumów. Pani Emilia poczęła pani Róży nazywać spółbiesiadników i dawać każdego charakterystykę krótką.

— Mąż téj damy— na śpiącą oczami wskazała—jest to *agent de change*, jeden z tych, za pośrednictwem których robią się interesa na kursie,

figura bardzo ważna... Tamten, co obok męża mego siedział, to osobistość, jak się mówi: ministeryalna; nie minister, ale ma ministra żonę, która go w aferach popycha. Mieć go po sobie, jest to mieć poparcie oficjalne w sferach dworskich... żona jego jest w łaskach u cesarzowej.

Nazwała jeszcze osobistości kilka, a wkońcu:

— Julisiu — zapytała — jakże ci się sąsiad z prawej strony podobał?

— Hm? cóż, ciociu?—odpowiedziała.— Młody człowiek uprzejmy.....

— Baron B. syn (wymieniła nazwisko jednego ze znanych bankierów) i z ojcem *associé*... nie żona ty jeszcze—dodała.—Jest to jedna z gwiazd, gwiazdy bowiem bywają płci żeńskiej i płci męskiej, a te ostatnie rekrutują się wyłącznie w sferze finansowej. Uważałam, że go Julisia zajęła: mierzył ją z ukosa wzrokiem.

Pannie Julii żywe do twarzy uderzyły rumieńce; pani Róża chrząknęła.

— I—ciągnęła pani Emilia—czułam zadowolenie wewnętrzne. Julisia jest *irréprochable*. Widać po niej, że lat dziewiętnastu nie fabrykuje. Bankierowie na tém się znają, niektórzy lepiej nawet, aniżeli na kursach papierów.

Rozmowa ta byłaby się ciągnęła dalej, gdyby nie to, że się dama ruda obudziła. Obudziła się, jakby nie spała. Fizyognomią miała taką, której

zaspanie ani trochę nie zmieniało. Słów kilka zrciła, w zwierciadle się przejrzała, tualetę na sobie nieco poprawiła i zapytała:

— Wychodzimy?

— Możemy wyjść, mimo że to nie późno jeszcze.

Godzina była wpół do jedénastój.

Ruda dama podała ramię pani Róży; pani Emilia wzięła pod rękę pannę Julię i dwie pary krokiem spacerowym posunęły do salonu, który się niebawem napelnić począł. Przybyli naprzód panowie z fajczarni i przysiadać się do dam poczęli. Około ruděj zrobiło się kółko; do pani Emilii, a zatém i do siedzących obok niěj pani Róży i panny Julii, przysunęło się dwóch. Następnie pani Kapusini co chwila wstawać i przybywających panów i panie witać musiała. O kwadrans po jedénastój w salonach pełno było. Damy siedziały, panowie jedni siedzieli, drudzy stali, inni się przenosili z miejsca na miejsce. Potworzyły się grupy rozmawiające półgłosem. We drzwiach, o odźwierek grzbietem oparty, stał baron B. i po zgromadzeniu okiem wodził.

Po niej jakim czasie przy fortepianie widziéć się dał ruch. Lokaje wnieśli kobiercem okryte podwiesienie, na podwiesieniu postawili harfę i krzesło, na krzesle usiadła blondynka jakaś, obok niěj stanął brunet ze skrzypcami i zabrzmiał duet.



Wczasie przygotowań do duetu owego, pani Emilia mówiła pani Róży do ucha:

— Julisia sprawiła na baronie wrażenie.

— Po czém to wnioskujeś? — zapytała pani Róża.

— Po tém, że został. To rzecz nadzwyczajna. Jemu bowiem głowę zawróciła Yram.

— Co za Yram?

— Istota zagadkowa. Jest w chwili téj *en vogue* w Paryżu... Otacza ją tłum wielbicieli.. Śpiewaczka z niéj znakomita, *prémier choix*; elewka konserwatoryum tutejszego i mogłaby w operze wystąpić, ale nie chce. Tak powiadają.

— Czemuż nie chce?—zapytała pani Róża.

— Dlatego że Rotschildy, de Morny, Vaillant, de Rochefoucauld i inni płacą jéj za wieczór po piętnaście, po dwadzieścia i więcéj tysięcy franków. Dziesięć, dwadzieścia wieczorów takich w sezonie i... na co się tu prawami teatralnemi wiązać?

— Ładna być musi—bąknęła pani Róża.

— Tak mówią... Tak powiada mój mąż... Nie widziałam jéj jeszcze, ale — dodała — zobaczę u siebie może: mąż mój bowiem ma zamiar zaprosić ją.

— Moja Emilciu! — zawołała pani Róża—toć to wy się nie liczycie nic a nic!

— Liczymy się — odparła pani Emilia półgłosem — *pour être il faut paraître...* Jak cię widzą, tak cię piszą. Kto pannie Yram dwadzieścia tysięcy daje, ten zapewnia sobie na półmiliona przynajmniej kredytu. Liczymy się więc, jak widzisz, moja droga.

Dźwięki harfy rozmowę przerwały. Zgromadzenie wysłuchało w cichości duetu i wynagrodziło popisującą się parę grzmiącymi oklaskami, luboć nie bardzo było za co. Lokaje podniesienie i harfę uprzątneśli.

W chwili téj przed panną Julią stanął pan Kapusini, skłonił się jój i zaniósł do niej prośbę, ażeby dać się słyszeć raczyła.

— Julisia się dopiero śpiewać uczyć zaczyna — zainterweniowała matka.

— Pani mówi to człowiekowi, co pannę Julią zna.

Wymawianie się tyle tylko sprawiło, że udecydowaném zostało, ażeby śpiewała naprzód pani Emilia. Śpiewała więc pani Emilia — oklaskano ją; śpiewała panna Julia — i ją spotkało toż samo, z tą jedynie różnicą, że podczas gdy ona egzekwowała jedną z aryj popisowych, baron B., który się w nią pilnie wpatrywał, opuścił swoje we drzwiach stanowisko i zniknął. Zauważyła to pani Róża — gorąco się jój zrobiło. Po chwili,

kiedy już córka na miejsce wróciła, do ucha się pani Emili nachyliła i zapytała:

— Jak się ta śpiewaczka nazywa?

— Nazywa się Yram de Rowoh.

— Zamawiam się, gdy ją do siebie na wieczór zaprosicie.

— O!... ależ... Ja was zamawiam na środę każdą. Widzisz, Julisia jakie ma powodzenie!...

## XXIII.

---

### Yram de Rowoh.

Bardzo się nam chce do Howorówki, do pana Tadeusza powrócić, jeżeli nie dla czego innego, to dlatego, że pędził on żywot poetyczny — taki, jakiegośmy zakosztowali sami w młodości i jakiego wspomnienia żal szczery za przeszłością w sercu naszém budzą. Nie można jednak. Wrócimy tam później; a teraz grzeczność wymaga, ażebyśmy pierwszeństwo płci pięknej zostawili.

Przedstawicielki onęj, wchodzące do opowiadania naszego, pędziły w Paryżu żywot, stosownie do tego, jak go sobie urządziły: pani Emilia w wielkim świecie, pani Róża i panna Julia w skromnym apartamenciku swoim, oszczędzając na żołądku, a nie żałując na grzbiet. I nie nudziło się im wcale. Nic rozmaitszego, jak moda, nic bardziej skomplikowanego, jak obserwacya linij ogólnych i linijek pobocznych, kombinują-

cych się co chwila inaczej. W epoce zwłaszcza, kiedy modzie królowała dostojna Napoleona III małżonka, odgrywała ona rolę tajemnicy stanu. Fałdy wszelkiego rodzaju posiadały znaczenie głębokie. Pamiętną jest epoka owa, pamiętną dla mnie z tego mianowicie względu, że kiedym się ośmielił o fałdzistościach tajemnic stanu z powątpiewaniem odzywać, zarzucano mi z pogardą nierozumienie ducha czasu i wykładano o liczeniu się z czynami dokonanymi. Pani Róża i panna Julia nie zasługiwały na ten zarzut: ducha czasu rozumiały, do czynów dokonanych się stosowały, mało jadły, a zato ubierały się wedle wskazówek chwili i nierzadko się im zdarzało, że czy to w teatrze, czy na Polaach elizejskich, czy też na ulicy, ten i ów uwagę zwracał na tę matkę i na tę córkę, zwłaszcza zaś na tę ostatnią. W konserwatoryum i u pani V., która, po 20 franków za godzinę, dawała księżniczkom i bankierównom wielkiej wziętości używające lekcye śpiewu, szanowano je dla tkanin lyońskich, koronek brabanckich i kroju poprawnego. I dla tej również przyczyny nie powiadano o pannie Julii: „Pani, kierując się na śpiewaczkę, ścigasz marę, której nie dogonisz.”

Od wieczoru u państwa Kapusinich minęło tygodni kilka. Howorówczanki nasze nie śpieszyły się z bytnością powtórna dla racyj wielu,

a szczególnie dla téj, że się sposobiły na *soirée parée* — rodzaj wieczoru, trzymający środek pomiędzy wieczorem zwyczajnym, tak zwanym *intime*, a balem. Na wieczór taki kobiety wkładają wielką tualetę, nie balową jednak, ale dekoltowaną jak balowa, która, jak wiadomo, polega na uprzeczyszczeniu wdzięków niewieścich jaknajwiększém. Kobięta we Francyi tak jest układana, ażeby wszystkie jęj władze umysłowe zwracały się w skupieniu ku czynności jednéj, zwanéj: *séduire*. To cel, to życia jęj zadanie, zadanie, dla któregó bal jest areną główną, otoczoną przez wiele przedsiónków, przystawek, galerij, dróg bitych i przesmyków. Pomiędzy niemi *soirées parées* zajmują miejsce właściwe. Panie nasze o tém wiedziały i starały się na salonach kuzynki wystąpić bez zarzutu.

Czekały na zawiadomienie o owéj Yram de Rowoh.

— Oryginalne imię i nazwisko — zauważyła razu pewnego panna Julia.

— Ach! — odparła pani Róża — te panie, we względzie tym, o oryginalność się ubiegają.

— Mama myśli że to przybrane?

— Z pewnością. Wskazuje to niepospolitość tak imienia, jak nazwiska.

Dnia pewnego około trzeciéj, dzwonek u drzwi

wchodowych zatętnił; panna Julia w pół otworzyła i, otwierając wnet drzwi szeroko, zawołała:

— A, ciocia!

— Zgadnijcie tedy — odezwała się pani Emilia, na kanapie siadając — z kąd do was wprost przyjeżdżam.

Pani Róża i panna Julia zgadywać ani próbowały.

— Więc wam powiedzieć muszę. Byłam z wizytą u panny Yram.

— No? i cóż?

— Musiałam, po naradzie z mężem, wziąć na siebie posłannictwo do niej. Mój mąż nie Rothschild, ani de Persigny żaden. A nużby odmówiła! Było szansy więcej, że nie odmówi mnie. Pojechałam tedy.

— Nie odmówiła?

— Nietylko nie odmówiła, ale okazała dla mnie uprzejmość, jakiej się nie spodziewałam. Co zaś dziwnego. Ale... nie!...

Panie czekały na tłumaczenie pani Emilii, której wyrazy ostatnie zrozumiałemi nie były.

— Gdybym nie była głęboko przekonana, że kobieta światowa nie miesza się, powiedziała-bym, że Yram de Rowoh zmieszała się na widok mój.

— To w rzeczy samej dziwne.

— Byłoby nadzwyczajném. Może to jest maniera taka, chociaż, hm, o manierach jój nasłuchałam się tyle. Ona uchodzi powszechnie za *farouche*, co tych panów w rozpacz wprawia, albowiem bez ceremonii drzwi wskazuje i...

Zatrzymała się i zaśmiała.

— I co? — zapytała pani Róża zaciekawiona.

— I policzki wymierza. Spoliczkowanych przez nią liczy się kilku, mianowicie *dans la haute finance*, a pomiędzy nimi senator, potęga i powaga.

— Zaciekawiasz mnie, Emilciu... Cóż na to spoliczkowani?

— A cóż! Senator kupił dla niej hotelik-cacko, umeblowany jak pieścidełko, karétę, konie i ofiarował jój.

— A ona?

— Przyjęła.

— A! nie wierzę więc, ażeby pomiędzy nią a senatorem owym nie zachodziły stosunki, o których nie wiedzą żona ani dzieci.

Pani Emilia ramionami na znak przeczenia wzruszyła i odrzekła:

— Przyjmuje hołdy i upominki, jako rzecz jój należną, nie poczuwając się do obowiązków wdzięczności zgoła. Gdyby Napoleon III pół Francyi jój darował, onaby się przyjąć nie zaważała i... Napoleonowi drzwi pokazała.

— Osobliwa kobiéta!



— Osobliwa. Natura jakaś dzika.

— Zkąd-że się wzięła?

— Krażą około niej jakieś zagadki i tajemnice, dociekanie których stanowi w téj chwili przedmiot wielkiej ciekawości. Mieszkanie jêj pozostaje pod nadzorem.

— Policji?—podchwyciła pani Róża z akcentem przerażenia lekkiego.

— Policji — odrzekła pani Emilia z uśmiechem — ale wielkiego świata. Wyśledzićby chciało *une liaison*. I cóż? Podśluchy tego tylko doszły, że śpiewa po nocach całych. Zamyka się i śpiewa sama dla siebie. Ale... zobaczycie ją u nas — dodała, wstając. — Śpieszyć muszę do męża z wiadomością, na którą on niecierpliwie oczekuje. Jest ona dla nas ważną. Adieu, kochane.

Środa następowała za dni dwa. Gdy nadeszła, gdy nadszedł wieczór, godzina dziesiąta, panie nasze remizą udały się do państwa Kapusinich. Na salony wprowadził panią Różę pod ramię pan Kapusini. Salony miały pozór odświeżony, pomimo, że na oko nic się w takowych nie zmieniło. Meble, franki, zwierciadła, malowidła były też same, tylko dotknęła ich ręka tapicera i nadała im ton. Robi się to zapomocą podfałdowania. Wspomniałem powyżej o głębokiem znaczeniu fałdów. W dekoracyi salonów draperye ogromnie ważną odgrywają rolę; układanie onych do har-

monii z ogółem ozdób stanowi sztukę, uprawianą przez specjalistów.

Pani Róża w sukni ciemnozielonej ciężkiej, panna Julia w popielatęj o tle żółtawém, przedstawiały się weale korzystnie śród dam, z których każda miała na sobie tualetę wystudowaną. Aniby się kto domyślił, że od tygodni kilku mięsa nie jadły. Ramiona panny Julii wspomnienie marmurowych ramion Wenery z Milo wywoływały; „piers jęj biała budziła ciekawość,” połączoną z pragnieniami rozkosznemi. Gdy się przez salon przesuwała, przeprowadzało ją spojrzeń wiele, a w grupach czyniono półgłosem pod adresem jęj uwagi, podobne do tych, jakie się czynią w galeryi malowideł lub posągów. Młoda dziewczyna zafrapowała. Pani Emilia, powitawszy kuzynki, powtórzyła im dwukrotnie dwa wyrazy: *parfait* i *irréprochable*.

Goście przybywali; salony się napelniały; grupy się tworzyły. Pani Kapusini przedstawiła panie howorowskie kilku damom i zostawiła je na pastwę rozmów czczych i nudnych, jakie się po salonach toczą. W grupie poblizkiej mówiono o pannie Yram i o panu Kapusininim.

— Jest to szarpnięcie się — powiadał jegomość jakiś o tym ostatnim. — Czy mu to posłuży? Zobaczmy.

Panią Różę wyrazy te zastanowiły i ucha nastawiała, chcąc rozmowy ciąg dalszy pochwycić, lecz odpowiadać musiała na ważne zapytania, jakie jęj zadała dama, której przedstawioną została. Dama się pytała, ile dni jeszcze w Paryżu będzie trwała niepogoda.

— Nie wiem — odpowiedziała pani Róża.

— Bo proszę pani, *c'est si ennuyant!* Nie wiedzieć kiedy promyk słoneczny rozproszy te mgły posepne, których ja tak nie lubię. Nie, nie lubię tego! A pani?

— O, i ja wolę pogodę, aniżeli sotę.

— Gdzie pani u wód była?

Ze wspomnienia o wodach stanowią przez zimę całą treść najpowszechniejszą rozmów salonowych, o tém pani Róża wiedziała i miała na tę odpowiedź, że spędziła lato na wsi, w dobrach swoich, *en Podolie*. To imponowało. Podole znaném było z brzmienia nazwy; gdy przeto pani Róża powiadała, że była „w dobrach swoich, *en Podolie*,” brano to w tém znaczeniu, że Podole jest to pani Róży majątek.

Dama rozpoczęła o wodach opowiadać.

Opowiadanie jęj przerwał szmer, który wytworzył wyrazy: „*la voilà!*”

Pan Kapusini prowadził pod ramię damę piękności uderzającej. Ubrana była strojnie, lecz nie strój uwagę zwracał, ale wyraz czystości nie-

pokalanéj, który z jéj całej bił postaci. Wzrostem niewielka, smukła, szykowna a poważna, czarnowłosa, modrooka—śpiewaczka ta wyglądała niby w ciało i kości ubraną nutą pieśni, zwaną na parkiety salonowe.

Pan domu prowadził ją ku pani, która na spotkanie jéj szła. Spotkanie nastąpiło na środku prawie salonu, tuż przed panią Różą i panną Julią. Śpiewaczka w chwili powitania spotkała się ze spojrzeniem pani Róży, wpatrującej się w nią pilnie. Śpiewaczka, zdawało się, skamieniała. Wzrok jéj przybrał wyraz szklisty, policzki zbladły, z ust ustąpił karmin żywy, co świadczyło, że karmin ów naturalnym był. Trwało to мгnienie źrenicy i przeminęło dlatego, że pan Kapusini, podając jéj ramię, które dla ukłonu umknął był przed chwilą, przemówił do niéj z akcentem:

— Pani...

Panna Yram czepiła się z pośpiechem ramienia pana Kapusini, poszła dalej i zajęła krzesło, do którego ją odprowadził. Przy siedzeniu jéj sformowało się wnet kółko. Baron B. i kilku panów pośpieszyli do niéj z powitaniem, na które ona zrazu z roztargnieniem odpowiadała. Oczy jéj, jakby magnetycznemu pociągowi ulegając, zwracały się ustawicznie w stronę pani Róży. Wreszcie roztargnienie przeszło i panna Yram

rolę swoją salonową odgrywała ze zwykłą swobodą. Nie zwracano uwagi na to, że pani Róża służyła zawsze za przedmiot spojrzeń jej, że wzrok jej często zatrzymywał się na niej. Cóż pani Róża z nią mieć wspólnego mogła? Czém pani Róża wobec niej była?

Goście bawili się. Panowie, co pannę Yram otaczali, opowiadali jej o uciezce, jakiej sobie obiecują z usłyszenia jej głosu czarującego. Ona opowiadania słuchała i, wciągu onego, wyraziła ochotę dania się słyszeć.

— Ach! ach! — odezwały się wykrzykniki radosne.

Wnet jegomość jakiś przy fortepianie miejscem zajął; panna Yram do fortepianu podeszła. W salonach naraz zapanowała cisza i w ciszy tej zabrzmiały dźwięki czyste, jak najczystszy kryształ, rozgłośne, jak echo w górach, łagodne jak uśmiech matki do dziecka w kołysce, słodkie, jak najpięwsze kochanki wyznanie, przenikające, jak uniesienie. Śpiewała — prześpiewała; chwilę jeszcze panowała cisza, jakby publiczność dosłuchiwała tulających się po zakątkach dźwięków, i nagle zerwała się burza oklasków. Burza ta, zdawało się, końca mieć nie będzie. Przycichała, i wznawiała się i wzmagala.

Pani Róża spojrziała na córkę i miała lzy

w oczach; panna Julia spojrzała na matkę i miała także łzy w oczach.

— O, jakże ona śpiewa!—odezwiała się jedna.

— Jak śpiewa!—potwierdziła druga.

Dama, niby to pani Róży zuajoma, powiedziała.

— Rzadki talent. Śpiew taki na długo w uszach pozostaje. Co za szkoda, że ona talent swój w salonach zagrzebuje!

— Zagrzebuje?—zdziwiła się pani Róża.

— Tak. Daje się tylko słyszeć tej części publiczności, co bywa u mocarzy. Ja na przykład... poraz pierwszy ją słyszę—wyznała.— A pani?

— Ja od niedawna w Paryżu bawię.

— Od jak długo?—zapytała.

— Od miesięcy dwóch — odpowiedziała pani Róża, przyznać się nie chcąc, że jest mieszkanką dawniejszą nieco.

— Pani zapewne w dobrach jój czas przyjemnie upływał. O, jak to miło być musi dobra posiadać! Namawiam męża, ażeby zlikwidował handel *en gros* skórami surowymi, a nabył zamek; ale on o tém słuchać nie chce. Zwrócił obecnie operacye swoje, za pośrednictwem pana Kapusi-  
ni, właśnie do dóbr pani i dlatego wyraz „*Podolie*” obcym mi nie jest. Powiem mężowi memu, żem miała zaszczyt poznać się z właścicielką *de la Pololie*.

Gdy oklaski przebrzmiały, nastąpiło w ciągu dalszym posiedzenie, podszyte oczekiwaniem na powtórny śpiewaczki popis.

Ktoś, coby zmysł spostrzegawczy posiadał, dostrzedz by mógł wejrzenie panny Yram, jakie ona na panią Różę zwróciła, gdy, po zakończeniu śpiewania, miejsce swoje zajęła. W wejrzeniu tém charakterystyczném było to, że świeciło w niém zapytanie, jakby téj, co potentatom głowy zawracała i senatorów policzkowała, chodziło szczególnie o pochwałę kobiety nieznanéj i najmniejszego znaczenia nieposiadającéj. Ale niktogo tam ze zmysłem spostrzegawczym nie było; pani Róża zaś nie brała do siebie spojrzeń, które się na niéj zatrzymywały, a które widziała. Śmiešnościąby jednak ze strony jéj było wnioski ztąd wysnuwać jakieś.

Wieczór rozwijał się daléj trybem zwykłym. Ktoś grał na fortepianie, ktoś na skrzypcach i po skrzypcach znów panna Yram głos zabrała. Powtórzyło się to samo, co poprzednio, więc opisu wrażenia powtarzać nie potrzebujemy. Uwolnimy się także od opisu kolacyi, podanéj o północy, wspominając o niéj to tylko, że przydała się ona wielce właścicielkom — według mniemania małżonki handlarza skórami surowemi — Podola, które od godziny szóstéj, po herbacie z chlebem suchym, nic w ustach nie miały. Dobre jadło je

posiliło, wyborne wino pokrzepiło. Kolacya ciągnęła się dosyć długo; znalazło się dwóch kalamburzystów, którzy przy stole zabawiali biesiadników, pobudzając ich niekiedy do śmiechu homerycznego. Kalambur, w towarzyskiem życiu Francuzów, odgrywa rolę bardzo ważną.

Po kolacyi, na zakończenie wieczoru, panna Yram śpiewała raz jeszcze.

Dziwném było manewrowanie jej, gdy salon opuszczała. Zdawało się, jakby się o panią Różę otrzeć chciała. Szła i wracała, puszczała się raz w kierunku tym, znów w owym, oglądała się, i oglądała jeszcze, kiedy już do pojazdu wsiadała. Co i dlaczego to było?

Pani Róża pytania tego nie zadawała sobie. Powróciwszy około czwartej rano do apartamentu swego i opłaciwszy remizę, co — powiedziawszy nawiasem — grubo ją kosztowało, byłaby zasiadła do pisania listu do męża, gdyby nie trzy przeszkody: ciemność, chłód i rozmarzenie. Ciemność pochodziła ztąd, że się dopalała reszotka oliwy w lampie; chłód, że nie było za co zaopatrzyć się w drzewo opałowe; rozmarzenie zaś odnosiło się do śpiewu panny Yram, który głębokie sprawił wrażenie. Pod wrażeniem tém matka i córka z pośpiechem się rozebrały i do zimnych łóżek weszły. Sen jednak ani do jednej, ani do drugiej nie przychodził. Upłynęła godzina, a po



godzinie z łóżka panny Julii odezwało się zapytanie:

— Czy mama śpi?

— Nie śpię, moje dziecko.

— Czemu tam u mamy tak cicho?

— Chciałabym, ażebyś zasnęła. Masz o dziesiątej lekcją u pani Y.

— Ach!—odparła panna Julia.—Co mi po lekcjach tych!

— Toż czemu?

— Czyż ja kiedy wystąpić takbym mogła, jak ta Yram?

— Mnie się wydawało, że Yram zachęci ciebie, że ci bodźca doda.

— Ona zniechęcić raczej może. Rzuca od niechcenia tony niedoścignione.

— A przecież i ona tony te ścigała, zanim ich dosięgła.

— Nie ścigała atoli tego *timbre*, co w nich dzwoni.

— Owóż—podchwyciła matka—powiem ci, że *timbre* ten i ty masz w sobie, tylko jeszcze na wierzch niewydobyty i niedostatecznie uwarunkowany. Ale też pomiędzy nią a tobą wielka zachodzi wieku różnica. Ty masz lat dziewiętnaście, ona zaś najmniej, najmniej dwadzieścia pięć. I ty więc, w wieku jój...

— Ach! nie—przerwała córka matce—nigdy!

— Zraziłaś się przeto?

Panna Julia nic nie odpowiedziała.

— Nic nam więc chyba nie pozostaje, jak do Howorówki wracać... papie dogodzić.

— Za żadne świata skarby!—zawołała panna Julia.

— A widzisz, moje dziecko; nie pozostaje dla nas droga inna, jeno ta, którąśmy sobie otworzyły i, bądźcobądź, przetorowały trochę. Blżej się znajdujemy końca, aniżeli początku: idźmyż już do końca.

— Iść tak trudno!—westchnęła dziewczyna.— W Odessie szło łatwiej....

Ani ona wytłumaczyć, ani pani Róża domyśleć się nie umiały istoty trudności tej. Pani Róży wydało się, iż polega ona na zrazeniu się chwilowem, na zwątpieniu; jęła więc w córce ducha podtrzymywać, przytaczając przykłady licznych w czasie owym Teres, mających jako śpiewaczki powodzenie szalone, pomimo że głosu im brakło i śpiewać nie umiały.

— Tyż masz głos przecie!... wszyscy ci to powiadają i ja głuchą nie jestem: chodzi tylko o to, ażebyś głos ten uelastyczniła, giętkość mu nadała i uzupełniła. Gdy tego dokażesz, wierz mi, moja Julisiu, będziesz taką prawdziwą *primadonna*, jak ta Yram, która się także zraziła i znie-

chęcała może i zapewne niejedną w życiu chwilę trudną do przebycia miała.

Panie howorowskie odtąd czyniły co mogły. Panna Julia usiłowała „opanować szkołę” i w celu tym uczyła się pilnie. Codziennie po godzin kilka spędzała za domem i w domu na śpiewaniu. Za domem niezmiennie towarzyszyła jej matka; kiedy zaś panna Julia domowe odbywała ćwiczenia, wówczas pani Róża zajmowała się tem, coby nazwać można „ściągnięciem końców.” Starania jej w dwóch szły kierunkach: w kierunku podtrzymywania tych marnych lepianek, jakimi, wedle zdania powag wielkich, są ciała ludzkie, i w kierunku przystrajania tychże lepianek. Dzielila się z córką, jej dając część lwią, sobie zabierając kości. W sposób ten dzieliła się wszystkim, tak co do odzieży, jak co do jadła. Zawsze pannie Julii dostawało się coś lepszego i więcej, aniżeli matce. Pani Róża, co się odzieży n. p. tyczy, dla siebie przerabiała i odnawiała suknie dawniejsze, córce sprawiała nowe; co się jadła tyczy, jej wetknąć umiała coś zawsze posilniejszego, udając że pamięta o sobie. Rozwiązała zadanie dzielenia na dwie „nierówne połowy.”

Tak upływały dni, tygodnie, miesiące. Pani Emilia nie zaglądała; panie nasze nie śpieszyły do niej. Widywały ją niekiedy zdaleka w teatrze; lecz się nie zbliżały, do teatru bowiem chodziły

wyłącznie do opery, celem osłuchiwania się w śpiewach, zajmowały przeto miejsca tańsze, w których się na widok nie wystawiały. W operze widywały także pannę Yram, otoczoną świetnie w łoży pierwszego piętra. Nadeszło lato; konserwatoryum zamknięto, pani V. lekcyę zawiesiła, kto jeno szanował siebie, opuszczał bruk stolicy. Pani Emilia w odwiedziny przyjechała— w odwiedziny i z pożegnaniem.

— Jadę do Trouville—mówiła i zapytała:—  
A wy?...

— Pisałam do Tadeusza—odpowiedziała pani Róża z zakłopotaniem.

— Rozumiem. Gdy się przeto odpowiedzi doczekacie, przyjeździe do Trouville, jeżeliście sobie innego nie upatrzyły miejsca.

— Może się na Trouville zdecydujemy, a może... aż do Howorówki pojedziem.

— Gdybyście do Howorówki pojechaly, uściskajcie Tadzia odemnie.

Gdy odeszła, pani Róża następującą zrobiła uwagę:

— Spodziéwałam się jednak, że Emilka, jeżeli nie nas obie, to ciebie przynajmniej zaprosi ze sobą do morza. Za historją z rachunkami i procentami, za to, że na procentach tych mąż jej w górę wyjechał, należało się to od niej... Prze-

cież ona, lepiej niż ktokolwiek, sytuacją naszą zna i położenie rozumie...

Wymowne a tkliwe do pana Tadeusza listy nie sprawiły. Lato w Paryżu spędzać trzeba było, uzbroiwszy się w cierpliwość i odwagę. Mijały więc miesiące letnie, jak przeminęły wiosenne i zimowe—mijały i poranku pewnego, około ósmój, kiedy panna Julia jeszcze spała, a pani Róża spirytus na herbatę zapalała, dzwonek przy drzwiach odezwał się w sposób niezwykły, od targnięcia gwałtownego. Pani Róża drgnęła i dowiadywać się bała. Dzwonienie się powtórzyło. Do drzwi podeszła, lecz takowych nie otwierając:

— Kto tam?—zapytała.

— To ja, Emilia—była odpowiedź.

Pani Róża, zdziwiona, otworzyła; zdziwiła się atoli bardziej jeszcze, gdy ujrzała kuzynkę wcho-dzącą w odzieży podróżnej, z torbami w ręku i otwierającą drzwi szeroko dla furmana od fiakra, dźwigającego kufer i walizkę. Furman na korytarzyk wszedł, kufer i walizę na podłodze postawił, pani Emilia z nim się rozplącała, a kiedy on wyszedł i drzwi się za nim zamknęły, wówczas dopiero do pani Róży się zwróciła. Pierwsze wyrazy, jakie z ust jój wyszły, były:

— Nie wypędzisz mnie przecie, Róziu?

— Cóż to znaczy?.. co?—zapytała ta ostatnia.

— Okradziona jestem i opuszczona...

— W Trouville?

-- Ach!—usiadła, palce spłotła i ręce załamała.—Ja nieszczęśliwa!...

— Cóż się stało? twój mąż...

— Mąż mój? Och!... On... „w księżycu dziurę zrobił”...

Wyrazy te, które dosłownie z francuskiego przełożyłem, używane są dla oznaczenia ulatniania się dyrektorów i kasyerów bankowych z pieniędzmi akcyonaryuszów i depozytaryuszów. Zabranie pieniędzy nazywa się *detournement*; o zniknięciu zaś dostojnika, co zabrania dokonał, mówi się, że „w księżycu dziurę zrobił” (*il a fait le trou dans la lune*).

Słowa te wywarły na panią Różę wrażenie przygniatające.

— O Boże!—westchnęła.

— Zostałam więc na bruku, obdarta i wyrzuciona... Gdybyż mnie był uprzedził, byłabym przynajmniej klejnoty zabrała; tak zaś, nie uratowałam z rozbicia nic... nic!... To okropne!... Gdybyś ty, Róziu, na myśl mi była nie przyszła, nie pozostawałoby mi nic innego, jak do morza się rzucić... A przytém .. a przytém...

## XXIV.

### Koncert.

---

— ....—a przytém...—powtarzała pani Emilia głosem coraz to bardziej zniżonym i miała coś rzec jeszcze, gdy pani Róża wybuchnęła:

— Cóż ja pocznę z tobą? — zawołała w irytacyi, ręce podnosząc.—Czy ty nie znasz położenia mego? Czy nie wiesz, że mam dziecko, które...

— A cóż pocznę ja?

— Ależ, Emilciu! Gdybym obowiązków nie miała, gdybym matką nie była...

— Matką...—podchwyciła pani Emilia—i ja nią będę...

Pani Róża osłupiała na słowa te — osłupiała i oniemiała; po chwili dopiero bąkać coś poczęła.

Na to pani Emilia w ten bratowej odpowiedziała sposób, że dłonie złożyła i tak do niej przemówiła.

— Więc cóż, Róziu... więc ja wynosić się mam od ciebie na ulicę?

— Czyż ja cię wypędzam?

— O, nie wypędzaj mnie!... Los mnie i tak już dotknął.

— Tylko że u mnie tu ciasno, bardzo ciasno.

— Znajdzie się przecie bodaj kącik jakiś, na tymczasem: na to, ażebym się po ciosie tym niespodzianym, jaki spadł na mnie, opamiętać i rozpatrzeć mogła. Może jak... może co odkryje się...

— Co, na przykład?

— Albo ja wiem!... Napiszesz... napiszemy do Tadzia.

Wyrazy ostatnie na panią Różę podziały w sposób uspokajający. Zwróciła się do kociółka, w którym woda na herbatę gotować się poczynała, wyszła i wnet powróciła z filiżankami, cukrem w pakieciku papierowym, połową chleba długiego i nożem.

— Julisia już wstała — rzekła. — Zdziwiła się, gdy się o tobie dowiedziała.

— Jam o niej w Trouville myślała...

Pani Róża odetchnęła — czuła dla siostry męzowskiej wdzięczność za to, że panny Julii nie zaprosiła. Tego tylko brakło!

Wkrótce panna Julia osobą swoją towarzystwo powiększyła.



— Podzielisz z nami, Emilciu, śniadanie — odczwiała się pani Róża.

Była to pierwsza, od czasu pobytu w Paryżu, herbata, w picciu której wzięło udział osób więcej, aniżeli dwie. Pani Emilia filiżankę herbaty wypila, lecz chleba — chleba suchego — nie jadła. Wczoraj jeszcze spożyła obiad przy *table d'hôte* w jednym z najwspanialszych w Trouville hoteli. Chleb suchy jój nie smakował.

Po herbacie płakała. Pani Róża prosiła, ażeby się w jój łóżku położyła — nie chciała. Płacząc ustawicznie, przesiadła do południa i ani tknęła kielbaski, zwanój *cervelas*, która, jako główne danie, figurowała na śniadaniu dziewczeczek Horówki. Oswoić się nie umiała z położeniem swoim, z tą myślą, że jest z wysokości strąconą. Zresztą głodną nie była jeszcze; ale, gdy wieczór nadszedł, głód uczuła i z apetytem zjadła ćwierć funta mięsa gotowanego, będącego daniem jedynym przy obiedzie. Na noc pani Róża posłała jój w pokoiku bawialnym na zdjętym z łóżka swego materacu zwierchnim — sama bez materaca spała.

Trzy dni minęło, zanim się pani Emilia do pisania do pana Tadeusza zebrała. Napisała i list kuzynkom odczytała; te znalazły go poprawnym, mianowicie zaś podobało się im wyrażenie: „Nie mnie ratuj, ale twoją żonę i twoje dziecko, na

które-m się ja ciężarem wielkim zwała; nad niemi miej litość.”

List poszedł, ale tygodnie mijały, a odpowiedź nie nadchodziła. Nadeszła wreszcie, a z nią rubli dwieście. List do pani Emilii zaczynał się od wyrazów następujących: „Moje położenie jest takie, że długi przenoszą wartość Howorówki. Kto mnie w położenie to wtrącił? Gdyby nie nacisk ze strony twojej o posag z *procentami* (wyraz ten był grubo podkreślony), byłoby mi lżej i tybyś posag swój była miała”... Rekryminacye same.

— Tadzio mi robi nadzieje niejaki—odezwiała się pani Emilia, po odczytaniu listu brata—ale się spuszczać na to nie można... Trzeba myśleć o sobie.

Myśleć poczęła; poczęła czynić starania, które przedewszystkiem zwróciła ku temu, ażeby z przyaresztowanych ruchomości wydostać co, jako własność swoją osobistą. W celu tym chodziła od komisarzy do sędziów trybunału, od sędziów do komisarzy, kołatała, radziła się i natrafiła—co w Paryżu nie jest rzeczą trudną—na Polaka, przy jakiejś dykasteryi urzędnika. Ten, dowiedziawszy się, że to spółrodaczka, zainteresował się; dowiedziawszy się, że skrzywdzona, przejął się oburzeniem i przedewszystkiem dał jej naukę moralną: dlaczego za cudzoziemca wyszła.

— Nie tak, pani dobrodziejko, zrobiła Wanda...—były słowa jego.—Do Wisły wskoczyć wołała...

Pani Emilia, uznając słuszność uwagi, płakała.

— Nie płacz, pani... My tu jakoś poradzimy. Gdzie pani mieszkaś? co? jak?...

Pani Emilia opowiedziała położenie swoje.

— Tulać mnie przy sobie kuzynki... same biedne.

— Cóż one robią?

— Matka córkę żywi, a córka na śpiewaczkę się kształci.

— Na śpiewaczkę?... to doskonale! Niech koncert da.

— Ona się uczy dopióro.

— To nic. Koncert dać może... Ja się tём zajmę... ja! Z Karolem pomówię i my to urządzimy; tymczasem zaś dziś około siódmój przyjdę do pań i panią wraz kuzynkami na obiadek do siebie zaproszę. Nie płacz tylko pani.

Pani Róża wzdrygnęła się zrazu, dowiedziawszy się o zaprosinach owych, i uprzejmie w progu swoim powitała pana Jana, pierwszego gościa, jaki do apartamenciku, przez panie howorowskie zajmowanego, zawitał. Pan Jan pocieszał, ducha dodawał, opowiadał że sam w ostatecznej znajdował się biedzie, z której wybrnął, ożenił

się i koniec z końcem wiąże. Uskarżał się tylko, że się z Francuzką ożenił.

— Ale i cóż robić było?... Gdybyś mi się była pani—oczami szarmancko na panią Emilią wskazał — z posażkiem trafiła, byłbym panią wziął z pocałowaniem ręki i pewno nie okradł.. Na nieszczęście, Polki nasze z posażkami trzymają się od nas zdaleka. One za cudzoziemców wychodzą, my więc cudzoziemki bierzemy. Niechże pani—do pani Róży się zwrócił—córeczki za Francuza nie wydaje. Ja dla niej męża znajdę—klaśnięciem języka dokończył.

Na obiedzie u pana Jana znajdowali się: pan Karol muzyk i pan Kalasanty weterynarz, kawaler stary, człek łysy i wąsaty, który niegdyś trzy wioski w Lubelskiem posiadał.

Muzyk, jako człowiek kompetentny, o koncercie radził i uradził, że będzie to koncert w kółku familijném, pomiędzy swoimi, po dwa franki od osoby, dany w sali znajomój panu Kalasantemu kawiarni, właścicielka której nic mu do odmówienia nie ma, z powodu że jój kota od śmierci uratował.

— Na ile osób liczyć można? — zapytał pan Jan pana Karola.

— Na moim koncercie było sześćdziesiąt trzy — odpowiedział zapytany.

— Gdy puścimy wiadomość, że to Polka, że piękna, że z kraju przybywa, zejdzie się ze dwa razy tyle... Panie Kalasanty, rusz się jeno tędy owędy... masz czasu najwięcej. Weź zresztą do pomocy Hieronima, który wciągu dnia ma do czynienia dwa razy: parę godzin rano latarnie wyciera i pół godziny wieczorem zapala je.

Naznaczono dzień i godzinę. Pan Kalasanty nietylko się zająć obiecał, ale obowiązek kasyera wziął na siebie i z uśmiechem się odezwał:

— Przychodzi mi myśl jedna do głowy.

— Jaka?—zapytano.

— Jam śpiewaczce pewnej konia wierzchowego na kaszel léczył i ona się względem mnie bardzo uprzejmą okazała. Owóz do niej się udam.

— Z biletem?—wtrącił pan Jan.

— Z jakim biletem? na co tu bilety?—podchwycił pan Karol.—Na bilety starać się potrzeba o pozwolenie specyjalne, drukować afisze... kłopotu dużo! Pan Kalasanty pójdzie z gębą i to będzie najlepij. Jakże się—zapytał—śpiewaczka owa nazywa?

— Mam jej nazwisko w pugilaresie zapisane, a pugilares zostawiłem w domu — odpowiedział pan Kalasanty, po kieszeniach się obmacawszy.

— Musi się mieć dobrze, kiedy konia wierzchowego trzyma—zauważył pan Jan.

— Phi!... Koń wierzchowy, konie cugowe, karéty...

Naznaczono termin za miesiąc, w dzień sobotni, z powodu że w dzień ten robotnicy mają czas swobodny.

Pani Róża byłaby propozycyi tego rodzaju nie przyjęła, gdyby nie to, że pan Tadeusz na listy rozpaczliwe albo nie odpisywał, albo téż odpisywał bez załączenia kwoty bodaj najmniejszój. W ostatnim liście takie ulokowała okresy: „Giniemy, głód nam dokucza, Emilka w stanie rozpaczliwym.— Co to będzie, mój Boże! co to będzie!... Przyszlij mi choć dziesięć rubli, jeżeli więcej nie możesz, po zastawieniu bowiem kolij, bransolet, pierścionków i kolczyków, zastawiać już poczynam odzież i zagraża nam to, że w łachmanach zostaniemy. A Emilka—za miesiąc mniej więcej.... Tadzium, zlituj się nad żoną, nad dzieckiem twojém!”

Zastawianie w *Mont de Piété* był to rekurs, do którego się pani Róża uciekała od piérwszój chwili przybycia do Paryża. Inaczéj być nie mogło. Rekurs ten atoli wyczerpywał się. Kwitów posiadała dużo i z kwitów tych już nawet sprzedała kilka. Niedziw przeto, że propozycyą przyjęła, że nawet w chwilach zbliżania się terminu koncertowego Bogu za nią dziękowała.

Pan Karol i pan Kalasanty zaglądali do niej często: pierwszy z racyi koncertu, program którego wespół z panną Julią układał, nastając na to, ażeby koncertantka śpiewała w części pierwszej: „Hejże dalej, do mazura!” w drugiej — „Litwineczko, kochaneczko;” drugi przynosił dobre wiadomości o ochotnikach do słuchania.

— Mam już, mości dobrodzieju, trzydziestu trzech zaznaczonych — powiedział raz. — Mam już czterdziestu i jeden — powiedział raz drugi. — A i Hieronim, który około tej sprawy gorliwie chodzi, coś tam zebrać musiał.

Szło to *crescendo* — powoli, szło jednak.

Na dwa dni przed koncertem, pani Róża spotkała pana Kalasantego wyrazami następującemi

— Panie, ratuj!...

— Albo co?

— Kuzynka moja — zaczęła i w trzech słowach opowiedziała stan pani Emilii, zwłoki nie dopuszczający.

— Bah!... Pani więc przedewszystkiem paliwa potrzeba.

— Panie, nie paliwa, ale... franków kilkunastu.

— Właśnie też...

Pan Kalasanty „paliwem” pieniądze nazywał. Wydobył więc sakiewkę, wydobył z takowej trzy dwudziestofrankówki i rzekł, wręczając je pani Róży:

— Policzymy się... A teraz fiakra sprowadzę, bo panią Kapusini odpowiednio ulokować potrzeba.

Pani Róża o mało nie uściskała zaradnego weterynarza, który po fiakra wybiegł.

W chwilę później, w towarzystwie pana Kalasantego, pani Róża panią Emilią odwiozła i ulokowała.

Usunięcie pani Emilii ułatwiło danie koncertu, który wypadł świetnie, nie pod względem ilości słuchaczy—tych było nie więcej, jak głów osiemdziesiąt, ale pod względem entuzjazmu, jaki wzbudziły: „Hejże dalej do mazura!” i „Litwineczko, kochaneczko.” Salka wszakże, do której się kręconemi wchodziło schodami, napelnioną była, a oklaski z takim dawano przyciskiem, że aż drżała. Nie klaskała jeno osobistość jedna, która słuchała, ale nie w salce: karétą przyjechała, pan Kalasanty na nią przed kawiarnią czekał i właścicielce kawiarni ją powierzył, ta zaś zaprowadziła ją do przyległej salce izby i ulokowała przy wpółotwartych, lekką franką zasłoniętych drzwiach. Osobistość ta pierwszją tylko części koncertu wysłuchała, poczem zeszła, do karéty wsiadła i odjechała. Nikt tego nie widział. Obojętność jój dla śpiewu nie spowodowała osłabienia entuzjazmu ogólnego, który był jak największy. Panowie Jan, Karol i Kalasanty ręce



zaciérali i okazywali zadowolenie zupełne, zwłaszcza zaś ten ostatni, gdy z obliczem rozpromienioném wręczał śpiewaczce dochód.

— Oto — powiadał, pieniądze oddając — coś pani zarobiła... Jak na piérwszy raz, to nieźle: po potrąceniu wydatków wszystkich za lokal, za światło, za instrument etc., pozostaje franków tysiąc pięćdziesiąt sześć.

Pani Róży twarz zapalała. Z pośpiechem gorączkowym, pannę Julią za sobą uprowadzając, salę koncertową opuściła i nie słyszała okrzyków podziwu, jakie niektórzy ze słuchaczy wydawali, dowiedziawszy się o wysokości dochodu.

— Przypuścmy, że było nas stu—obliczał któryś — po dwa franki, to czyni dwieście franków brutto. Zkądże tysiąc?

— Zkąd? Ktoś z was dał—tłumaczył pan Kallasanty i honorem się świadczył, jako pieniądze wszystkie od słuchaczy pochodzą.

— Na koncercie obecnych?

— Na koncercie obecnych.

Pani Róża była nie zdziwiona, ale zirytowana, również jak panna Julia, którą dotknęły oklaski, dawane niewłaściwie. Co ona jako swoje arcydzieło uważała, publiczność przyjmowała obojętnie, wynagradzała zaś ją za ustępy bez znaczenia artystycznego. Pożaliła się matce na to.

— Zachciałaś... Cóż to za publiczność!—odpowiedziała pani Róża.

Tysiąc franków niepokoiły ją. Miała nawet ochotę zwrócić datek ten, pochodzenie którego uważała za podejrzane, a przynajmniej zagadkowe. Pan Kalasanty przyszedł nazajutrz po koncercie i:

— A cóż... paliwo? Bogu dzięki, jest— zaczął.

— Niech mi jednak — przerwała pani Róża — pan dobrodziej wytłumaczyć raczy, z kąd się wziął dochód tak znaczny?

— Z rozprzedaży miejsc, pani dobrodziejko.

— Ale, proszę pana... ja to rozumiem...

— Słowo honoru pani dobrodziejce daję—pochwylił—że dochód cały pochodzi z rozprzedaży miejsc, od słuchaczy, co obecnymi byli... Takich, co miejsca zakupili, a nie przyszli, było dwóch tylko: Jakub szklarz, który zawiele „ptiwerków” wychylił i po schodach wywindować się nie mógł, i Licki, siodlarz, którego majster wyprawił do S.-Denis z robotą.

— Ktoś jednak dał za miejsce więcej, aniżeli dwa franki.

— Ale gdzież tam! więcej nie dał nikt.

— Być nie może, panie łaskawy. Któż bilety kupował?

— Miejsca, pani, nie były nominalne, to raz, a powtóre: złożyć się pani dobrodziejce mogę

registrami (tu wydobył z zanadruza dwie ćwiartki zabrukane, we czworo złożone). Oto registr Hieronima: numera i obok numerów ilość miejsc zakupionych. Numer pierwszy jedno miejsce, drugi jedno, trzeci dwa, czwarty znów jedno i t. d., miejsc wszystkich trzydzieści i jedno. Aż oto numer trzydziesty szósty miejsce pięćset pięćdziesiąt i dwa. Potrąciwszy od tego, co do potrącenia jest, pozostało netto franków...

— Ach, panie—westchnęła pani Róża.—Ja się, jak widzę, nie dogadam z panem. Dajmy lepiej temu pokój.

— Ma pani dobrodziejka racją; co zaś jest najlepszego do zrobienia, to... pójść do pani Kapusini i zamówić dla niej wygody.

— A... prawda... Tak byłam tym koncertem zajęta! Nie wiem, co się z nią biedaczką dzieje.

— Urodziła syna... chłopak jak łuszczak... Szkoda, że się Kapusini nazywa; ale na to jest sposób... nazwie go Kapucyńskim i będzie z niego szlachcic. Wyniknie ztąd wygrana podwójna: ślad ojca, którym się chwalić niema co, zagubi i szeregi szlacheckie pomnoży.

Pani Róża panią Emilią odwiedziła, wygody dla niej zamówiła, co do zapłacenia było zapłaciła i swobodniej nieco odetchnęła.

Tysiąc franków przydało się ogromnie. Roze-

szły się jednak tak prędko, że nie było już za co pani Emilii z zakładu wykupić.

— Ach, panie, ratuj! — znów w uszach pana Kalasantego zabrzmiało.

— Co to... znów paliwa brak?—zapytał weterynarz, drapiąc się palcem jednym za uchem i czmychając nosem.

— Emilka... gdyby nie Emilka... O Boże!

— Nic to, nic... A wiele tam potrzeba?

— Nie wiem... dalibóg, nie wiem... Och!

— Pójdę i dowiem się. Niech się jeno pani nie kłopotuje.

— Wydatków tyle!—zaczęła pani Róża.—Edukacya szkolna Julisi kosztuje straszliwie drogo. W głowie mi się mąci.

— Toż-bo to jest—wtrącił pan Kalasanty.—To mącenie się w głowie... hm...

— A przerywać naukę, sam pan dobrodziej powiedz: czy się godzi?

— Hm — mruknął z akcentem, wąsy rozglądając i zlekka odchrząkując, jakby się do przemówienia zabięrał.

Nic atoli nie powiedział, odszedł i nazajutrz panią Emilią z synem do apartamenciku pani Róży sprowadził.

Panna Julia do dzieciaka, który tłusto i zdrowo wyglądał, pogarnęła się tak, jak się to za zwyczaj dziewczęta do dzieci garną. Na widok

ten weterynarz powiekami razy kilka łyknął, nosem pociągnął, wąsy rozgładził, głową wstrząsnął, odetchnął i, sakiewkę wydobywając, odezwał się w sposób taki:

— Mam paniom rachunek złożyć. Owóż tedy: za panią Kapusini, czyli, od czasu jak matką została, Kapucyńską, wedle zakwitowanej noty oto (notę na stole złożył), franków sto siedemdziesiąt trzy, centimów dwadzieścia pięć. Pozostaje przeto do wręczenia franków trzysta dwadzieścia sześć, centimów siedemdziesiąt pięć. *Voilà.*

Pięniądze wyliczył i na stół położył.

— Panie!—zawołała pani Róża.

— No?—zapytał pan Kalasanty.

— Niech mi pan powie... czy to od pana?

— Nie—odciął niby nosem.

— Od kogóż?

— Niech mnie pani nie pyta... bo — zaczął i uciał.

— Co? — odezwała się pani Róża głosem niepewnym.

— Nie. Bierz to pani z sumieniem spokojném.

— Biore, jako pożyczkę, którą, jak za pośrednictwem pana zaciągam, tak za pośrednictwem pana zwrócić się obowiązuję.

— Dobrze... dobrze... niech i tak będzie.

Rozmowa powyższa powtórzyła się słowo w słowo prawie we trzy tygodnie później wobec

franków pięciuset, przyniesionych przez pana Kalasantego, z tą atoli ważną różnicą, że, gdy się pani Róża pożyczkę rzekomą zwrócić zobowiązywała, pan Kalasanty odpowiedział, w sposób niegrzeczny prawie:

— Hm... zobaczę ja zwrot ów, jak moje ucho.

— Panie! — upomniała go pani Róża, tonem dumy obrażonej.

— Gdzież... w czém ewikeya?

— W przyszłości Julisi... w jój talencie.

Pan Kalasanty westchnął i odrzekł:

— Pozwoli pani dobrodziejka, żebym coś pani otwarcie, a po przyjacielsku powiedział?

— Proszę pana — odparła pani Róża ustami drżącymi lekko.

— Przyszłość, na córki pani talencie oparta, psu na budę się nie zdała.

Pani Róża ręką po pieniądze sięgnęła, w zamiarze zapewne ciśnięcia ich dawcy w oczy, lecz ująć onych nie miała siły. Nogi pod nią zdrząły, zbladła i, gdyby jój pan Kalasanty nie podtrzymał, na podłogęby runęła. Panna Julia i pani Emilia do niej poskoczyły. Ponieważ w domu wódek ani soli nie było, cucono więc ją z omdlenia zapomocą bryzganina na twarz wodą i nacięcia skroni spirytusem, który do gotowania herbaty służył. Pan Kalasanty dawał jój butelkę z naftą do waczenia, gdy zaś to nie pomagało,

tabaki w nos omdlałej napchał. Jak skoro powracać do przytomności poczęła, weterynarz się wyniósł.

Po odejściu pana Kalasantego, nastąpiła scena gwałtowna, pełna łez, uniesień i frazesów brzmiących. Panie wszystkie trzy naraz płakały i wyzrekały, zgadzając się z panią Różą, która pana Kalasantego potworem zamianowała.

— Potwór... ten potwór łysy... ten konował, nie na celu nie miał, tylko znęcanie się nad nami! Usługi oddawał na to tylko, ażeby mieć prawo obelgą w oczy bryzgnąć! A jak to zręcznie ułożył! Jak wytrwale rzecz prowadził! O, niech-że się więcej na progu moim nie zjawia!

Pan Kalasanty nie zjawiał się też. Minął miesiąc cały—a był to miesiąc letni—nie pokazywał się. Pani Róża o scenie tej, ubraniej w blaski jaknajbardziej ponure, do męża pisała i otrzymała od niego odpowiedź w liście, nie już na pięć pieczęci zamkniętym i w napis „z przyłączeniem etc.” przyozdobionym, ale nawet nie zafrankowanym. Nie rozpieczętowywała też tego listu, tak samo jak kilkunastu poprzednich, które gzyms na kominku zalegały. Niepokazywanie się przeto pana Kalasantego poczęło dolegać. W miesiąc po owiej scenie, nie był on już potworem, a w tydzień później stał się ogromnie pożądanym, tak dalece pożądanym, że zarówno pani

Emilia, która syna karmiła, jak pani Róża, która się za żywicielkę gromadki uważała, zgodziły się na jedno, na to mianowicie, iż się z nim jakoś zejść potrzeba. Ale—jak? Tęj pani na myśl przychodziło pośrednictwo pana Jana, tęj pana Karola.

— A czyby najlepiej i najprościej nie było zaufanie mu okazać?—odezwała się pani Róża.

— Pójdę do niego — podchwyciła pani Emilia—z dzieckiem na ręku.

— Pójdę raczej ja, z Julią — odparła pani Róża.

Na tém ostatniem stanęło. Że zaś potrzeba nagliła, bez zwłoki przeto wybrała się matka z córką i w godzinę później pukała, na Batignolach, na piętrze szóstém, do drzwi pokoju, w zamku których klucz świadczył o obecności lokatora.

— *Entrez!*—odezwał się donośnie głos wśródku.

Panie weszły do izby obszérnej, niekoniecznie czystej, z niszą z jednéj strony i z biurkiem pod oknem, zprzed którego, za ukazaniem się ich, zerwał się z okrzykiem „przepraszam!” pan Kalasanty w szlafroku i mycce i do niszy się schował. W izbie umeblowanie składało się ze sprzętów starych, komody orzechowój, krzesel kilku i szaf dwóch, jednéj z książkami, drugiej z flaszkami, słoikami i instrumentami takiemi, jak obcęgi, piłki, iglice, szpikulce nakształt szydeł



wielkich, puszcza dła, wiązania rzemieńne i t. p. Panie, jedna na kanapie, druga na krześle usiadłszy, oczami dokoła wodziły, gdy z niszy wyszedł pan Kalasanty, w surducie i z głową nieprzykrytą.

— Jakże? jak?—zaczął, dłonie zaciérając.—  
Cóż to za zaszczyt dla mnie!

— Takeśmy pana dobrodzieja dawno nie widziały—odezwała się pani Róża.

— Tak... ano... Od kiedyż to?

— Pan się na mnie gniewa—podchwyciła pani Róża.

— Ja? A broń Boże! O! nie... pani dobrodziejka się myli.

— Czemuż pan nas nie odwiedza?

— Czemu? a! dlatego, poprostu, że czekam na powrót od wód.

— Czyj?—zapytała pani Róża.

Zapytanie to widocznie starego w kłopot wprawiło. Chrząkać i jąkać się począł.

— Czyj? hm... nieczyj... wszystkich: przypuszczałem, że i panie... do wód...

Kłamał widocznie, a kłamanie nie szło mu gładko.

— A przytém... a przytém—bąkał — mam sobie za obowiązek powiedzieć pani...

— Co, panie dobrodzieju?—zapytała pani Róża tonem rezygnacyi, jakby mówiła: „Przyjmę od ciebie wszystko, nie gniewaj się tylko.”

— To, pani dobrodziejko, że tak dla pani, jak dla pani Kapusini, jak zwłaszcza dla panienki, rada najlepsza, najzdrowsza, najpewniejsza jest: na obłoki się nie piąć, bo z nich spaść i kark złamać można, ale, pychę z serca złożywszy, do Howorówki wracać. To daremnie; ze śpiewu nie będzie; wracajcie! — ręce z wyrazem prośby złożył.

— Radę pańską przyjmuję — zaczęła pani Róża.

— Ale jej nie usłucham — odpowiedział pan Kalasanty.

— Nie... nie to... ale, czy pan w to uwierzy, żeśmy na omnibus nie miały?

— Ach paliwa brak... Hm—za uchem się po-drapał.—Przed powrotem od wód mnie trudno... hm... Ano... Zróbmy tak: weź pani tymczasem na omnibus to co mam przy sobie, a jutro... jutro ja tam do pani zagładnę.

Wysypał z sakiewki franków kilka, wręczył je wzdragającą się pani Różę i następnie gości swoich do omnibusu odprowadził, a po drodze, w kawiarni znajomej, syropem z wodą i ciastkami je poczęstował.

## XXV.

### Historya.

---

Ej, do Howorówki!... Stęskniłem się już do niej, czytelnicy mili, i nawet powracać chciałem dwa czy trzy rozdziały temu; ale mnie wówczas nie puścił... porządek. Teraz atoli nie stoi na zawadzie nic. Wygadałem wszystko porządkiem i mogę śmiało zaprosić na wieś tysiące czytelników—na wieś rozkoszną, podolską, w jarze rozrzuconą, na wiosnę śpiewania słowików, w jesieni wycia wilków słuchającą, piękną i poetyczną. Zapraszam, ale niech każdy nie tylko łyżkę, widelec i nóż, starym obyczajem, w kieszeni, lecz oraz i zapasy jadalne w torbie ze sobą przynosi. Aniby bowiem gości tylu na wsi u chłopów rozkwaterować, jak to ongi bywało, ani też we dworze przekarmić można. W Howorówce zaszły zmiany, które do góry nogami wszystko wywróciły.

Powiedzieć wszelako nie można, ażeby tam nie panował porządek. Przeciwnie, w porządku odbywało się wszystko.

Pan Tadeusz od lat kilku wykierował się na filozofa pod tym względem, że się z nurtem puścił. Nurt go unosił, on płynął, kuropatwy, bekasy i krzyki strzelał, zające, lisy i wilki szczał i rozstrzygnięcia jakiegoś czekał, nie dbając o to, ani jakim one będzie, ani kiedy nadejdzie. A nuż nie nadejdzie nigdy! Tak sobie myśleli ojcowie nasi, powiadając, iż „Polska nierządem stoi.” Trzymał się on reguły z dwóch pierwiastków złożonej: z rozkazywania i pytania o drogę. W pytaniu wskazówek szukał; rozkazywaniem egzekucją przeprowadzał. Ale się wkońcu dopytał do tego, iż nic już do pytania nie pozostawało; co zaś do rozkazywania, takowe duch czasu, siła rzeczy z rąk mu wytrąciły. To ostatnie nastąpiło w momencie, kiedy się przekonał, że chłop nie dostarczy mu środków, których potrzebował w ilości coraz to większej. Miotał się z razu szarpał; za każdym od żony otrzymanym listem niebo i ziemię poruszał, Howorówkę w kleszcze brał, dusił, egzekwował i do Paryża po rubli kilkaset posyłał. Nagle ostygł. „Może się to jakoś zmieni, może to jakoś tam będzie”—pomyślał i, w cierpliwość się uzbroiwszy, czekać zaczął.

Listy dalej otrzymywał, lecz albo nie odpisywał, albo cierpliwie doradzał. Ona do niego o pieniądze szturmowała, a on jej rady dawał; że zaś rady były jednakowe, więc się tak w nich wydoskonalił, że je dosłownie w liście każdym powtarzał. Niedziw przeto, że pani Róża listy od męża otwierać przestała i mocno się na autora takowych żaliła. Nie było jednak racji dobrej. Pan Tadeusz nie posyłał, posyłać bowiem nie miał co. Gdy ostatnie dziesięć rubli— jak się wyrażał — „wytrząsnął,” pisał do niej: „Postaw na loteryą; wygrasz może, niesposób bowiem, ażeby cię los do reszty zgnębił.” Panią Różę zgnięwało to; on zaś rad był sobie, że wraz z groszem ostatnim i radę ostatnią wyeksponował. Potem już obojętnie ciosy przyjmował. Pozbawiono go pańszczyzny — on na to nic; pozwano go do odpowiedzialności sądowej — on nic; wystawiono Howorówkę na sprzedaż — on nic; ojcowizna wobec przeszła ręce — on nic; wyrzucono go wreszcie ze dworu — on wyszedł z laską w rękę i szedł przez wieś, prawiąc sobie pod nosem:

„Polak za zbrodnie do piekła skazany,  
Lecz zawsze poczciwa dusza,  
Z innemi cieniami gnany,  
Sam jeden wesoło rusza”... etc.

Przeszedł, deklamując, przez wieś raz; wrócił, znów szedł i znów wrócił; aż przypomniał sobie, że ma w zanadrzu od żony list, w którym go pani Róża rozpaczliwie o ratunek wzywa, opisując mu scenę, jaką z panem Kalasantym miała. „Trzebaby na list ten odpisać — pomyślał: ale jak i gdzie? Ani stołu, ani stolka, ani papieru, pióra i atramentu, ani dachu nad głową, ani żadnej rzeczy, która moją była, a dziś diabli wiedzą, czyją jest.” Pomyślał to w kołowrocie właśnie; stanął i zadumał się. A kołowrotu pilnował dziad, jak zwykle. Dziad, ujrzawszy pana Tadeusza zadumanego, podszedł do niego i przypatrywać się mu jął ze złośliwym w oczach wyrazem. Trwało to chwil kilka, aż wreszcie zwróciło na siebie byłego dziedzica Howorówki uwagę.

— Czego ty mi się tak przypatrujesz? — zapytał.

— Bom dawno ciebie, panie, nie widział... raz ostatni na Wygnance, a wówczas wyglądałaś inaczej jakoś: wyglądałaś tak, że ludzie szanowali nietylko ciebie, ale i psa twego.

— A... na Wygnance — odparł pan Tadeusz, oczy na dziada podnosząc. — Toś ty Łuka?

— Ano... ja sam.

— Wyglądałem wówczas inaczej, bom nie miał téj troski, co mnie dziś gniecie.

— Widzę ja to. Przyszła na ciebie zła godzina. Pan Bóg pokarał...

— Za co?

— Choćby za krzywdę moję... Krzywda ludzka, jak ten powiada, „bokiem wylazi: ot i wylała tobie...

— Jakżem ja skrzywdził ciebie?

— Jak?—zapytał Łuka ze zdziwieniem w głosie.

— Nie zabiérałem ci ani pola, ani chaty, ani dobytku...

— Aleś mi zabrał dziecko jedyne i zaprzepacił... W rękach twoich zginęła dziewczyna moja.

— Ach! i moja ginie — zawołał pan Tadeusz głosem boleści.

Łuka powiedzieć chciał na to: „Dobrze ci tak!” słowa te atoli w gardle mu uwieźły, na widok tego wyrazu, jaki bił z oblicza szlachcica, który głęboko westchnął i dodał:

— I nawet słówka pociechy przesłać jej nie mogę: ani dachu nad głową, ani stolika do napisania listu, ani papieru, pióra, atramentu...

Zamyślił się; zamyślił się Łuka i po chwili odezwał się:

— Pójdź jeno, panie, na Wygnankę, pokłoń się Srulowi odmie i powiedz mu, ażeby za to, co mi za szabas ostatni winien, dał ci, czego do pisania potrzeba.

Pan Tadeusz ruszył, „dziękuję” nawet nie powiedziawszy.

Żyd przyjął go, jak zasługiwała na to wielkość upadła; przechadzał się i długo zwlekał, zanim z półki, z poza ksiąg, wyjął ćwiartkę papieru, kałamarz i pióro. Pan Tadeusz pisał na końcu stołu, pisał coś innego niż zwykle—był to ten list ostatni, który ręką pani Róży doszedł niefrankowany. Napisał i słońce już zaszło, kiedy do wsi wracał. W kołowrocie z Łuką się spotkać musiał.

— Ano—zaczepił go dziad—cóż?

— Dziękuję ci, Łuko... dziękuję. W przygodzieś mi stanął... Ot, widzisz jak to na świecie: ten co był w górze, idzie na spód; ten co był na spodzie, idzie do góry... Wczora jam miał wszystko, ty nie; dziś ty masz czego ci potrzeba ja nie... ani dachu nad głową...

Rzekłszy to, poszedł; lecz się wnet zatrzymał usłyszawszy wołanie Łuki:

— Panie...

— A co tam?

— Jeżeli wy dachu nad głową nie macie, to... gdzież nocować będziecie?

— Gdzieś się wproszę chyba...

— I wpraszać się wam nie potrzeba... u mnie, chata pustką stoi: chaty mi popilnujcie...



— Bóg zapłać — odrzekł pan Tadeusz i pośpieszył z listem.

Dziękę sprawom sądowym, komunikacya pomiędzy Bałtą a Howorówką stała się na czas jakiś ustawiczną. Posyłki krążyły tam i napowrót.

List oddał i do Pustki na nocleg się udał—no... i w chacie Łuki zamieszkał.

Powiedzieliśmy wyżej, że pan Tadeusz filozofem się zrobił. Z nurtem płynął, lecz ani z głodu umierać nie zamierzał, ani też myślał z jałmużny żyć. Znalazłszy się w położeniu, w które się sam wprawił, przyjął je i, nazajutrz po pierwszym w chacie Łuki noclegu, wstawszy rano, przed chatę wyszedł, popatrzył na nią, następnie dookoła obszedł, oglądał, głową kręcił i pod nosem sobie pogwizdywał. Wszedł następnie do środka i po kątach zaglądać począł: tu znalazł siekiere, ówdzie topór i świder zardzewiały, gdzieindziej rydel. Ponieważ bez grosza nie był, więc się udał do karczmy i kupił sobie chleba bochenek, a powróciwszy, przekąsił i koło chaty majstrować począł. Ludzie, przechodząc, zatrzymywali się i ze zdziwieniem niemalém spoglądali na dziedzica, reparującego Pustkę. Ten i ów zatrzymywał się i pozdrawiał, życząc pomocy Bożej; pan Tadeusz zaś, odpowiadając, zaczepiał tego i owego o pomoc ludzką, której się też nie domagał daremnie. W sposób ten pozawie-

rał układy o koły do płotu, o chrust, o zboże na nasienie, o orkę gruntu, etc. etc. i, podczas gdy Łuka wrót pilnował, on strugał, wiercił, grodził, grunt orał, ogród kopał, siał, sadził, słowem spółka zawiązała się sama przez się, przez to jedynie, że pan Tadeusz, wyparty z pod strzechy ojczystej, nie zamierzał szukać dla siebie gniazda w innej stronie. A mógł był to zrobić. Mógł, gdy go z domu wyproszono, pójść w świat za oczy, zakochać do krewnych, do przyjaciół, do znajomych i pytać dalej o drogę pochodu. Nie! On chodził po Howorówce, aż na Łukę natrafił i o Pustkę się zaczął. Nazwie to kto może fantazją; ja nazwę poczuciem gniazdowem. Powrócił, z kąd wyszedł: szlachta polska z łona czarniawy chłopskiej wykwitła; czarniawa chłopska jest dla niej łonem macierzyńskim, najbezpieczniejszém — w biędzie zwłaszcza.

Włościanie howorowieccy, tacy nawet co mieli do pana Tadeusza pretensye rozmaite, z serdeczném do eks-dziedzica odnosili się spółczuciem. Ci co do niego pretensye mieli, powiadali:

— Już on ukarany...

I dotrzymywali mu układów, a nawet nie bez tego, ażeby ten i ów czegoś ponad układ nie dołożył. Niektórzy widzieli poza panem Tadeuszem Łukę starego i to ich ujmowało. Spółka ta improwizowana miała w sobie znaczenie jakies głę-

bokie, którego nikt wytłumaczyć nie umiał, którą jednak wszyscy pojmowali i uznawali.

— Ono to tak, jak — powiadali, palcem na czoło wskazując — jak być powinno...

Za staraniem pana Tadeusza chata Łuki przybrała pozór taki, że stary, gdy po żniwach, zakończywszy służbę swoją w kołowrocie, do niej powrócił, zaledwie ją poznać mógł. Ogrodzona, oczyszczona, okryta strzechą nową, a za nią kłunia (stodółka) z ruin wieszona, oto co się oczom jego przedstawiło.

— A — odezwał się przeciągle i poszedł za chatę, z kądem do uszu jego łopot dochodził.

Tam, na tokowisku, pan Tadeusz do koszuli rozebrany, cepem snopy walił.

Stary głową pokiwał, ale nic nie rzekł; do chaty wszedł, okiem powiódł i, spostrzegłszy ład, z pośpiechem pod łóżko po bednię sięgnął. W bedni nic tkniętém nie było. Starcowi łzy na powieki napłynęły. Westchnął.

I pod jesień rozpoczęło się życie we dwójkę: szlachcica, co w pracy, w czynności ustawicznej szukał, zdawało się, zagłuszenia zgryzoty, i chłopca który niejako przemocą wydartym został z opuszczenia przez szlachcica. Losy sprowadziły ich do mianownika jednego porządkiem naturalnym. Dzielili spółkę żywota i rzadko kiedy jeden z drugim po słów parę zamieniali.

Tak żyli—i takby żyli do śmierci, gdyby nie zdarzenie nadzwyczajne, które spadło niespodzianie. Do dworu—we dworze mieścił się teraz zarząd majątku właściciela nowego — zajechał pojazd podróżny; z pojazdu wysiadło dam trzy, lecz wnet wróciły, do pojazdu napowrót wsiadły i odjechały. W jakiś czas później do uszu pana Tadeusza doszła wiadomość, że pani Róża i panna Julia przyjechały. Rzucił się, niby oparzony; nie wierzył; do dworu pośpieszył, rozpytywał się i przekonał, że w rzeczy samej tak było; nie umiano mu jednak powiedzieć, dokąd te panie odjechały.

W dni kilka później, znów się w Howorówce pojawił pojazd, ale już nie podróżny, i zatrzymał się nie przed dworem, lecz przed chatą Łuki. Z pojazdu wyskoczyła dama, w szarą jedwabną suknię ubrana i, zdziwionego pana Tadeusza, który się po podwórku kręcił, minawszy, pędem do siedzącego na przyźbie Łuki pobiegła. Zanim Łuka popatrzeć się na nią zdążył, już ona u stóp jego klęczała, kolana starca obejmowała i po rękach go całowała. Starzec, zdumiony, zmieszany, nie wiedział co się dzieje; zrywać się chciał, aż usłyszał wyraz przez damę wymówiony, wyraz jeden, który go obezwładnił, wyraz:

— Dziaduniu!

Wyraz ten przeniknął go ciepłem rozkoszném, rzewnością z niczém niezrównaną, wzruszeniem do głębin duszy sięgającym.

— Dziaduniu! — powtórzyła dama, starcowi w oczy patrząc.

Łuka nad nią drżące podniósł dłonie; przemówić chciał, ale nie mógł; łzy mu po policzkach na brodę spływały.

— To ja—zaczęła dama — dziewczyna, wnuczka wasza... Maryna...

Starzec płakał.

— Przrzekłam wam, że z kraju świata do was powrócę i... oto... wracam... Dziaduniu... to ja... ja... wasza Maryna!

— Ta-że... widzę—odrzekł wreszcie, usiłując nad wzruszeniem zapanować.—Nu...

— Macie mnie...

— Nu—powtórzył starzec.

Pan Tadeusz, scenie tój przypatrując się z boku, doznał wzruszenia, po przejściu którego nie zapytywał siebie, jakim cudem Maryna dawniejsza przeistoczyła się w tę oto, ale: czy nie zachodzi związek jaki pomiędzy przybyciem jęj, a przyjazdem i odjazdem pani Róży? Zbliżył się przeto, z boku stanął i, skorzystawszy ze sposobności najpiérwszėj wtrącenia słówka, rzucił zapytanie:

— A żona moja?

Maryna się obejrzała, okiem pana Tadeusza od stóp do głowy zmierzyła i snadź go nie poznała, albowiem bąkać poczęła:

— Pan?... pan?...

— Tadeusz Howorowski... do usług...

— A! — krzyknęła i dodała: — Pani u nas... w Koszylówce... Mocno zaniepokojona... ziemi i niebios pyta o pana.

— Ha! — ryknął, kij w jedną, czapkę w drugą rękę pochwycił i kłusem z podwórka ruszył.

Na połowie drogi do Koszylówki dopędził go pojazd, w którym jechała Maryna. Pojazd się zatrzymał. Pani go do zajęcia obok siebie miejsca wezwała.

---

Na tém moglibyśmy opowiadanie nasze zakończyć, oszczędzając sobie opisu rozrzewnień, jakie w Koszylówce się zamaifestowały, gdyby nie to, że część opowiadania tonie w cieniach zagadkowych, które rozproszyć należy. Zagadkowe jest nagłe pojawienie się Maryny, spadającej niaby z nieba dlatego niejako tylko, ażeby powieść zaokrąglić. Przepraszam! Spadnięcie jej spowodził logiczny rozwój wypadków. Czytajcie jeno naodwrot, od ręki prawej do lewej, jak narody wschodnie czytają, a imię „Yram” i nazwisko de „Rowob,” wypadnie: Maryna de Howo-

rówka. Owa przeto panna Yram, co taką furorę sprawiała, była to wnuczka Łuki, Maryna, uwięziona czasu owego przez pana Pawła.

Wyjaśnienia przychodzą tu same niejako przez się.

Pan Paweł uwiózł ją dla dwóch powodów: raz dla talentu, który się w niej odkrył, a którego on wielbicielem był, powtóre dlatego, że pokochał dziewczynę, co samo przez się wystarczało na dokonanie porwania. Wypadki tego rodzaju są chlebem powszednim i, gdyby zachodził był sam tylko powód sercowy, przypuszczać należy, że wszystko rozwiązałoby się w sposób taki, w jaki się pospolicie rzeczy tego rodzaju rozwiązują. Do ofiar tylu przybyłaby ofiara jedna więcej. Cytryna wyciśnięta, na śmiecisko wyrzucanąby została. Komplikacya atoli talentu uratowała ją od losu tego, zwłaszcza, że samę tę komplikacyą komplikowały jeszcze zaręczyny pana Pawła z panną Emilią i zniewalały go szukać dla zerwania racyi na czémś ważniejszém, aniżeli to, że mu piękna dziewczyna w oko wpadła. Cóż to znaczyło? — dobnostka. Dobnostki takie narzeczony, żony nawet uwzględniają. Należało przeto podnieść ją, przyozdobić, uilustrować. Z tego to powodu pan Paweł wprost do Paryża Marynę przywiózł, imię jęj i nazwisko odmienił,

w zakładzie naukowym ją ulokował i na drogę kształcenia artystycznego wprowadził.

Kiedy ją wiozł, ona się do niego modliła:

— Paniczu, nie zgubcie mnie!

On jej na to odpowiadał:

— Miej jeno ufność we mnie...

Na takim, jakim był głos Maryny, znawcy się prędko w Paryżu poznali i sława jej po salonach już krążyła, kiedy ona nie występowała jeszcze inaczej, jak w popisach konserwatorium. Dyrektorowie oper i przedsiębiorcy czyhali na nią, licytując ją zgóry i wabiąc ofertami ogromnemi, a to tém bardziej, iż się rozwinęła na piękność skończoną. Pan Paweł, widząc to i znając się na tém, czuwał nad nią, jak czuwać może jeno brat troskliwy. Dzięki jemu, uniknęła samotrzasków, jakie ludzie zręczni na talent jej, zarówno jak na osobę, zastawiali, opuściła konserwatorium bez żadnego zobowiązania i publiczności słyszeć się dała po raz pierwszy w koncercie, urządzonym na cel jakiś dobroczynny. W dni parę po koncercie tym, który wzbudził entuzjazm ogólny, jeden z królów finansowych zaprosił ją na wieczór, na którym ona dwie arye tylko śpiewała. Naza jutrz w kopercie pod swoim adresem dostała czek na dwadzieścia pięć tysięcy franków i w pudełeczku kolia brylantową. Rzecz naturalna, za



królem jednym poszedł drugi, za drugim trzeci, za tym ktoś ze świata arystokratycznego i urzędowego—rozrywano ją i płacono—płacono i holdami otaczano.

A pan Paweł nad nią czuwał z dumą człowieka, mogącego powiedzieć o sobie: „Ta wielka artystka, to dzieło moje.”

Duma odnosiła się do artystki, nie stanowiła atoli uczucia jedyne, jakiego w odnoszeniu do niej serce pana Pawła ogniskiem było. Kochał ją, jako kobietę, kochał coraz-to mocniej, a to dlatego, że miłość jego wzmagala się wmiarę, jak się Maryna rozwijała, kształtowała, doskonaliła, subtelniała, że się tak wyrazimy. Kochał ją, zachwycał się nią i znajdował się względem niej w położeniu fałszywem.

Bo—i jakże!...

— Pilnuj się — powiadał jej razy tyle.—Na baczeniu się miej co do róż, których rąk tyle podaje tobie... To kwiaty zatrute...

Ona mu odpowiadała na to:

— Kwiatem moim... sztuka...

Na odpowiedź tę zamilkał. Wolałby taką: „Śród róż niezatrutą jest jednak jedna, ta, którą ty mi podajesz.”

Maryna tego nietylko nie mówiła, ale poznać nie dawała, że myśli coś podobnego, co pana Pawła irytowało; nie przypuszczał bowiem, ażeby

się w niej nie obudziło uczucie niewieście, nie wierzył w westalizm sztuki.

— I ja sztukę miłuję—powiadał sobie—człowiekiem się jednak czuję...

Spodziwał się przeto, że się w niej uczucie obudzi, ale—nie dla niego.

Wprawiało go to w rozpacz i we wściekłość. Zazdrościł zgóry bezimiennie, zazdrościł do tego stopnia, że się sposobił do strzelania komuś w łeb—komuś, to znaczy pierwszemu lepszemu, ku któremu by się dziewczyna skłoniła. Ów ktoś nie nastreczał się mu. Czyhał jednak na niego, stał się ponurym, opryskliwym—chciał się z Maryną rozmówić, lecz nie wiedział, od czego zacząć. Trudność jakaś na drodze mu stała i język płątała. Ona trudność tę usunęła sama.

— Tyś smutny, Pawle—rzekła razu pewnego.—Czemu to?

— Czemu... nie domyślasz się?—odparł.

— Nie—odpowiedziała zaniepokojona.

— Nie wiesz, że... Kocham ciebie!

— Wiem—odrzekła i w oczy mu tak spokojnie, z takim naiwności dziecinną wyrazem spojrzała, z taką ufnością na niego popatrzyła, że pan Paweł oczy spuścił, czoło na dłoni oparł, westchnął i nic więcej nie odpowiedział.

Innym znów razem zawiązał z nią rozmowę o zamiłowaniu sztuki i dowodził, że pod słońcem

niema człowieka, któremuby zamilowanie to wystarczało. Maryna zaręczała, że jój wystarcza.

— Nateraz; a jak będzie później?—zapytał.

— Nie wiem—odpowiedziała — nie widzę jednak racyi, ażeby się to zmienić miało...

Pan Paweł brwi zmarszczył, oczy zamknął i głową pokręcił.

W ostatku doszło do tego, że tonem rozkazującym:

— Kochaj mnie!—krzyknął.

— Ależ — zaczęła i dalej mówić nie mogła, zdołała jeno taśmę od dzwonka pochwycić i gwałtownie szarpnąć.

Pan Paweł odszedł; niebawem jednak powrócił i, nie mówiąc, przy drzwiach wchodowych stanowisko z pistoletami w rękę zajął. Zawiadomionój władzy bezpieczeństwa powiodło się pistolety mu odebrać. Lekarze obłąkanym go uznali.

Wypadek ten otworzył Marynie oczy. Poznała, że—jak się wyraża poeta: „Za wszystko płacić trzeba.”

Czy ona pana Pawła kochała? Bardzo go kochała, ale nie miłością kochanki, a to nie dla czego innego, tylko że miłości takiej potrzeba uczuwać się nie dawała—tak ją całkowicie, wyłącznie i bezpodzielnie sztuka pochłaniała. Dla pana Pawła jednak, który ją do tego świata cu-

dów wprowadził, czuła wdzięczność wielką i głęboko zaboląła, gdy on do ostateczności takiej doszedł. Powód znała. Powodem była ona sama. To też, jak skoro lekarze chorobę zdefiniowali, niezwłocznie do najznakomitszych udała się alienistów i powierzyła im pacyenta. Zapytywała, azali choroba jest do uleczenia. Odpowiadano jej, że usuniętą być może, leczenie atoli wymaga staranności i czasu.

Na staranności nie zbrakło. Maryna czuwaniem nad chorym wywzajemniała się za to czuwanie, jakie rozciągał nad nią, kiedy ona, roślinina polna, na grunt obcy przesadzona, bez rosy, na palącym słońcu zmarnieć mogła. On ją od upału osłaniał: ona też opieką troskliwą osłoniła pana Pawła i pomagała lekarzowi pod tym względem, że, pod jego kierunkiem, wpływała na psychiczną pacyenta stronę. Chodziło o to, ażeby powoli, stopniowo a z ostrożnością jaknajwiększą przysposabić go do przyjęcia ze strony Maryny wyznania miłości.

— Jak skoro—powiadał psychiatra—wyznania tego zapragnie i, usłyszawszy takowe, zadowolone okaże, wówczas na pewno uratowanym będzie.

Kuracya ciągnęła się lat kilka. Wciągu takowej pani Emilia wizytę jej oddawała w celu

zaproszenia na *soirée parée*. Maryna od pierwszego oka rzutu ją poznała; ona jednak w tym motyłu świetnym poznać nie mogła gąsiennicy, co niegdyś po podłodze dworu howorowieckiego pełzała. Ani się domyślała, ani przeczuwała. Tak samo ani się domyślały, ani przeczuwały pani Róża i panna Julia. Gdyby z nich która nazwisko jój i imię na wywrót przeczytała była, możeby to je na drogę naprowadziło, zwłaszcza po tych oznakach zmieszania się i zajęcia, jakie Maryna w salonie państwa Kapusinich okazała. Jój samej do odkrycia tajemnicy przeszkadzała choroba pana Pawła, która ukrywaną być musiała. To ją krępowało i w oddaleniu od spółziomków trzymało, pomimo, że styczności z nimi nie unikała. Spotkała się, na przykład, przypadkiem z panem Kalasantym, który jój konia na kaszel leczył, i okazała dla niego uprzejmość taką, że ta ośmieliła go do zgłoszenia się do niej w interesie koncertu panny Julii.

— A!—zawołała w uniesieniu, gdy się o koncercie tym dowiedziała; lecz wnet nad uniesieniem zapanowała i zapytała:—Cóż to za jedna?

Weterynarz opowiedział o smutném pań Howorowskich położeniu i o nadziejach ich wyjścia z takowego zapomocą cudnego panny Julii głosu.

— Ja głos ten słyszeć muszę—podchwyciła.

Ona to więc pięćset biletów wzięła i w przyległej izdebce koncertu za drzwiami słuchała.

— Stracony czas i trud — powiedziała panu Kalasantemu, którego prosiła, ażeby ją po koncercie tym odwiedził.—Paniom tym wyperswadować to należy... Gdyby się one w kłopotach znajdowały, zgłaszaj się pan śmiało do mnie, bez ich wiedzy jednak. Lepiejby atoli zrobiły, gdyby śpiewów zaniechawszy, do Howorówki wróciły... O, gdybyż im to wytłumaczyć można!

Pan Kalasanty perswadował i tłumaczył, niekoniecznie jednak zgrabnie.

Do podróży do Howorówki namówiła je ona sama, nagle i niespodzianie pojawiając się w apartamenciku pani Róży.

Co to było!—co to było, gdy się ona pokazała, tego usta nie opowiedzą, a pióro nie opisze. Zdumienie, zmieszanie, zafrasowanie granic nie miały. Taka wielka i sławna dama w mieszkanku tak skromnym przygniatała niejako wielkością swoją kobiety, które z wyżyny spadły. Opamiętały się nie prędzej, aż po odejściu jej i uprzytomniły sobie dane jej przyrzeczenie. Zobowiązały się, ni mniej, ni więcej, tylko pannę Yram de Rowoh w Howorówce ugościć. Z jakiego tytułu? Oto, panna Yram de Rowoh oznajmiła im, że idzie za mąż za człowieka ze stron tamtych,

że w Podróż poślubną z mężem na Podole się wybiera, że będzie w Howorówce i w Koszylówce i że wyjeżdża za dni kilka. Wiadomości te spadały, niby grad funtowy na dachówkę. Hurkot w uszach pań stał się straszliwy. Po odejściu jój dopiero zrobiło się w umysłach ich jasno, w sercach zaś obudziło się pragnienie jechania jaknajrychlej.

— Chociażby dziś... natychmiast — zgadzały się jednogłośnie.

— Ale... za co?—zapytywały jednozgodnie.

Jak na toż pojawił się pan Kalasanty.

— Panie, ratuj!...

— Paliwa brak... co?

— Do Howorówki pojechałyśmy pragnęły...

— A!...

Od słowa do słowa na tém stanęło, że pani Róża na ogólną pobranych „pożyczek” sumę rewers wystawi, a pan Kalasanty o pieniądze na podróż się wystara.

Pan Kalasanty o pieniądze się wystarał; pani Róża rewers podpisała. Pan Kalasanty rewers spalił; pani Róża z córką, z siostrą męża i z synem jój pojechała. Wybięrała się z Paryża pośpiesznie; upłynął atoli dni dziesiątek, zanim nakoniec ruszyła. Jechała wprost; nie uniknęła jednak spotkania wciągu podróży panny Yram i... jój męża.

Zagadki się porozwijały, tajemnice podkrywały.

Pani Róża z towarzyszkami podróży zajechała wprost do dworu, jak do siebie; lecz rejterować musiała i, nie wiedząc co się z mężem stało, nie miała udać się dokądindziej, jeno do Koszylówki, gdzie się jej nowa rozwiązała zagadka, gdy pani Pawłowa pana Tadeusza przywiozła.

— A jakżem ja o tém wszystkiem nie wiedziała!—zawołała, gdy ją z objęć puścił zafrasowany mąż.

— Czyżem nie pisał! .. czyż nie uwiadomiłem, Róziu, ciebie?

Różia wszystkie te listy, co ją o katastrofie powiadomić mogły, nierozpieczętowane na kominku w Paryżu zostawiła.

— A... ot... widzisz—pokazał jej pan Tadeusz zgrubiałe od cepa i kosy ręce.—Ja już nikomu nie rozkazuję i nikogo nie pytam... Na komornem u dziadka pani dobrodziejki—oczami na Marynę wskazał—siedzę...

— Postaramy się komorne rozszerzyć — podchwyciła pani Pawłowa—z zobopólną korzyścią naszą.

Ostatniemi temi wyrazami zamykamy powieść, a otwieramy domysł. Musiały one mieć w ustach pani Pawłowej znaczenie jakieś. Czy nie chcia-



ła ona przez to powiedzieć, że szkodliwem jest rozdzielanie na dwa światy tych pierwiastków, które się łączyć i przenikać wzajemnie powinny? Zdaje się, że taka intencya jęj była, rozdzielenie bowiem dzieje się z pogwałceniem natury, skutkiem którego tak świat jeden, jak drugi na błędne zapędzą się drogi. Drogami temi pan Tadeusz doszedł do bankructwa zupełnego. Na drogach tych, gdyby nie wypadek, nie byłby się przebił talent takiej miary, jak Maryny. A ileż to talentów nietylko artystycznych, ale literackich, naukowych, politycznych, istnych zacząłków cywilizacyjnych, wydobyć się nie może zpod przysypu ciemnoty, okrywającego i przygniatającego świat chłopski! Może ten powiedzenie pani Pawłowęj miało sens. Nie wiem napewno; dlatego właśnie wysnułem domysł mój, ażeby na znaczenie słów jęj zwrócić uwagę czytelników, oznajmując im oraz, że opowiadanie, które dla nich skreśliłem, opartem jest, od początku do końca, na źródłach jaknajpewniejszych.

KONIEC.

**INSTYTUT  
BADAŃ I PRACZY PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-790 W. w. w. w.

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**













F

1255